

NOWY BESTSELLER WIELKIEGO MISTRZA PRZYGODY

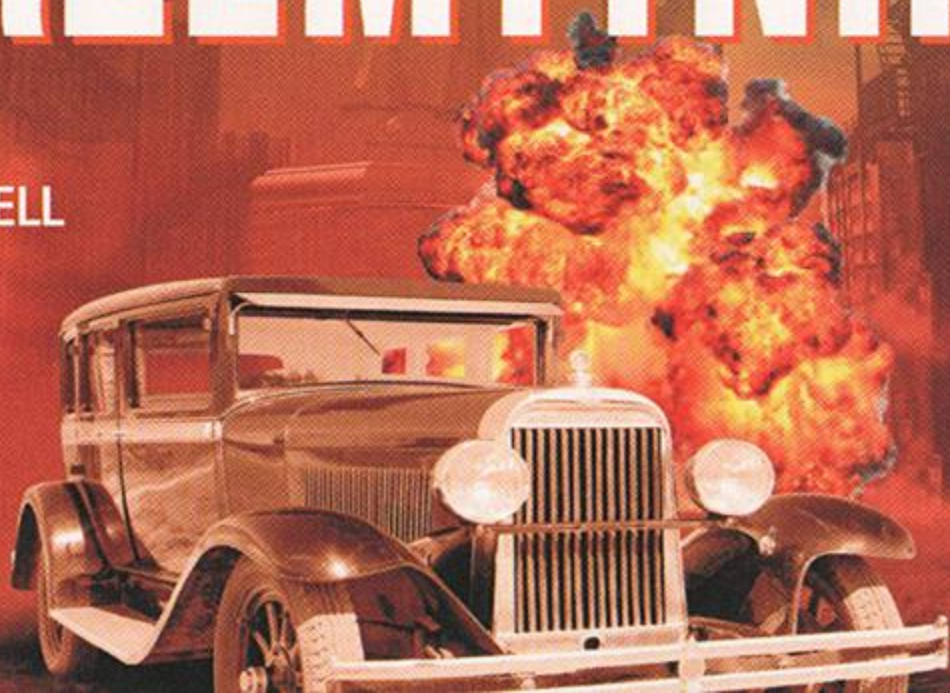
CLIVE CUSSLER

AMBER

JUSTIN SCOTT

PRZEMYTNIK

Cykl
ISAAC BELL



Clive Cussler

Justin Scott

Przemytnik

Przekład: Maciej Pintara, Jacek Złotnicki

Tytuł oryginału: The Bootlegger

Cykl: Isaac Bell - Tom 7



Dla Janet

Część 1

RUMOWA LINIA

1921

1.

Dwaj mężczyźni w drogich ubraniach, przemytnik i jego ochroniarz, opuścili boya hotelowego do góry nogami z gzymsu hotelu Gotham.

Ochroniarz trzymał go za kostki dziewiętnaście pięter nad Pięćdziesiątą Piątą ulicą. Była noc. Nikt tego nie widział. Wrzask chłopca zagłuszały autobusy na Piątej Alei, dudnienie miejskiej kolei nadziemnej nad Szóstą i dzwonki tramwajów na Madison.

– Każdy boy w tym hotelu sprzedaje moją gorzałę! - krzyknął do niego z góry przemytnik. - Co z tobą?

Wieże kościelne i iglice rezydencji zdawały się sięgać po chłopaka jak ostre zęby.

– Ostatnia szansa, synku.

Wysoki mężczyzna w letnim garniturze przemknął cicho po dachu. Wyciągnął samopowtarzalnego browninga spod marynarki i nóż zza cholewy. Dotarł do gzymsu i przystawił pistolet do skroni ochroniarza.

– Trzymaj mocno.

Ochroniarz zamarł. Przemytnik skurczył się pod ukłuciem ostrza na szyi.

– Kto ty, do...

– Isaac Bell. Agencja Van Dorn. Podnieście go na dwa.

– Jak strzelisz, to go puścimy.

– Będziecie mieli dziury w głowach, zanim on minie osiemnaste piętro... Liczę. Jeden! Unieście go. Dwa! Wciągnijcie go za krawędź... Połóżcie na dachu... Jesteś cały, synu?

Boy hotelowy miał łzy w oczach. Przytaknął, potakując głową jak kukiełka.

– Zejdź na dół - polecił mu Bell, wsunął nóż z powrotem do buta i przełożył pistolet do lewej ręki. - Powiedz swojemu szefowi, że główny śledczy Bell kazał ci dać tydzień wolnego i pięćdziesiąt dolarów premii za to, że stawiałeś czoło przemytnikom.

Ochroniarz dobrze wybrał moment. Kiedy wysoki detektyw sięgnął w dół, żeby pomóc chłopcu wstać, zamachnął się wielką pięścią z sygnetem na palcu. Cios, umiejętnie wyprowadzony z całą siłą mięśni rosłego mężczyzny, został zablokowany po dziesięciu centymetrach.

Miażdżąca kontra zachwiała ochroniarzem. Kolana się pod nim ugięły i upadł na wysmołowany dach. Przemytnik wyrzucił puste ręce do góry.

– Okej, okej.

Agencja Detektywistyczna Van Dorn - organizacja z biurami terenowymi we wszystkich miastach w kraju i wieloma za granicą - utrzymywała dobre stosunki z policją. Ale Isaac Bell zauważył, że coś jest nie tak, gdy wszedł do komisariatu na Pięćdziesiątej Czwartej.

Sierżant dyżurny unikał jego wzroku.

Mimo to Bell sięgnął przez wysoką ladę, żeby uścisnąć mu dłoń. Ojciec tego sierżanta, emerytowany rewirowy Paddy O’Riordan, dorabiał sobie jako nocny strażnik w usługach ochroniarskich Van Dorna.

– Co u ojca?

Paddy miał się dobrze.

– Jest jakaś szansa na przesłuchanie przemytnika, którego złapaliśmy w Gotham?

– Tamten duży facet jest w szpitalu i drutują mu szczękę.

– Chcę tamtego małego, szefa.

– Firma poręczycielska wpłaciła za niego kaucję.

Bell się wściekł.

– Kaucję? Za usiłowanie zabójstwa?

– Oczekują ochrony, za którą płacą - odrzekł sierżant O’Riordan z miną pokerzysty. - Co ja bym zrobił następnym razem, panie Bell, to zamiast nas wzywać, wrzuciłbym ich do rzeki.

– Przypuszczam, że Straż Przybrzeżna by ich wyłowiła - odparł Bell, obserwując reakcję gliniarza.

– A no właśnie - przytaknął apatycznie O’Riordan.

Potwierdził tym pogłoski, że nawet niektórzy funkcjonariusze Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych - ramienia Departamentu Skarbu do egzekwowania prohibicji na morzu - siedzą w kieszeniach przemytników.

Od dzisiejszego popołudnia, pomyślał Bell, vandornowcy będą kłaść temu kres.

Z ręką na przepustnicy swojej latającej łodzi Loening S-1 i drugą na kole sterowym Isaac Bell rozpędzał się w dół East River, żeby nabrać prędkości startowej. Ominął barkę kolejową i wysterował w szybko zwężającą się lukę między holownikami. Jeden pchał barki z węglem, drugi ciągnął jaskrawoczerwoną barkę z dynamitem. Joseph Van Dorn, krzepki mężczyzna z rudymi bokobrodami, założyciel agencji detektywistycznej, siedział obok niego w otwartym kokpicie, pogrążony w myślach.

Z terminalu na Dwudziestej Trzeciej w Greenpoincie wypłynął prom prosto przed nich. Widok ogromnego statku o płaskich burtach, który nagle wyrósł w przedniej szybie hydroplanu, sprawił, że Joseph Van Dorn usiadł prosto. Odważny i opanowany, zapytał:

– Zdążymy wyhamować?

Bell otworzył szeroko przepustnicę.

Silnik liberty zamontowany za nimi na skrzydle zagrzmiał.

Bell pociągnął mocno koło sterowe.

Loening S-1 dzierżył rekordy szybkości i wysokości, ale zawsze wolno reagował na polecenia pilota. Bell zastąpił drążek i pedały „kierownicą” Bleriota w nadziei, że maszyna będzie zwinniejsza.

Pasażerowie greenpoinckiego promu cofnęli się od relingu.

Bell przyciągnął koło sterowe ostatnim silnym szarpnięciem.

Hydroplan oderwał się od wody i wzniosł trzydzieści centymetrów nad promem.

– Prawo powinno zakazywać takiego pilotowania jak twoje - odezwał się Van Dorn.

Bell przeleciał pod mostem Williamsburg i między masztami obserwacyjnymi okrętu liniowego w stoczni Marynarki Wojennej.

- Przepraszam, że wyrwałem cię z ponurej zadumy.
- Wyrwiesz nas obu stąd do królestwa niebieskiego.

Bell leciał ponad zielonym Brooklynem z prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Van Dorn wrócił do rozmyślań, jak sobie poradzić w nieszczęściu.

Wojna światowa wyrządziła szkody jego agencji. Część najlepszych detektywów zginęła, walcząc w okopach. Inni zmarli szokująco młodo podczas epidemii grypy. Powojenna recesja gospodarcza powodowała bankructwa klientów. A zaledwie wczoraj Isaac Bell odkrył, że przemytnicy, którzy bogacą się szybko na prohibicji, przekupując gliniarzy i polityków, skorumpowali dwóch z jego najlepszych detektywów w hotelu Gotham.

Bell wspiał się na tysiąc metrów, zanim osiągnęli półwysep Rockaway. Tam gdzie plaża z białym piaskiem wcinała się w ocean jak nóż, skręcił i skierował się na wschód nad rzędem wysp chroniących Long Island przed nieokiełznaną gwałtownością Atlantyku. Raj szmuglerów alkoholu - ukryte zatoki i bagna, dopływy, strumienie i kanały - rozciągał się na zawietrznej tych wysp jak okiem sięgnąć.

Pięćdziesiąt kilometrów od Nowego Jorku przechylił hydroplan nad stalowoniebieskim oceanem i zaczął się zniżać.

- Mogę wejść do szalupy, panie bosmanie?

Marynarz trzeciej klasy Asa Somers, najmłodszy członek załogi kutra CG-9 Straży Przybrzeżnej, wychodził z siebie. Wreszcie trafił na morze i patrolował wybrzeże wyspy Fire Island w poszukiwaniu przemytników rumu na okręcie z działem i karabinami maszynowymi. Teraz najszybsza latająca łódź na świecie - górnopłat ze śmigłem pchającym - spadała z nieba. I jeśli nie dość fascynujący był ryk jej czterystukonnego silnika liberty, to fascynował jej pasażer, sławny pogromca przestępców pan Joseph Van Dorn. Czytał o nim w „Boys’ Life” i „Police Gazette”. Jego armia prywatnych detektywów przysięgała: „Nigdy się nie poddajemy! Nigdy!”

- Co się tak gorączkujesz? - warknął siwowłosy starszy bosman.
- Chcę poznać pana Van Dorna, jak wyląduje.

– Nie wylądaje.

– Dlaczego?

– Otwórz oczy, chłopcze. Widzisz te fale? Mają półtora metra i dadzą tej latającej łodzi takiego kopa w tyłek, że się przewróci.

– Może spróbuje - odrzekł Somers bez zbytej nadziei.

„Flight Magazine” chwalił szybkość S-1 o wiele bardziej niż jej sterowność.

– Jeśli wylądaje - powiedział bosman - to będziesz mógł wejść do szalupy, żeby wyłowić ciała.

W górze, na odkrytym mostku, kapitan CG-9 przytaknął.

– Stójcie w pogotowiu z bosakami.

Hydroplan zatoczył krąg niżej. Kiedy mijał kuter tuż nad wierzchołkami fal, Somers zobaczył Van Dorna. Siedział obok pilota w oszklonym kokpicie bez dachu. Rozpoznał go po rudych bokobrodach nastroszonych przez pęd powietrza.

Ryk dużego dwunastocylindrowego silnika przycichł do szmeru.

– Wariat - burknął bosman.

Ale młody Somers obserwował lotki hydroplanu. Klapy skrzydła podnosiły się i opuszczały tak szybko, że wzrok ledwo za tym nadążał, gdy pilot usiłował wyrównać. W części ogonowej statecznik poziomy wgryzł się w powietrze i maszyna opadła, stabilna jak lokomotywa na szynach. Jej długi klinowaty kadłub dotknął wody, rozszerzając rozpylony kilwater. Pływaki pod skrzydłem prześlizgnęły się po falach i usiadła lekko.

– Somers! Do cumy dziobowej.

Chłopak wskoczył do szalupy motorowej i popłynęli przez sto metrów wody między kutrem a latającą łodzią. Wielkie czterołopatowe śmigło za skrzydłem przestało się obracać. Pilot, który z łatwością wykonał prawie niemożliwe wodowanie, zszedł z kokpitu na stopień wokół przodu kołyszącego się kadłuba. Był wysokim, szczupłym, przystojnym blondynem z rzeczową miną. Złociste włosy i gęste wąsy miał nienagannie utrzymane. Nosił biały, szyty na miarę garnitur i kapelusz z szerokim rondem tego samego koloru.

Somers upuścił cumę dziobową.

– Co ty wyrabiasz, do kroćset?! - zagrział bosman.

– Założę się, że to Isaac Bell!

– Nie obchodzi mnie, czy to on, czy Mary Pickford! Nie splącz tej liny!

Chłopak zwinął ją ponownie ze wzrokiem utkwionym w pilocie. To musiał być on. Zdjęcia Bella nigdy nie było w żadnym magazynie ilustrowanym. Ale w doniesieniach o Van Dornie zawsze wspomniano o białym garniturze jego głównego śledczego. Somersowi nagle przyszło do głowy, że unikający fotografów detektyw mógłby w okamgnieniu stać się nierozpoznany, gdyby po prostu zmienił ubranie.

– Rzuć linę, synu! - zawołał. - No dalej, potrafisz to zrobić... migiem!

Somers pamiętał, żeby pozwolić zwojowi rozwijać się z jego dłoni, jak uczył go bosman. Ku dozgonnej wdzięczności chłopaka cuma wpadła w dużą rękę Bella.

– Dobry rzut.

Przyciągnął hydroplan do szalupy.

– Czy pan to Isaac Bell? - zapytał Somers.

– Jestem jego kamerdynerem. Tylko ani mru-mru - Bell jeszcze leży nieprzytomny w nielegalnej knajpie. A teraz weź pana Van Dorna do swojej łodzi tak, żeby się nie skąpał. Gotowy?

Bell wyciągnął rękę, żeby pomóc Van Dornowi, mocno zbudowanemu mężczyźnie po pięćdziesiątce z wydatnym rzymskim nosem i ciężkimi powiekami. Van Dorn zignorował dłoń Bella. Bell ujął go za łokieć i skierował w stronę Somersa z konspiracyjnym uśmiechem.

– Trzymaj się mocno, synu, on nie jest taki żwawy, na jakiego wygląda.

Mimo uśmiechu spojrzenie niebieskich oczu Bella było chłodne i czujne. Obserwował uważnie, jak starszy mężczyzna przechodzi między kołyszącymi się kadłubami. Odprężył się dopiero wtedy, gdy Somers przyjął go bezpiecznie na pokład.

– Jak się nazywacie, marynarzu? - spytał Van Dorn z leciutką nutką irlandzkiego akcentu.

– Marynarz trzeciej klasy Asa Somers, sir.

– Skłamałście, ile macie lat?

– Skąd pan wie? - wyszeptał Somers.

– Zrobiłem to samo, żeby się zaciągnąć do marines.

Uniósł kciuk w kierunku rufy.

– Wszyscy na pokładzie, bosmanie. Z powrotem na okręt.

– Tak jest.

Szalupa odplynęła od hydroplanu.

Van Dorn zawołał do Bella:

– Uważaj na siebie w Gotham. Nie zapominaj, że tamte bezwstydne sukinsyny szykują się na ciebie.

Asa Somers pomyślał, że gdyby puma potrafiła się uśmiechać, byłby to uśmiech Isaaca Bella, który odpowiedział:

– Zapomnieć? Nigdy.

Joseph Van Dorn obrzucił sceptycznym spojrzeniem CG-9, nadwyżkowy ścigacz okrętów podwodnych, który Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych przekazała Straży Przybrzeżnej do patroli prohibicyjnych. Miał bocianie gniazdo nad odkrytym mostkiem, sześciocyndrowe silniki benzynowe do napędu trzech śrub i siedemdziesięciopięćmilimetrowe działo Poole na pokładzie dziobowym. Służył do wypatrywania, ścigania i zatapiania wolno pływających niemieckich U-Bootów - ale nie miał szans w ściganiu szybkich łodzi przemytników alkoholu.

Był intensywnie eksploatowany podczas wojny i oszczędnie serwisowany od tamtej pory. Odgłos pomp świadczył, że drewniany kadłub przecieka w wielu miejscach. Zawory silników klekotały nawet przy połowie szybkości. Działo Poole i dwa karabiny maszynowe lewis .30-06 na skrzydłach mostka wciąż nadawały się do walki. Ale nawet gdyby CG-9 zdołał jakoś mieć w zasięgu przemytnika alkoholu, czy kogoś wyszkolono do strzelania z tej broni?

Kapitan w średnim wieku miał worki pod oczami i czerwony nos. Podstarzały starszy bosman wyglądał jak weteran wojny hiszpańsko-amerykańskiej. A załoga - z wyjątkiem młodego Somersa, który ochoczo wdrapał się po maszcie do bocianiego gniazda, gdy tylko wciągnęli szalupę na pokład - odpowiadała w zasadzie wyobrażeniu Van Dorna o rekrutach z żołdem dwudziestu jeden dolarów miesięcznie.

Kapitan przywitał go nieufnie.

Van Dorn rozbroił go przyjaznym uśmiechem, dzięki któremu wielu przestępców trafiło za kratki. Zastanawiali się potem, dlaczego pozwolili temu jowialnemu panu zbliżyć się do siebie na tyle, że zacisnął stalową dłoń na ich

karku. Błysk w oku i ciepły chichot w głosie tworzyły wizerunek niefrasobliwego gościa.

– Jak sądzę, pański dowódca powiedział panu, że Departament Skarbu wynajął moją agencję detektywistyczną, by doradzała, jak lepiej zwalczać nielegalny transport alkoholu. Ale plotki głoszą, założę się, że badamy, kto jest w zмовie z przemytnikami - bierze łapówki za odwracanie wzroku.

– Nie muszą nas przekupywać. Są od nas szybsi i jest ich więcej niż nas. Albo ktoś - nie powiem kto, bo nie wiem - daje im cynk, gdzie patrolujemy. Albo nadają przez radio fałszywe wezwania pomocy; mamy ratować życie, więc płyniemy na ratunek, zostawiając nasz sektor szeroko otwarty. Jeśli zdarza nam się ich złapać, sądy ich wypuszczają i tamci odkupują z powrotem swoje szybkie motorówki na aukcjach rządowych.

Van Dorn spojrzał innym okiem na kapitana. Może nos szcerwieniwał mu od przeiębienia. Nieważne, czy popija, czy nie - jego słowa świadczyły, że jest autentycznie oburzony i ma dosyć. Kto mógłby mu się dziwić?

Rok od wprowadzenia prohibicji - zakazu sprzedaży alkoholu na mocy osiemnastej poprawki do konstytucji i ustawy Volsteada - wydawało się, że pół kraju zgadza się łamać prawo. Miliony ludzi płaciło hojnie za drinka. Poza odkryciem złota lub ropy na własnym podwórku, nie istniał inny sposób na szybsze wzbogacenie się niż sprzedaż alkoholu. Potrzebna była tylko łódź, żeby przepłynąć kilka mil morskich od brzegu do rumowej floty, zarejestrowanych za granicą frachtowców i szkunerów zakotwiczonych na wodach międzynarodowych. Gazety zrobiły bohatera z Billa McCoya, kapitana szkunera zarejestrowanego na brytyjskich Bahamach. Ułożył on plan omijania prawa, który czynił z egzekwowania prohibicji zajęcie dla frajerów.

– Jak mówi piosenka - Van Dorn zacytował fragment ostatniego przeboju Irvinga Berlina - „nie możesz tańczyć shimmy po herbacie”. Jak szybkie są taksówki?

O ile rybacy i właściciele jachtów pływali do rumowej floty, żeby kupić kilka butelek, o tyle duże interesy załatwiały „taksówki” lub „łódzie kontaktowe”. Tak nazywano jednostki pływające o wysokiej mocy i małym zanurzeniu, którymi zawodowi szmuglerzy alkoholu transportowali setki skrzynek na wybrzeże, gdzie przemytnicy sowicie za nie płacili.

– Co dzień budują coraz szybsze.

Van Dorn pokręcił głową, udając wielki niepokój. Isaac Bell już go przekonał, żeby zalecił patrolować wybrzeże hydroplanami, choć Bóg jeden wiedział, kto miałby za to płacić. Rząd położył szlaban na alkohol, ale nie zdołał wysupłać pieniędzy na egzekwowanie tego.

– Taksówka!

Wszyscy spojrzeli na bocianie gniazdo.

Joseph Van Dorn wyciągnął lornetkę z kieszeni obszernego płaszcza i popatrzył tam, gdzie Asa Somers miał wycelowany swój teleskop. Mocno zanurzona i pomalowana na szary kolor morza i nieba łódź z alkoholem była ledwo widoczna z odległości niespełna kilometra.

– Cała naprzód! - rozkazał kapitan i wbiegł po drabince na odkryty mostek na dachu sterowni. Van Dorn wspiał się ciężko za nim.

Silniki zawarczały twardziej. Zawory zaklekotały głośniej. Rufa opadła i wzburzyła spieniony kilwater.

– Piętnaście węzłów - oznajmił kapitan.

Ścigacze okrętów podwodnych rozwijały osiemnaście, ale tłusty niebieski dym z wydechów CG-9 zasygnalizował Van Dornowi, że zużyte silniki pracują na limicie. Ścigana łódź była przeładowana, jej nadburcia prawie zanurzone, ale płynęła z szybkością siedemnastu lub osiemnastu węzłów i oddalała się.

– Kanonier! Strzel mu przed dziób.

Działo Poole wypaliło, pokład się zatrzęsł. Van Dorn nie widział dobrze przez silną lornetkę, gdzie wylądował pocisk armatni, ale na pewno nie w pobliżu dziobu łodzi z alkoholem. Artylerzyści dali ognia bliżej. Van Dorn zobaczył rozbryzg, łódź jednak płynęła dalej.

Nagle, gdy już się wydawało, że zniknie w zapadającym zmierzchu, zwolniła. Uderzyła w coś w wodzie, zaczął spekulować kapitan, albo zgubiła śrubę lub straciła cylinder. Cokolwiek się stało na przeładowanej taksówce, ścigacz okrętów podwodnych powoli ją doganiał.

– Wyrzucą gorzałę i dadzą nogę - powiedział kapitan.

Van Dorn wyregulował lornetkę. Ale nie zobaczył spanikowanych postaci wyrzucających kontrabandę za burtę. Łódź po prostu płynęła w noc.

– Kanonier! Jeszcze raz przed dziób.

Działo Poole znów zatrzęsło pokładem i pocisk spadł przed przemytnikiem.

– Teraz się zatrzymają.

Strzał ostrzegawczy nie poskutkował i przemytnik nie stanął.

Van Dorn policzył szybko skrzynki whisky widoczne na pokładzie. Ocenił też prawdopodobną ilość w ładowni i oszacował transport na minimum pięćset butelek. Jeśli zawierały oryginalny produkt - autentyczną szkocką niezmieszaną z tanim alkoholem zbożowym - ładunek był wart trzydzieści tysięcy dolarów. Dla załogi przemytniczej łodzi, która przed prohibicją ledwo wiązała koniec z końcem, łowiąc ryby, to była fortuna. A to mogło uczynić ich bardziej odważnymi niż rozsądnymi. Za trzydzieści tysięcy dolarów sześciu przemytników mogło kupić cadillaca lub rolls-royce'a, marmona lub minerwę. Dla rodzin rybaków taka suma oznaczała przytulne domki i stół pełen jedzenia.

Kapitan włączył syrenę elektryczną. CG-9 zawył jak potępieniec. Łódź nadal uciekała.

– To wariaci. Ognia! - krzyknął kapitan do obsługi działa na dole. - Niech się zamoczą!

Pocisk uderzył w wodę wystarczająco blisko, żeby ochlapać załogę. Łódź nagle się zatrzymała i obróciła o sto osiemdziesiąt stopni. Jej dziób wycelował w ścigacza, który zbliżał się do niej w chmurze niebieskiego dymu.

– Przygotować kaemy!

Uśmiechnięci strażnicy przybrzeżni zgarbili się nad zasilanymi z talerzowych magazynków karabinami maszynowymi na podstawach po obu stronach sterowni. Van Dorn pomyślał, że zdrowy rozsądek w końcu zwycięży. Lewis był wspaniałą bronią - szybkostrzelną, rzadko się zacinającą i bardzo celną. Przemytnicy powinni podnieść ręce do góry, zanim odległość jeszcze się zmniejszy, i pozwolić swoim adwokatom wyciągnąć ich z więzienia. Zamiast tego, gdy kuter znalazł się sto metrów od nich, zaczęli strzelać.

Na patrolowcu Straży Przybrzeżnej zabrzmiały okrzyki zaskoczenia.

Pocisk karabinowy zagwizdał obok masztu trzydzieści centymetrów od głowy Van Dorna. Drugi odbił się od osłony wentylatora i trafił rykoszetem w działo na pokładzie dziobowym. Artylerzyści się rozpierchli i dali nura, szukając osłony. Van Dorn wyciągnął spod płaszcza swojego samopowtarzalnego colta .45. Oparł się ramieniem o maszt, żeby kontrować przechyły kutra, i wycelował dokładnie przed strzałem na dużą odległość. W momencie, kiedy wziął na muszkę człowieka z karabinem, trzeci pocisk zrzucił

strażnika przybrzeżnego przy prawym lewisie ze skrzydła mostka na główny pokład.

Detektyw opuścił się po drabince najszybciej, jak mógł, i wcisnął na skrzydło. Szarpnął do tyłu suwadło kaemu lewą ręką i nacisnął spust prawą. Seria trzech pocisków odłupała drewno z kabiny taksówki, centymetry od człowieka z karabinem. Trzy następne pociski wytrąciły mu broń z rąk.

– Druga taksówka! - zawołał cieniem głosem Asa Somers z bocianiego gniazda. - Za rufą.

Van Dorn skoncentrował się na oczyszczeniu kokpitu przemytników. Posłał tam serię pocisków .30-06, co przekonało sternika, że lepiej puścić koło sterowe i paść plackiem.

– Taksówka podchodzi do nas od rufy! - zawołał znów Somers.

Strach w głosie chłopca kazał Van Dornowi obejrzeć się za siebie.

Długa, niska czarna łódź zbliżała się szybko. Van Dorn jeszcze nie widział takiej szybkiej łodzi. Czterdzieści węzłów co najmniej. Osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Grzmot się wydobywał z kolektorów wydechowych. Trzy tuziny prostych rur wypływały pomarańczowe płomienie ku niebu. Trzy silniki liberty w jednym rzędzie, każdy o takiej mocy jak turbodoładowany L-12 latającej łodzi Isaaca, ziały ogniem.

Obsługa działa na pokładzie dziobowym nie widziała jej.

Szarżując z tyłu, tnąc morze jak nóż, czarna łódź skręciła, gdy zrobił to patrołowiec. Utrzymała taki kąt, że była zasłonięta przed działem. Strzelec przy lewym kaemie też jej nie widział zza sterowni. Ale Joseph Van Dorn - tak. Obrócił lewisa i otworzył ogień.

Łódź zaczęła zygzakować. Robiła uniki zwinnie jak ważka.

Zimny uśmiech zachmurzył twarz Van Dorna.

– Okej, chłopcy. Tego chcecie?

Nakierował lufę kaemu na środek slalomu czarnej łodzi i wystrzelił w nią seriami sto pocisków w dziesięć sekund. Prawie połowa dosięgła celu. Ale ku jego zdumieniu odbijały się od burty. Za późno zdał sobie sprawę, że łódź ma stalowe opancerzenie.

Wziął na cel przednią szybę, za którą kuczał sternik. Szkło popękało, ale się nie rozprysło. Kuloodporne. Ci chłopcy przy płynęli przygotowani. Czarna łódź odpowiedziała ogniem.

Też miała karabin maszynowy lewis. Ukryty pod pokładem, odchylił się do góry na zawiasowej podstawie. Van Dorn natychmiast pojął, że facet przy tamtym kaemie zna się na rzeczy. Serie pocisków podziurawiły drewniany kadłub patrolowca dokładnie pod stanowiskiem Van Dorna. Porozrywały wysoką do piersi brezentową osłonę, która chroniła skrzydło mostka przed wiatrem i rozbryzgami wody. Van Dorn walił długimi seriami. Chłodną, obiektywną częścią swojego umysłu dziwił się, że jeszcze nie dostał.

Coś uderzyło go mocno w pierś jak rzucony brukowiec.

Nagle uświadomił sobie, że spada poza krawędź skrzydła mostka na pokład. Analityczna strona jego mózgu zarejestrowała, że ścigana przez nich taksówka ucieka pod osłoną ognia karabinu maszynowego czarnej łodzi i że kuter Straży Przybrzeżnej skręca, żeby użyć działa Poole. Podczas manewru fala przechyliła go mocno na sterburtę i Van Dorn wylądował nie na wąskim pokładzie, lecz na relingu. Naprężona stalowa lina przerwała jego opadanie i odbiła go za burtę do lodowatej wody. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał, był wrzask Asy Somersa:

– Panie Van Dorn!

2.

– Narada w zaułku. Hancock, ty osłaniasz.

Isaac Bell szedł z obojętną miną przez urządzony z przepychem hol hotelu Gotham. Czterej dobrze ubrani miejscowi detektywi podążali cicho za nim, niezauważani przez płacących gości. Kiedy wszyscy czterej zebrali się w ciemnym i ciasnym zaułku kuchennym za budynkiem, Bell wywołał dwóch po nazwisku.

– Clayton, Ellis.

Tom Clayton i Ed Ellis byli typowymi detektywami hotelowymi z usług ochroniarskich Van Dorna - wysokimi, barczystymi byczkami, nie tak bystrymi jak pełnoprawni detektywi, ale przystojnymi jak męscy modele reklamujący koszule i odpinane kołnierzyki do nich. W porządnym garniturze, czystej białej koszuli, lśniących półbutach i krawacie, żaden z dawnych detektywów kolei Southern Pacific nie wyglądał nie na miejscu w drogim hotelu. Ale kieszonkowcy, złodziejaski i oszuści rozpoznawali osiłków i trzymali się z daleka.

- Co się dzieje, panie Bell?
- Jesteście zwolnieni.
- Za co? - zapytał ostro Clayton.
- Skalaliście dobre imię Agencji Van Dorn.
- „Skalaliśmy”?

Clayton uśmiechnął się znacząco do swojego kumpla.

- No właśnie, stary - odrzekł Ellis. - „Skalaliśmy”?

Bell opanował chęć powalenia obu na ziemię. Inni w ich drużynie opierali się pokusie brania łapówek. Dla dobra agencji Bell wykorzystał okazję, żeby przypomnieć uczciwym, co leży na szali, i zachęcić ich do wstrzeźliwości.

Odpowiedział więc spokojnie na drwiące pytanie.

- Pan Van Dorn zbudował pierwszorzędną firmę, która działa na całym kontynencie. Mamy biura we wszystkich miastach, połączone prywatnymi liniami telegraficznymi i telefonicznymi. Zatrudniamy setki świetnych detektywów - wartościowych ludzi znających się na rzeczy - i tysiące chłopaków w usługach ochroniarskich, którzy strzegą banków i sklepów jubilerskich, eskortują transporty kruszcu w sztabach i pilnują najlepszych hoteli. Ale firma nie jest warta złamanego centa, jeśli klienci nie mogą ufać naszemu dobremu imieniu. Vandornowcy nie przyjmują łapówek. Wy to robiliście. Skalaliście nasze dobre imię. Właśnie to oznacza słowo „skalać” i dlatego jesteście zwolnieni.

- Niech pan posłucha, panie Bell. W ludzkiej naturze leży dzielenie się bogactwem. Przemysłowcy zarabiają masę forsy.

Ellis przytaknął.

- Boye hotelowi dostają dolę za dostarczanie gościom butelek i jest sprawiedliwe, że my dostajemy naszą za wpuszczanie gorzały za próg.

- Nie wszyscy boye.

Clayton i Ellis wymienili podejrzliwe spojrzenia. Wiedzieli, co się wydarzyło.

- Przemysłownik, od którego braliście łapówki, ostatniej nocy próbował zrzucić pewnego chłopca z dachu. Pracodawca tamtego chłopca, hotel Gotham, płaci nam za ochronę swojej własności, swoich gości i swoich pracowników. Wy dwaj zawiedliście tamtego chłopca. Żebyś was więcej nie widział w pobliżu tego hotelu.

– Grozi nam pan?

– Strzał w dziesiątkę, chłopie. Spadajcie.

Clayton i Ellis podeszli bliżej. Poruszali się lekko jak na tak wielkich mężczyzn. Uczciwi detektywi hotelowi spojrzeli jeden na drugiego, niepewni, czy powinni stanąć w obronie głównego śledczego. Bell powstrzymał ich szybkim gestem. Ledwo widoczne zgięcie jego ramienia zasygnalizowało prawy sierpowy, który zakończy bójkę, zanim się zacznie.

Clayton się zorientował. Dał mały krok w prawo. Książkowy unik miał niespodziewany skutek - wystawił jego podbródek prosto na lewy cios Bella znad kolana. Uderzenie o sile stalowej kuli burzącej odrzuciło detektywa hotelowego do tyłu.

Ellis zadał błyskawiczny lewy, zbyt silny do zablokowania. Bell przyjął go na ramię i odpowiedział prawym prostym w skroń Ellisa. Przeciwnik przeleciał przez zaułek i wpadł na przywierającego do muru Claytona.

Bell stłumił w sobie gniew.

– Jeśli kiedykolwiek zobaczę was na ulicach Nowego Jorku, wrzucę was do rzeki Hudson.

– Panie Bell! Panie Bell!

Osiemnastoletni praktykant w Agencji Van Dorn wypadł z drzwi kuchennych.

– Panie Bell! Pan Van Dorn został postrzelony!

– Co?!

Bell odwrócił się ze zgrozą w stronę piskliwego głosu. Był tak porażony, że nie zauważył, jak oczy chłopaka podążają za nagłym ruchem.

Ellis wyprowadził potężny prawy sierpowy. Bell nie zdołał się całkiem uchylić i cios zwałił go z nóg. Rozciągnął się na brudnym betonie. Clayton skoczył ku niemu i zrobił potężny wymach nogą, celując w głowę. Bell spróbował zablokować kopniaka ręką, ale but ją odtrącił. Złapał Claytona za kostkę drugą ręką. Przytrzymał najmocniej jak mógł i poderwał się w wybuchu wściekłości i desperacji.

Dźwignął nogę Claytona wysoko nad swój bark i rzucił go plecami na beton. Obrócił się i omal nie zainkasował następnego ciosu od Ellisa, lewego prostego w szczękę. Znurkował. Knykcie Ellisa przeszły po skórze jego głowy. Znurkował niżej, chwycił Ellisa i wykorzystał impet cięższego mężczyzny, żeby

popchnąć go na wstającego Claytona. Detektywi hotelowi zderzyli się nosami. Chrząstki się zmiażdżyły, kości pękły. Bell upuścił jęczącego Ellisa i złapał praktykanta za ramię stalowym chwytem.

– Gdzie on jest?

– W Bellevue.

Bell wziął głęboki oddech i przygotował się.

– W szpitalu? W kostnicy?

– W szpitalu.

– Chodźmy! Reszta z was niech wraca do pracy. Powiedzcie Hancockowi, że jest szefem.

Chłopak miał tyle przytomności umysłu, że już sprowadził taksówkę. Bell przepytował go szczegółowo, kiedy pędzili przez Midtown. Ale na razie wszyscy wiedzieli tylko to, że jakiś czas po tym, jak Isaac Bell wsadził Josepha Van Dorna na kuter Straży Przybrzeżnej, Boss (tak go między sobą nazywali) został ranny w wymianie ognia z przemytnikami. Bell pomyślał przelotnie, że prawdopodobnie cumował swojego loeninga w terminalu usług lotniczych przy Trzydziestej Pierwszej, kiedy to się stało.

– Jak dostarczyli go na brzeg tak szybko?

Joego uratowało to, co nazwałby szczęściem Irlandczyka. Czujny operator na ładzie przekazał meldunek radiowy Straży Przybrzeżnej policji nowojorskiej. Jej oddział portowy wysłał szybką motorówkę, która już patrolowała okolicę Sandy Hook w poszukiwaniu przemytników alkoholu. Łódź spotkała się z dużo wolniejszym kutrem i szybko zabrała Van Dorna w górę East River do szpitala Bellevue. Bell wolałby szpital z bardziej znanymi chirurgami niż z przepracowanymi w cierpiącym na niedobór personelu szpitalu municypalnym, ale gliniarze wybrali ten najbliżej rzeki.

– Jak tylko mnie wysadzisz, wracaj taksówką prosto do biura. Powiedz detektywowi McKinneyowi, że kazałem wszystkim szukać przestępców, którzy zaatakowali pana Van Dorna.

Darren McKinney był młodym bystrzakiem ściągniętym przez Van Dorna z Waszyngtonu do prowadzenia biura terenowego w Nowym Jorku.

– Przekaż mu, że kazałem wezwać obserwatorów wszystkich przemytników w mieście; jeden z nich będzie wiedział, kto to zrobił. Niech szukają ostrzelanej łodzi i rannych w szpitalach.

Taksówka zahamowała z piskiem dymiących opon.

– Odjeżdżaj! Migiem!

Bell wpadł do holu szpitala.

Przy ladzie recepcyjnej dowiedział się, że Joseph Van Dorn jest w sali operacyjnej.

– Bardzo źle z nim?

– Trzech z naszych najlepszych chirurgów zajmuje się nim.

Bell przytrzymał się lady. Trzech? Jak poważne rany wymagają trzech?

– Ktoś zawiadomił jego żonę?

– Pani Van Dorn jest w poczekalni. Chce się pan z nią zobaczyć?

– Oczywiście.

Ponury recepcjonista zaprowadził Bella do prywatnej poczekalni.

Dorothy Van Dorn padła mu w ramiona.

– Och, Isaac. To niemożliwe.

Była znacznie młodszą od Joego, świetnie wykształconą czarnowłosą pięknoscią. Córką Arthura Langnera, legendarnego konstruktora dział do drednotów z waszyngtońskiej stoczni Marynarki Wojennej. Wdową po architekcie okrętowym Farleyu Kencie. Studiowała w Smith College razem z pierwszą żoną Joego, która zmarła na zapalenie płuc. Bell obserwował z radością, jak to, co się wydawało zdroworozsądkowym związkiem owdowiałych rodziców z małymi dziećmi, przeradzało się w małżeństwo, które rozbudziło nieoczekiwaną namiętność w pruderyjnym Van Dornie i przyniosło upragnioną stabilizację porywczej Dorothy.

– Isaac, co człowiek w jego wieku robił w ogniu walki?

Z kilku możliwych odpowiedzi żadna nie była dobra. Nie było sensu przekonywać jego przerażonej żony, że Joe Van Dorn to najpewniejszy człowiek w ogniu walki, zawsze opanowany, czujny i skuteczny. Bell nie widział też powodu, żeby mówić, że jego jedyną obawą, kiedy wsadzał go na kuter Straży Przybrzeżnej z dwoma karabinami maszynowymi i działem, była ewentualność przypadkowego zamoczenia się. Teraz oczywiście żałował, że nie nalegał, żeby Joe wziął kogoś ze sobą. Miejsca nie brakowało w czteroosobowej kabinie loeninga. Mógł przydzielić mu dwóch ludzi, żeby uważali na niego.

– Jeszcze nie wiem, co się wydarzyło.

– Kto go postrzelił?

– Już wszczęliśmy śledztwo. Niedługo będę wiedział.

Przytulił ją mocno, a potem puścił, żeby uścisnąć dłoń najstarszemu przyjacielowi Joego, który towarzyszył Dorothy w drodze do szpitala. Kapitan Dave Novicki, wielki i mocny jak pachół cumowniczy, był emerytowanym marynarzem. Wziął Joego pod swoje skrzydła lata temu, kiedy służył jako młodszy oficer na statku z imigrantami, którym nastoletni Van Dorn przyплыł do Ameryki. Bell często spotykał Novickiego na kolacjach w Świątyni Dziękczynienia w miejskiej rezydencji Van Dornów w Murray Hill. Joe przypisywał wiele swoich sukcesów stałemu wpływowi starego wilka morskiego, tak jak Bell przypisywał wiele swoich wskazówkom Van Dorna.

– Dzięki za przyjazd - powiedział do Bella.

Bell gestem skierował Novickiego na stronę i zapytał cicho:

– Bardzo źle z nim?

– Na dwoje babka wróżyła. Główny lekarz obiecał meldunek o postępach za godzinę. Dwie godziny temu.

Minęła straszna godzina. Wszyscy podnieśli wzrok, kiedy weszła pielęgniarka. Szepnęła do Bella, że jest do niego telefon w holu. Wręczono mu aparat przy ladzie recepcyjnej.

– McKinney?

– Tak jest, panie Bell.

– Co mamy?

– Ed Tobin znalazł łódź, którą ścigali przybrzeżni. Na wpół zatopioną blisko pirsów w Chelsea. To nie ta, co ich ostrzelała, tylko taksówka, którą gonili.

Tobin był weteranem wojennym z brygady zwalczającej gangi nowojorskiego biura terenowego i krewnym rodzin przewoźników wodnych i piratów węglowych ze Staten Island. Znał port lepiej niż policja portowa.

– Większość gorzały zniknęła. Wygląda, jakby przeładowali ją na mniejsze łodzie. Ed mówi, że gliniarze twierdzą, że złapali jedną na East River.

– Nikt z ranami postrzałowymi nie pojawił się w żadnym szpitalu?

– Sprawdzamy wszystkie szpitale od Bay Shore na Long Island do Brooklynu, Staten Island i Manhattanu. Jeszcze nic.

– Żadnego rannego w którymś z nich?

– Żadnego bez dobrego wytłumaczenia.

– Powtórz mi je.

– Dwóch facetów przyładowało sobie nawzajem podczas kłótni o prawo do sprzedaży piwa nielegalnym knajpom w Bensonhurst. Gość w burdelu na Herald Square dostał kulkę od swojej dziewczyny za zdradę. Facet w szpitalu Roosevelta został postrzelony w pociągu kolei nadziemnej. To wszystko na razie, ale noc jest jeszcze młoda.

– Kto postrzelił gościa w pociągu?

– Zwiął. Gliniarze znaleźli go samego.

– W którym pociągu? Linii Dziewiąta Aleja?

– Zgadza się. Gliniarze zabrali go do najbliższego szpitala.

– Gliniarze? Dlaczego nie pogotowie?

– Chodził o własnych siłach. Gliniarze znaleźli go, jak zląził na dół z przystanku Kościół Świętego Pawła. Wie pan, na Pięćdziesiątej Dziewiątej.

– Wiem, gdzie to jest.

Linia Dziewiąta Aleja, która przebiegała tuż obok szpitala Roosevelta, zaczynała się przy przystani promowej South Ferry i przecinała Chelsea. Jakiś ranny przemytnik mógł właśnie wyjść na brzeg w którymś z tamtych punktów i dotrzeć do pociągu.

– Poślę chłopaków z powrotem do Roosevelta - zaproponował McKinney.

– Nie. Ja to wezmę.

Szansa była nikła. Ale lepsza niż bezsilna bezczynność z braku możliwości zrobienia czegokolwiek dla Joego Van Dorna.

– Co z Bossem? - zapytał McKinney.

– Jeszcze nie wiem. Operują go.

– Ze wszystkich zwariowanych rzeczy...

– Co masz na myśli?

– To, że ze wszystkich patroli panu Van Dornowi trafił się akurat tamten kuter. Ilu przemytników zadaje sobie trud strzelania do Straży Przybrzeżnej? Każdy półgłówek wie, że bezpieczniej jest się poddać i pozwolić swoim adwokatom wyciągnąć się z pudła.

– Dobre pytanie - odrzekł Bell.

Wrócił szybko do poczekalni z myślą, że Joe rzeczywiście miał nieprawdopodobnego pecha. Jak powiedział McKinney, większość przemytników wiedziała, że nie warto ryzykować życia w strzelaninie ze Strażą Przybrzeżną.

Wciąż żadnej informacji od chirurgów.

– Mogę cię tu zostawić? - zapytał Bell Dorothy. - Muszę coś zbadać.

Była śmiertelnie blada i widział, że jest u kresu wytrzymałości.

Kapitan Novicki otoczył ją muskularnym ramieniem i zagrzmiał:

– Dopadnij tych wszarzy, którzy go postrzelili, Isaac. Zaopiekuję się Dorothy i Joem jak matka.

Isaac Bell złapał taksówkę i pomknął przez miasto w małym późnonocnym ruchu. Niecałe piętnaście minut jazdy dzieliło Bellevue od szpitala Roosevelta, ogromnego budynku z czerwonej cegły z trzystoma pięćdziesięcioma łózkami. Szpital i przypominający fortecę kościół rzymskokatolicki Świętego Pawła Apostoła stały między irlandzkimi i murzyńskimi slumsami Hell's Kitchen od południa i San Juan Hill od północy. „Ślepe świnię”, pozbawione okien nielegalne pijalnie alkoholu, zaciemniały partery czynszówek. Pociąg dudnił w górze, kiedy Bell biegł pod torami miejskiej kolei nadziemnej do szpitala. Pokazał recepcjoniście swoją złotą odznakę głównego śledczego Van Dorna, wcisnął mu pięć dolarów i poprosił o rozmowę z przyjętym wcześniej pacjentem z raną postrzałową.

– Ostatnie piętro - poinformował go recepcjonista. - Sala na samym końcu korytarza. Prywatna, z ochroną policyjną.

– Jak ciężko jest ranny?

– Dotarł o własnych siłach.

W windzie Bell złożył banknot dziesięciodolarowy dla gliniarza.

Drzwi kabiny otworzyły się na mydlany zapach świeżo wytartej mopem podłogi. Było pusto, kafelki lśniły.

Bell poszedł szybko długim korytarzem. Drzwi windy zasunęły się za nim.

Przed sobą usłyszał strzał z pistoletu małego kalibru.

Pobiegł w kierunku dźwięku, wyciągnął browninga z kabury pod pachą i skręcił za róg. Po swojej lewej zobaczył wyjście na klatkę schodową. Drzwi do sali na prawo od niego były do połowy otwarte. Usłyszał głośny jęk i zobaczył

na podłodze nogawki niebieskich spodni mundurowych i zdarte na wierzchu czarne buty do kostek. Buty gliniarza. Funkcjonariusz policji nowojorskiej leżał na plecach, trzymał się za głowę i miał zamknięte oczy. Znow jęknął:

– Strasznie boli.

Na łóżku leżał blondyn w szpitalnym stroju, skulony na boku jak embrion, z podbródkiem przyciśniętym do piersi. Strzał, który Bell usłyszał, oddano z bezpośredniej odległości. Czerwony otworek o średnicy połowy dziesięciocentówki widniał w jego karku, otoczony krążkiem krwi.

3.

Okno było otwarte.

Bell wystawił głowę na dwór. Kwadratowy szczyt południowej wieży kościoła Świętego Pawła za rzeką znajdował się na poziomie jego wzroku. Pod oknem fasada szpitala opadała stromo dwanaście pięter do chodnika.

Pobiegł do wyjścia na klatkę schodową, otworzył drzwi pożarowe i nasłuchiwał kroków. Cisza. Czy zabójca przystanął kilka pięter niżej?

Nie mógł jeszcze dotrzeć na parter. Wypadł z klatki schodowej na korytarz niższej kondygnacji budynku? Wspiął się po schodach na dach?

Z pistoletem w dłoni Bell wbiegł na górę i pchnął drzwi na wysmołowany dach. Zadymione niebo odbijało przyćmione światła dzielnicy. Maszynownie wind, nadbudówki klatek schodowych i kominy majaczyły w ciemności. Świetliki jaśniały blaskiem lamp elektrycznych z pokoiów pod nimi. Nasłuchiwał. Daleko w dole zadudnił następny pociąg kolei nadziemnej. Cień mignął za świetlikiem i Bell skoczył w jego kierunku.

Biegł cicho, jego lekkie kroki tłumiła miękka smoła. Zobaczył, jak cień mija następny świetlik, i przyspieszył. Był jakieś sześć metrów za postacią z przodu, gdy nagle przystanęła i odwróciła się.

Bell dał nura, opuścił ramię, przycisnął broń do torsu i przetoczył się, kiedy wylądował na smole. Dwa strzały padły szybko jeden po drugim i ołów poleciał w przestrzeń, tam gdzie Bell był moment wcześniej.

Zabójca ukrył się za maszynownią windy.

Bell biegiem okrążył ją z drugiej strony. Zobaczył światło. Drzwi na klatkę schodową otworzyły się tylko na taką szerokość, żeby zmieścił się w nich człowiek. Bell wypalił do silnej, gibkiej jak wąż sylwetki, ale wymknęła się zwinnie.

Podbiegł do drzwi, przykucnął i otworzył je szeroko. Usłyszał, jak buty uciekającego człowieka dudnią na stopniach, i rzucił się za nim w dół dwóch krętych kondygnacji schodów. Trzydziestocentymetrowy mosiężny wylot parcianego węża przeciwpożarowego poszybował w kierunku jego głowy. Bell się schylił. Metal uderzył w stalową poręcz i odbił się w stronę jego twarzy. Bell obrócił się w bok, ale podczas uniku stracił równowagę i opadł na kolano. Zdezorientowany przez moment, wyczuł, że mężczyzna ucieka. Dwa strzały zabrzmiały głośno w zamkniętej przestrzeni, huk rozszedł się echem pod dach i w dół do piwnicy. Dwa pociski utkwily w tynku obok głowy Bella.

Zerwał się na nogi i ruszył w pościg za zabójcą.

Nagle mógł oddać czysty strzał. Przez cenną chwilę patrzył z góry prosto na kaszkiet mężczyzny. Wycelował z browninga, zmodyfikowanego nr. 2, którego nosił od lat. Z tej odległości nie mógł chybić. Obrócił się płynnym ruchem, żeby trzymać uciekającego zabójcę na muszce. Zaczął lekko naciskać spust. Gdy to robił, cały czas w biegu, żeby mieć tamtego na linii ognia, coś jasnego jak śnieg znalazło się w jego polu ostrzału.

Był to wysoki biały czepek pielęgniarki w nieskazitelnie białej sukience i fartuchu. Bell szarpnął broń w bok i puścił spust, o włos od zabicia niewinnej osoby. Dwóch niewinnych osób, uświadomił sobie, gdy zbiegał po schodach: pielęgniarki i lekarza, który ją obejmował w zaciszu klatki schodowej, a teraz zasłaniał własnym ciałem.

– To nie to, co pan myśli! - krzyknął lekarz.

Bell usłyszał odgłos tłuczonego szkła w dole i minął ich.

Trzy piętra niżej było ciemno. Szkło zachrzęściło pod jego butami. Zabójca roztrzaskał oświetlenie. Bell popędził w ciemność na dole. Potknął się o wąż przeciwpożarowy rozciągnięty na wysokości łydek między balustradami. Złapał się poręczy, wyprostował i kontynuował pościg.

Zmuszony do zwolnienia tempa w ciemności, usłyszał trzask drzwi. Zszedł dwa poziomy niżej. Światło znów się paliło, wskazując, gdzie zabójca przestał rozbijać żarówki i opuścił klatkę schodową. Bell przepchnął się przez drzwi i nagle wypadł na dwór w zaułek między szpitalem a stacją, jedną z wielu na

manhattańskiej West Side, której jeszcze nie przerobiono na warsztaty samochodowe. W powietrzu unosił się smród łąjna i słodka woń słomy.

Zaułek prowadził do Pięćdziesiątej Ósmej z długimi rzędami czynszówek. Chodniki świeciły pustką o tej porze, w większości okien było ciemno. Zabójca mógł wbiec do jednych z dwudziestu drzwi albo dać nura do jakiejś „ślepej świni” na Dziewiątej Alei na wschodzie lub Dziesiątej Alei na zachodzie. Wrota stajni były szeroko otwarte. Bell wbiegł do środka. Nocny stróż i stajenny siedzieli na antałkach piwa i grali w warcaby na beczce whisky. Zabójca mógł przebiec obok nich i ukryć się w stajni.

Bell nie tracił czasu i wybulił złożone dziesięć dolców przeznaczone dla gliniarza.

– Widzieliście może przebiegającego faceta z bronią?

– Nie - zaprzeczył stajenny.

– Nie widzieliśmy nawet faceta bez broni - dodał nocny stróż i spojrzał znacząco na pistolet Bella. - Pański kumpel?

– Nie wchodźcie mu w drogę i krzyknijcie, jak go zobaczycie.

Na linii Dziewiąta Aleja następny pociąg wjechał ze zgrzytem na stację Kościół. Bell wiedział, że jeśli zabójca już pędzi po schodach na górę, żeby wskoczyć do wagonu, nie dogoni go przed odjazdem. Był w kropce. Wycofał się w boczną ulicę i rozejrzał. Piętnaście metrów od siebie zobaczył osobliwy widok - limuzynę packard twin six. Szofer właśnie zamykał maskę. Wsiadł z powrotem do samochodu i uruchomił silnik.

Bell schował broń do kabury i pobiegł w kierunku auta, wygładzając marynarkę.

Kiedy się zbliżał, szyba w bocznym oknie kabiny pasażerskiej się opuściła.

Spodziewając się, że o tej porze i w tej okolicy jakiś bogaty starszy gość odwiedza kochankę lub burdel, Bell był zaskoczony, kiedy zobaczył piękną młodą kobietę w futerałowej sukience bez rękawów. Miała na szyi sznury korali z bałtyckich bursztynów, długą cygarniczkę w palcach i damski kapelusz w kształcie hełmu na krótko przyciętych kasztanowych włosach.

Bell sięgnął odruchowo do własnego kapelusza, żeby go uchylić. Zgubił go podczas pościgu.

Miała migdałowe oczy i szelmowski uśmiech.

– Wygląda pan na dżentelmena, który nie może złapać taksówki - odezwała się pięknym kontraltem.

Jej oddech pachniał dobrym dżinem, nie bimbrem.

– Widziała pani może przed chwilą przebiegającego mężczyznę?

– Nie.

– Nikogo? Po żadnej stronie ulicy?

– Zapytam mojego kierowcę. Majstrował przy silniku.

Przysunęła rurę głosową do warg w kształcie łuku Kupidyna.

– Widziałeś może przed chwilą przebiegającego mężczyznę?

Przyłożyła rurę do ucha, potem odwróciła się z powrotem do Bella.

– Przykro mi. On też nie widział. Chociaż...

Następny uśmiech.

– Auto znów jest na chodzie. Jeśli rzeczywiście potrzebuje pan taksówki, mogę panu zaproponować podwiezienie.

Bell spojrział w kierunku jednego, potem drugiego końca ulicy. Nie miał nadziei na znalezienie tamtego. Najlepsze, co mógł zrobić, to wrócić do szpitala i liczyć na to, że gliniarz przyjrzał się dobrze temu, kto go walnął w głowę.

– Jeśli go zobaczę, to mam...

– Niech pani się nie zbliża do niego.

– Nie zrobię tego - obiecała. - Chodziło mi o to, czy mam pana zawiadomić, jeśli go zobaczę? Niech pan mi da swoją wizytówkę.

Bell dał jej swoją służbową wizytówkę Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

– Isaac Bell - przedstawił się.

– Detektyw? Więc przypuszczam, że tamten to przestępca.

– Właśnie zastrzelił człowieka.

– Co pan powie!

Wyjęła swoją wizytówkę z maleńkiej kopertówki i wyciągnęła rękę.

– Miło pana poznać, panie Bell. Nazywam się Fern Hawley.

Bell znał jej nazwisko z kolumn towarzyskich w gazetach, nazwisko jej rodziny również, ponieważ studiował w college[^] w mieście New Haven. Była jedyną spadkobierczynią potentata w branży artykułów żelaznych i broni palnej

z Connecticut. Bell znał też ten typ kobiet, gdyż przebywał we Francji w ostatnich dniach wojny. Samodzielne, zuchwałe amerykańskie dziewczynki, rozpieszczane przez swoich ojców - lub mające własne majątki po matkach i dzięki temu niezależne od mężczyzn - przybywały wtedy tłumnie do Paryża. Wiele z nich czyniło dobro, pielęgnowało rannych lub żywiło głodujących uchodźców. Wiele tylko się bawiło, pokazywało z europejskimi arystokratami i płaciło czynsze za malarzy i pisarzy z cyganerii.

Bell się zastanawiał, co ona robiła na tej zaniedbanej ulicy, kiedy jej limuzyna się zepsuła, ale bogaci młodzi nowojorczyki wybierali się tam, gdzie im się podobało. Może jechała na Pięćdziesiątą Czwartą Zachodnią, gdzie towarzystwo z Park Avenue gapiło się na pijaków i awanturników przyprawdzanych przed nocny sąd karny. Albo wyszła tylnymi drzwiami z potajemnej wizyty u pacjenta szpitala.

– Na pewno pan nie chce, żebym pana podwiozła, panie Bell?

– Dziękuję, panno Hawley, ale nie dziś.

Zerknął ponownie w obu kierunkach ulicy. Trzeba wrócić do szpitala i przesłuchać gliniarza, zanim zjawi się jego przełożony.

– Dobranoc.

Fern Hawley postukała cygarniczką w przegrodę za szoferem. Packard twin six oderwał się od krawężnika i skręcił w stronę lepszej części miasta na Dziesiątej Alei.

Fern Hawley otworzyła przegrodę za szoferem.

– Próbowałam. On po prostu nie wsiadłby do samochodu.

– Straciłaś podejście?

– Nie rozśmieszaj mnie... Z Johannem wszystko w porządku?

– Nie żyje.

– Nie żyje?! Jak może nie żyć? Wszedł do szpitala o własnych siłach.

Marat Zolner zdjął szoferską czapkę z daszkiem i rzucił ją obok swojego pistoletu. Włosy miał mokre od potu i dyszał ciężko po biegu.

– Ten detektyw go zastrzelił - odpowiedział.

4.

Gliniarz pilnujący zamordowanego przemytnika alkoholu nie widział, kto go uziemił. Tylko tyle zdołał się dowiedzieć Bell od wściekłych detektywów policyjnych, od których roіło się w szpitalu. Umundurowany funkcjonariusz dał mu jego kapelusz znaleziony na klatce schodowej. Derringer Bella nadal w nim był. Bell podziękował mu dwudziestoma dolcami i popędził z powrotem do szpitala Bellevue.

Joe Van Dorn wreszcie opuścił salę operacyjną.

Wyczerpani chirurdzy nic nie obiecywali.

– Jeśli przeżyje najbliższą godzinę, będzie miał szansę na następną. Przynajmniej jest silny. Nie przypominam sobie mężczyzny w jego wieku w takiej formie.

– Serce jak dzwon! - zagrzmiął kapitan Novicki, zerkając uspokajająco na Dorothy Van Dorn.

– Ile dostał kul? - zapytała.

– Proszę pani - odrzekł chirurg - to nie jest ani czas, ani miejsce, ani temat do rozmowy z kobietą.

– Mój ojciec był naukowcem i inżynierem. Co dzień rozmawialiśmy o jego pracy. Pytam pana, iloma pociskami i gdzie został trafiony mój mąż, i jaki to ma wpływ na jego stan.

Główny chirurg spojrzał na Isaaca Bella.

– Niech pan jej odpowie - powiedział Bell.

– Dobrze. Został trafiony trzy razy. Jedna kula drasnęła czaszkę i prawie na pewno spowodowała wstrząśnienie mózgu. Dwie inne przeszły przez ciało. Pierwsza przebiła górną część ramienia i szczęśliwie minęła kość, ale przecięła tętnicę. Druga przedziurawiła klatkę piersiową. To były pociski małego kalibru z twardym płaszczem dla lepszego prowadzenia w gwincie lufy, co zwiększyło ich prędkość, więc żaden nie został w ciele... Mam mówić dalej?

– Jak on przeżył przecięcie tętnicy?

– Bosman na kutrze Straży Przybrzeżnej zatamował krwotok opaską uciskową.

– A trafienie w pierś?

Chirurg pokręcił głową.

– Zrobiliśmy, co mogliśmy. Do pewnego stopnia kula przemieściła w bok naczynia krwionośne, ścięła i więzadła. Zanurzenie w słonej wodzie zmniejszyło niebezpieczeństwo infekcji. A bosman poleł jodyną rany i ciało wokół nich. Mamy wrażenie, że zimna woda morska spowolniła bicie serca i obniżyła ciśnienie krwi w tamtym krytycznym momencie, co może wyjaśniać ten cud, że on żyje.

– Dziękuję, panie doktorze. Mogę go teraz zobaczyć?

– Może pani posiedzieć przy nim. Wątpię, żeby już mówił. Jeśli będzie, niech pani go nie zmusza do dużego wysiłku.

Dorothy weszła do sali. Pełna dezaprobaty pielęgniarka przeniosła się z krzesła przy łóżku na krzesło w rogu.

Bell i Novicki zostali na zewnątrz.

– Panie doktorze! - zawołał Bell za odchodzącym chirurgiem. - Wspomniał pan, że on był w wodzie. Wiadomo, jak się wydostał?

– Podobno jakiś strażnik przybrzeżny zanurkował za nim.

Kapitan Novicki popatrzył, jak chirurg się oddala, powłócząc nogami.

– Oto człowiek, który potrzebuje solidnego drinka i mocnego snu w nocy. Szczęście ci dopisało?

– Znalazłem członka załogi przemytniczej łodzi, którą ścigali. Nie żyje.

– To dobrze.

Wcale nie dobrze, pomyślał Bell. Martwy mężczyzna nie mógł rzucić światła na swój gang.

– Natrafiliśmy na łódź ze śladami ostrzału - powiedział. - To mniej więcej tyle. Rano spróbuję przesłuchać ludzi ze Straży Przybrzeżnej.

– Prześpij się trochę, Isaac. Ja tu zostanę.

– Za chwilę.

– Isaac! On się obudził. Pyta o ciebie.

Bell wszedł cicho do sali. Van Dorn leżał na wznak z zamkniętymi oczami. Policzki mu dziwnie obwisły i Bell dopiero po chwili uświadomił sobie, że zgolili mu brodę i baki. Głowę miał obandażowaną od ciemienia do brwi, biceps

lewego ramienia również owinięty bandażem, podobnie jak zgięcie prawego łokcia, gdzie rurka do transfuzji krwi wchodziła w żyłę. Dokładnie widoczny pod szpitalną pościelą był górny brzeg wielkiego opatrunku, który opasywał jego klatkę piersiową. Poruszał wargami.

– Przybliź ucho do niego - szepnęła Dorothy. - Próbuje ci coś powiedzieć.

Bell przysunął się blisko, żeby zrobić, o co prosiła.

– Isaac.

– Jestem tutaj.

– Posłuchaj.

– Tak?

– Musisz...

Bell spojrzał na Dorothy.

– Nie powinniśmy go zmuszać do wysiłku. Powinien odpoczywać.

– Słuchaj! - odparowała. - On nie będzie odpoczywał, dopóki nie porozmawia z tobą.

– Jestem tu, Joe - powiedział Isaac Bell normalnym tonem. - Co mam zrobić?

– Chroń firmę - wyszeptał Van Dorn.

– Dobrze.

– Jest w gorszym stanie niż ja.

– Wyjdiesz z tego.

– Nie kłam. Ze mną jest tak, że na dwoje babka wróżyła. Z firmą też... Straciłem Departament Sprawiedliwości.

Bell wiedział, że chodzi o długoletni kontrakt dotyczący pomocy w ściganiu rabusiów bankowych, złodziei samochodów i handlarzy białymi niewolnicami we wszystkich stanach. Nie zaskoczyło go to. Biuro Śledcze znacznie zwiększyło szeregi swoich agentów specjalnych podczas wojny i w konsekwencji nie chciało dłużej płacić za dochodzenia prowadzone w całym kraju przez transkontynentalną agencję detektywistyczną.

– Przewidywaliśmy to - odrzekł.

– Departament Skarbu rzucił mi kość - wyszeptał Van Dorn.

Miał oczywiście na myśli kontrakt ze Strażą Przybrzeżną, przez który został postrzelony. Umowa będąca przysługą jednego z wielu waszyngtońskich

przyjaciół Joego wygaśnie jutro rano, pomyślał Bell, kiedy oficjele zażądają wyjaśnień, dlaczego cywilny detektyw był w ogniu walki na jednostce pływającej Straży Przybrzeżnej. Nieważne, że dochodzenie, kto w straży bierze łapówki od przemytników, prowadziliśmy dla dobra tej służby. Kontrakt przepadł.

Ale to był najmniejszy z problemów agencji.

Bell przysunął się bliżej.

– Jak sobie poradziłeś z Ellisem i Claytonem?

– Opuszczają miasto.

– Góra lodowa - szepnął Van Dorn.

Pielęgniarka podskoczyła.

– Wystarczy. On majaczy.

– Nie - zaprzeczył Bell.

Pokazał energicznie Novickiemu, żeby ją usunął z drogi. Van Dorn mówił, że dzieło jego życia jest zagrożone przez korupcję spowodowaną prohibicją. Dwóch przekupnych detektywów hotelowych stanowiło tylko czubek góry lodowej. Nowi ludzie zastępujący detektywów poległych na wojnie i zmarłych na skutek epidemii grypy byli podatni na korupcję. A kiedy rozejdzie się wieść, że wylał Ellisa i Clayтона, ilu chłopaków z usług ochroniarskich odejdzie, żeby się zatrudnić w mniej uczciwych agencjach o niższych standardach?

– Isaac.

– Jestem tutaj.

– Liczę na ciebie... Chroń agencję.

– Odpoczywaj spokojnie - odrzekł Bell.

Ale czekało go bardzo trudne zadanie. Sprawa nie tyle polegała na tym, żeby chronić agencję, ile na tym, żeby ją uratować.

5.

Dwadzieścia tysięcy skrzynek szkockiej whisky Haig & Haig dotarło frachtowcem z Glasgow do portu w Nassau na Bahamach, brytyjskim terytorium kolonialnym. Cło importowe zostało zapłacone i alkohol zamknięto w składach celnych. Sześć tysięcy skrzynek sprzedano kapitanowi zarejestrowanego na Bahamach szkunera sztakslowego „Ling Ling”. Zapłacił cło eksportowe i natychmiast wziął kurs na Rumową Linie, rząd statków z alkoholem zakotwiczonych przed granicą amerykańskich wód terytorialnych na wprost Long Island.

Podczas przyjemnej żeglugi na północ w ciepłym Prądzie Zatokowym załoga pracowała na pokładzie. Zawartość dwunastu tysięcy butelek podwojono - zwiększono do dwudziestu czterech tysięcy - mieszając oryginalną whisky Haig & Haig z alkoholem zbożowym i wodą destylowaną z dodatkiem herbaty dla koloru. Sfałszowane etykiety na dodatkowych butelkach gwarantowały jakość ich zawartości, korki wygotowane w herbacie wyglądały na stare. Butelki zapakowano po sześć sztuk do wyłożonych słomą worków w kształcie szynek dla łatwego przeładunku.

„Ling Ling” przybył w pobliże wyspy Fire Island w ciemną noc, kiedy kuter Straży Przybrzeżnej CG-9 pikietował szkuner „Arethusa”, zataczając kręgi wokół niego, żeby przeszkodzić taksówkom w odbiorze alkoholu. Kilka mil morskich dalej płaskodenne łodzie podpłynęły do „Ling Linga”. Zabrały tysiąc „szynek” i pomknęły ku Fire Island, wypatrując bacznie patroli Floty Prohibicyjnej i porywaczy. Zbliżając się do plaży, czekały, aż znikną światła pieszego patrolu. Potem przybiły do brzegu w falach przyboju, parę kilometrów na wschód od placówki Straży Przybrzeżnej w Blue Point.

Worki z Haig &c Haig przeładowano na wozy, które przyjechały przez wąską wyspę po chodniku z desek ułożonym na miękkim piasku. Łodzie rybackie z dużymi silnikami przewiozły szybko butelki osiem kilometrów przez lagunę Great South Bay i dalej nieoświetlonym kanałem do wąskiej zatoczki. Samochody osobowe i ciężarowe czekały w porcie tuż poza zasięgiem jasnych świateł dużego hotelu o drewnianym szkielecie. Muzyka i śmiechy dochodziły przez bagno, z którego wybagrowano zatoczkę.

Whisky przeniesiono prędko z łodzi do samochodów. Hotelowy majster i pomywacz pomogli w przeładunku i dostali w nagrodę po butelce. Ciężarówki i furgony z farm, pralni, mleczarni i sklepów spożywczych wyruszyły w różnych kierunkach. Niektóre małe samochody osobowe, fordys i chevrolety ze skrytkami do szmuglu tuzina butelek, podążyły za nimi.

Ostatnie odjechały duże auta prowadzone przez zawodowych przemytników - buicki, packardy i cadillaki. Miały wyjęte siedzenia, żeby pomieścić więcej Haig 8c Haig, i wzmocnione zawieszania, żeby udźwignąć i zamaskować dodatkowy ciężar. Utworzyły konwój na drodze Montauk Highway i skierowały się na zachód w stronę odległego o sto dwanaście kilometrów Nowego Jorku.

Na jednopasmowej szosie było ciemno. Przebiegała przez miasteczka z białym kościołem, zamkniętym sklepem wielobranżowym lub stacją benzynową i prawie niczym więcej. Jechali szybko z wyłączonymi reflektorami, polegając na gwiazdach i sierpnie księżyca.

Małomiasteczkowy posterunkowy i dwaj funkcjonariusze prohibicyjni zauważyli konwój i ruszyli w pościg fordem. Przemytnicy w buicku na końcu kolumny zobaczyli ich światła.

– Gliny?

– Porywacze?

Tak czy inaczej, nie zamierzali stanąć.

Funkcjonariusze prohibicyjni zaczęli strzelać z rewolwerów.

– Porywacze! - krzyknęli przemytnicy.

– Trzymajcie się!

Kierowca buicka nacisnął mocno pedał hamulców czterech kół. Samochód zatrzymał się gwałtownie. Ford z hamulcami tylko dwóch kół przemknął poślizgiem obok. Funkcjonariusze wciąż strzelali. Pasażerowie buicka, przekonani, że gliniarze to porywacze, otworzyli ogień z pistoletów samopowtarzalnych i ranili posterunkowego.

Przed nimi leżało Patchogue, sporej wielkości miasto z fabryką koronek, latarniami ulicznymi i dzielnicą firm wzdłuż drogi nazwanej tutaj Main Street. Chrześcijański Związek Kobiet na rzecz Wstrzemięźliwości zwołał pilne zebranie, żeby otwarcie oskarżyć szeryfa hrabstwa Suffolk o to, że nie aresztuje przemytników pędzących nocami przez Long Island. Spotkanie się opóźniało. Zaproszony mówca - bogaty hodowca kaczek i czołowa postać Ku-Klux-Klanu,

który wypowiedział wojnę przemytnikom alkoholu - porównywał szeryfa do „nieamerykańskiego bolszewika”, gdy przerwał mu telefoniczny meldunek, że pewien pościg samochodowy zakończył się zabójstwem posterunkowego.

– Ludzie! - zagrzemiał hodowca kaczek. - Jeśli szeryf ich nie zatrzyma, my to zrobimy!

Poprowadził grupę obywateli na ulicę, żeby zasadzić się na auta przemytników. Ochotnicza straż pożarna ustawiła swój wóz gaśniczy z długimi rozkładanymi drabinami w poprzek drogi.

Przemytnicy obawiali się poważniejszych kłopotów w większym i lepiej oświetlonym mieście, dlatego jeszcze osiemdziesiąt kilometrów od metropolii zaparkowali samochody na poboczu szosy i wysłali naprzód zwiadowcę. Zameldował, że straż pożarna zablokowała drogę i obywatele są uzbrojeni w małokalibrowe karabiny. Kierowcy odwrócili się do szefa - człowieka z Brooklynu, który kiedyś dokonywał napadów z bronią w ręku i wyłożył gotówkę na zakup whisky od rybaków w imieniu swoich tamtejszych wspólników - w nadziei, że ma jakiś plan.

Nazywał się Steven Smith. Ale jego ludzie i policjanci nowojorscy nazywali go Profesorem Smithem, bo zawsze rozważał wszystkie za i przeciw i zwykle można było liczyć, że znajdzie wyjście z takiej sytuacji jak ta.

– Czy w mieście jest kościół? - zapytał Profesor.

– Całe mnóstwo - odrzekł zwiadowca.

Profesor Smith wybrał jeden daleko od Main Street i wysłał swoich dwóch kuzynów, żeby oblali benzyną frontowe schody i podpalili je. Płomienie sięgnęły wieży. Kiedy strażacy popędzili do pożaru, a obywatele za nimi, żeby popatrzeć, trzy buicki, Cadillac i packard pomknęły do Nowego Jorku z ładunkiem Haig & Haig.

Godziny później brooklyńscy przemytnicy poczuli się wreszcie wystarczająco blisko Nowego Jorku, żeby odetchnąć z ulgą. Prawie w domu. Półtora kilometra od garażu, który Profesor wynajął pod torami miejskiej kolei nadziemnej na Fulton Street.

Marat Zolner miał pięciotonową wojskową ciężarówkę wyposażoną w większy silnik i opony pneumatyczne. W pełni załadowana, wciąż nie mogła

przekroczyć pięćdziesięciu sześciu kilometrów na godzinę, ale ktokolwiek by ją ścigał, musiałby się zadowolić pięcioma uzbrojonymi ludźmi w niebieskich mundurach w oldsmobile'u za nią.

– Co im zajmuje tyle czasu? - zapytał kierowca Zolnera, członek niegdyś potężnego, a teraz szybko słabnącego gangu z West Side nazywanego Goferami. Znał wysokiego i szczupłego Marata Zolnera tylko jako Matta, który wynajmował go często do dobrze płatnych zadań.

Zaparkowali pod torami miejskiej kolei nadziemnej i siedzieli tam od wielu godzin. Kierowca się denerwował. Marat Zolner był cierpliwy, lodowato spokojna postać w mroku, a jednak napięty jak sprężyna.

– Mogli mieć awarię. Mogli się natknąć na gliniarzy. Mogli wpaść na kogoś, kto chciał ich obrobić.

– Jak my - zadrwił kierowca.

– Są.

Pięć dużych limuzyn obciążonych ładunkiem zatrzymywało się przed garażem. Kierowcy błyskali światłami, żeby otworzyć im drzwi, nieświadomi, że człowiek w środku jest związany i zakneblowany. Zolner machnął do swoich ludzi w oldsmobile'u i wyskoczyli z wyciągniętą bronią.

Kierowca cadillaca zahamował gwałtownie.

– To nie wygląda dobrze.

– Spokojnie - powiedział Profesor Smith. - To tylko gliny.

– Myślałem, że ich przekupiłeś.

Smithowi też nagle nie spodobał się ten widok.

– Tak zrobiłem - odrzekł.

– Chyba chcą podwyżki.

– Nie sądzę, że to gliniarze - odparł za późno.

Widok mundurów zniechęcił przemytników do wyciągnięcia broni. Teraz lufy były wycelowane w ich twarze i przyciśnięte do ich skroni. Smith nie widział wyjścia. W najlepszym razie, nawet gdyby zdołali wygrać strzelaninę na ulicy, hałas przyciągnąłby prawdziwych gliniarzy. Mimo że już wzięli łapówki, nie mieliby wyboru i musieliby skonfiskować jego Haig & Haig, kiedy strzały obudziłyby całą okolicę.

Smith podniósł ręce, dając znak pozostałym, żeby się poddali. Kazano im wysiąść z samochodów i przeszukano ich. Zabrano im broń. Jeden z fałszywych gliniarzy wskazał pięciotonową ciężarówkę zaparkowaną po drugiej stronie ulicy.

– Załadujcie ją.

Smith znów nie widział wyjścia z tej sytuacji. Stracili gorzałę. Ale narwaniec z ostatniego buicka, który strzelał do forda posterunkowego z Long Island, zdobył najbliższą spluwę. Był wielki i szybki. Zacisnął potężną łapę na nadgarstku przebierańca z taką siłą, że facet krzyknął i upuścił broń prosto w jego drugą rękę. Ktoś z porywaczy zaszedł kierowcę buicka z tyłu, przystawił mu lufę do kręgosłupa i nacisnął spust. Ciało stłumiło strzał, ale huk był.

– Załadujcie ciężarówkę!

Ludzie Smitha rzucili się wykonać rozkaz, zanim ktoś jeszcze zginie lub się zjawią gliny. W niecałe dziesięć minut wszystkie auta zostały opróżnione i pięciotonową ciężarówka odjechała ze skrzypieniem resorów, eskortowana z tyłu przez oldsmobile'a pełnego triumfujących bandytów.

Marat Zolner i jego kierowca przejechali ciężarówką przez most Brooklyński, pozbyli się trzech najmniej zaufanych bandytów i kontynuowali podróż do lepszej części miasta. Zatrzymali się po drodze dwa razy. Najpierw sprzedali whisky nielegalnej knajpie w starej dzielnicy rozrywek i czerwonych latarni nazywanej Tenderloin, potem restauracji serwującej dania mięsne, której właściciel próbował rozpaczliwie przyciągnąć z powrotem stałych bywalców straconych na rzecz lokali oferujących nielegalny alkohol. Większość zdobyczy Zolnera była przeznaczona dla popularnych nielegalnych knajp na Pięćdziesiątej Drugiej i Pięćdziesiątej Trzeciej. Odwiedzali je goście, których gazety nazywały „bogatymi i szybkimi”.

Niebo jaśniało. Dochodziła siódma rano i ludzie na chodnikach spieszyli do pracy. Gliniarz czekał przed lokalem U Tony'ego.

– Panie władzo - powiedział Zolner na użytek przechodniów - mamy dostawę dla tej restauracji. Czy mógłby pan kierować ruch wokół naszej ciężarówki, żebyśmy nie korkowali ulicy?

Wcisnął gliniarzowi pięćdziesiąt dolarów.

– Gdzie się podziewaliście? - mruknął policjant. - Już prawie skończyłem służbę.

Pod nadzorem gliniarza ludzie Zolnera podawali sobie worki z whisky przez chodnik i na dół do drzwi piwnicy nielegalnej knajpy. Zolner zaniósł skórzaną torbę na ramię ze złotymi klamrami do ciężkich drzwi frontowych i zapukał. Klapka judasza się uniosła.

– Joe mnie przysyła.

Drzwi się otworzyły.

– Cześć, chłopie, jak leci?

– Długa noc. A co u ciebie?

Wręczył wykidajle dziesięć dolarów.

– Mieliśmy tu numer. Kobitka z Park Avenue zgubiła perły na parkiecie. Szukaliśmy w serwetkach, obrusach i szczotkach do podłogi. Nic. - Zniżył głos. - Jakiś facet jest u szefa. Uważałbym na twoim miejscu.

Zolner wyciągnął butelkę Haig & Haig z torby, żeby podziękować wykidajle za ostrzeżenie. Potem przeszedł przez pustą knajpę, gdzie senny kelner stawiał krzesła do góry nogami na stolikach, i zapukał do drzwi biura właściciela. Tony otworzył osobiście. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Wchodź - powiedział. - Wchodź. Jak sobie poradziłeś?

– Przeszkadzam ci?

– Nie. Nie. Po prostu rozmawiam z facetem, który chce cię poznać.

– Wiem, że to nie twoja wina - odrzekł Zolner tak cicho, że tylko Tony mógł go usłyszeć.

– Miło z twojej strony - mruknął Tony.

– Wyświadczyć mi przysługę. Przelicz to, co przywiozłem, i przygotuj pieniądze dla mnie.

Odsunął się na bok, żeby przepuścić Tony'ego, a potem wszedł do biura i zamknął drzwi. Mały wewnętrzny pokój był obskurny, ale wygodnie urządzone; oprócz biurka Tony'ego stała tu skórzana kanapa i leżał dywan. Mocno zbudowany typ w dobrym garniturze i kapeluszu na głowie wstał z kanapy.

– Jak leci?

– Długa noc - odparł Zolner i położył torbę na biurku.

– Puszczę pana za chwilę.

– Ile? - zapytał Zolner.

– Połowa.

– Połowa? Będzie pan najbogatszym agentem prohibicyjnym w kraju.

– Nie jestem agentem prohibicyjnym, tylko biznesmenem, a pan robi interesy na moim terenie. To kosztuje połowę.

– Nie jest pan agentem rządowym? - spytał Zolner.

– Właśnie panu powiedziałem.

– Musiałem się upewnić - odrzekł Zolner. - Połowa, mówi pan?

Włożył rękę do torby, drugą do kieszeni.

– Połowa... Hej!

Zolner pokonał dzielącą ich przestrzeń jednym szybkim krokiem. Walnął typa w zęby pokrytą skórą metalową pałką, którą trzymał w prawej ręce, a potem zdzielił go w skroń trzydziestocentymetrową ołowianą rurką.

– Biznesmenem?

Typ się zachwiał i wytrzeszczył oczy. Stopy jakby przyrosły mu do podłogi, krew ciekła z ust. Zolner powalił go na dywan następnym miażdżącym ciosem ołowianej rurki.

Przy frontowych drzwiach knajpy wziął pieniądze od Tony'ego, przeliczył je, schował do torby i zwrócił pięćdziesiąt dolarów.

– Za co to?

– Potrzebny ci jest nowy dywan.

Zanim Zolner przeszedł przez Central Park do rezydencji Fern, zatrzymał się na Upper West Side, żeby postawić śniadanie pewnemu agentowi prohibicyjnemu w hotelu Bretton Hall. Za pięćset dolarów funkcjonariusz federalny powiedział mu o zaplanowanym przez władze nalocie na magazyn głównego przemytnika whisky w śródmieściu.

– Dokąd zabiorą gorzałę?

– Na cło. Do Składow Taksatorów w Village.

Zolner dał agentowi butelkę w worku.

– Co to jest?

– Oryginał. Prawdziwa Haig & Haig.

6.

– Wszyscy tutaj modlą się za pana Van Dorna... No, nie wszyscy, ale wiesz, co mam na myśli.

Doktor Shepherd Nuland, lekarz sądowy hrabstwa Nowy Jork, wskazał mnóstwo nieodebranych zwłok, które wisały pionowo w chłodni. Potem uściskał serdecznie dłoń Isaaca Bella. Jazda windą i krótki spacer dzieliły salę szpitalną Joego Van Dorna od kostnicy Bellevue.

– Jak on się miewa?

– Lekarze nic nie obiecują - odrzekł Bell.

– A jak ty się miewasz, Isaac?

– Poczuję się lepiej, jak zobaczę przemytnika alkoholu zastrzelonego w szpitalu Roosevelta.

– Będziesz mógł. Sam się nim zajmę. Porobisz notatki.

Dał Bellowi biały fartuch i pachnącą olejkiem goździkowym maskę z gazy. Potem zaprowadził go do stołu sekcyjnego, gdzie pod prześcieradłem czekało ciało zamordowanego przemytnika alkoholu. Stenograf stał obok. Nuland kazał mu iść na lunch i ściągnął prześcieradło.

Zlekceważenie oficjalnej procedury przez lekarza sądowego było bolesnym przypomnieniem o wielkim darze Joego Van Dorna do nawiązywania przyjaźni. Bogaci, potężni i znakomici ludzie na całym kontynencie chętnie przychodzili mu z pomocą. Zbieraj wyrazy wdzięczności, ale nie popisuj się nimi, uczył Bella od pierwszego dnia jego praktyki. Wybaczaj drobne grzechy. Oferuj pomoc. Wyświadczaj przysługi; będą odwzajemnione.

Bell otworzył notes, żeby zapisywać słowa Nulanda.

– Mężczyzna rasy białej. Dwadzieścia pięć do trzydziestu lat. Mocno zbudowany. Muskularny.

Bell zobaczył duży bandaż wokół lewego uda mężczyzny, który ostatniej nocy zasłaniała pościel. Lekarz sądowy rozciął go nożyczkami i gwizdnął ze zdumienia.

– Twardziel, skoro tak szedł.

Dwa pociski przebiły ciało. Lekarz zmierzył, że w odległości trzech i ośmiu dziesiątych centymetra od siebie. Zerknął na Bella.

– Blisko.

– Karabin maszynowy lewis.

Bell notował szybko i wyraźnie, kiedy Nuland opisywał liczne zagojone rany po pociskach i nożu na kończynach i tułowiu, złamany nos i wybite zęby. Lekarz zauważył, że niektóre blizny są bardzo stare, jeszcze z dzieciństwa.

– Klasyczny młodociany gangster uliczny... Dobrze, zobaczmy, co go ostatecznie załatwiło.

Nuland stwierdził brak rany wylotowej w gardle, ustach i twarzy, po czym odwrócił zwłoki na brzuch. Więcej blizn ukazało się na plecach i pojedynczy duży otwór z tyłu uda, gdzie wyszły kule z kaemu lewis. W końcu lekarz zajął się małą raną wielkości połowy dziesięciocentówki, którą Bell widział tuż pod linią włosów na karku.

– Strzał z bezpośredniej odległości, mały kaliber... Sześć i trzydzieści pięć setnych milimetra, prawdopodobnie... Tak zwany tatuaż prochowy wokół strefy płomienia... Ziarna prochu w warstwie rogowej naskórka... Ziarna prochu w podskórnej wyściółce...

Zeskrobał ziarna z zewnętrznej i wewnętrznej warstwy skóry na szkiełka podstawowe.

– Gęściejszy wzór tatuażu prochowego poniżej rany... - oznajmił i spojrzał na Bella. - Pewien Francuz podczas wojny wymyślił sposób oceny, czy rana postrzałowa to robota Niemców, czy własna... Armia chciała mieć dowód, żeby ścigać symulantów, którzy próbowali wynieść się z okopów, strzelając sobie w nogę. Jeśli możemy wierzyć monsieur Chavigny, większa koncentracja pod tą raną wskazuje, że pocisk wszedł ukośnie do góry. Podaj mi tamtą piłę, przekonajmy się... Jak się trzymasz, Isaac? Potrzebne będzie wiadro?

– Robię się głodny... Mam polecieć po kanapki dla nas?

– Z peklowaną wołowiną... Ale najpierw znajdziemy kulę.

Bell wręczył mu młotek i dłuto.

– Dzięki... Gdzie...? A, dzięki.

Wziął kleszcze od Bella.

– Aha! Dlatego nie wyszła przez usta. Jest w mózgu! Oto i ona. Mała, sześć trzydzieści pięć, jak ci mówiłem.

Bell popatrzył na pokiereszowane szczątki - albo bandziora, który postrzelił Joe'go Van Dorna z karabinu maszynowego, albo współsprawcy.

- Dlaczego? - zapytał.

- Dlaczego co?

Nuland uniósł pocisk do światła.

- Dlaczego nie wyszła przez usta?

- Dobre pytanie... Wygląda mi na to, że facet miał spuszczone głowę. Nisko, podbródek przy piersi.

Nuland zademonstrował to na sobie.

- Pocisk wchodzi ukośnie w kark, pod kością potyliczną lub przez nią - przez, w tym wypadku - i do góry w czaszkę. Oszczędza ofiarę. Śmierć w mgnieniu oka, bez bólu.

- Oszczędza też zabójcę - powiedział Bell.

- Co masz na myśli?

- Żadnej walki na śmierć i życie, żadnej krwi.

- Masz czas, żeby mnie odprowadzić, Isaac? - zapytała Pauline Grandzau.

Lekarze nie wpuszczali nikogo poza Dorothy, kapitanem Novickim i Bellem do sali Josepha Van Dorna. Nie powstrzymywało to detektywów. Spieszyli do Bellevue, składali wyrazy współczucia jego żonie, życzyli Bossowi powrotu do zdrowia i oddawali krew na wypadek dodatkowych operacji. Najbardziej rzucającą się w oczy odwiedzającą była jak dotychczas *Fraulein Privatdetektive* Pauline Grandzau, szefowa berlińskiego biura terenowego.

Piękna młoda Niemka zdobyła ostrogi detektywa przed wojną, kiedy jako nastoletnia studentka bibliotekoznawstwa pomogła Bellowi rozwiązać sprawę Przemytніка.

- Już wracasz? - zapytał Bell. - Wydaje się, że dopiero przyjechałaś.

Spieszył się do laboratorium policyjnego, gdzie - jak się właśnie dowiedział - badano łuskę pistoletową znaną w sali szpitalnej zamordowanego przemytніка alkoholu.

- Niestety. „Nieuw Amsterdam” odpływa dziś po południu.

Bell sięgnął odruchowo po swój zegarek kieszonkowy, potem odsunął mankiet koszuli, zamiast sprawdzić, która godzina. Na nadgarstku miał

doskonały substytut dla człowieka trzymającego ręce na sterach samolotu lub łodzi wyścigowej, albo na kierownicy samochodu - cartier tank, który Marion, jego żona, podarowała mu na ich rocznicę ślubu.

– Postaram się dotrzeć na statek - obiecał.

Ostatecznie Pauline ryzykowała życie, żeby mu pomóc za niemieckimi liniami.

Liniowce Holland America odpływały z portu w Hoboken.

Bell zdążył zaledwie minuty przed czasem. Kiedy wszedł na pokład wyruszającego do Rotterdamu przestarzałego siedemnastotysięcznika „Nieuw Amsterdam”, zastał już dwóch detektywów Van Dorna stłoczonych w małej kabinie Pauline. Szef działu badań Grady Forrer, potężnie zbudowany erudyta o byczych proporcjach ciała, i młodzieniec wagi koguciej o bladej cerze James Dashwood, najlepszy strzelec w agencji, przynieśli jej kwiaty. Olbrzym i chudzielec trzymali swoje bukiety jak maczugi.

Pauline wydawała się nieświadoma, jakie wrażenie wywiera na nich.

– Isaac! Tak się cieszę, że zdążyłeś.

Odwróciła się do Dashwooda i Forrera.

– Chłopcy, bardzo wam dziękuję za przyście. I tobie za piękne róże, Grady, a tobie za śliczne peonie, James. Zobaczymy się, kiedy wrócę jesienią. Do widzenia. Dziękuję. Do widzenia.

Forrer i Dashwood wyszli niechętnie i Bell musiał ukryć uśmiech. Mała, chuda niemiecka studentka z blond warkoczami, piegami, jasnoniebieskimi oczami i odwadze uczestnika walk ulicznych w Berlinie dorosła. Modna fryzura typu bob zastąpiła warkocz. Jej duże oczy miały głębię oceanu. Bóg jeden wiedział, gdzie się podziały piegi. Ale odwaga pozostała, ukryta jak broń w rękawie, gotowa do użycia w potrzebie.

Przez dłuższą chwilę stali i patrzyli na siebie.

Bell przerwał milczenie, odzywając się po niemiecku, częściowo dlatego, że ludzie przechodzili korytarzem, a częściowo przez wzgląd na dawne czasy, gdyż pomogła mu doprowadzić do perfekcji jego szkolny niemiecki, żeby przeżył.

– Uczestniczyłem w autopsji tamtego przemytnika alkoholu.

– Czego się dowiedziałeś?

– Zabójca zastrzelił go w trochę dziwny sposób. Z bezpośredniej odległości. Nie wpakował mu kuli między oczy ani w skroń, jak można by się spodziewać, tylko w kark.

Wyraz zaciekawienia pojawił się w oczach Pauline.

– Gdzie w kark?

– Na linii włosów.

– Pod czaszkę?

– Dokładnie.

– Zaraz mi powiesz, że pocisk nie wyszedł.

– Skąd wiedziałaś?

– Nie wyszedł?

– Nie. Poszedł prosto w górę do mózgu.

– On był Amerykaninem?

– Tak przypuszczam. Powiedział lekarzom, że ma na imię Johnny. A dlaczego?

– Mógł przyjechać z zagranicy?

– Dlaczego pytasz?

– Właśnie opisałeś *Genickschuss*.

– *Genickschuss*? Co to jest? Strzał w kark?

– Tak.

– W niemieckim na wszystko jest nazwa - stwierdził Bell z podziwem.

– To właściwie rosyjskie określenie. Słowo jest niemieckie, ale Rosjanie ukuli ten termin dla ulubionej metody egzekucji komunistycznej Czeki.

– Sowieckiej tajnej policji? - zapytał Bell, w równym stopniu zaintrygowany i zaskoczony. Czeka - skrót oznaczający Wszechrosyjską Komisję Nadzwyczajną do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem.

– Długa i skomplikowana nazwa twórców czerwonego terroru - powiedziała Pauline. - *Genickschuss* to sposób, w jaki zabijają. Szybko, czysto i skutecznie.

– Koroner uznał to za skuteczne - przytaknął Bell. - Skąd się wzięła niemiecka nazwa rosyjskiej metody zabijania?

Pauline przypomniała mu, że miliony Niemców żyło w Rosji przed wojną.

– Mnóstwo rzeczy się mieszało. I wielu Niemców działało na rzecz rewolucji rosyjskiej. Począwszy, jeśli chcesz, od Karola Marksa.

– Zabawny sposób zastrzelenia przemytnika alkoholu... Co Czeka robiłaby w Nowym Jorku?

– Ściśle mówiąc, nie Czeka, tylko Komintern, zagraniczne siły szturmowe rosyjskich komunistów. Komintern byłby w Nowym Jorku z tych samych powodów co w Niemczech. Żeby przeprowadzić rewolucji.

Bell pokręcił głową.

– Oni nazywają to rewolucją, ale tak naprawdę chcą zastąpić dawne imperia, które zniszczyła wojna, nowymi.

– Jakiej broni użył zabójca? - zapytała Pauline.

Bell spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Chłopaki w laboratorium policyjnym są prawie pewni, że pistoletu kieszonkowego mann.

– Niemieckiego. Dlaczego tak uważają?

– Gliniarze znaleźli łuskę ze śladami wybrzuszenia od rowka w komorze.

– Mogła pochodzić tylko z nowego modelu. Tysiąc dziewięćset dwadzieścia. Albo dwadzieścia jeden.

– To samo powiedzieli gliniarze. Najwyraźniej model tysiąc dziewięćset dwadzieścia ma kolisty rowek, żeby suwadło było bardzo lekkie. Jeszcze go nie widziałem.

– Spodoba ci się - odrzekła Pauline.

Sięgnęła pod spódnicę. Bell dostrzegł biel kształtnej uda w czarnej koronce. Wcisnęła mu miniaturowy pistolet samopowtarzalny do ręki. Był mniejszy niż talia kart. Starannie wykonany i zdumiewająco cienki. Miał niecałe dwa centymetry grubości. Za mały do jego dłoni, w sam raz do jej.

– Pięciostrażowy - wyjaśniła. - Nie jest piękny?

Aluminiowy chwyt był ciepły od jej skóry. Bell nie pierwszy raz się zastanawiał, dlaczego taka piękna dziewczyna nie ma męża ani chłopaka.

– Ona jest w tobie potajemnie zakochana - oznajmiła mu Marion.

– Wie, że jestem zajęty - odparł Bell.

Podziwiał odwagę Pauline i jej bystry umysł, nie mógł też zaprzeczyć, że cudownie wygląda. Ale, jak powiedział Marion, był już zakochany.

– Celny?

– Z sześciu metrów.

Bell oddał broń.

Pauline wsunęła ją do kabury. Podniosła wzrok z uśmiechem.

– Nie wydaje ci się, że nasz zamordowany przemytnik alkoholu zginął bardziej skomplikowaną śmiercią niż zwykły gangster prohibicyjny?

– Może - odrzekł Bell. - Tyle że perspektywy szybkiego wzbogacenia się na prohibicji kuszą wszystkich.

Syrena okrętowa zahuczała w górze.

Pauline odprowadziła go do trapu, gdzie oficerowie przynaglali żegnających do zejścia na ląd.

– *Auf Wiedersehen*, Isaac. Wspaniale było cię zobaczyć. Dzięki za przyjście.

– Cieszę się, że zdążyłem. Twój *Genickschuss* był wart jazdy do Hoboken. Nie wspomnę o poznaniu twojego małego manna.

Stanęła na palcach, pocałowała go w policzek i przeszła na angielski.

– Przekaż, proszę, serdeczne pozdrowienia żonie.

– Jak tylko ją zobaczę. Kręci film w Los Angeles.

Bell stał głęboko zamyślony na pokładzie, gdy prom z Hoboken przecinał rzekę Hudson. Obejrzał się za siebie, kiedy wylądował na Dwudziestej Trzeciej ulicy. Holowniki odwracały „Nieuw Amsterdam” do wyjścia z portu. Byстрыm wzrokiem dostrzegł na moment Pauline wśród pasażerów przy relingu. Jej włosy lśniły jak złoto.

Jeśli Marion miała rację, to musiał znaleźć sposób na zmianę uczuć Pauline.

Wszedł szybko do terminalu w poszukiwaniu automatu telefonicznego.

– Kostnica.

– Z doktorem Nulandem proszę... Shep, widziałem, jak zbierasz próbki prochu.

– Prochu bezdymnego nie zostaje dużo.

– Dość, żeby ustalić pochodzenie?

– Możliwe.

– Poprosiłbyś twoich laborantów, żeby to zrobili?

Skład prochu bezdymnego stale ulepszano. Ostatnio zawierał balistyt, kordyt, nitrocelulozę i puder francuski. Po rozmowie z Pauline Bell był ciekaw, czy proch zebrany podczas autopsji jest niemiecki, czy rosyjski.

7.

Newtown Storms był starszym wspólnikiem w Storms & Storms, firmie maklerskiej na Wall Street. Założył ją jego pradziadek, żeby sprzedawać akcje w kanale Erie, a następne pokolenia finansowały koleje i linie telegraficzne.

Storms zaprosił wylewnie Fern Hawley do swojego gabinetu.

Jej wiecznie szelmowski uśmiezek sugerował, że zna tajemnice nieznanego zwykłym śmiertelnikom. Ale była piękna i bardzo bogata, a jej ojciec pozwolił Storms & Storms zarządzać jedną trzecią majątku Hawleyów. Towarzyszył jej wysoki, sprężysty Rosjanin w eleganckim niebieskim garniturze.

Panna Hawley przedstawiła go:

– Mój przyjaciel, książę Andre. Poznaliśmy się w Paryżu lata temu.

Książę Andre - „do niedawna zamieszkały w Petersburgu”, jak to ujął Rosjanin - przyniósł drogą skórzaną torbę na ramię ze złotymi klamrami. Kiedy ją kładł, żeby wymienić uściski dłoni, Storms zobaczył duże brylantowe spinki w mankietach jego koszuli. Ale nie stracił czujności. Widział dość rosyjskich uchodźców, którzy węszyli wokół Wall Street od rewolucji, by wiedzieć, że wbrew pozorom zwykle są splukani. Toteż po pogawędce wystarczającej do zademonstrowania pannie Hawley, że nie zapomniął, jakim ona jest cennym klientem, zapytał:

– Czemu zawdzięczam tę miłą wizytę?

– Książę Andre nie może wrócić do swoich posiadłości w Rosji... w obecnym czasie - odrzekła panna Hawley.

Storms zrobił współczującą minę. Jednocześnie pogratulował sobie, że przejrzał Rosjanina. Założyłby się, że panna Hawley zapłaciła za te spinki do koszuli. I za garnitur. Zanotował w pamięci, żeby zlecić prywatnym detektywom dyskretne sprawdzenie, na ile książę próbuje ją naciągnąć. W jego klubie stale się zastanawiano przy koktajlach, dlaczego skądinąd inteligentni, ciężko pracujący ojcowie pozwalają tym głupim kobietom korzystać bez ograniczeń ze swoich pieniędzy.

– Rozumiem - powiedział. - Jeśli jest potrzebna pożyczka, mogę zorganizować spotkanie z odpowiednimi ludźmi.

Księżę Andre odwrócił się do Fern Hawley.

– Pożyczka? - zapytał z przesadnym rosyjskim akcentem. - Co to jest „pożyczka”?

Fern się roześmiała.

– Panie Storms. Obawiam się, że nie jest pan zorientowany w sytuacji. Księżę Andre chce zainwestować, nie pożyczyć.

– Zainwestować?

Storms położył ręce na biurku i usiadł prosto.

– Ponieważ nie ma dostępu do swoich posiadłości w Rosji, księżę Andre był zmuszony sprzedać inny majątek - wyjaśniła panna Hawley. - Głównie klejnoty i trochę nieruchomości we Francji, a przynajmniej część z nich, w nadziei, że rozpocznie nowe życie w Nowym Jorku. Pokaż panu, Andre.

Zolner otworzył torbę.

Storms zerknął do środka na upakowane ciasno pliki banknotów w opaskach.

– Ach tak. Jaką sumę państwo rozważali?

– Księżę Andre pomyślał, że otworzy konto na dziesięć tysięcy dolarów i zobaczy, jak pan je spożytkuje.

– Sądzę, że moglibyśmy zrobić to bardzo dobrze.

Księżę Andre zaczął nagle mówić sam za siebie. Jego obcy akcent prawie zniknął, spojrzenie było czujne, nawet wyzywające.

– Panna Hawley uważa, że dobrym pomysłem jest zakup akcji. Ale czy ich ceny wciąż nie spadają?

– To się powinno zmienić lada dzień - odparła panna Hawley.

– Ale one idą w dół od półtora roku - skontrolował Rosjanin. - To się nie zaczęło przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku?

Storms prędko stanął po jej stronie w sporze.

– Panna Hawley ma duże doświadczenie na rynku i ma rację. Muszą pójść w górę.

– Dlaczego?

– Nienormalnie szybki spekulacyjny wzrost cen istniejących akcji spowodował ich spadek. Wielu ekspertów wini za to lekkomyślnych ludzi, dla

których inwestowanie jest nowością. Na szczęście prezydent Harding i sekretarz skarbu Mellon usuwają wady systemu; tną podatki i zwiększają skuteczność rządu.

– Bezrobocie pozostaje wysokie - zauważył książe Andre. - Ludzie na ulicach są obdarci.

– Ponieważ nadmierne koszty rządu osłabiają przemysł. Niech pan pamięta, że siła robocza siedzi cicho i będzie cicho. Strajk metalowców zemścił się na nich, podobnie jak strajk marynarzy wiosną. Przewiduję, że zarobki pozostaną niskie tam, gdzie powinny, i obniżą wysokie koszty utrzymania. Ludzie będą pracować ciężiej i żyć bardziej moralnie. Przedsiębiorcze osoby zastąpią mniej kompetentne. Niepewność się skończy i interesy rozkwitną. Będzie boom gospodarczy, książe. Ma pan okazję uczestniczyć w tym od początku.

Marat Zolner zachowywał powagę, mimo że Fern drażniła się z nim, unosząc brew.

– Pański argument brzmi bardzo przekonująco - powiedział do maklera.

– I niech Wasza Wysokość ma na uwadze, że kiedy otworzy pan konto, będzie pan mógł wziąć pożyczkę na jego poczet, gdyby potrzebował pan funduszy.

– Dlaczego miałbym potrzebować funduszy, kiedy nastąpi boom?

Storms skwitował taką naiwność uprzejmym chichotem.

– Miałem na myśli pożyczkę na poczet pańskiego konta na zakup następnych akcji, żeby je na nim ulokować.

– Przekonał mnie pan - oświadczył Zolner.

Posłał Fern Hawley książęcy uśmiech i pchnął torbę przez biurko Stormsa.

– Może pan trzymać mnie za słowo - powiedział makler. - To jest początek i wchodzi pan w to. Więc jeśli będzie pan chciał sprzedać więcej klejnotów, wie pan, gdzie przyjść.

– Najpierw zobaczymy, jak pan poradzi sobie z tym.

– Bez obaw - odparł Storms, święcie przekonany, że prezydent Harding i sekretarz Mellon spowodują hossę, zanim większość Wall Street uświadomi to sobie. - Szybko się pan wzbogaci.

– W takim razie - odrzekł książę i wyciągnął zaskakująco potężną rękę - do zobaczenia wkrótce.

Storms wstał, żeby ich odprowadzić.

– Jak następnym razem wstąpimy do pana - powiedziała Fern ze znaczącym uśmiechem - może nam pan zaproponować drinka.

Wręczyła mu butelkę Haig & Haig z torby Zolnera.

Isaac Bell spacerował po biurze Van Dorna jak lew w klatce. Przemierzał pokój długimi krokami, odwracał się gwałtownie, szedł z powrotem i znów zawracał. Miał ożywione spojrzenie i każdy z obecnych detektywów czuł na sobie surowy wzrok głównego śledczego.

– Minęły cztery dni, odkąd pan Van Dorn został postrzelony. Kto to zrobił?

Zespół ludzi wybranych przez Bella do wytropienia przemytników, którzy postrzelili Van Dorna, nazwał siebie „Chłopcami Bossa”. Składał się z wyspecjalizowanych pracowników operacyjnych, od nożowników o wyglądzie księgowych do śledczych intelektualistów o wyglądzie portowych rozrabiaków i wszelkich typów pomiędzy. Niewielu wyglądało na wyspanych. Wszyscy się skrzywili, kiedy Bell powtórzył:

– Cztery dni. Przecież to wasze miasto, panowie. Co się dzieje?

Skrzywienia zastąpiły zawstydzone miny, wzruszenia ramion i ukradkowe spojrzenia w poszukiwaniu kogoś, kto powiedziałby coś przydatnego. W końcu najodważniejszy z Chłopców Bossa, siwy Harry Warren, szef nowojorskiej brygady zwalczającej gangi od najlepszego okresu Goferów, zaryzykował wejście do jaskini lwa.

– Przykro mi, Isaac. Żaden gang z East Side, West Side ani Brooklynu nie wie, kim są ci faceci. Rozmawiałem z Lonerganem „Drewnianą Nogą” i nawet on nie wie.

Detektywi popatrzyli na Harry’ego ze zdumieniem i podziwem. Zastanawiali się, jak zmusił do rozmowy milczka Lonergana i zdołał wrócić żywy z Brooklynu.

Harry przyjął ich uznanie skromnym skinieniem głowy.

– Jeśli przywódca Białych Rąk nie wie nic o tych facetach, to nikt z Irlandczyków ich nie zna.

– A co z Włochami? - zapytał Bell.

Harry, który zmienił nazwisko, był znany i poważany w Małej Italii.

– To samo. Czarna Ręka, Masseria, Cirillo, Vale i Altieri nie wiedzą.

– A Fats Vetere?

– On też nie.

– Dlaczego sądzisz, że mówią ci prawdę?

– Przemyt się rozkręca. Gangsterzy wypierają amatorów. Jest kupa forsy do zgarnięcia. Więc gdyby Biała Ręka albo Czarna Ręka wiedzieli coś o tych facetach, chcieliby wejść w kontakt z nimi, żeby od nich kupować albo ich porywać. Ale kiedy ich sondowałem, oni nie robili tego samego. Skoro nie próbowali mnie wybadać, to znaczy, że faceci, którzy postrzelili Bossa, są nieznanymi gangom.

Bell dalej spacerował.

– A co z przemytnikami?

Kilku mężczyzn odchrząknęło i odpowiedziało krótko jeden po drugim.

– Znani mi przemytnicy nie wiedzą, Isaac.

– Obszedłem magazyny. Przysięgają, że nie wiedzą.

– To samo na pirsach, Isaac.

– I w nielegalnych knajpach. Nie mają powodu, żeby nas okłamywać, Isaac.
Nie aresztujemy ich.

– Nikt ich nie aresztuje.

Bell stawiał kroki mocniej, obcasy stukały.

– Co z czarną łodzią?

– Przybrzeżni twierdzą, że ją widzieli. Są jedyni.

– Może z wyjątkiem pana Van Dorna. On już mówi, Isaac?

– Nie tyle, ile pierwszego dnia - odrzekł Bell i dodał cicho: - Teraz właściwie wcale.

Chirurdzy obawiali się, że ma jakąś infekcję klatki piersiowej. Dorothy odchodziła od zmysłów i nawet kapitan Novicki tracił wiarę.

– Przewoźnicy wodni.

Bell odwrócił się do postawnego Eda Tobina. Brutalnie pobity przez gang Goferów, kiedy praktykował u Van Dorna, Tobin miał zmiażdżoną kość policzkową i opadającą powiekę.

– Ed, nikt z przewoźników jej nie widział?

– Nikt, kto chciałby rozmawiać ze mną.

– Pytałeś wujka Darbee?

Donald Darbee, stryjeczny dziadek Tobina, był piratem węglowym ze Staten Island. Wydobywał też ładunki, które spadały z nabrzeży, i przerzucał zbiegów z Nowego Jorku do New Jersey.

– Jako pierwszego. Nie widział czarnej łodzi i nie słyszał o niej. Choć zainteresowała go i zapytał, czy mógłbym się dowiedzieć, czy ona ma silniki liberty, a jeśli tak, to ile, i czy są zamontowane w rzędzie, czy obok siebie.

Gromki śmiech zabrzmiał w pokoju i kiedy nawet Bell uśmiechnął się lekko, Tobin spytał:

– Mogę zapytać, panie Bell, jak panu idzie ze Strażą Przybrzeżną?

Uśmiech Bella zniknął jak roztrzaskana lampa sygnałowa.

– Będę nadal próbował przesłuchać załogę kutra.

Jak dotąd, nie miał szczęścia. Straż Przybrzeżna trzymała CG-9 na morzu. Kiedy Bell zaproponował, że polecą swoim samolotem przesłuchać załogę, odrzucono jego propozycję.

– McKinney!

Bell odwrócił się do nowego szefa nowojorskiego biura terenowego. Darren McKinney był niski, żyłasty i giętki jak kolczuga.

– Zameldowałeś, że gliniarze złapali na East River lichtugę, która rozładowała tonącą łódź przemytniczą. Jaką gorzałę przewozili?

– Blendowaną szkocką whisky Dewar's. Oryginalną.

– Z „Arethusy”?

„Arethusa” była szkunerem sławnego przemytnika alkoholu McCoya, który pływał po wodach międzynarodowych u wybrzeży Fire Island.

– McCoy właśnie przywiózł ładunek z Nassau. Ale faceci aresztowani przez gliniarzy na East River przysięgają, że wzięli towar gdzie indziej, nie z ostrzelanej łodzi. Co rozumiałe, zważywszy okoliczności.

– Wzięli czy nie? - zapytał ostro Bell.

– Oddział portowy twierdzi, że śledzili ich od tonącej łodzi. Ci faceci zaprzeczają, co rozumiałe, bo nie chcą być łączeni ze strzelaniną, w której ktoś mógł zg...

Błysk wściekłości w oczach Bella przerwał detektywowi w pół słowa.

– To znaczy, która doprowadziła do zranienia właściciela Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

– Lepiej, żeby żaden przemytnik w mieście tego nie chciał - odparł Bell. - Dowiedz się, czy znali facetów na ostrzelanej łodzi.

– Jej załoga jest w więzieniu.

– Nie - zaprzeczył detektyw z brygady zwalczającej gangi, który wbiegł do pokoju. - Ktoś ich wyciągnął za kaucją.

– Teraz mamy szansę się dowiedzieć. Dopadnijcie ich.

– Przykro mi, Isaac, to nie będzie możliwe.

– Dlaczego?

– Właśnie wyłowiono ich z rzeki... Dlatego się spóźniłem.

Zaszokowani vandornowcy przyjęli wiadomość o zamordowaniu świadków milczeniem. Zwykli przemytnicy alkoholu nie zabijali współsprawców. Robili to przestępcy, którym groziło krzesło elektryczne.

Bell odwrócił się do detektywa Tobina.

– Ed, weź łódź. Popłyn do „Arethusy” i zapytaj McCoya, komu sprzedał towar tamtego dnia. Jeśli nie sprzedał, może wie, kto to zrobił.

– Wątpię, żeby zechciał nam pomóc, panie Bell.

– Jeśli będzie chronił kupca - odrzekł Bell - obiecaj mu, że dostanie od nas karabin maszynowy lewis. Przyda mu się do ochrony w obecnej sytuacji. Powtórz mu, co Harry Warren powiedział przed chwilą: kryminaliści wchodzi w przemyt alkoholu. Jeśli to go nie przekona, daj mu jasno do zrozumienia, że ja mu bardzo uprzykrzę życie na Rumowej Linii. Namówię Straż Przybrzeżną, żeby wyznaczyła kuter, który będzie krążył wokół jego szkunera dzień i noc przez miesiąc.

Tobin ruszył do drzwi.

– Zaczekaj! - zawołał Bell. - Weź dwóch chłopaków i dużo broni. I ostrzeż McCoya, że jeśli zrobił interes z tym bandziorem, jest w niebezpieczeństwie. Ten, kogo szukamy, bardzo nie lubi świadków.

Tobin odwrócił się do Harry'ego Warrena. Szef brygady antygangowej wyznaczył dwóch ze swoich największych twardzieli energicznym skinieniem głowy i Tobin poprowadził ich do zbrojowni.

– Przyjmiemy nową taktykę - oznajmił Bell pozostałym. - Przemysłnik zastrzelony w szpitalu Roosevelta powiedział lekarzom, że ma na imię Johnny. Był około dwudziestopięcioletnim, mocno zbudowanym, krótko ostrzyżonym blondynem średniego wzrostu z mnóstwem blizn. Możliwe, że nie był Amerykaninem. Miał parę dziur w nodze. Nie mówił dużo w szpitalu, więc nikt nie słyszał jego akcentu. Znajdźcie jego znajomych.

Detektywi wyszli szybko i po paru sekundach Bell został sam. Zastanawiał się, co jeszcze może zrobić. Recepcjonista zadzwonił.

– Jest pani do pana, panie Bell.

– Jak się nazywa?

– Nie przedstawiła się - szepnął detektyw.

Zwykle opanowany facet z pistoletem pod marynarką i obrzytnym przy kolanie miał głos, jakby był oszołomiony.

– Wygląda szałowo.

Bell poszedł do recepcji.

Najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział, uśmiechała się. Stała twarzą do drzwi w szytym na miarę kostiumie podróżnym z rozpiętym żakietem i spódnicą do połowy zgrabnych łydek. Miała jasnoblond włosy, zielone oczy i melodyjny głos.

– Nie jestem panią, tylko twoją żoną.

– Marion!

Bell wziął ją w ramiona.

– Jestem taki szczęśliwy, że cię widzę.

Trzymał ją tak blisko, że czuł szybkie bicie jej serca.

– Co tu robisz? Oczywiście, przyjechałaś zobaczyć się z Dorothy. Jest w szpitalu.

– Z nią zobaczę się później. Jak ty się masz?

– Pracuję nad znalezieniem gangu, który postrzelił Joego. Trudno powiedzieć, jak on się ma, ale się trzyma.

– Chodziło mi o to, jak ci idzie?

– Haruję - odpowiedział szybko, powtarzając się, co było nie w jego stylu. - Czuwam nad wszystkim. Chłopcy są wspaniali. Każdy się udziela, pracuje po godzinach.

Marion Morgan Bell przejechała cztery tysiące osiemset kilometrów, żeby przyjrzeć się mężowi chłodnym okiem. Zobaczyła w jego wzroku cień obawy o przyjaciela, który był jego mentorem. Zobaczyła determinację, żeby ścigać tych, co zaatakowali Joego. I wyczuła, że jej ukochany mężczyzna jest pełen nadziei.

– To dobrze - odrzekła z wielką ulgą. - Pojadę teraz zobaczyć się z Dorothy.

Trzymała Bella za rękę, kiedy ją odprowadzał na dół do taksówki.

– Nie uprzedziłam cię, że przyjadę, bo nie wiedziałam, kiedy będę wolna, i spodziewałam się, że będziesz miał pełne ręce roboty.

– Jak tu dotarłaś tak szybko?

– Pojechałam do Chicago pociągiem Prestona i Josephine.

Preston Whiteway miał sieć gazet. Jego żona Josephine była sławną lotniczką. Ich prywatny pociąg z lokomotywą ALCO 4-8-2 o nieprawdopodobnej mocy ustanowił ostatni rekord prędkości z Los Angeles do Chicago.

– Uciekł mi ekspres Twentieth Century, więc poprosiłam Josephine, żeby mnie przemyciła do samolotu pocztowego jej przyjaciela pilota. Nowego de Havillanda. Spodobałby ci się. Mieliśmy przeciętną sto siedemdziesiąt cztery kilometry na godzinę.

– Nie wiedziałem, że w samolotach pocztowych jest miejsce dla pasażera.

– Ledwo się zmieściłam. Podróżowałam praktycznie na kolanach pilota, ale był bardzo miły.

– Nie dziwię się.

– Wyprzedziliśmy Twentieth Century o cztery godziny!

– Jak długo możesz zostać w Nowym Jorku? - zapytał Bell.

– Bracia Marx poprosili mnie, żebym wyreżyserowała komedię w Fort Lee.

– Nie są aktorami wodewilowymi?

– Mają nadzieję, że dwurolnikowiec utoruje im drogę na Broadway.

Portier St. Regis zatrzymał taksówkę. Bell pomógł Marion wsiąść. Schylił się i pocałował ją.

– Zarezerwowałam apartament na górze - szepnęła i zaczęła go całować.

Taksjarsz odchrząknął głośno.

– Może pan po prostu pojedzie z nami?

– Przymknij się - powiedział portier. - Masz coś przeciwko miłości?

Poniżej terminalu promowego na Dwudziestej Trzeciej Zachodniej Marat Zolner stracił z oczu rzekę Hudson. Zasłonił ją nieprzerwany ciąg magazynów, opasek brzegowych i budynków portowych. Po drugiej stronie tego ciągu stał holenderski frachtowiec z Rotterdamu. Jeden z załogantów miał właśnie opuścić statek bez zezwolenia.

Zolner wstąpił do jednej z wielu tanich jadłodajni na West Street, które żywiły marynarzy. Była na wprost drzwi w murze obok budki strażnika. Każdy wychodzący marynarz musiał pokazać papiery na dowód, że pracuje na statku. Zolner zamówił kawę i obserwował.

Antipow wyszedł przez drzwi z trzema innymi. Tak jak oni, był w obcisłej dwurzędowej kurtce marynarskiej i kaszkiecie, ale jego chuda sylwetka i okulary w stalowej oprawce były charakterystyczne. Pokazali papiery i przecięli West Street. Trzech weszło do „ślepej świni”. Antipow czekał na dworze. Zdjął okulary i wytarł je chustą, którą wyciągnął z kieszeni kurtki, a potem zawiązał chustę na szyi.

Zolner dołączył do niego i poszli w głąb lądu boczną ulicą obok nieoświetlonych garaży i zamkniętych magazynów.

Antipow mówił po angielsku z wyraźnym akcentem.

– Gdzie jest Johann?

– Nie żyje. Cieszę się, że przyjechałeś. Liczyłem na niego.

– Jak umarł?

– Straż Przybrzeżna go raniła. Policja zabrała go do szpitala. Za dużo wiedział.

– Szkoda - odrzekł Antipow.

– Rzecz jasna, Fern wierzy, że detektyw go zastrzelił.

– Oczywiście. Kto idzie za nami?

Żaden z Rosjan nie obejrzał się za siebie.

– Okoliczne zbiry - odpowiedział Zolner. - Obrabiają imigrantów, którzy wymykają się ze statków.

Antipow przystanął w bardziej mrocznym miejscu.

– Masz papierosa?

– Oczywiście.

Zolner wytrząsnął lucky strike'a z paczki. Antipow zapalił zapalną i pozwolił, żeby wiatr ją zdmuchnął. Zapalił następną i przytknął do papierosa, tym razem osłaniając umiejętnie płomień. Ta komedia dała zbirom czas na dogonienie Rosjan. Trzech Irlandczyków, zauważył Zolner, dwóch na wpół pijanych, ale nie dość, żeby ich to spowalniało. Trzeci podszedł płynnym bokserkim krokiem. Zaatakowali bez słowa.

Zolner wycofał się w prawo, Antipow w lewo. W oczach zbirów wyglądali na przerażonych mężczyzn, którzy wpadają na siebie. Ale ich ścieżki skrzyżowały się tak gładko, jak części maszyny. Kiedy skończyli tyle precyzyjną, co dezorientującą zamianę miejsc, przed zbirem nacierającym na Zolnera znalazł się nagle Antipow, a przed zbirem rzucającym się na Antipowa - Zolner. Zolner powalił swojego przeciwnika metalową pałąką pokrytą skórą. Antipow dźgnął swojego długim, wąskim sztyletem.

Bokser się cofnął. Zolner i Antipow odcięli mu drogę ucieczki w tył do West Street i w przód do Dziesiątej Alei. Podniósł ręce, żeby pokazać, że nie jest uzbrojony.

- Czy to nie byłaby ironia, wpaść w ręce pospolitych przestępców? - spytał Antipow, jakby nie stał półtora metra od niego.

- To nieprawdopodobne - odparł Zolner.

Widząc, że nie ucieknie, bokser zacisnął pięści wielkości szynki.

- Odważny - powiedział Antipow.

- I opanowany - dodał Zolner. - Jak się nazywasz?

- Co ci do tego?

- Zdecydujemy, czy cię zabić, czy ci płacić.

- Za co?

- Za to, czego będziemy wymagali. Powiedz mi, gdzie cię znaleźć, to ci zapłacę, jak będzie robota do wykonania. Łatwe pieniądze.

- Oszalałeś?

- Jesteśmy przemytnikami. Płacimy łatwe pieniądze za siłę. Jak się nazywasz?

- Ricky Newdell.

- Jak cię nazywają twoi kumple?

- Sierp. Od mojego lewego sierpowego.

Zolner popatrzył na niego.

– To mój najlepszy cios - wyjaśnił Newdell.

– Gdzie cię można znaleźć?

– W jadalni na rogu Osiemnastej i Dziesiątej.

– Okej, Sierp. Odezwiemy się. Ja jestem Matt, a on Jake. Odwróć się i wracaj na West Street.

– A co z tymi facetami?

Mężczyzna powalony przez Zolnera pałką był nieprzytomny. Mężczyzna dźgnięty przez Antipowa nie poruszył się, odkąd upadł.

Zolner i Antipow wytarli krew ze swojej broni o ubrania leżących.

– To Gofrzy - powiedział Newdell.

Antipow spojrzał na Zolnera.

– Gufrzy? - zapytał, wymawiając nazwę gangu tak jak Sierp. - Co to takiego?

– Okoliczni gangsterzy. Rządzili slumsami Hell's Kitchen. Jedni przywódcy nie żyją, inni są w więzieniu.

Antipow wzruszył ramionami.

– Co nas to obchodzi?

– Gofrzy nie zostawią tego tak - ostrzegł Newdell.

– Sierp - powiedział Zolner. - To twoja ostatnia szansa. Jeśli chcesz łatwo zarobić, odwróć się i odejź.

Newdell się odwrócił i poszedł w kierunku West Street. Usłyszał śmiech za sobą.

– Gufrzy? - zapytał nożownik. - Frajerzy.

Sierp nie obejrzał się za siebie. Coś mu mówiło, że z tymi facetami w okolicy dni Gofrów są policzone.

8.

Marat Zolner skierował Jurija Antipowa w stronę Dziesiątej Alei.

– Dokąd idziemy?

– Mam auto.

Antipow zacisnął wargi na widok packarda twin six. Zolner spodziewał się tego. Poczekajmy, aż zobaczy miejsce, które Fern wynajęła na kryjówkę.

Zolner przejechał przez most Brooklyński i kierował się na wschód przez dwie godziny. Za Brooklynem przeciął hrabstwo Nassau drogą Merrick Road do Suffolk i pojechał przez tuzin ciemnych miasteczek przy szosie Montauk Highway. Ich mieszkańcy spali. Farmy i lasy między miasteczkami były ciemniejsze z wyjątkiem miejsc, gdzie zajazdy rozświetlały noc - jak liniowce na morzu - kolorowymi żarówkami, sztyldami świetlnymi i reflektorami drogowych aut na parkingach.

Muzyka dochodziła z bijących blaskiem okien.

Antipow przerwał milczenie.

– Kabaret!

– Są nazywane zajazdami na wsi, kabaretami w mieście.

– Pośrodku pustkowia.

– Ich goście mają samochody.

– I piją alkohol tak jawnie.

– Amerykanie namiętnie łamią prawo.

Zolner skręcił z szosy w wąską, ciemną, pustą drogę. Półtora kilometra dalej skończyła się przed dużym kamiennym budynkiem z wysokimi, szerokimi drzwiami na środku. Były nabijane żelaznymi ćwiekami. Ciepły, mokry wiatr cuchnął bagnem i słoną wodą. W górze, między drzewami, gwiazdy błyszczały blado na zamglonym niebie.

– Masz duży dom - powiedział Antipow.

– To wartownia.

Zolner włączył światła samochodu i zatrąbił. Czekali.

– Nie spodziewają się ciebie?

– Mają rozkaz się upewnić, że nie jesteśmy porywaczami ani funkcjonariuszami prohibicyjnymi.

W końcu wielki mężczyzna w skórzanej czapce wyszedł z mroku z ręką w kieszeni.

– Czysto, szefie.

– To jest Jurij - powiedział Zolner. - Może się poruszać po całej posiadłości. Jurij, to jest Trucks O’Neal. Możesz liczyć na niego.

O’Neal przyjrzał się uważnie Jurijowi.

– Zapamiętam cię.

Drzwi się otworzyły i Zolner wjechał packardem do środka.

– Dlaczego mu powiedziałeś, że jestem „Jurij”, zamiast „Jake”?

– Trucks to weteran armii amerykańskiej i spekulant wojenny, który został przemytnikiem. Jest lojalny.

– Skąd możesz mieć pewność? Nie jest towarzyszem.

– Uratowałem mu skórę w Niemczech i dzięki mnie staje się bogaty i potężny tutaj. W zamian jest lojalny. Więcej. Jest dość inteligentny, żeby być lojalny.

Pojechał biegnącym łukiem podjazdem z błękitnoszarego piaskowca. Reflektory omiotły żywopłoty i ogrody, korty tenisowe i cieplarnie.

– Carowi Mikołajowi podobałoby się tutaj - zauważył Antipow z dezaprobatą.

– On wypadł z gry - odparował Zolner.

Skręcił z głównego podjazdu prowadzącego do rezydencji, której dach odcinał się ciemno na tle przyćmionych gwiazd. Opony zadudniły na szynach kolejowych.

– To prywatna bocznica połączona z główną linią do Nowego Jorku.

– To wagon kolejowy?

Światło gwiazd odbijało się w szybach z rżniętego szkła.

– Prywatny.

– Należy do Fern?

– Oczywiście, że nie. Nie ryzykowalibyśmy żadnych powiązań z Fern. Wszystko wynajęli pośrednicy za gotówkę. Gdybyśmy musieli nagle zwinąć obóz, nic nie doprowadzi do niej.

Zatrzymał packarda, wysiadł i rozprostował kości po długiej jeździe. Antipow stanął obok niego i wskazał zarys wysokiej iglicy.

– Co to jest?

– Komin cieplarni. Ukrywa antenę radiową. Sygnał prowadzi nasze łodzie do brzegu.

– Co jest tam? Nie widzę żadnych świateł.

– Laguna Great South Bay. Sześćdziesiąt cztery kilometry długości, osiem szerokości. Za nią jest zatoczka Fire Island Inlet, a dalej Atlantyck.

– Co jest wokół nas na lądzie?

– Inne posiadłości podobnej wielkości. Wszystkie prywatne.

Zaprowadził Antipowa do dużego garażu, wpuścił go bocznymi drzwiami i zapalił światło nad farmerską ciężarówką z plandeką i sześcioma samochodami packard i pierce-arrow.

–auta mają wzmocnione zawieszania, żeby nie przysiadły załadowane.

– Dlaczego nie dostarczasz tego koleją? Ze swojej bocznic.

– Zapomniałeś, że pociągi są uwięzione na szynach? Tory łatwo zablokować. Agenci prohibicyjni byliby zachwyceni, gdyby przejęli wagon pełen gorzały. Rozpraszamy ją po szosach. Jeśli mają szczęście, łapią jedno auto na dziesięć.

– Ale jej koncentracja jest tutaj.

– Wiele kilometrów od rynku w ciemnym i ustronnym miejscu.

– Jak ją tu dostarczasz?

– Łodziami.

Zgasił światło w garażu i poszedł zwirową ścieżką do innego dużego budynku na brzegu spokojnej zatoczki. Hangar łodziowy nie miał okien, więc dopiero kiedy Zolner otworzył drzwi, Antipow zobaczył, że jest jasno oświetlony w środku. Dwie duże łodzie stały w oddzielnych, odgradzonych basenach cumowniczych. Jedna była szeroka, dwunastometrowa, towarowa i miała dwa duże silniki.

– Przewozi tysiąc skrzynek z szybkością dwudziestu pięciu węzłów - powiedział Zolner. - Cena się waha zależnie od popytu, ale generalnie na takim ładunku zarobimy pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Mnóstwo pieniędzy za noc pracy.

– Odniosłeś sukces w przemyśle.

– Łódzie są szmuglerską stroną interesu. Dystrybucja i sprzedaż jest właściwym przemysłem. W tym też odniosłem sukces.

– Czym jest tamta druga łódź?

Była dużo dłuższa i węższa niż towarowa.

– Moją dumą i radością - odrzekł Zolner. - Ona też przewiezie tysiąc skrzynek, ale z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. I jeśli ktoś wejdzie jej w drogę, niech się pilnuje. Zastrzelili ich. Nazywa się „Czarny Ptak”.

– Twoja duma?

Zolner zignorował drwiącą nutę w głosie Antipowa.

– Jej załoga to Rosjanie, najlepsi marynarze na świecie.

– Dlaczego rozłożyli jej motory?

Głowice były zdjęte z wszystkich trzech silników 1 i berty. Węglik krzemu zgrzytał o stal, gdy mechanik szlifował zawory w snopach białych iskier.

Zolner wzruszył ramionami.

– Cena szybkości. Te silniki regularnie wypalają zawory.

– Ssące czy wydechowe? - spytał Antipow.

– Zapomniałem, że praktykowałeś jako mechanik. Wydechowe, oczywiście. Za wysoka temperatura. Nikt nie wymyślił dobrego sposobu na ich chłodzenie, choć nie z braku szczęścia przy wypróbowywaniu każdej możliwej sztuczki, łącznie z ich drażnieniem i wypełnianiem rtęcią lub sodem. Na szczęście w Stanach Zjednoczonych zbudowano siedemnaście tysięcy silników liberty, z których większość nie została użyta w czasie wojny. Kupujemy je za bezcen.

Wskazał drewniane skrzynie pod tylną ścianą.

– Uwierz lub nie, ale często racjonalniej jest wymienić cały silnik niż tracić czas na zawory.

– Uwierzyłbym prawie we wszystko w tym momencie.

Antipow mówił spokojnie, ale wrzał z gniewu.

Zolner uznał, że czas postawić sprawę jasno.

– O co chodzi? - zapytał. - Co cię gryzie, Jurij?

– Co z rewolucją?

– Jak to?

– Jesteś agentem Kominternu, towarzyszu Zolner. Przysłano cię tutaj, żebyś zainicjował przejęcie władzy w Ameryce przez bolszewików.

9.

– Co dokładnie robisz, żeby zainicjować przejęcie władzy w Ameryce przez bolszewików?

Mechanik w hangarze łodziowym wyłączył szlifierkę elektryczną. Przez dłuższą chwilę Marat Zolner słyszał tylko plusk wody w basenach cumowniczych.

Międzynarodówka Komunistyczna - Komintern - była sowiecką ogólnoświatową siatką szpiegowską. Rosyjska partia komunistyczna stworzyła ją jako swoje zagraniczne ramię, kiedy przejęła kontrolę nad rewolucją, która zrzuciła z tronu cara Mikołaja II. Komintern miał za zadanie powtarzać takie zwycięstwo wszędzie na świecie i obalać rządy międzynarodowej burżuazji wszelkimi możliwymi środkami - wykorzystując szpiegostwo, sabotaż i siłę zbrojną.

Marat Zolner był zaprawionym w boju żołnierzem rewolucji. W czasie wojny nakłaniał całe pułki do rozstrzeliwania oficerów. Dowodził sowieckim oddziałem, który zatrzymał pociąg cara. Walczył wraz z bolszewikami przeciwko demokratycznemu rządowi tymczasowemu. Błyszczał w bitwach kawaleryjskich z białymi lojalistami podczas wojny domowej w Rosji. Za granicą dowiódł, że jest wszechstronny, kiedy w Berlinie prowadził uczestników walk ulicznych na barykady. Antipow walczył u jego boku.

– Idź coś zjeść! - zawołał do szlifierza zaworów, również Rosjanina.

Kiedy zostali sami, zwrócił się do Antipowa:

– Chodź tutaj!

Podszedł do skrzyń z zapasowymi silnikami. Na jednej stała kasa pancerna.

– Otwórz ją!

Antipow pociągnął drzwiczki.

Sejf wypełniała gotówka, opasane pliki banknotów o nominałach stu i tysiąca dolarów.

– Skąd to masz?

– Zyski - odrzekł Zolner.

– Zyski?

– Pieniądze zarobione na szmuglu alkoholu od Rumowej Linii do zajazdów na Long Island i nielegalnych knajp w Nowym Jorku.

– Pytam o rewolucję, a ty odpowiadasz jak bankier. Zyski?

– To, co robię, kosztuje.

– A co dokładnie robisz?

– Maskuję naszą kominternowską siatkę zabójców i sabotażystów jako przestępczy syndykat przemycający alkohol - odparł Zolner.

– Nosisz swoją maskę aż za dobrze. Chwalisz się z dumą i radością. Gangsterami i szmuglerami. Przemysłnikami. A gdzie są towarzysze?

– To załoga „Czarnego Ptaka”. Lojalni bolszewicy z Robotniczo-Chłopskiej Czerwonej Floty. Johann był towarzyszem. Ty nim jesteś.

– A ty?

– Moi szmuglerzy i gangsterzy słuchają mnie. Jestem ich szefem przemysłnikiem. Nie wiedzą, że jestem z Kominternu. Nie dowiedzą się, dlaczego rozszerzyłem działalność na Chicago i Detroit ani dlaczego nasze imperium rozciąga się na Południe, Środkowy Zachód i wybrzeże Pacyfiku.

– Jesteś towarzyszem?

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? Oczywiście, że jestem towarzyszem.

Antipow pokręcił głową.

– Co jest, Jurij?

– Komintern wysłał cię do Nowego Jorku, żebyś wywołał rewolucję.

– Właśnie to robi moje imperium.

– Jaki miałeś udział w strajkach w stoczniach w Seattle? Jak pomogłeś w strajku policji bostońskiej? Jaką rolę odegrałeś w strajkach górników? Kogo zwerbowałeś podczas ogólnokrajowego strajku metalowców? A co z pierwszomajowym strajkiem marynarzy? Wербujesz Robotników Przemysłowych Świata? Przejąłeś kontrolę nad Komunistyczną Partią Stanów Zjednoczonych?

Zolner się roześmiał.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego - powiedział poważnie Antipow.

– Ruch robotników przemysłowych, amerykańska partia komunistyczna i związki zawodowe podupadają. Kongres, gazety i Legion Amerykański zasiały panikę z powodu Czerwonych. Ale jak widziałeś tej nocy w zajazdach,

Amerykanie z wszystkich warstw społecznych mają za dobrą zabawę z ignorowania prohibicji, żeby się przejmować polityką, a tym bardziej walką klasową. Gangsterzy są ich bohaterami. Dlatego mój amerykański oddział Kominternu walczy pod płaszczykiem przemytu.

– Może zainwestujesz swoje zyski na Wall Street - odrzekł sarkastycznie Antipow.

– Już to zrobiłem.

– Co?

– Dlaczego nie miałbym stworzyć potęgi z aktywów na Wall Street? Będzie finansowała operacje. Broń nie jest tania. Ciężarówki, auta, łodzie też nie. Nie mówiąc o łapówkach. Pieniądze to wpływy. To dostęp do potężnych sprzymierzeńców. Mam maklera, który doskonale inwestuje dla nas.

– Maklera?

– Żeby kupować akcje. Żeby zbierać pieniądze na plan.

– Twój plan jest drugorzędny i powolny.

– Nie dam się popędzać.

– Co gorsza, odchodzisz od rewolucji.

Marat Zolner popatrzył z góry na Antipowa.

– Posłuchaj mnie bardzo uważnie, Jurij. Jestem tu usadowiony. Ty dopiero przyjechałeś. Wyjaśnię ci, co tu się dzieje. Stany Zjednoczone wyszły z wojny światowej jako nowy lider międzynarodowego kapitalizmu, tak czy nie?

Antipow przyznał, że dawne imperia, niemieckie i brytyjskie, spustoszyła wojna.

– Zniszczenie najpotężniejszego kapitalistycznego imperium przemysłowego jest zbyt ważne, żeby się spieszyć lub przegrać.

– Ty nie niszczysz kapitalizmu. Ty go wspierasz.

– Nie pamiętasz naszych porażek. Rzuciliśmy się do walki z międzynarodową burżuazją na Węgrzech i przegraliśmy. Popędziliśmy na ulice Niemiec i znów przegraliśmy. Podczas żadnej z walk, w których uczestniczyłem, nie widziałem nic tak beznadziejnego, jak nasze powstanie w odwrocie.

– Jak wygramy wojnę, kogo będzie obchodziło, że przegraliśmy jakąś bitwę?

– Nie mamy żadnej fortecy, żeby do niej uciec, żadnego miejsca do odpoczynku, żadnego szpitala do leczenia rannych, żadnej zbrojowni do naładowania naszej pustej broni. Zatrzymałem się, żeby pomóc biednej dziewczynie z odstrzeloną szczęką. Zbiry z Freikorpsu się zjawiły i strzelały do rannych. Udawałem martwego. Ona jęknęła. Usłyszeli. Zabili ją. Skuliłem się pod jej ciałem, żeby uratować własną skórę i przysiągłem, że znajdę lepszy sposób walki z międzynarodową burżuazją.

– Przyłączenie się do niej?

– Pobicie burżuazji jej własną bronią - zaripostował Zolner.

– Wysłano cię, żebyś prowadził wojnę z państwem! - krzyknął Antipow. - A nie gierki!

– Prohibicja jest piętą achillesową Ameryki - odparł Zolner spokojnie, ale stanowczo. - To absurdalne prawo, którego ludzie nienawidzą, zniszczy państwo i uczyni przemytników bogatymi.

Uśmiechnął się z góry do Antipowa, zbyt pewny swojego planu, żeby podnosić głos.

– Uczyłem się walczyć na wojnach, które przegrywałem i które wygrywałem. Nie ma w Ameryce przemytnika, który może stawić mi czoło. Będę najbogatszy. Z moich zysków, którymi pogardzasz, sfinansuję atak Kominternu na rząd USA. Dzięki nim obalę oficjeli, skorumpuję policję i zniszczę państwo.

Jurij zmienił taktykę. Jego głos złagodniał.

– Towarzyszu Zolner - Maracie - wiesz, dlaczego Moskwa mnie przysłała. Mam ci przypomnieć, przyjacielu, o czerwonym terrorze? O tym, że Czeka likwiduje kontrrewolucjonistów?

– Nie jestem kontrrewolucjonistą.

– Porażka jest kontrrewolucyjna.

– Nie poniosę porażki.

– Moskwa decyduje, co jest porażką.

– Niech Moskwa zajmie się Rosją. Ja się zajmę Stanami Zjednoczonymi. Podam Kominternowi Amerykę na srebrnym półmisku.

– Tak samo chętnie wzięliby ją na metalu nieszlachetnym.

Patrząc na siebie surowo, nagle się roześmieli, zaskoczeni, że Antipow zażartował.

– I chętnie by mi wybaczyli? - zapytał Zolner.

Znów się roześmieli.

Ale oszukiwali się śmiechem. Obaj znali prawdę: Komintern nie wybaczał wolnomyślności.

Zolner podejrzewał jeszcze inną, bardziej ponurą prawdę: jego niegdyś odważny towarzysz walk ulicznych, związany z nim braterstwem krwi, stał się zmęczony. Jurij Antipow wszedł w rolę funkcjonariusza, aparaczyka z obsesją na punkcie nieistotnych szczegółów, zamiast wielkich planów. Ilu takich jak on przejmie kontrolę nad rewolucją, zanim ją uśmiercą?

– Fern czeka na ciebie - powiedział.

Antipow się rozpromienił.

– Jest tutaj?

– W domu.

Podniósł słuchawkę telefonu.

– Zadzwoń do niej. Powiem jej, że tu jesteś.

Dom w posiadłości był rezydencją z wapienia, którą zbudował magnat kolejowy trzydzieści lat temu w wieku pozłacanym. Zolner wprowadził Antipowa rzeźbionym wejściem do holu. Malowidło na suficie przedstawiało historię transportu lądowego od egipskich rydwanów do pociągów ekspresowych pędzących przez Góry Skaliste. Antipow popatrzył na mural w górze i zacisnął szczęki.

Ale kiedy Fern Hawley zeszła po wielkich półkolistych schodach, zmiękł jak zawsze w jej obecności. Szeroki uśmiech rozjaśnił jego ponurą twarz, wyciągnął rękę i krzyknął:

– Karły!

Fern ujęła jego dłonie i roześmiała się.

– Nigdy nie dasz mi tego zapomnieć.

– Nigdy.

Powitał ją okrzykiem „Karły!”, żeby jej przypomnieć przemianę, jaką przeszła pewnego pięknego lata w Paryżu. Pułki zwycięskich sojuszników maszerowały Polami Elizejskimi. Orkiestry grały, tłumy wiwatowały i słońce świeciło jasno. Fern nagle krzyknęła z zaskoczeniem:

– Karły!

– O co ci chodzi? - zapytał Zolner, który trzymał ją za rękę.

Angielski pułk maszerował we wzorowym porządku - karabiny idealnie równo na ramionach, mundury nieskazitelne - ale żołnierze byli niscy, żaden nie miał więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu.

– Są tacy mali - odrzekła. - Istne karły.

– Są tacy - przyznał Zolner. - Mimo to pobili Niemców.

Ale Jurij Antipow spojrzał na nią z miażdżącą pogardą.

– Co jest? - spytała. - Co powiedziałam?

– Nie wiesz, dlaczego są niscy?

– Nie. O co ci chodzi?

– To Pułk Lancashire. Angielscy górnicy.

– Jurij, o czym ty mówisz?

– Wydobywają węgiel od czterech pokoleń. Za psie pieniądze. Ani oni, ani ich ojcowie, ani ich dziadkowie, ani ich pradziadkowie nigdy nie jedli dość, żeby urosnąć.

Nawet tej nocy, trzy lata później i cztery tysiące osiemset kilometrów stamtąd, Fern Hawley skrzywiła się na wspomnienie swojej ignorancji i bezduszności.

– Są głodni - szepnęła wtedy.

Antipow sięgnął za Zolnera i chwycił ją za ramię.

– I pozostaną głodni do rewolucji - powiedział.

Dzięki niemu była głęboko przekonana, że międzynarodowa rewolucja proletariacka powinna obalić rząd. Dzięki niemu żarliwie popierała walczące nowe państwo rosyjskiego proletariatu - socjalistyczną republikę robotników, chłopów i żołnierzy.

– Jedliście? - zapytała.

Pociągnęła za sznurek dzwonka. Kamerdyner się zjawił.

– Co byś chciał, Jurij? Szampana? Drób na zimno?

– Chleb z kielbasą.

Kiedy później byli sami w okazałej sypialni na górze, zapytała Zolnera:

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Jurij przyjeżdża?

Marat Zolner widział Fern Hawley w akcji. Podziwiał jej odwagę i opanowanie pod ogniem. Nie spanikowała, gdy natarła policja z pistoletami i gumowymi pałkami. Kiedy ostrzeliwali barykady z moździerzy, potrafiła się wycofać, nie tracąc determinacji. Rzadki dar. Rewolucja potrzebowała takich jak ona do prowadzenia walki. Ale była naiwną romantyczką. Jeśli Komintern osiągnie etap wzorcowy, kiedy wojna będzie w końcu wygrana, odważni naiwni romantycy zostaną zastrzeleni w interesie stabilności. Bo będą tak niebezpieczni, jak wolnomyśliciele.

Na razie widział wielką korzyść w tym, że jest z nią.

Pomogła mu już uniknąć egzekucji w Europie, spojrzeniem zmuszając gliniarzy do kapitulacji, jak tamtego prywatnego detektywa w szpitalu Roosevelta. W Ameryce pokazała mu co i jak i zapewniła doskonałą przykrywkę. Razem wymyślili przebrania, które pozwalały mu poruszać się swobodnie. Nauczył się małpować pretensjonalność eleganckich białych rosyjskich emigrantów w Nowym Jorku, San Francisco i Los Angeles. Lub w łańkach robotnika mógł uchodzić za jednego z wielu anonimowych cudzoziemców harujących w portach, kopalniach i hutach. A żeby obracać się wśród ich szefów, musiał tylko wejść do opery lub nielegalnego baru wysokiej klasy w towarzystwie Fern.

– Nie powiedziałem ci, że Jurij przyjeżdża, bo to, czego nie musisz wiedzieć, zagraża tobie i naszej misji. A gdyby cię zmuszono do ujawnienia, co wiesz?

– O czym ty mówisz? To nie Rosja ani Niemcy. Jesteśmy w Stanach Zjednoczonych.

– Myślisz, że tutaj nie ma tortur?

Roześmiała się.

– Wiedzieliby, co to są tortury, kiedy moi prawnicy skończyliby z nimi.

– Przepraszam - odrzekł Zolner. - Stare nawyki trudno wykorzenić.

– Proszę cię tylko, żebyś mi ufał. Powinieneś mi powiedzieć. Jurij to mój przyjaciel.

– On nie jest niczym przyjacielem.

– Jest twoim.

– Walczyliśmy razem. Łączy nas braterstwo krwi. Ale on nie jest moim przyjacielem. Jest kominternowcem od stóp do głów.

- Wiem. Dlatego mnie lubi. Wie, że jestem tak oddana proletariatowi jak on.
 - Jest kominternowcem - powtórzył Zolner. - Gdyby Moskwa kazała mu wrzucić cię do ognia, zrobiłby to bez namysłu.
 - Ty też jesteś kominternowcem.
 - Używam mózgu do myślenia. Oni nienawidzą myślenia, którego nie mogą kontrolować.
 - Jurij wrzuciłby cię do ognia?
- Zolner uśmiechnął się do niej lekko i zgasił światło.
- Tylko gdyby mu kazali.
 - Marat - szepnęła w ciemności. - Jestem wdzięczna Jurijowi i podziwiam go. Ale nigdy nie mogłabym go pokochać tak jak ciebie.
 - Za co jesteś mu wdzięczna?
- Usiadła w łóżku z baldachimem i opasała ramionami kolana. Niebo się wypogodziło i przez okno balkonowe zobaczyła sierp księżyca nad zatoką.
- Jurij pomaga mi zrozumieć świat, którego nie znałam, dopóki nie spotkałam was dwóch. Jest jak mądry wujek. Ale ty jesteś moją muzą. Jurij był moim przewodnikiem. Ale ty jesteś moim towarzyszem broni.
 - Zaczekaj, dopóki nie zmuszą cię do wyboru - odparł posępnie Zolner.
 - Będę walczyć u twego boku.

10.

List z biura naczelnego lekarza sądowego przyszedł do biura terenowego Van Dorna w pierwszej porannej poczcie.

Drogi Isaacu,

proch na ranie postrzałowej Johnny'ego wyprodukowała firma Aetna Explosives Company w Mt. Union w Pensylwanii. Mam nadzieję, że to pomoże.

Pozdrawiam

Shep

Bell znalazł tę wytwórnię prochu, rozległą fabrykę, którą często widział z pociągu Broadway Limited na głównej linii kolei Pennsylvania Railroad między Altooną i Harrisburgiem.

Odpisał:

Drogi Shepie,

to tyle, jeśli chodzi o przeczucia. Tamten rosyjski strzał w kark zasugerował mi, że proch był z Niemiec lub Rosji. Jak będziesz następnym razem na Piątej Alei, postawię ci drinka albo mocną herbatę.

Serdeczne pozdrowienia

Isaac

Bell pobiegł ze stacji kolejowej w Sayville do parterowego budynku z białym oszalowaniem i jońskimi kolumnami pod szerokim trójkątnym zwieńczeniem w stylu neogreckim. Wklęsły czarny napis głosił:

„The Suffolk County News”

Pod pachą trzymał kilka ostatnich wydań tygodnika z Long Island, które zamówił w dziale badań Van Dorna. Wszedł i zauważył swoją ofiarę, emerytowanego prywatnego detektywa Scuddera Smitha. Smith był w samej koszuli z opaskami na łokciach i czerwonej muszce. Siedział za biurkiem i czytał długą żółtą szpalnę, która śmierdziała mokrym tuszem.

– Chłopcy od badań znaleźli mi twoje artykuły o przemytnikach alkoholu - powiedział Bell. - Fascynujące.

Smith podniósł wzrok, upuścił szpalnę i zerwał się z miejsca.

– Isaac! Jak się masz, do diabła?

Bell uściskał mu dłoń.

– Dawno się nie widzieliśmy, Scudder.

Przyjrzeni się wzajemnie swoim twarzom.

Smith pomyślał, że Bell wygląda tak młodo, zdrowo i energicznie, jak zawsze, mimo lat i wojny, która na wielu odcisnęła piętno. Bell pomyślał, że Smith wygląda, jakby nie wypił drinka od lat i w konsekwencji jest dużo mniej gruzłowaty niż wtedy, gdy widział go ostatnio.

– Co tu robisz? - zapytał Scudder. - Masz robotę?... Zaczekaj chwilę. Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Gazeciarze nie sprzedają „Suffolk County News” na chodnikach Nowego Jorku.

– Żona pana Van Dorna pokazała mi list, który przysłałeś do szpitala.

– Jak on się ma?

– Trzyma się. Zostawił mnie na gospodarstwie i mam ręce pełne roboty, starając się utrzymać agencję na powierzchni. Ale wiem, że on ma nadzieję, że nie ma żadnej urazy.

– Nie, do diabła. Wywalenie za picie było najlepszą rzeczą, jaka mnie spotkała. Otrzeźwiałem. Ożeniłem się z dziewczyną moich marzeń. Helen szybko odziedziczyła gazetę. Więc jestem z powrotem w mojej pierwotnej branży, piszę wiadomości. To bije na głowę zadzieranie z bandziorami o połowę młodszy ode mnie. I nie muszę sterczeć w pokoju prasowym sądu karnego, popijając przypaloną kawę. Idę do domu na lunch z moją piękną żoną i piszę, co chcę. Jestem nawet filarem lokalnej społeczności. Spodoba ci się to, Isaac. Zrobili mnie członkiem Zakonu Odd Fellows, Bractwa Łosia i masonem. A goście, którzy zakładają Lions Club, też mnie poprosili, żebym się przyłączył do nich.

– Nie ma trochę spokoju? - spytał Bell.

Scudder Smith, reporter, który został detektywem, słyszał w Agencji Van Dorna ze znajomości każdej ulicy w mieście, każdego saloonu i każdego burdelu. I nie było lepszego przewodnika po palarniach opium w Chinatown.

– Od wprowadzenia prohibicji, nie - odparł Scudder.

Bell skinął głową.

– Wciągając powietrze, mam wrażenie, że została powitana z otwartymi ramionami. Czuję więcej gorzały w morskiej bryzie niż soli.

– Połowa miasta uruchomiła domowe destylarnie. Jedyni, którzy nie czują zapachu pędzonego bimbru, to gliniarze.

Podniósł szpaltę.

– To mój wstępniak o gliniarzach podejmujących kolację tancerki rewiowe w drogich zajazdach. Nie wiem, kto to przeczyta. Całe South Shore dobrze się bawi.

– Twoja żona pracuje w gazecie?

– Mogłaby. Praktycznie prowadziła ją za ojca przez lata.

– Tak słyszałem.
– Co masz na myśli?
– Mogłaby cię zastąpić na jakiś czas?
– Po co?
– Żebyś mógł wrócić do Nowego Jorku i pomagać mi, dopóki nie uporządkuję spraw.

– Isaac, stary - zaciągnął Walt „Teksas” Hatfield. - Chętnie bym ci pomógł, ale Hollywood spętało mnie mocniej niż związanego cielaka.

Walt „Teksas” Hatfield, inny były detektyw Van Dorna, został amantem filmowym, który grał w mnóstwie westernów. Mówił z jeszcze wyraźniejszym teksaskim akcentem i dobierał bardziej kowbojskie słowa, ale nadal był szczupły i wyglądał groźnie jak nóż Komanczów do skalpowania. Bell wytropił go w palmowym atrium hotelu Plaża. Goście przy innych stolikach gapili się i kilka osób przystanęło, żeby poprosić Walta o autograf. Podpisywał się mężczyznom z potężnym uściskiem dłoni, a kobietom z obiecującym uśmiechem.

– Chodzi mi o to, że gdybym mógł się wymigać od tego kontraktu, byłbym z tobą raz-dwa.

– Na pewno? - zapytał Bell.

– Jasne, do diabła. Tęsknię za strzelaniną prawdziwymi pociskami.

Bell skinął dyskretnie głową kierownikowi sali, który czekał na jego znak.

Walt zmienił temat.

– Bardzo mi ulżyło, że Boss się trzyma. Jak ci idzie tropienie bandziorów, którzy go postrzelili?

– Straż Przybrzeżna mnie blokuje, nie dopuszcza do załogi, więc nie mam informacji od świadków. Gliniarze robią to samo, bo głupio im, że wpuścili zabójcę do sali szpitalnej świadka, którego pilnowali. Ale sekcja zwłok faceta była ciekawa...

Opowiedział Waltowi o *Genickschuss*.

– Nie chciałbyś spróbować tego z czterdziestkipiątki - zaciągnął Hatfield. - Musiałbyś zebrać szybko sprzątaczy, żeby wyczyścili ściany... A co u pięknej Marion? Wybacz, że nie zapytałem wcześniej.*

– Kręci komedię w Fort Lee.

– Więc masz swoją dziewczynę ze sobą! To świetnie.

Kierownik sali wrócił z kelnerem, który niósł telefon lichterzowy z bardzo długim przewodem.

– Przepraszam, panowie. Jest międzymiastowa z Los Angeles do pana Walta „Teksasa” Hatfielda.

– Wybacz na chwilę, Isaac. Jak mówię, przywierają do mnie całego jak farba.

Wziął telefon i przysunął go do ust i ucha.

– Tak. Tu Walt „Teksas”. Kto mówi?

Usiadł prosto i zasłonił mikrofon.

– To pan Andrew Rubenoff - mruknął do Bella. - Właściciel studia filmowego... Tak, jasne, panie Rubenoff. Tak, jasne. Tak, jasne... Co pan powie... Rozumiem. Okej. Dziękuję... O co chodzi? Niech pan poczeka, jest tutaj.

Walt „Teksas” podał telefon Bellowi.

– Coś niebywałego. Właśnie zwolnił mnie czasowo z kontraktu. Teraz chce rozmawiać z tobą. Nazywa się Andrew Rubenoff.

Bell wziął telefon.

– Dziękuję, wujku Andy - powiedział i się rozłączył.

Walt „Teksas” popatrzył na niego. Szeroki uśmiech wykrzywił wolno jego pobrużdżoną twarz.

– Isaac. Ty skurczybyku.

– Myślałem, że rwiesz się do prawdziwej strzelaniny.

– To naprawdę twój wujek?

– Nazywam go tak dla żartu. Jest starym przyjacielem mojego ojca z bankowości.

– No dobra, masz mnie. Co teraz zamierzasz ze mną zrobić?

– Zaprzęć cię do pracy.

Znów im przerwano. Panie chciały autograf Walta. Podpisał ich książki i olśnił je uśmiechem. Kiedy odeszły, zwrócił się do Bella:

– Mam nadzieję, że nie przygotowujesz dla mnie roli żadnego przebierańca. Ta stara twarz jest zbyt znana, żebym mógł działać incognito.

– Ukryję cię na widoku.

- Jak?
 - Byłeś kiedyś w Detroit?
 - A co tam jest, do licha, poza mnóstwem samochodów?
 - Przemysłowcy - odrzekł Bell. - Roi się tam od nich.
 - Jasne. Bo to półtora kilometra od Kanady. I co to ma wspólnego ze mną?
- Bell spojrzał Hatfieldowi w oczy.

– Walt, właśnie dostałem wiadomość, że skorumpowali nasze tamtejsze biuro terenowe od góry do dołu. Nasi chłopcy biorą łapówki za ochronę transportów alkoholu i wyduszają pieniądze z boyów hotelowych.

– Nasi chłopcy? - zapytał Teksaszczyk z gniewną miną. - Jesteś pewien, Isaac?

- Nie wiem, kto nadal jest uczciwy. Chcę, żebyś złożył im wizytę.

Walt pomaszerował prosto do szatni, rzucił ćwierć dolara i włożył stetsona na głowę. Bell złapał go przy drzwiach frontowych.

– Masz tu bilet na pociąg. Zarezerwowałem prywatny przedział w Detroiterze.

- Stać mnie na podróż w prywatnym przedziale.
- Nie na pensji detektywa. Zadepeszuj do mnie jutro.

Telegram czekał na Bella w nowojorskim biurze terenowym na pierwszym piętrze hotelu St. Regis przy Piątej Alei, trzy przecznice od Plaży.

„Paryski szef ranny. Sprawa osobista. Nie jego żona. Zastępuję. Archie”.

Bell zmiął depeszę. Liczył, że jego najlepszy przyjaciel, Archibald Angell Abbott IV wróci z Europy, dokąd wysłał go Van Dorn, żeby ożywił działalność biur w Paryżu, Rzymie i Londynie. Wiadomość oznaczała, że musi znaleźć inną prawą rękę do pomocy w porządkowaniu spraw agencji.

McKinney był zajęty dyrygowaniem biurem w Nowym Jorku. Harry Warren był zajęty w brygadzie antygangowej. Nawet gdyby nie był, ten detektyw znający każdego gangstera w Nowym Jorku nie miał wiedzy ogólnokrajowej, jakiej potrzebował Bell. Nie miał jej też Scudder Smith. Tim Holian w Los

Angeles i Horace Bronson, który wrócił z Paryża na swoje dawne stanowisko w San Francisco, byli potrzebni tam, żeby czuwać w zachodnich stanach.

– Gdzie Dashwood?

– Na strzelnicy karabinowej, panie Bell.

Bell poszedł szybko Park Avenue do zbrojowni Siódmego Pułku i zszedł do podziemia. Snajperzy z wyborowej drużyny strzeleckiej pułku ćwiczyli do zawodów na dwupoziomowej strzelnicy. Zaczekał za linią ognia, wdychając zapach prochu bezdymnego, aż ucichnie hałas dwudziestekdwójek. Tarcze zostały przyciągnięte. Strzelcy je obejrzeni i podali instruktorowi.

Porównał najciaśniejsze skupienia trafień wokół dziesiątek i uniósł tarczę zwycięzcy. W środku czarnego kręgu widniał tak czysty otwór, jakby złożono papier na pół i wycięto go półkolistymi nożyczkami.

– Numer czternaście. Numer czternaście. Gdzie pan jest?

Detektyw James Dashwood zszedł z górnego poziomu. Bell pomyślał, że wygląda bladziej niż kiedykolwiek. Cerę miał jak trup i był przeraźliwie chudy. Garnitur wisiał na nim luźno.

– Oczywiście - powiedział instruktor. - Powinienem się domyślić. Panowie, przedstawiam wam porucznika w stanie spoczynku Jamesa Dashwooda.

Rozległy się pełne szacunku pomruki. Jego służba w Amerykańskich Siłach Ekspedycyjnych, w których był snajperem w okopach, obrosła legendą.

– James, pokaż im swój „karabin” - poprosił instruktor ze znaczącym uśmiechem.

Dashwood wzruszył nieśmiało ramionami. Miał chłopiący głos.

– To nic takiego.

– Proszę, James.

Dashwood się rozejrzał, wyraźnie skępowany, że jest w centrum uwagi. Zobaczył obserwującego go z daleka Bella. Uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego twarz. Bell z dumą pokazał swojemu dawnemu praktykantowi uniesiony kciuk.

Dashwood wyciągnął pistolet spod marynarki, uniósł go, żeby wszyscy zobaczyli, i spuścił wstydliwie głowę w odpowiedzi na wiwaty.

Kiedy szli sami Park Avenue, Bell zapytał:

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Pytam nie bez powodu - powiedział Bell. - Jak twoje zdrowie?

Dashwood padł ofiarą niemieckiego ataku gazowego. Chlor zniszczył mu płuca.

– Mam dobre dni i złe. W tej chwili wszystko jest w porządku.

– Kiedy ostatni raz kaszel cię rozłożył?

– W zeszłym miesiącu. Przeszło mi. O co chodzi, panie Bell?

– Myślę, że powinieneś zacząć mówić mi po imieniu.

– Okej, Isaac - odrzekł wolno Dashwood, pokonując opory przed niecodziennym sposobem zwracania się do szefa, który był jego nauczycielem, mędrce i doradcą w jednej osobie. - Dlaczego pytasz o mój stan?

– Obiecałem panu Van Dornowi, że będę się zajmował agencją, dopóki on nie wyzdrowieje. Potrzebuję prawej ręki. I kogoś do rozwiązywania problemów, kogo będę mógł wysłać wszędzie na kontynencie.

– Dlaczego nie Archiego Abbotta?

– Bo utknął we Francji.

– Nie ma nikogo innego?

– Nikogo, kogo bym wolał.

Bell przystanął, spojrział Dashwoodowi w oczy i wyciągnął rękę.

– Możemy to przypieczętować uściskiem dłoni?

– Telefon, panie Bell. Doktor Nuland z kostnicy.

– Cześć, Shep. Jeszcze raz dziękuję za raport o prochu.

– Nie poszukałbyś przypadkiem jakiegoś Rosjanina?

Bell poczuł podniecenie.

– Jest prawdopodobne, że strzał w kark oddał jakiś Rosjanin. A dlaczego?

– Pogrzebałem trochę głębiej, jak dostałem twój list. O twoich przeczuciach. Okazuje się, że w latach tysiąc dziewięćset czternaście, piętnaście i szesnaście Aetna Explosives Company zrealizowała duże kontrakty na dostawę prochu bezdymnego rosyjskiemu rządowi.

Kiedy Bell się rozłączył, zadzwonił do znajomego w laboratorium policji nowojorskiej. Był to ekspert od pocisków, któremu dobrze i regularnie płacono za prywatną pracę dla Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

– Dzwonię w sprawie tamtej łuski znalezionej w szpitalu Roosevelta, gdzie zamordowano ofiarę strzelaniny. Tej z okrągłym wybrzuszeniem, z pistoletu mann. Orientuje się pan, gdzie ją wyprodukowano?... O co chodzi?

Bell słyszał tak, jakby ekspert szeptał do mikrofonu zasłoniętego ręką.

– Jak już panu mówiłem, panie Bell, wyszli na głupich i stracę pracę za udzielenie informacji. Bardzo mi przykro, panie Bell. Ale wywalą mnie, jeśli mnie przyłapią.

– Nie mam urazy - odrzekł Bell i się rozłączył.

Nie był zaskoczony, ale warto było spróbować. Podobny opór napotykał ze strony Straży Przybrzeżnej. Ilekroć usiłował przesłuchać załogę CG-9, mówiono mu, że jest poza zasięgiem, daleko na morzu, albo ma zepsute radio. Prawda była taka, że szychy w Straży Przybrzeżnej były tak samo zażenowane postrzeleniem Van Dorna, jak szychy w policji spartaczoną ochroną w szpitalu.

Ale udało mu się zerknąć na raport o kuli, którą Shepherd Nuland wydobyl z czaszki Johnny'ego. Nie znalazł tam jednak żadnej wskazówki co do jej pochodzenia. Tak więc możliwość, że proch bezdymny jest rosyjski była jedyną informacją bliską prawdzie, jaką zdołał uzyskać.

Napisał radiotelegram szyfrem Van Dorna. Radio Corporation of America miało go nadać z dawnej Stacji Łączności Bezprzewodowej Marconiego w New Jersey do liniowca „Nieuw Amsterdam”.

„Proch po strzale w kark prawdopodobnie rosyjski”.

Niewiele, żeby iść dalej. Ale Pauline Grandzau będzie miała coś do przemyślenia na statku. A kiedy Pauline czymś się zajmowała, często wychodziło z tego coś interesującego.

11.

Nowi szefowie „Sierpa” Newdella, Matt i Jake, mieli plany i ambicje większe niż ktokolwiek, z kim Sierp kiedykolwiek się zadawał. Większe niż Gofarzy, gang Biała Ręka i Włosi, którzy przejmowali doki. Od samego patrzenia na wielki budynek rządowy, do którego zamierzali się włamać, był zdenerwowany.

Matt i Jake siedzieli z tyłu w marmonie zaparkowanym na Greenwich Street pod nadziemną linią kolejową Dziewiąta Aleja w Greenwich Village dwie przecznice od pirsów. Sierp siedział za kierownicą. Wysoko nad linią kolejową wznosił się w noc budynek rządowy, dziesięciopiętrowy potwór z cegły i kamienia. Zajmował cały kwartał ograniczony ulicami Christopher, Greenwich, Barrow i Washington. Sierp zawsze nazywał go Budynkiem Celnym, ale znano go również jako Składy Taksatorów i Urząd Próbek. W tym ogromnym magazynie Służba Celna Stanów Zjednoczonych pobierała próbki importowanych towarów do oceny, jaki podatek można nałożyć na zagraniczne produkty. W tej istnej fortecy władze składowały również skonfiskowany alkohol, przemycone klejnoty, antyki i inne cenne rzeczy, na których położyły łapę. W zeszłym tygodniu celnicy przechwycili transport pistoletów maszynowych dla Sinn Fein w Irlandii. Faceci marzyli, żeby się włamać do tego budynku.

Matt i Jake naprawdę zamierzali to zrobić. Interes alkoholowy nie do pobicia.

Matt przekupił pewnego agenta prohibicyjnego. Dowiedział się od niego, kiedy jest planowany duży nalot na przemytników gorzały i gdzie zostanie zmagazynowany zajęty towar - na parterze przy wejściu z Christopher Street. Matt wyjaśnił, że to ułatwia sprawę. W budynku było mnóstwo przestrzeni magazynowej. Dziesięć wind i pięć kilometrów korytarzy. Siedmiuset urzędników pracowało tam w dzień. Bliskość drzwi frontowych ułatwiała szybkie wejście i wyjście. Zwłaszcza późną nocą. Tak twierdził Matt.

Ale Sierp się denerwował i nie mógł przestać mówić. Kiedy czekali na sygnał od człowieka Matta w środku, znów spróbował przerwać milczenie, którym się odgradzili jak pancierzem.

– Faceci w samochodzie mówili, że mogłeś zastrzelić detektywa, Matt.

Matt nie odpowiedział.

– Zrobiłeś to?

Marat Zolner oceniał, czy Sierp Newdell ma potencjał. Potrzebował jakiegoś Amerykanina do reprezentowania go, kiedy nie będzie chciał, żeby zauważono jego twarz lub akcent. Ale zaczynał wątpić, że Sierp się nadaje.

– Zrobiłem co?

– To, co mówią tamci faceci. Że zastrześliłeś prywatnego detektywa.

– Sierp, przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że ktokolwiek tak powiedział, sam może zostać zastrzelony?

Newdell szybko się wycofał.

– O nic im nie chodziło. Tylko zgadywali. Po prostu się zastanawialiśmy - oni się zastanawiali - czy jesteście tymi facetami, co zastrzelili Josepha Van Dorna.

Zolner milczał. Zdenerwowany Sierp przypieczętował swój los. Dureń po prostu nie wiedział, kiedy się zamknąć.

– Dostaliście szmergla? - palnął. - Zastrzeliliście Joego Van Dorna? Wiecie, kto to jest?

– Tylko detektyw.

– Już jest źle, jak się zastrzelił byle jakiego vandornowca. Nawet detektywa hotelowego. Ale wy zastrzeliliście ich szefa.

– To nie gliniarz.

– Vandornowcy mają powiedzenie: „Nigdy się nie poddajemy! Nigdy!”

– Słowa.

– Nigdy się nie słyszy, że się poddają... Więc zastrzeliliście go?

Jurij wykonał błyskawiczny ruch i przycisnął sztych swojego sztyletu do gardła Newdella.

– Przestań gadać!

– Okej! Okej!

– Zamknij się!

Sierp zacisnął wargi i znieruchomiał.

Antipow zerknął na Zolnera. Zolner pokręcił głową. Newdell przyda się jeszcze przez parę godzin albo dłużej. Antipow schował sztylet.

Zolner wyciągnął z kieszeni zegarek kolejowy waltham i odwrócił go do światła latarni ulicznej.

– Zapal silnik.

Chwilę później mężczyzna ubrany jak urzędnik - w garniturze, krawacie i meloniku - nadszedł Greenwich Street od strony Barrow. Spojrzał niespokojnie na marmona, spuścił głowę i przyspieszył.

– Powoli - polecił Zolner. - Miej go na widoku.

Mężczyzna skręcił w lewo w Christopher.

– Zatrzymaj się. Chodź z nami.

Jurij wysiadł, zanim samochód przestał się toczyć. Zolner poszedł w jego ślady i dał znak Sierpowi, żeby trzymał się blisko. Skręcili za róg. Urzędnik pukał do drzwi frontowych. Głowę miał spuszczoną i bał się spojrzeć w ich kierunku. Światło padło na chodnik, kiedy drzwi zostały odryglowane i otwarte do środka.

– Dziękuję - powiedział urzędnik. - Pracuję dziś do późna w biurze weryfikatora.

– Dobrze, panie Knowles - odparł strażnik. - Hej!

Antipow popchnął urzędnika na niego. Zolner powalił Knowlesa na podłogę i zrobił miejsce Sierpowi. Newdell posłał strażnika na kolana, zanim tamten wyciągnął rewolwer, i pozbawił go przytomności ciosem w szczękę.

Zolner przytknął drzwi. Jego pięcotonową ciężarówka wyjechała z za rogu Washington Street, zahamowała z piskiem i cofnęła się z rykiem silnika przez chodnik do drzwi frontowych. Dokerzy wyskoczyli spod brezentu przykrywającego skrzynię ładunkową i wbiegli do pomieszczenia ze skonfiskowaną gorzałą. Po minucie ładowali skrzynki kanadyjskiej whisky na ciężarówkę.

– Sierp! Chodź ze mną i Jakiem.

Zolner popędził do wind. Oprócz jednej, wszystkie były ciemne o tej późnej porze. Windziarz rozwalony w kabinie ziewał. Dopiero po chwili zorientował się, że coś jest nie tak. Za późno. Na znak Zolnera Sierp zdzielił go metalową pałką pokrytą skórą. Władowali się do środka i Zolner sprowadził kabinę do dolnej sutereny, gdzie według informacji od Knowlesa mieściła się centrala

telefoniczna. Sierp pozbawił przytomności nocnego telefonistę. Zolner i Antipow wyłączyli magistrale. Potem wrócili biegiem do windy. Zolner naparł mocno na manipulator i kabina wystrzeliła w górę.

– Hej, dokąd jedziecie? - zapytał Sierp, kiedy minęli parter.

– Zamknij się - odparł Jurij.

Zolner doprowadził windę na dziesiąte piętro, ostatnie. On i Jurij wysiedli z wyciągniętą bronią. Sierp podążył za nimi z zakrwawioną pałką. W pustym i niestrzeżonym korytarzu ciągnął się szereg ślepych stalowych drzwi. Zolner odliczył cztery od windy.

– Mam nadzieję, że masz klucz - powiedział Sierp, trzymając się blisko z tyłu.

Antipow odepchnął go na bok i wyciągnął z kieszeni ćwierć laski dynamitu. Przymocował ją do gałki drzwi taśmą izolacyjną i zapalił krótki lont zapalką. Sierp uciekł w głąb korytarza. Antipow i Zolner pobiegli za nim. Ładunek eksplodował z ostrym trzaskiem bardzo dużego fajerwerku. Drzwi wpadły do skarbca, gdzie leżała sterta brezentowych worków długości metr dwadzieścia każdy.

Antipow rozciął jeden sztyletem. Wyciągnął broń o wyglądzie krótkiego karabinu lub strzelby z dwoma chwytami i prostym magazynkiem skierowanym w dół. Nie miała kolby.

– Co to jest? - zapytał Sierp.

– Unicestwicz - odrzekł Zolner.

Przycisnął to mocno do biodra i wycelował przed siebie. Zebrał szybko worki z bronią i inne z zapasowymi magazynkami.

– Co to jest unicestwicz?

– Pistolet maszynowy.

– Maszynówka, którą można nosić ze sobą?

Sierp był zdumiony. Faceci, którzy wrócili z wojny, opowiadali o karabinach maszynowych lewis. Ale tamte kaemy dużo ważyły - ponad trzynaście i pół kilograma - i miały metr dwadzieścia czy półtora metra długości. I musiały być zamontowane na czymś stałym. Tę broń można było wsunąć pod płaszcz.

– Strzela amunicją pistoletową kaliber czterdzieści pięć. Dwadzieścia nabojów w magazynku. Przeładowanie trwa moment.

– Nigdy takiego nie widziałem.

- Tak jak nikt w Nowym Jorku. Weź to i chodźmy.
 - Zaczekaj. To są thompsony znalezione przez celników na statku. Broń Sinn Fein.
 - Nie - zaprzeczył Antipow. - Jest nasza.
 - No tak, ale...
 - Sierp, co upuściłeś?
- Newdell schylił głowę i spojrzał na swoje stopy.
- Co?
- Antipow przystawił rewolwer do karku boksera i nacisnął spust. Sierp upadł.
- Po co to zrobiłeś? - zapytał Zolner.
 - Nie zamierzałeś go zabić?
 - Powinieneś poczekać. Mógł nam pomóc nieść broń.

12.

- To robota Irlandczyków.
 - Co? Broń czy gorzała?
 - Jedno i drugie. Gorzała była zasłoną dymną Sinn Fein, żeby odzyskać pistolety maszynowe.
 - Dobra zasłona dymna. Dwudziestoletnia canadian club warta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Sinn Fein powinna przerwać wojnę domową i otworzyć nielegalną knajpę.
- Tak rozmawiali detektywi, którzy wbiegali i wybiegali z biura Van Dorna. Bell ustawił biurko na środku pokoju, żeby trzymać wszystkich w ryzach, i przeglądał cześć raporty o postrzeleniu Van Dorna.
- Był poranek po zuchwałym i błyskotliwym nocnym napadzie na Składy Taksatorów. Gazety wydrukowały niecałą połowę historii, którą prywatni detektywi poskładali w całość. Dobrze się bawiły, krytykując prohibicję, urzędników i agentów prohibicyjnych, Służbę Celną, Departament Skarbu i policję nowojorską.
- Zczekajcie - powiedział Darren McKinney - aż się dowiedzą o pistoletach maszynowych. Głowy polecą.

Gliniarze nowojorscy i celnicy ukrywali kradzież broni przed prasą, ale prawda musiała w końcu wyjść na jaw.

Harry Warren wpadł pędem do pokoju.

– Isaac! Posłuchaj najnowszych wieści. Właśnie rozmawiałem z celnikiem, który...

– Jeśli to nie ma nic wspólnego z Joem Van Dornem, nie chcę tego słuchać...

Ale kiedy Bell to mówił, zastanowił się i zmienił zdanie. Jakakolwiek zdobyta przez nich informacja o napadzie mogła sprawić, że się przydadzą rządowi federalnemu.

– Zaczekaj, cofam to. Co jest?

Harry przysunął się blisko i ściszył głos.

– Coś śmierdzi. Znaleźli martwego faceta w skarbcu z pistoletami maszynowymi. Chłopaka nazwiskiem Ricky „Sierp” Newdell, drobnego bandziora marzącego o karierze zawodowego boksera.

– Co śmierdzi?

– Przesiadywał w jadalni na Osiemnastej. Celnik nie wiedział tego, ale to speluna Goferów. Sierp należał do nich.

– Żartujesz. Co Gofer miał wspólnego z tamtym skokiem?

– Też się zastanawiam. Goferzy są wykańczani od przed wojny. Banda, która się przeniosła do Chelsea, nie potrafiłaby zliczyć do trzech.

– Mogli być wynajęci przez Sinn Fein? - zapytał Bell z powątpiewaniem.

– Ci Irlandczycy nie są głupi. I mają mnóstwo własnych ludzi z bronią. Nie potrzebują Goferów.

– Jak umarł?

– Od kuli.

– Pierwsze słyszę, że tam była wymiana ognia.

– Nie. Nie od celników. Wygląda na to, że jeden z jego kumpli go załatwił.

– To bez sensu - stwierdził Bell. - Z tego, co mówią, skok poszedł gładko. W takich razach faceci zwykle nie zabijają się nawzajem podczas roboty.

– Zgoda, ale Gofer, którego nie powinno tam być, nie żyje. Coś jest nie tak.

Przerwał im Ed Tobin. Szef Chłopców Bossa wyglądał, jakby nocował pod mostem. Garnitur miał pognieciony, czapkę zniszczoną, cerę ziemistą. Ale w jego oczach błyszczał triumf.

– Znalazłem kumpla waszego Johnny’ego - oznajmił. - Jestem całkiem pewien.

Bell zerwał się z miejsca.

– Gdzie?

– Poławiacz ostryg ze Staten Island, facet nazwiskiem Tom Kemp, któremu stawiałem drinki, powiedział, że jego znajomy przemytnik zniknął akurat wtedy, kiedy miał wynająć jego łódź na taksówkę do gorzały. Przemytnik pasował do rysopisu waszego Johnny’ego i miał niemiecki akcent.

– Miał na imię Johnny?

– Nie doszliśmy do tego. Kumpel Kempa wszedł do „ślepej świni” i rozpoznał moją gębę. Jak tylko chlapnął, że jestem detektywem, Kemp się zamknął.

– Wyciągnę to z niego - odparł Bell.

– Nie będzie gadał z detektywem. Uważa, że my i gliniarze to jedno i to samo. Nie dziwię mu się, skoro zamierza się utrzymywać z przemytu gorzały... Hej, dokąd idziesz, Isaac?

– Każ garażowi przysłać stutza bearcata.

Wysoki detektyw pomaszerował do przebieralni. Zdjął ubranie i włożył granatowy garnitur w prążki za sto trzydzieści dolarów, który trzymał w szafie. Marynarka była wcięta w pasie i dopasowana do jego szerokich barów. Zawiązał jedwabny krawat, złożył odpowiednią chusteczkę i wsunął ją do zewnętrznej kieszonki marynarki. Potem przełożył to, co miał w kieszeniach. Z kapeluszy na wieszaku wybrał starannie ciemne borsalino i przyjrzał się sobie w wysokim lustrze. Zawiązał getry na butach i spojrzał jeszcze raz.

Czegoś brakowało.

Rozpiął marynarkę i powkładał inaczej rzeczy. Zapiął ją, zsunął kapelusz na oczy i wrócił do pokoju.

– Chodźmy.

– Dlatego chcesz stutza - powiedział Tobin. - Będziesz w nim wyglądał jak wysokiej klasy przemytnik.

– I dlatego że ma silnik o pojemności pięciu tysięcy dziewięciuset centymetrów sześciennych i mocy osiemdziesięciu koni mechanicznych - odrzekł Bell. - Ten wizerunek powinien przekonać twojego człowieka, że zamierzam wynająć jego łódź.

– Podoba mi się wyrzucenie od spluwy.

– Nie mów mojemu krawcowi.

Bell rozpiął marynarkę, żeby pokazać Tobinowi notes, który wepchnął za kaburę pod pachę. Celowo zmarszczył materiał, który jego krawiec tak umiejętnie skroił, żeby ukryć browninga.

Dojechali stutzem do Battery i przewieźli go promem na Staten Island. Z przystani w St. George pojechali obok rezydencji i domów wczasowych na Richmond Terrace i wzdłuż Kill Van Kuli, wąskiej i krętej cieśniny oddzielającej Staten Island od New Jersey i prowadzącej do portu nowojorskiego w obu kierunkach. Tobin wysiadł z samochodu na Bridge Creek i skierował Bella w stronę łodzi ostrygowej Toma Kempa.

Bell zaparkował na poboczu tak, żeby Kemp zobaczył auto, kiedy podniesie wzrok znad silnika, przy którym pracował. Potem zszedł po kładce na chwiejny pomost. Łajba Kempa była typową łodzią roboczą, jakie nowojorscy poławiacze ostryg przerabiali z żaglowych na motorowe od dawna przed wojną. Szeroka i płaska, miała dziewięć metrów długości. Silnik tkwił w otworze w pokładzie i Bell natychmiast zauważył, że nie jest typowy. Rozpoznał sześciocyndrowego pierce-arrowa o pojemności trzynastu i pół litra, którego Tom musiał wyciągnąć z rozbitego samochodu osobowego. Labirynt rur wskazywał, że dodał ogromną pompę olejową, żeby utrzymać smarowanie, kiedy dziób łodzi się unosi przy dużej prędkości.

– Jak szybkie jest to coś? - zapytał postaci przykucniętej nad łajbą obok rozrzuconych narzędzi.

– A kto chce wiedzieć? - zapytał Kemp, nie podnosząc wzroku.

Bell wszedł na pokład bez zaproszenia. Grzech. Ed Tobin uprzedził go, że dla przewoźnika wodnego to jest jak spalenie flagi amerykańskiej lub obraza jego matki. Kemp zerwał się na nogi. Był wielki i muskularny od wyciągania chwyteków do ostryg od dziecka. Bell podszedł do niego na pół metra, dość blisko, żeby facet poczuł od niego wodę kolońską, i musiał wyciągnąć szyję, żeby napotkać jego zimne spojrzenie.

– Ja chcę wiedzieć. Jaką szybkość rozwija pańska łódź?

Tom Kemp zwrócił uwagę na minę Bella. Wpatrzył się w wyrzucenie pod jego marynarką.

- Trzydzieści węzłów.
- Ile to kilometrów na godzinę?
- Jezu, człowieku, nie wiem. Pięćdziesiąt pięć?
- A z ładunkiem?
- Zależy czego.
- Gorzały.
- Panie, gorzała jest...

- Opłacalna - przerwał Bell i nie dał mu dojść do słowa. - Słyszę dwie różne opowieści o panu, panie Kemp. Jedna mówi, że jest pan wolny. Druga, że został pan już wynajęty do przemytu alkoholu. Jak jest? Jest pan wolny czy nie?

- Tak.
- Na pewno.
- Tak... Nie wierzy mi pan?
- Co się stało z Niemcem? - odparował Bell.

Teraz musiał zaczekać. Czy Kemp zapyta, z jakim Niemcem, czy powie, że Niemiec zniknął?

- Skąd pan wie o Niemcu? - zapytał ostro Kemp.
- Co się z nim stało? - powtórzył chłodno Bell.
- Nie wiem. Kręcił się tu, szukał łodzi. Myślałem, że mamy umowę. Ale się nie zjawił.

- Kiedy to było?
- Co to pana obchodzi?

- Kiedy dowiaduję się dużo o facecie, któremu zamierzam powierzyć moją gorzałę wartą dziesięć tysięcy dolców, to dowiaduję się również, jakie pytania zadawać, żeby sprawdzić, czy mnie okłamuje - odparł Bell. - Kiedy Niemiec miał się zjawić?

- W niedzielę.

Bell skinął głową. Johnny zginął w sobotę. Mógł planować następny rejs w niedzielę.

- Kiedy powiedział, że będzie w niedzielę?
- W zeszłym tygodniu.

– Okej. Na razie całkiem dobrze pan wypada. Następne pytanie. Jak on się nazywał?

– Johnny.

– Wiem. Jak się naprawdę nazywał?

– O co panu chodzi? Johnny.

– Niemcy nie nazywają się Johnny.

– No tak. Dobra, Johann. Coś w tym rodzaju.

– Dobrze wypadasz, Tom. Podaj mi jego nazwisko i ubijamy interes.

Kemp oblizał wargi. Bell podejrzewał, że poławiacz ostryg zna nazwisko Johanna, ale nie chce powiedzieć. Zastanawiał się dlaczego.

– Tom, myślałem, że się dogadaliśmy.

– Kozłow.

– Dobrze - odrzekł Bell. - Bardzo dobrze.

Nareszcie przełom. Ale nadal się zastanawiał, dlaczego Tom się wahał, czy ujawnić nazwisko Kozłowa. Wyjął z kieszeni duży rulon banknotów i oddzielił studolarowy.

– Zaliczka - powiedział.

Kiedy Kemp sięgnął niecierpliwie po pieniądze, Bell zapytał:

– Długo go znałeś?

– Nie.

– A jak go poznałeś?

Tom znów oblizał wargi.

Bell trzymał mocno banknot.

– Skąd Johann wiedział, gdzie cię znaleźć?

– Nie wiem. Po prostu mnie znalazł.

– Dlaczego miałby ci zaufać?

– Mam wujka, co pracuje na statkach. Jest palaczem piecowym. Spiknął się z Kozłowem, kiedy woblisi próbowali wesprzeć związek marynarzy.

– Kozłow był woblisem?

Bell nie potrafił ukryć zaskoczenia. Woblisami nazywano członków organizacji IWW, Robotnicy Przemysłowi Świata, która marzyła o przejęciu przez robotników kontroli nad produkcją. Starła się nakłaniać uznane

konserwatywne związki zawodowe rzemieślników, żeby żądały więcej i walczyły twardziej, zwykle bez powodzenia.

– Podczas wiosennego strajku? - zapytał.

Członkowie Międzynarodowego Związku Marynarzy zastrajkowali we wszystkich portach w kraju pierwszego maja i przegrali tak boleśnie, że musieli się pogodzić z obniżką płac o jedną czwartą.

– Związek trzymał woblisów na dystans, a bez ich broni właściciele złamali strajk.

Złamali ich tak boleśnie, zdziwił się Bell, że oddany związkowiec się poddał i został przemytnikiem alkoholu? Woblisom zarzucano wiele, ale nigdy chciwości.

– Gdzie jest twój wujek?

– Ostatnie, co słyszałem, to w drodze do Singapuru.

– Jaka to linia?

Kemp znów się postawił.

– Co, do cholery, obchodzi przemytnika, w jakiej linii mój wujek jest palaczem?

Wysoki detektyw wrócił gładko do roli przemytnika.

– Nie płacę człowiekowi, dopóki nie wiem, po czyjej jest stronie - odparł chłodno i zaczął chować rulon banknotów z powrotem do kieszeni. - Do jakiej linii należy statek, na którym pracuje twój wujek?

– Żadna linia go nie zatrudni od czasu strajku. Popłynął na trampie.

– Nazwisko Johanna Kozłowa - powiedział Grady Forrer, szef działu badań Van Dorna, kiedy się zameldował następnego ranka u Bella - sugeruje niemieckie i rosyjskie pochodzenie. Faktycznie był urodzonym w Niemczech cudzoziemskim radykałem.

– I woblisem?

– Nie znaleźliśmy jeszcze jego powiązań z IWW. Ale wstąpił do Partii Komunistycznej, w której było trochę woblisów. Wstąpił do obu jej skrzydeł jednocześnie. To dziwne, bo Komunistyczna Partia Pracy i Komunistyczna Partia Stanów Zjednoczonych nie znosiły się. Moskwa kazała im się połączyć, ale nawet to nie zadziało, dopóki tej wiosny nie sformowały tak zwanej

Zjednoczonej Partii Komunistycznej. Możesz sobie wyobrazić wrzawę na ich mityngach.

– Czy Moskwa mogła przysłać Kozłowa do Ameryki z rozkazem połączenia obu partii?

Grady się zamyślił.

– Interesująca teoria, nawet jeśli nieprawdopodobna. Zajmę się tym.

Zanotował to sobie.

– Ale nie znaleźliście dowodu na jego bezpośredni związek z IWW? Pamiętaj, czego się dowiedziałem: on był organizatorem woblisów w czasie strajku marynarzy.

Grady wzruszył ramionami.

– Nie znaleźliśmy dowodu na jego udział w tamtym strajku. I żadnego śladu, że wstąpił do IWW. Ale nic dziwnego, bo został deportowany.

– Kiedy?

– Aresztowano go w czasie pierwszej fali czerwonej paniki, kiedy trwały naloty Palmera, pod koniec 1919. Departament Sprawiedliwości deportował go do jego rodzinnych Niemiec.

Naloty na domy, szkoły i firmy cudzoziemskich radykałów zainicjował pod koniec 1919 roku prokurator generalny Mitchell Palmer po zamachu bombowym włoskiego anarchisty na jego waszyngtoński dom.

– Sam nie wiem, co o tym sądzić - powiedział Bell. - Bogata przeszłość, jak na przemytnika alkoholu.

Bell się zadumał. Ile trzeba, żeby z radykała stać się przestępcą? Spotykał oddanych sprawie radykalnych związkowców i uważał, że dużo. Z drugiej strony, ilu przemytników uważało się za przestępców? Mówili sobie, że wykonują usługi. Albo, jak to ujął Scudder Smith, że „dobrze się bawią”. Przynajmniej dopóki prawdziwi przestępcy nie zaczęli ich wypierać, żeby zgarniać zyski.

– Ilu aresztowano podczas nalotów Palmera?

– Co najmniej dziesięć tysięcy - odrzekł Grady.

– A ilu deportowano?

– Ośmiuset.

– Jednego na dwunastu? Herr Kozłow był wybrańcem.

– Albo po prostu pechowcem.

– Jak to?

– Został deportowany wcześniej, zanim koledzy gabinetowi Palmera zarzucili prokuratorowi generalnemu, że widzi czerwonego za każdym krzakiem. Palmer planował deportację dziesiątek tysięcy. Ale dość szybko czerwona panika osłabła.

Bell pokręcił głową z konsternacją. Jak cokolwiek z tego przybliży go do znalezienia przemytniczego gangu, który postrzelił Joego Van Dorna?

Grady zebrał swoje notatki.

– Jak się ma Boss?

Bell się rozpromienił.

– Lepiej. Dużo lepiej. Infekcja ustąpiła. Dorothy właśnie dzwoniła, że szef chce się zobaczyć ze mną. Lekarze powiedzieli, że wpuszczą mnie do niego jutro, jeśli nadal będzie poprawa.

– Dzięki Bogu. Pozdrów go ode mnie. A przy okazji, Isaac. Ten *Genickschuss*, strzał w kark, o którym mi mówiłeś. Zajęliśmy się tym. Pauline miała rację. Czeka udoskonaliła tę technikę.

– Pauline jeszcze nigdy się nie pomyliła - odparł Bell.

Mając to na uwadze, wysłał następny radiotelegram do „Nieuw Amsterdam”:

„Johnny to Johann Kozłow. Deportowany do Niemiec w czasie czerwonej paniki. Jego wspólnicy? Jak wrócił do Stanów Zjednoczonych?”

Na wypadek gdyby już dopłynęła, wysłał kopie kablem transatlantyckim na pirs linii Holland America w Rotterdamie i do biura terenowego Van Dorna w Berlinie.

– Wytropiłem człowieka, który rzeczywiście znał Johanna Kozłowa - powiedział Bell do Marion przy kolacji o północy.

Jedli grzanki z serem i popijali szampanem Mumm z piwniczki Archiego Abbotta, którą urządził w swojej miejskiej rezydencji na East Side, kiedy przeszła ustawa Volsteada. Byli w swoim apartamencie w St. Regis, Bell rozparty wygodnie w fotelu, Marion wyciągnięta na kanapie. Gdy wróciła

szczęśliwie do domu po całym dniu ścigania artystów rewiowych w Fort Lee, przebrała się do kolacji w zielony jedwabny peniuar w kolorze jej oczu.

– Niestety jest gdzieś na środku Pacyfiku na trampie bez radia.

Bell często rozmawiał o swojej pracy z żoną i bardzo sobie cenił jej opinię.

Marion skończyła prawo na Uniwersytecie Stanforda, miała bystry umysł i potrafiła podchodzić do informacji pod niespodziewanym kątem. Była niezwykle spostrzegawcza. Była też optymistką.

– Przynajmniej masz nazwisko. A chłopcy Grady’ego od badań mówią, że Kozłowski wstąpił do Partii Komunistycznej. I jesteś prawie pewien, że był woblisem.

– Ale nie mogę pojąć, jak antykapitalista, który chce znieść system płac, zostaje przemytnikiem alkoholu.

– Może on nie był takim oddanym antykapitalistą.

– Na tyle oddanym, że go deportowano - odrzekł Bell.

– Naloty Palmera były obrzydliwe - powiedziała Marion, która miała wielu urodzonych zagranicą przyjaciół w branży filmowej.

– Ogromną większość wypuszczono - przypomniał Bell.

– Miałam znajomego, francuskiego aktora, którego zwolniono w ciągu tygodnia. Inny, błyskotliwy rosyjski kamerzysta, spędził trzy miesiące w brudnym więzieniu.

– Przynajmniej pan Palmer dostał za swoje, kiedy jego partia uznała, że nie jest ich idealnym kandydatem na prezydenta.

– Zabawne, prawda?

– Co takiego?

– Twój Herr Kozłowski śmiał się ostatni, kiedy wrócił do Nowego Jorku radykalizować związek marynarzy.

– Zanim został przemytnikiem alkoholu.

– Co nadal uważasz za niezwykłą zmianę zajęcia - powiedziała Marion.

Zamilkła, żeby odpowiedział, ale się nie odezwał.

Bellowi było coraz trudniej skoncentrować się na sprawie. Peniuar Marion przywierał intrygująco do jej ciała i rozpuściła włosy, które zwykle miała upięte wysoko, żeby nie zasłaniały wizjera kamery. Okalały piękną twarz Marion jak złoty liść.

- Prawda?
- Co?
- Nie uważasz tego za niezwykłą zmianę zajęcia?
- Prześpijmy się z tym.

Spojrzała na niego ponad brzegiem swojej szampanki.

- Tak, oboje mamy pracowite poranki.
- Więc bylibyśmy podwójnie mądrzy, idąc do łóżka - odparł Bell.
- Owszem - zgodziła się Marion.

Odstawiła kieliszek i poszła do sypialni.

Bell tuż za nią.

- Ale! - powiedziała z nagłym błyskiem w oczach.
- Ale co?

- Johann Kozłow ryzykował areszt, uwięzienie, nawet życie, wracając potajemnie do kraju. Potem ryzykował ujawnienie, kiedy organizował strajk marynarzy. Działaczy związkowych aresztuje się rutynowo. Chciał ryzykować złapanie. Nie nazwałbyś tego oddaniem?

- Ale to nie zmienia faktu - odrzekł Bell - że niecałe dwa miesiące później został ranny podczas przemytu alkoholu.

- Ale czy to oznacza, że zmienił zajęcie?

- Bardzo interesujące pytanie - powiedział Bell. - Pytasz, czy przemycał alkohol z innej przyczyny niż chęć szybkiego wzbogacenia się?

Marion weszła pod kołdrę.

- Czy ty kiedykolwiek kładziesz się do łóżka?

13.

Pauline Grandzau zeszła szybko po trapie „Nieuw Amsterdam” z torbą w ręce i radiotelegramem Isaaca w drugiej. Rozszyfrowała kod Van Dorna w pamięci.

Ostatnie pytanie Isaaca dotyczące Kozłowa było najłatwiejsze.

„Jak wrócił do Stanów Zjednoczonych?”

Z biletem na parowiec i fałszywym paszportem, jeśli miał pieniądze. Albo się zamustrował i zniknął, kiedy statek przybił do brzegu. Co byłoby trudne, bo dziesiątki tysięcy marynarzy z flot handlowych czekało na zaokrętowanie, żeby dojechać do siebie po zakończeniu wojny. Albo, jeśli Herr Kozłowski był wyjątkowo cenny dla partii komunistycznej, morską sekcja Kominternu załatwiła mu podróż. Nie tylko organizowała bunt marynarzy, ale również wykorzystywała swoją siatkę do wysyłania w świat agentów komunistycznych w przebraniu oficerów marynarki i marynarzy. Zabicie Kozłowskiego strzałem w kark sugerowało, że mógł być ważny i za dużo wiedział, żeby pozwolić mu mówić.

„Deportowany do Niemiec w czasie czerwonej paniki” i „Jego współpracownicy?”

O tym musiała porozmawiać ostrożnie w cztery oczy ze swoimi kontaktami w policji i dyplomacji. Kopia radiotelegramu czekała z jej kufrem podróżnym dzięki uprzejmości głównego stewarda linii Holland America. To pokazywało, jak ważny zdaniem Isaaca jest Kozłowski. Trzecią kopię miała zastać w biurze.

Pojechała pociągiem do Amsterdamu, dalej do Berlina i przybyła do stolicy Niemiec wieczorem. Po wyjściu ze stacji kolejowej zobaczyła, że ulice rządowej części dzielnicy Tiergarten w okręgu Mitte blokują tysiące chłopców, którzy śpiewają Międzynarodówkę i skandują:

– Powstańcie i walczcie! Powstańcie i walczcie!

Spięta ochrona strzegła banków, redakcji gazet i budynków publicznych.

Światła szperaczy błędziły po fasadach. Uzbrojeni rowerzyści w mundurach antykomunistycznego Freikorpsu patrolowali ulice. Nagłówki gazet w kioskach alarmowały, że frakcje polityczne walczą o władzę w powojennych Niemczech.

„Komuniści wysadzają w powietrze pomniki”, „Ultrareakcyjni oficerowie armii szykują przewrót”, „Bolszewicy palą burżuazyjne gazety”, „Freikorps

rekwiruje mienie policji”, „Czerwoni ukrywają karabiny w szybach kopalnianych”.

Prowokatorów nie brakowało. Były rozruchy w Saksonii, powstanie w Halle i Hamburgu, drugim największym mieście Niemiec. Krążyła pogłoska, że komuniści wciągną czerwoną flagę na stocznie.

Pauline zrezygnowała z próby dotarcia do swojego biura i wycofała się na stację kolejową, żeby zadzwonić do głównej kwatery policji. Wszystkie linie były zajęte. Na zewnątrz tramwaje przestały kursować. Zignorowała utrudnienia. Berlin był jej miastem i szczyciła się znajomością każdej dzielnicy i prawie każdej ulicy. Miała najkrótszą praktykę ze wszystkich szefów biur terenowych Van Dorna. Ale obserwowała swojego mentora Arta Curtisa w działaniu i nauczyła się od niego pielęgnowania przyjaźni na wszystkich szczeblach.

Przepychała się przez ścisk i zastanawiała, kto z jej przyjaciół i informatorów w rządzie, świecie biznesu, wojsku, policji i kręgach przestępczych mógłby pomóc jej znaleźć przynajmniej początek tropu Kozłowa.

Dotarła do Unter den Linden i przeszła półtora kilometra w gęstniejących tłumach. Kwaterę policji na Alexanderplatz otaczały biedne i zaniedbane dzielnice, o które walczyli czerwoni i antykomuniści. Budynek wyglądał jak obleżony. Ciężarówki Freikorpsu i policyjne samochody pancerne parkowały wokół niego zderzak w zderzak.

Pobiegła z powrotem na stację kolejową, żeby wysłać telegramy do swoich kontaktów w policji. Na szczęście telegraf działał. Ale tylko jeden przyjaciel oddepeszował.

„Prater”.

Poszła najszybciej jak mogła do Prater Garten, ogródka piwnego pod kasztanowcami w Prenzlauer Berg. Był dość daleko od Mitte, nie dochodził tu więc tumult z centrum miasta. Klaksony dźwięczały słabo, silniki samochodów pancernych warczały, ale przynajmniej demonstracji i walk nie było widać.

Zobaczyła wymizerowanego mężczyznę przy stoliku pod drzewem i usiadła naprzeciwko niego. Był potężnym komendantem berlińskiej policji

śródmiejskiej, dopóki nie oparł się żądaniom Freikorpsu. Chciał odzyskać władzę i potrzebował informacji. Dajesz, uczył ją Isaac Bell, to dostajesz.

– Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała.

Popatrzył na nią ponuro i wypuścił dym z papierosa w kąciku ust.

– Najgorsze w przeniesieniu na częściową emeryturę jest to - wymamrotał w końcu - że piękne detektywki już nie proszą mnie o przysługi.

– To musi być wielka ulga dla twojej żony.

Fritz Richter roześmiał się głośno.

– Pauline, Pauline, ty zawsze poprawiałaś nastrój.

– Proszę pamiętać, *Herr Polizeikommandeur* - odrzekła oficjalnie - że ja prosiłam o informacje, nie o przysługi, i zawsze odwdzięczałam się tym samym.

– Za długo się nie widzieliśmy, *Fraulein Privatdetektive*.

– Wróciłam ze Stanów Zjednoczonych dopiero dziś wieczorem. Jesteś pierwszym starym znajomym, do którego się odezwałam.

– Radzę ci wrócić. Zaczynaj nowe życie w nowym kraju. Nasze Niemcy znów eksplodują.

– Nie chcę nowego kraju.

– Będzie nowy, czy tego chcesz, czy nie. Nasi wojujący nacjonaści, komuniści, socjaldemokraci, narodowi socjaliści, Freikorps i Czerwone Setki - niech ich wszystkich szlag trafi - nie walczą o swoje rzekome ideały. Walczą o łupy wielkiej wojny.

– Nasz główny śledczy powiedział mi to niecałe dziesięć dni temu w Nowym Jorku.

– To niezwykle. Uważam, że Amerykanie nie patrzą perspektywicznie. Powiedział ci też, że zwycięzca - najlepiej zorganizowany i najbardziej bezwzględny - będzie władcą przyszłości zwykłych ludzi, którzy starają się unikać walki?

– Częściowa emerytura rozbudziła w tobie ponurego filozofa.

– Nie będzie łaskawych zwycięzców, rycerzy w lśniących zbrojach.

Przywołał kelnera.

– Mogę ci postawić piwo, młoda damo?

– Nie. Niech Van Dorn zapłaci.

Zamówiła piwo i nagle uświadomiła sobie, że umiera z głodu.

– Nie jadłam cały dzień. Przyłączysz się?

Richter skinął głową i przypalił papierosa od żaru poprzedniego.

Nie chciał jeść, ale i tak zamówiła.

– *Weisswurst*.

Richter uniósł swoją szklankę.

– *Prosit!*

– Na zdrowie! Tropię człowieka nazwiskiem Johann Kozłow, którego Amerykanie deportowali w zeszłym roku. Wrócił do Ameryki, gdzie został zastrzelony sposobem Czeki.

– Komintern, tak?

– Powiedziałabym, że tak. Z kim mogę porozmawiać?

Przyjrzał się jej taksująco.

– Ile to jest warte dla ciebie?

Odwzajemniła spojrzenie, które przywiodło Richterowi na myśl alpejską zamieć.

– Skoro nie przespałabym się z ważnym komendantem policji za informację, to dlaczego miałabym to zrobić ze zdegradowanym, częściowo emerytowanym starym zbereźnikiem?

Zanim zdążył wymyślić odpowiedź, uśmiechnęła się. Nie miał wyboru i zrobił to samo. Spuścił głowę i wymamrotał:

– Nie dziw się staremu zbereźnikowi, że próbuje.

Polecił jej kogoś w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, kogo nie znała.

W szpitalu Bellevue Bell zastał Van Dorna podpartego poduszkami i patrzącego wyczekująco na drzwi. Z tygodniowym zarostem wyglądał trochę zdrowiej. Spojrzenie miał żywsze, ale nie świdrujące, i Bell z trudem się uśmiechnął. Założyciel Agencji Detektywistycznej Van Dorn wyglądał na starego i bardzo zmęczonego.

– Jesteś - szepnął Van Dorn.

– Przyszedłem, jak tylko mi pozwolili. Jak się masz?

Dorothy Van Dorn i David Novicki czekali. Novicki powiedział:

– Właśnie zabawiałem naszego przyjaciela tutaj opowieściami o mojej emeryturze, prawda, Joe? „Bill Skorupiak” wrócił z morza. Joe nie uwierzy, że prowadziłem tramwaj na Long Island.

– Pasażerowie nie mają pojęcia, kto jest za sterem - wyszeptał Van Dorn.

– Tramwaje zrobiły klapę - odrzekł Novicki. - Będę prowadził taksówkę.

– Dorothy - szepnął Van Dorn - idźcie z Dave'em na lunch. Muszę porozmawiać z Isaakiem.

– Nie za długo - przypomniała.

– Będziemy grzeczni. Bez obaw.

Dorothy pocałowała go w czoło i spojrzała szarymi oczami na Bella.

– Ostrożnie. Jeszcze nie wyszedł na prostą. Ale domagał się twojej wizyty.

– Bez obaw. Nie zamęczę go.

Van Dorn zaczekał, aż jego żona i przyjaciel wyjdą.

– Jak jest w Detroit? - zapytał ochryłym szeptem.

– Gorzej, niż myśleliśmy.

Bell wyjaśnił, że całe biuro terenowe jest skorumpowane, łącznie z pozornie lojalnym detektywem, którego Van Dorn zrobił szefem.

– Musimy się ich pozbyć i stworzyć wszystko od początku.

– Poślij tam Eddiego Edwardsa z Kansas City - odparł Van Dorn tak cicho, że Bell ledwo go usłyszał. - Wyprostuje ich.

– Eddie się starzeje - powiedział Bell. - A Detroit robi się niebezpieczne. Posłałem Walta „Teksasa”.

– Hatfielda? Nie kręci filmów gdzieś na zachodzie?

– Wziął sobie wolne.

– Mam nadzieję, że nie zmiękł. To całe hollywoodzkie światowe życie.

– Jeśli zmiękł, to tego nie widać.

Van Dorn zamknął oczy. Leżał w milczeniu, jego klatka piersiowa ledwo się poruszała przy oddychaniu. W końcu znów otworzył oczy.

– Mam lepsze wieści o usługach ochroniarskich - oznajmił Bell.

– Jakie?

– Cholerna sprawa, ale kiedy rozeszła się wieść, że Clayton i Ellis wylecieli, nasi detektywi hotelowi w całym kraju wzięli to pod rozwagę.

– Skąd wiesz?

– Wysłałem agentów przebranych za przemytników, żeby zaproponowali im łapówki.

– Brawo!

– Chłopcy kazali im spadać. Kilku im przyłożyło.

– To wielka ulga. Co ze Strażą Przybrzeżną?

– Przykro mi, Joe. Anulowali kontrakt.

– Niech to szlag! - wybuchnął Van Dorn i się rozkaszał. Bell przytrzymał mu chusteczkę, a potem dał wody. Van Dorn złapał oddech.

– Miałem nadzieję, że wynegocjujemy z tego nowe zlecenie rządowe. Zostałem postrzelony i straciłem klienta. Nie ma sprawiedliwości na świecie.

Bellowi ulżyło, kiedy zobaczył cierpki uśmiech na nieogolonej twarzy Van Dorna.

– Spróbuję się dowiedzieć, jakie mamy szanse, kiedy wreszcie dotrę do szefa sztabu Straży Przybrzeżnej - obiecał.

– Okej... Co z gangiem, który ostrzelał kuter?

– Jeden z nich zjawił się w szpitalu Roosevelta ranny. Zanim zdążyłem go przesłuchać, ktoś go zabił.

– Za co? - wyszeptał Van Dorn.

– Nie wiem. Może myśleli, że nie żyjesz i zostaną oskarżeni o zabójstwo, jeśli nie zlikwidują świadka. W każdym razie prawie złapałem faceta, który tamtego zastrzelił, ale go zgubiłem. Wątpię, żebym rozpoznał mordercę, gdyby tu wszedł. Ale znamy nazwisko zabitego. Cudzoziemski radykał, deportowany do Niemiec. Wrócił tu potajemnie. Kazałem Pauline ustalić, jakich miał tam znajomych.

– Dobry początek.

– Mam nadzieję, że mi pomożesz. Ze pamiętasz trochę więcej.

– Wał - odrzekł słabo Van Dorn.

– Straż Przybrzeżna wciąż nie chce gadać ze mną. Więc mam tylko informacje z drugiej ręki o tym, co się stało, od gliniarzy portowych. A port kipi od płotek. Co pamiętasz o czarnej łodzi?

– Szła jak nietoperz z piekła. Najszybsza łódź, jaką widziałem, Isaac. Musiała robić osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Miała kaem lewis i faceta, który wiedział, jak go używać. I była opancerzona.

– Opancerzona motorówka?

– Z kuloodporną przednią szybą. Myślałem, że ją załatwiłem. Pociski odbijały się od niej jak deszcz. Jedyni ludzie, jakich trafiłem, byli na drugiej łodzi. Na taksówce.

– Czarna łódź chroniła taksówkę?

– Taki był skutek. Posłuchaj, Isaac.

Van Dorn usiadł wyżej, oczy mu błyszczały.

– Spokojnie. Mów wolno. Nie przemęczaj się. Okej?

– Okej - szepnął Van Dorn. - Jest tak. W głowie mi się rozjaśnia i pamiętam, że to była wymiana ognia jak cholera.

– Karabiny maszynowe i pancierz... Nie dziwię się.

Van Dorn uciszył Bella gestem.

– Brałem udział w mnóstwie walk, ale nie w takiej. Miałem wrażenie, że jestem z powrotem w Panamie. Wiesz, o co mi chodzi?

Bell przytaknął. Kilkadziesiąt lat temu Joe Van Dorn jako młody żołnierz amerykańskiej piechoty morskiej wylądował na Przesmyku Panamskim w samym środku rewolucji.

– Tamci chłopcy na czarnej łodzi znali się na rzeczy. Wykorzystywali swoją szybkość, żeby trzymać się pod takim kątem, że przybrzeżni nie mogli ich trafić z działa. Byli przedtem na wojnie.

14.

Jak przewidział Newtown Storms w rozmowie z Maratem Zolnerem, akcje zaczęły iść w górę.

– Nie mogę obiecać, że każdy tydzień będzie tak ekscytujący jak ten, książkę Andre - powiedział do niego przez telefon. - Mieliliśmy wyjątkowe szczęście z ofertą New York Central. Firma miała dojścia, że się tak wyrażę. Pańskie dziesięć tysięcy dolarów jest teraz warte dwadzieścia.

– Potrzebuję z tego natychmiast dziesięć tysięcy - odrzekł Zolner.

– Czy mogę stanowczo doradzić Waszej Wysokości wpłatę tego nieoczekiwanego przyływu gotówki z powrotem na konto? Co dzień widzę nowe możliwości.

– Ja też widzę jedną - odparł Zolner. - Fern podejmie pieniądze dziś po południu.

Tego wieczoru Zolner wziął dziesięć tysięcy do Bronksu i zapłacił właścicielowi firmy Morrison Motor Express za udziały kontrolne we flocie ciężarówek Mack AC „Bulldog”. Wysłał cztery z mocnych samochodów o spadzistych maskach pięćset sześćdziesiąt kilometrów do Champlain w stanie Nowy Jork, na granicy kanadyjskiej.

Wyznaczył na szefa konwoju potężnie zbudowanego O’Neala o trafnym przezwisku „Ciężarówka”. Obok każdego kierowcy siedział ochroniarz z gotówką na gorzałę, nazwiskami celników do przekupienia i pistoletem maszynowym thompson do obrony konwoju. A gdyby napotkali dostawę dla Nowego Jorku, skróciliby dwudniową podróż do Kanady i porwali transport.

Mimo, albo dlatego, że polecił go emerytowany komendant policji Richter, dyplomata nie zaprosił Pauline Grandzau do swojego biura. Pauline zaproponowała spotkanie w Kronprinzenpalais, gdzie Galeria Narodowa stworzyła wspaniałe nowe muzeum sztuki nowoczesnej.

– Świetnie - powiedział.

Jego szczery zapal przypominał jej, że dla każdego, kto lubi malarstwo, rzeźbę i film, to doskonały czas do życia w Niemczech. Dla artystów przeszłość minęła, a przyszłość promieniała.

Nawiązali kontakt wzrokowy w tętniącym życiem holu frontowym. On był tak przystojny, jak Richter mówił jej, a ona tak uderzająco piękna, jak mówił jemu. Wszedł za Pauline na ostatnie piętro, gdzie umieszczono tymczasową kolekcję. Chodzili oddzielnie, dopóki - niby przypadkiem - nie stanęli oboje przed ekscytującym kolażem Hannah Höch, fotomontażem o tytule niepozwalającym zapomnieć o przemocy na ulicach.

Pauline przeczytała tytuł na głos pytającym tonem:

– „Cięcie nożem kuchennym dada przez ostatnią weimarską, spasioną piwem epokę kulturalną Niemiec”?

– Żart? - zapytał dyplomata.

– Miejmy nadzieję.

Stojąc obok siebie, kontynuowali cicho rozmowę.

– Obserwowaliśmy Kozłowa od chwili, kiedy ostemplowaliśmy jego paszport.

– Kominternowiec?

Dyplomata odrzekł, że nic w ich aktach nie wskazywało, iż Kozłow służy rosyjskiemu Kominternowi. Ale wszyscy w jego wydziale się zgadzali, że emigrant świeżo po powrocie będzie skarbnicą aktualnych informacji o radykałach w Stanach Zjednoczonych i dlatego potencjalnym agentem do przeschmuglowania z powrotem.

– Zastanawialiśmy się, kto się z nim skontaktuje, z tym rewolucjonistą, który zna Amerykę. Nie czekaliśmy długo. Spotkali się w zoo. Agent nazywał się Valtin.

– Kominternowiec?

– Oczywiście.

– Dokąd poszli? Co robili?

Odpowiedź była bezbarwna, jego ton i mina obojętne.

– Służba bezpieczeństwa podjęła brzemienne decyzję, żeby śledzić, ale nie wkraczać. Chyba mieli nadzieję, że aresztują nie dwóch ludzi, tylko całą siatkę. Toteż kiedy zgubili Kozłowa, nie znaleźli również Valtina.

Zamiatacze ulic tłumnie sprząтали po demonstracjach i marszach wokół Alexanderplatz, gdy Pauline dzwoniła do starego znajomego w służbie bezpieczeństwa. Poszli na kawę i ciastko.

– Wiesz, że nie mogę mówić o tym.

– Oczywiście - odrzekła - ale muszę cię zapytać...

Brząk porcelany i srebra w zatłoczonej kawiarni gwarantował, że nawet para trzymająca się za ręce przy sąsiednim stoliku ich nie usłyszy, ale Pauline zniżyła głos dla efektu.

– Czy to prawda, że Valtin i Kozłow wymknęli się spod obserwacji i zniknęli?

Usiadł prosto.

– Zniknęli? To ci powiedziało Ministerstwo Spraw Zagranicznych? Pauline, jak mogłaś w to wierzyć choćby przez moment?

– Nie uznałam tego za prawdopodobne. Wyobrażałam sobie, że wymyśliliście tę historyjkę, żeby mieć ich z głowy.

– Zgadza się. Śledziliśmy każdy ruch Kozłowa i Valtina. Obserwowaliśmy ich jak sępy. Nie spuszczaaliśmy ich z oka i zachowywaliśmy ciszę. Nigdy nas nie zauważyli.

– Czy Valtin wsadził Kozłowa na statek do Ameryki?

Zawahał się.

– Nie znam tego szczegółu.

Pauline pomyślała, że dyplomata miał rację. Służba bezpieczeństwa istotnie zgubiła Kozłowa i jego kominternowskiego łącznika.

– Gdzie Valtin jest teraz?

– Obecnie śledzimy go poprzez pewną młodą kobietę, która jest albo kominternowską kurierką, albo jego kochanką, albo jednym i drugim. Wstrzymujemy się, żeby zobaczyć, z kim jeszcze ona się kontaktuje.

Bardziej prawdopodobne jest to, pomyślała Pauline, że mają nadzieję, że dziewczyna doprowadzi ich z powrotem do agenta, którego zgubili.

– Jak ona się nazywa?

– Anny.

– Anny?

Pauline ugryzła mały kawałek swojego *Mohnkuchen*. Przesunęła językiem po wargach, żeby zlizać ziarenka maku. Dotknęła ust serwetką i popatrzyła na niego nad materiałem jak zza woalu.

Polizeioberstleutnant wyrównał oddech.

– Jak Anny ma na nazwisko?

– Jesteś diabłem w spódnicy, *Fraulein Privatdetektive* Grandzau. Już i tak powiedziałem za dużo. Wiesz, że nie mogę ci zdradzić jej nazwiska.

– Nie dziw się diabłu, że próbuje... Jeśli nie możesz mi zdradzić jej nazwiska, to chyba możesz mi powiedzieć, jaki ona ma kolor oczu i włosów... albo może gdzie mieszka lub pracuje...

Kiedy Marat Zolner wrócił z Bronksu na Manhattan, dowiedział się, że Jurij Antipow zostawił pilną wiadomość u Fern Hawley.

– Chce się z tobą spotkać w śródmieściu. Powiedział, że będziesz wiedział gdzie.

Zolner poszedł do „ślepej świni” na Vesey za rogiem z Washington Market. Antipow pił mały łyk czegoś, co uchodziło tutaj za dżin.

– Jak twoje imperium? - zagadnął.

– Wiesz - odrzekł Zolner - początkowo nie planowałem przemytu. Pomyślałem o nim w Finlandii. Pamiętasz pomysł Kominternu, żeby zdobywać pieniądze na broń, szmuglując alkohol przez fińskie cło? To było bardzo nowatorskie, dopóki cała fińska sekcja Kominternu nie spiła się do nieprzytomności kontrabandą.

Antipow się nie roześmiał.

– Czego chcesz ode mnie? - zapytał Zolner.

– Żebyś wynajął stajnię na Dolnym Manhattanie.

– Po co?

– Chodź.

Antipow zaprowadził go za róg na Barclay Street. Zostawił tam staromodny wóz konny do węgla. Tysiące identycznych tarasowało wąskie ulice Dolnego Manhattanu, co doprowadzało do szału kierowców ciężarówek. Silny koń stał w zaprzęgu i wachał pusty worek na obrok.

– Skąd to wzięłeś?

– Przywiozłem promem z New Jersey. Najwyższy czas wykonać robotę, do której nas tu przysłano.

– Co jest w wozie?

– Dynamit.

Zolner patrzył na niego i myślał, co zrobić z tym jawnym ultimatum. Antipow przyglądał mu się spokojnie jak człowiek zdecydowany, zdeterminowany, całkowicie pewny swego i nieugięty.

– Skąd wzięłeś dynamit?

– Nauczyłem się na pamięć moskiewskiej listy kamieniołomów, gdzie pracują towarzysze - odparł Antipow. - Jeśli mi nie pomożesz, zrobię to sam.

– Oczywiście, że ci pomogę. Nie ma powodu, żebyśmy nie tworzyli i atakowali jednocześnie.

– Potrzebuję bezpiecznej stajni dla wozu.

– Będiesz w niej za godzinę.

Antipow spojrział na niego z zaciekawieniem.

– Zaskakujesz mnie, Marat. Myślałem, że pošlesz mnie do diabła.

– Jesteśmy kominternowcami, Jurij. Mamy ten sam cel. Obalić międzynarodową burżuazję wszelkimi środkami. Chodź. Zaprowadzimy konia w czasie rozmowy.

– Dokąd?

– Mam stajnię. Niedaleko. Dziesięć przecznic stąd.

– Musi być bezpieczna, żeby przygotować atak.

– „Ciężarówka” O’Neal zadba o jej bezpieczeństwo.

– Doskonale.

Antipow dostrzegł wartość tego Amerykanina, twardego, trzeźwo myślącego gangstera, który mógł zwerbować równie godnych zaufania ludzi, kiedy byli potrzebni.

Zolner wziął uzdę i nakłonił konia, żeby obrócił wóz w głąb Washington Street.

– Gdzie idziemy?

– Na Wall Street.

Część 2

RABUNEK

15.

Połatany spłowiaty żagiel wygląda zwyczajnie, pomyślał kapitan Novicki. Wręcz niewinnie. Zwłaszcza na powolnym staromodnym kecie. A jeśli przy rumplu siedzi siwowąsy Bill Skorupiak z fajką, jesteś prawie niewidoczny.

Przynajmniej dla tych, co szukają chcących się szybko wzbogacić chłopców.

Taką nadzieję miał Novicki, kiedy przecinał swoją roboczą łodzią Great South Bay. Silny wiatr wznosił grzywiaste fale. Stary marynarz pokonywał je beztrąsko, gdy wypływał z wąskiej Fire Island Inlet na Atlantyk.

Osiem mil morskich dalej, na wodach międzynarodowych, stał rząd drewnianych szkunerów i zardzewiałych trampów. Były zakotwiczone do płytkiego dna i kołysały się na falach. Na ich kadłubach i takielunkach wisiały reklamy autentycznej szkockiej whisky, angielskiego dżinu i francuskiego szampana. Novicki przycumował do szkunera, z którym miał umowę na dostawę. Wręczył pocztę, świeże owoce i warzywa w prezencie dla kapitana i jego rodziny oraz napoje gazowane dla dzieci. Najstarszy dzieciak wdrapał się na maszt z lornetką, żeby wypatrywać Straży Przybrzeżnej. Rodzina pomagała załadować tyle skrzynek, ile Novicki mógł wziąć do swojej łodzi.

Nie był jedynym uczciwym obywatelem zabierającym gorzałę do brzegu. Świadczyły o tym prywatne jachty i motorówki, które pływały wzdłuż Rumowej Linii i dobijały targu ze statkami sprzedającymi alkohol. Ale ani one, ani żadna przemytnicza taksówka nie miały tego wieczoru cenniejszego ładunku - najlepszej słodowej szkockiej o tak ciemnym kolorze i dymnym aromacie, że zmieszana jeden do pięciu z alkoholem zbożowym mogła być nadal sprzedawana jako oryginalna.

Kapitan szkunera i jego żona wydawali się zaniepokojeni. Novicki zapytał, co ich gnębi.

– Ostatniej nocy znów był rabunek. Przynajmniej tak podejrzewamy. Łódź nie wróciła. Była w dobrym stanie, kiedy odpływała. Uważałbym na pańskim miejscu.

– Nikt nie będzie sobie zawracał głowy małym starym ketem.

– Nie jest taki mały i ma szerokość barki - odrzekł kapitan szkunera. - Każdy gangster, który zna się na rzeczy, zobaczy, że wcisnął pan na pokład sto skrzynek.

Novicki tak wyliczył czas, żeby wracać na ląd po zmroku. Osiem mil morskich do wybrzeża i dziesięć w głąb Fire Island Inlet. Łatwy rejs z falami. Pokonał dwie mile w pół godziny, nasłuchując odgłosu silników. Parę taksówek minęło go z rykiem, płynąc pięć razy szybciej niż on.

Nagle usłyszał charakterystyczne dudnienie trzech połączonych silników benzynowych. Rzucił się do masztu i opuścił żagiel. Przykrył płótnem pokład sekundy wcześniej niż szperacz kutra Straży Przybrzeżnej omiółł wodę. W końcu się wynieśli. Postawił żagiel i nasłuchiwał dalej.

Dopływał do zatoczki, kiedy poczuł i usłyszał daleki grzmot.

Po swojej pozycji ocenił, że jest za daleko, żeby słyszeć przybój. Sztorm też nie nadciągał. Niebo się wypogadzało i gwiazdy już przeświecały przez mgiełkę. Wychylił się za burtę i zanurzył fajkę w wodzie, żeby zgasić czerwony żar.

Grzmot się zbliżał.

Ogień mknął nad falami, zwarty rząd płomieni, które oświetlały sylwetkę czarnej łodzi pod nimi.

Novicki przywiązał rumpel i rzucił się ku dziobowi, żeby znów opuścić żagiel. Ale tym razem się spóźnił. Czarna łódź miała większy szperacz niż patrolowiec. Biały snop światła omiółł morze, prześlizgując się po wierzchołkach fal, i nagle oświetlił żagiel jak sto słońc. Oślepiiony i zdezorientowany stary człowiek zatoczył się do rumpla, jakby mógł się jakoś wydostać z tej opresji.

Karabin maszynowy zahuczał. Lufa pluła ogniem prawie tak jasnym, jak wydech czarnej łodzi, i prawie tak samo głośno. Pociski podziurawiły pokład Novickiego, drzazgi przysły mu w twarz. Grad ołowiu rozłupywał drewno i rozrywał żagiel, hałas go paraliżował. Zaciskał rękę na rumplu. Grzmiące silniki ucichły po ich zdławieniu, kiedy łódź się zbliżyła. Ale kaem nie umilkł i serie

wciąż nadlatywały. Między nimi słyszał męskie krzyki. W tym hałasie i zamieszaniu dopiero po chwili uświadomił sobie, że to nie Amerykanie. Mówili w obcym języku. Nie słyszał wiele przez huk kaemu, ale to mógł być rosyjski, który spotykał czasem na morzu.

Przez tę osobliwość nieoczekiwanie rozjaśniło mu się w głowie. Nie rozumiał słów, ale na pewno nie krzyczeli: „Wstrzymać ogień!” Przekonany, że w morzu nie będzie mniej bezpiecznie, stary marynarz zaczerpnął powietrza i przetoczył się przez burtę do wody.

Była zaskakująco zimna, tak zimna, że prawie zatrzymało mu się serce. Ciężar kurtki, którą zapiął dla ochrony przed nocnym chłodem, wciągnął go pod powierzchnię. Nie walczył, lecz opadał, byle dalej od harmidru na górze. Woda tłumiła grzmiot silników czarnej łodzi i huk karabinu maszynowego. Ale słyszał odgłos śrub.

Brakowało mu powietrza. Oderwał guziki i pozbył się kurtki. Popłynął pod kątem ku powierzchni, starając się oddalić od obu łodzi, na ile mógł. Wynurzył się w końcu, nabrał powietrza i rozejrzał. Rabusie byli dziesięć metrów od niego i przeładowywali gorzałę z jego łodzi na swoją. Wyłączyli szperacz i pracowali przy latarce. Odpłynął dalej, żeby go nie zobaczyli, i utrzymywał się w wodzie pieskiem, szczękając zębami. Jak tylko skończyli, chwycili siekiery i wyrąbali dziury w dnie keta. Zaczął osiadać pod ciężarem miecza.

Czarna łódź odpaliła grzmiące silniki i zagłębiła się w noc.

Samochód pancerny z namalowanymi trupimi czaszkami i piszczelami wjechał w berliński zaułek. Antykomuniści w środku byli wyszkoleni przez policję i uzbrojeni w pistolety i pałki. Ludzie uwięzieni w komunistycznej wytwórni bomb spanikowali. Czerwoni mieli jeden zardzewiały rewolwer. Nowiutkie pistolety ortgies 7,65, które obiecał Komitet Centralny, nie dotarły. Anny, ich kucharka, odwróciła się z przerażeniem do Pauline Grandzau.

Pauline wzięła ją za rękę.

Wytwórnia bomb była ukryta w mieszkaniu na parterze czynszówki w dzielnicy robotniczej Wedding z wąskimi ulicami i krętymi zaułkami. Jeśli ktokolwiek mógł jej pomóc odkryć prawdę o Johannie Kozłowie, to ta dziewczyna, za którą Pauline trafiła tutaj. Anny gorąco wierzyła w sprawę robotników i niechętnie uczestniczyła w pełnej przemocy rewolucji, którą nazywała historyczną koniecznością.

Choć wysoce inteligentna, wydawała się zupełnie nieświadoma, że służba bezpieczeństwa ją śledzi. Siedziałyby już w celi, gdyby nie mieli nadziei, że doprowadzi ich do kominternowskiego agenta Valtina, który skontaktował się z Kozłowem. Pauline przypuszczała, że w tym decydującym momencie zgubili ją i nie mają pojęcia, że ich mimowolny Judasz może lada chwila zostać ciężko ranny lub zabity.

Drzwi się zatrzęsły od uderzeń pałek i kolb antykomunistów. Wytwórcy bomb podparli je ramionami, żeby się nie otworzyły.

– Pomóż mi odciągnąć dywan - powiedziała Pauline do Anny.

Wytwórcy bomb najwyraźniej dorastali w mniej biednych dzielnicach niż ta i żaden z nich nawet nie podejrzewał, że jest kłapa pod brudnym dywanem. Otwierała się na mokrą ziemną piwnicę. Wykopali ją kilkadziesiąt lat temu wieśniacy, kiedy przenieśli się do miasta, w złudnej nadziei, że będą w niej przechowywali warzywa uprawiane w cieniu czynszówki.

– Skąd wiedziałaś? - szepnęła Anna.

– W dzieciństwie mieszkałam z matką w Wedding.

Gdyby piwnica była jak inne, które widziała Pauline, miałaby wyjście na dwór. Może szczęśliwie na wewnętrzne podwórze z płotem, przez który można by się precyzyjnie i uciec. Tak było. Trzymając Anny mocno za rękę, Pauline wydostała się na deszcz padający z kawałka szarego nieba.

Ściany budynków otaczały je z czterech stron. Tylko jeden miał drzwi.

– A co z innymi? - zapytała Anna.

– Pójdą za nami, jeśli mają rozum.

Ale zanim wytwórcy bomb zdążyli uciec przez piwnicę, eksplozja zatrzęsła ziemią. Tuman kurzu wystrzelił z drzwi piwnicy. Pauline poczuła drżenie pod stopami i cały front kamienicy się zawalił. Cegły i drewno przysypały antykomunistów, ich samochód pancerny w zaułku i wytwórców bomb w mieszkaniu.

– Co ci się stało w twarz, Dave? - zapytał Bell kapitana Novickiego.

– To tylko trochę drzazg.

– Wygląda na całe drzewo.

– Posłuchaj, Isaac. Muszę się przyznać do czegoś.

– Co zrobiłeś?

– Złapali mnie, jak przemycałem alkohol.

Bell przyjrzał mu się szybko. Policzki i czoło miał pokaleczone, na uchu jeden z tych nowych plastrów z opatrunkiem. Miał szczęście, że nie stracił oka. Poza tym wyglądał jak zawsze na starego twardziela z charakterem, który nie uważa się za starego.

– Złapali czy obrabowali?

– Obrabowali.

– Gdzie?

– Czekali pół mili morskiej od Fire Island Inlet. Ostrzelali moją łódź i ukradli... ładunek. Wyrąbali dziury w dnie, żeby zatoniła.

– To masz szczęście, że żyjesz.

– Cholerne szczęście. Dobrze, że nie muszę mówić Joemu od razu. Wystarczy, że tobie się przyznałem do złamania prawa.

– Nie jestem gliniarzem - odrzekł Bell. - Ani księdzem.

– Jesteś vandornowcem, to jeszcze gorzej. Joe ustanawia zasady. Łatwiej byłoby się przyznać gliniarzowi albo księdzu. To krępujące jak diabli. Ale nie mówię ci bez przyczyny.

– Co jeszcze się stało?

– Widziałem czarną łódź, o której wszyscy mówią.

Bellowi zabłyśły oczy.

– Opisz ją!

Stary kapitan był doskonałym świadkiem, co nie dziwiło. Obserwował uważnie i potem pamiętał szczegóły. Oceniał, że łódź miała długość osiemnastu do dwudziestu jeden metrów.

– Wąska. Bardzo duże zanurzenie, ale nadaje się na morze ze swoim kielichowym rozchyleniem części dziobowej. Trzy liberty w przedziale silnikowym. I miejsce na czwarty, gdyby jeden przestał działać. Kokpit blisko dziobu dla czterech lub pięciu ludzi. Wygląda na małą, bo ją dobrze zbudowano, ale jest duża. Założę się, że zabiera tysiąc skrzynek.

– Uzbrojenie?

– A, tak. Brzmiało jak lewis na naszych ścigaczach okrętów podwodnych. I ogromny szperacz. Jak na niszczycielu.

– Pancierz?

Novicki wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie strzelałem do niej.

– Jaką szybkość rozwija? Joe uważa, że pięćdziesiąt węzłów.

– Jej liberty ryczały, jakby mogła.

– To brzmi bardzo podobnie do opisu Joego. Jak ci się udało przeżyć?

– Zaryzykowałem kąpiel.

– Dopłynąłeś do brzegu? - zapytał Bell ze zdumieniem.

Morze było zimne i wzburzone, a Novicki musiał dobiegać siedemdziesiątki.

– Nie. Wgramoliłem się na moją łódź, zatkałem płótnem dziury i wybierałem wodę jak szalony, dopóki nie dodryfowałem do plaży. Przybrzeżni z posterunku w Inlet mi pomogli. Dobrze, że złodzieje zabrali całą gorzałę, więc nie łamałem prawa.

– Mało brakowało - odrzekł Bell.

Novicki zwiesił głowę.

– Czuję się jak skończony dureń. Byłem bezrobotny. Załamany. Facet zaproponował mi forszę za kurs. Wyglądało to na łatwy zarobek.

– Ile kursów zrobiłeś?

– Ten jeden.

– Chcesz dobrej rady?

– Tak, wiem. Nie rób tego więcej.

– Przemycając alkohol, zginiesz. Szmugiel się szybko zmienia, gangsterzy przejmują interes.

– Zważywszy ostatnią noc, nie mogę się spierać - odparł cierpko Novicki.

– Może Bill Skorupiak powinien wrócić na morze - powiedział Bell.

– Isaac, bardzo bym chciał. Cholernie mało żaglowców handlowych zostało, gdy na wojnie tyle zatono. Nikt nie da facetowi w moim wieku dowodzić parowcem.

– Założę się, że uda mi się wsadzić cię na żaglowiec - odrzekł Bell. - Rozmawiałem z gośćmi z branży alkoholowej na Bahamach. Rozpracowuję obecną sprawę pod każdym kątem. Działają zgodnie z prawem. Transportują szkocką i dżin z Brytanii i rum z Hiszpanii do Nassau. To legalny, uczciwy interes - przynajmniej do momentu, kiedy przemytnicy zabierają towar z

Nassau. Co byś powiedział, gdybym zdołał cię wkreślić na szkuner z rumem kursujący z Karaibów na Bahamy?

– Jeśli zatrudniliby starego człowieka.

– Zatrudnię każdego wykwalifikowanego kapitana, który jeszcze żyje. Niewielu młodym można powierzyć dowodzenie żaglowcem. A starych wilków morskich do wzięcia jest mało, ponieważ tak wielu kapitanów wchodzi w interes alkoholowy. Co ty na to?

– Byłbym ogromnie wdzięczny.

Isaac Bell wyciągnął rękę.

– Dawaj grabę. Przypieczętujemy to uściskiem dłoni. I bez obaw, Joe niczego się nie dowie ode mnie.

– Sam mu powiem, jak tylko wydobrzeje na tyle, żeby to usłyszeć. Nie będę okłamywał przyjaciela. Ale powinienem ci powiedzieć jeszcze coś, Isaac.

Bell się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że nie opróżniłeś skarbonki z datkami dla ubogich.

Novicki odwzajemnił uśmiech.

– Nie spaliłem też żadnego kościoła. Nie wiem, co to oznacza. Chyba słyszałem, jak tamci rabusie krzyczyli po rosyjsku.

– Po rosyjsku? Na pewno?

– Lewis hałasował, ale żeglowałem z Rosjanami. Dobrzy marynarze, kiedy trzeźwi. Przysięgam, że tamci mogli krzyczeć po rosyjsku. Nie po angielsku, to pewne.

Bell ukrył podniecenie. Nie chciał zachęcać Novickiego do upiększania opowieści.

– Wielu zagranicznych marynarzy jest na Rumowej Linii. Tamci mogli być z Karaibów?

– Nie, rozpoznałbym karaibski dialekt.

– Masa włoskich gangsterów jest w branży alkoholowej. Może to był statek z Włoch?

– Nie, to nie byli makaroniarze. Mogli być Niemcami, ale im więcej o tym myślę, upewniam się, że słyszałem rosyjski. Chyba że polski. Jednak rosyjski nie ma sensu. To znaczy, mogę sobie wyobrazić Rosjan kotwiczących na

Rumowej Linii, żeby sprzedać towar, ale nie przemycających go na brzeg. To jest dla miejscowych facetów, którzy znają tutejsze wody.

– Cieszę się, że przyszedłeś z tym do mnie, Dave.

– Może to ci pomoże przygwoździć bandziorów, którzy postrzelili Joego.

– Mogłoby - odrzekł Bell.

Gdyby, pomyślał, któryś niemiecko-rosyjski przemytnik dostał kulę w kark, jak to robi Czeka. A proch w łusce byłby rosyjski.

– Pożegnaj się z Joem i Dorothy i pakuj swój kufer marynarski.

– Nie cierpię ich opuszczać.

– Poradzą sobie. Ja tu jestem. Dorothy jest silna, a przy odrobinie szczęścia stan Joego będzie się nadal poprawiał.

– Jeśli nie złapie następnej infekcji.

– Ty tego nie powstrzymasz - odparł Bell z naciskiem i sięgnął po portfel. - Kup bilet na pociąg do Miami. Telegram ode mnie o statku będzie czekał na ciebie na stacji. Zależnie od tego, gdzie jest statek, będziesz musiał popłynąć parowcem albo do Nassau, albo na Jamajkę, albo na Hiszpanię.

– Nie mogę wziąć pieniędzy od ciebie.

Bella nie zaskoczyły opory Novickiego i przygotował się. Wyciągnął przed siebie gruby plik banknotów.

– To nie moje pieniądze, tylko agencji. I zatrudniam cię do przysłania mi raportu o przemycie alkoholu z Nassau do Miami, zanim popłyniesz na Karaiby.

Novicki zrobił upartą minę.

– To nie jest jałmużna - powiedział stanowczo Bell. - Jestem przekonany, że nielegalny interes alkoholowy stanie się lada chwila ogólnokrajowym przedsięwzięciem przestępczym. Jeśli mam rację, to przemyt przez takie punkty przerzutowe jak Chicago i Floryda, przyciągnie tych samych przestępców, którzy się bogacą w Nowym Jorku. Już wysłałem najlepszego człowieka do Detroit. Jedziesz do Miami, więc możesz mi tam pomóc.

– Dostanę się tam na własną rękę.

Bell chwycił jego dłoń i wcisnął mu pieniądze.

– Potrzebuję cię tam natychmiast. Jesteś czujny i spostrzegawczy, Dave. Zrób wszystko, co będziesz mógł, żeby mi pomóc.

Odprowadził Novickiego za próg i wrócił szybko do zbiorowego pokoju biurowego, gdzie wycelował władczo palec w trzech detektywów w okularach. W kamizelkach, muszkach i opaskach na rękawach koszul wyglądali bardziej na obojętnych księgowych bez poczucia humoru niż na prywatnych śledczych.

Adler, Kliegman i Marcum zebrali się wokół jego biurka.

– Opancerzona łódź o wysokiej mocy, która postrzeliła Bossa z kaemu, znów grasuje wzdłuż wybrzeża - powiedział Bell. - Grady Forrer zlokalizuje stocznie łodziowe na Long Island, w Nowym Jorku i New Jersey, gdzie mogli taką zbudować. Wy się dowiedziecie, która ją zwodowała. Udawajcie, że wasz szef przemysłowiec oferuje grubą forszę za taką samą, tylko szybszą. Zatelefonujcie do mnie, jak tylko znajdziecie taką, to przyjadę tam z pieniędzmi.

Coś jeszcze z opowieści starego wilka morskiego o czarnej łodzi utkwiało Bellowi w głowie. Mimo że Novicki uchylał się przed pociskami i ratował ucieczką do wody, zapamiętał ze szczegółami długi rząd trzech silników, które płuły ogniem z przedziału silnikowego blisko rufy. Spekulował, że w przedziale było miejsce na czwarty silnik. Czwarty nie pluł ogniem, więc albo się zepsuł, albo był zapasowy na wypadek awarii któregoś ze stale używanych.

Nikt nie wiedział lepiej niż pilot samolotu, że liberty często się psują. Dużą zaletą jego loeninga air yacht, kiedy go kupował, był silnik wysoko na skrzydle, co umożliwiało szybką wymianę. Bell nie podpisał umowy, dopóki Loening Aeronautical nie dorzucił zapasowego silnika i skrzyni zaworów.

– McKinney!

– Jestem, panie Bell!

– Czy ktoś z twoich waszyngtońskich znajomych pracuje dla dyrektora sprzedaży Departamentu Wojny?

– Będą znali kogoś takiego.

– Znajdź kogoś stamtąd, kto nam powie, kto kupuje silniki liberty i części zapasowe z nadwyżek wojennych.

– Nie chcę odgadywać pańskich zamiarów, panie Bell, ale przy ostatnim liczeniu rząd miał trzynaście tysięcy silników liberty.

– Dlatego przemysłowcy je kupują. Są mocne, tanie i jest ich dużo. Powiedz swojemu człowiekowi, żeby się skoncentrował na zakupach silników i części zapasowych w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów od Nowego Jorku.

Detektywi się rozeszli.

Bell wysłał telegram transkontynentalny do Pauline Grandzau:

„Następni Rosjanie. Co z Kozłowem?”

Pauline Grandzau potrząsnęła śpiącą komunistką Anny, kiedy pociąg do Hamburga zwolnił. Zatrzymał się na stacji w miasteczku szesnaście kilometrów przed portowym miastem na północy. Wsiadły i poszły z miasteczka do lasu, gdzie przyjaciel Anny, Valtin, prowadził ćwiczenia Hundertschaft. Kompania stu komunistycznych bojowców przygotowywała się do przewodzenia powstaniu w Hamburgu.

– Valtin to twój przyjaciel czy chłopak? - zapytała Pauline.

– U nas nie jest tak. Jeśli dziewczynie podoba się chłopiec, mówi: „Chodź ze mną”. I jeśli on chce, to idzie. Ale to nie znaczy, że musisz z nim być codziennie.

– A jeśli tego chcesz?

– To możesz. Ale jeśli inna dziewczyna powie: „Chodź ze mną”, to zrobisz źle, próbując go zatrzymać. W rewolucji nie ma miejsca na zazdrość.

Pauline trudno było uwierzyć w tę utopijną fantazję, zwłaszcza kiedy Anny wskazała wysokiego, przystojnego, ciemnowłosego Valtina. Nawet z daleka, między drzewami, wyglądał na mężczyznę, który może z uśmiechem prowokować zazdrość.

W tej chwili koncentrował się na musztrowaniu stu wyglądających na twardzieli marynarzy floty handlowej. Byli uzbrojeni w przestarzałe karabiny armii carskiej, różne pistolety, łącznie z kilkoma nowymi ortgiesami, potężne granaty trzonkowe z wielkiej wojny i liczne staromodne granaty kugel. Co najmniej dwudziestu młodszych miało noże i pałki.

Ćwiczyli sygnały do ataku i odwrotu. Posuwali się naprzód i cofali leśnymi ścieżkami, które zastępowały im ulice, i zbierali się wokół drzew, zamiast kamienic i fabryk. Wielki stos zwalonych pni i gałęzi służył za barykadę.

Valtin zarządził przerwę. Mężczyźni wyciągnęli się na ziemi i podzielili papierosami. Valtin podszedł wolno i pocałował Anny w usta, nie odrywając wzroku od Pauline.

– Kim jesteś?

– To Pauline - przedstawiła ją Anny. - Uratowała mnie przed Bürgerwehrą.

– Jak?

Anny wyjaśniła, że była uwięziona w wytwórni bomb.

– Znalazłam tylko wyjście - powiedziała Pauline.

– Skąd się tam wzięłaś?

– Ona szuka kogoś nazwiskiem Kozłow.

– Johann Kozłow - uściśliła Pauline. - Miałam nadzieję, że ktoś z wytwórców bomb go zna. Ale Bürgerwehrrą zaatakowała, zanim zdążyłam zapytać.

– Dlaczego szukasz Kozłowa?

Pauline przecwicyła odpowiedź.

– Mój brat jest w więzieniu w Ameryce. Kozłow próbował uniknąć deportacji, zeznając przeciwko Fritzowi. Chcę, żeby wycofał fałszywe zeznania.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Żeby niesłusznie skazany uczciwy człowiek odzyskał wolność.

– Oszalałaś? Kozłow jest rewolucjonistą. Nie może kierować się moralnością „uczciwego człowieka”.

Valtin nie wiedział, że Johann Kozłow został zabity w Ameryce. Pauline uznała to za dziwne, jeśli Kozłow był jego rekrutem. Oczywiście, Valtin się ukrywał i przygotowywał do ataku na Hamburg. Nie dostawał regularnie informacji wywiadowczych. Ale przyszło jej do głowy, że Valtin niekoniecznie zwerbował Kozłowa do Kominternu. Może Kozłow był już agentem Kominternu i Valtina wysłano, żeby sprawdził jego lojalność po aresztowaniu w Ameryce albo przekazał mu instrukcje z Moskwy.

Valtin przyglądał się jej podejrzliwie.

– Kim jesteś? Co robisz? Z czego żyjesz?

– Jestem bibliotekarką.

– Gdzie?

– W Berlinie.

Dała mu wizytówkę.

– Pruska Biblioteka Państwowa - przeczytał głośno. - Skończyłaś studia. Jesteś specjalistką. Gdzie się wychowywałaś?

Podala mu ostatni adres matki w Wedding. Uniósł brwi.

– Przeszłaś długą drogę.

– Wykształcenie winduje.
– Nie mówisz z akcentem berlińskiej ulicznicy.
– Miałam ambicję zostawić tamto wszystko za sobą - odparła Pauline.
– Nie bardzo daleko za sobą w wytwórni bomb w Wedding. A teraz stoisz w obozowisku czerwonych.

– Chodzę, gdzie muszę, żeby pomóc bratu. Pytam cię jeszcze raz: gdzie mam szukać Kozłowa?

– W Berlinie. Uczestniczył w walkach ulicznych w powstaniu.

– A nazwiska jego towarzyszy?

– Walczył u boku Zolnera - odrzekł Valtin swobodnie, jakby miała znać to nazwisko.

Bohater i sławny przywódca. Ekskomendant Richter będzie wiedział, o kogo chodzi. Z Hamburga mogłaby zadzwonić do niego i zapytać, co policja wie o Zolnerze.

– Wiesz, gdzie Zolner jest teraz?

– Mam nadzieję, że Komitet Centralny wyśle go do Hamburga, żeby dowodził walką. Przyłącz się do nas.

Znów mówił swobodnie, ale brzmiało to jak wyzwanie. Albo test.

– Jak Zolner ma na imię?

– Zapytaj go w Hamburgu.

Było ciemno, kiedy Hundertschaft pomaszerowała wzdłuż torów kolejowych w kierunku Hamburga i Pauline została sama z Anny. Kobiety niosły apteczki z tyłu kolumny.

– Jak Zolner ma na imię?

– Nie wiem - odszepnęła Anny. - Podobno tańczył kiedyś w balecie.

16.

– Ojej, tak mi przykro, panie Bell. Wygląda na to, że CG-9 dostał nowe rozkazy. Nie wrócił z patrolu.

Porucznik Straży Przybrzeżnej, który miał nadzorować przesłuchanie kapitana kutra CG-9 przez Bella, wcale nie wyglądał na zmartwionego, że basen portowy na Staten Island, gdzie Bell miał zastać kuter, jest pusty.

– Szkoda, że fatygował się pan taki kawał drogi.

– Nie szkodzi - odrzekł Bell. - Mam znajomego na Staten Island. Pogoda jest ładna. Przepłyniemy łodzią.

Pojechał do doków przy Richmond Terrace i za dwieście dolarów wynajął łódź, której szyprem był stryjeczny dziadek detektywa Eda Tobina Donald Darbee. Szeroka, niska, płaskodenna barka do połowu ostryg, inaczej niż łódź rzeczywiście do tego używana, miała ogromny silnik peerless V8 z czterogardzielowym gaźnikiem do ucieczek przed policją portową. Po wprowadzeniu ustawy Volsteada długowłose siwy Darbee zainstalował nowoczesny radiotelegraf, żeby wiedzieć, gdzie są patrole prohibicyjne. Radio obsługiwała jego ładna nastoletnia wnuczka Robin. Zachowywała stoicki spokój i znała alfabet Morse'a.

Bell wyłożył staremu człowiekowi swój plan i razem wyjęli z łodzi wszystko, co mogło być uznane za nielegalne. Zostawili w basenie cumowniczym Darbee'ego w cieśninie Kill Van Kuli resztki alkoholu, opium i amunicji, które wpadły do zęzy.

– Bez kontrabandy na pokładzie - wytłumaczył Bell - nie zostaniemy aresztowani, jak Straż Przybrzeżna nas złapie.

– Nie podoba mi się taka możliwość - burknął Darbee.

Robin przewróciła oczami.

– Dziadku, pan Bell właśnie ci wyjaśnił, o co chodzi.

– Wiem, o co chodzi. Jestem stary, nie głupi. On chce się dostać na tamten kuter. Ale mnie się nie podoba, że mogą mnie złapać. To wbrew mojej naturze.

Bell poprowadził łódź do ostryg przez ruchliwy port i cieśninę Narrows między Staten Island a Brooklynem. Potem z Lower Bay obok latarniowców na

farwaterze Ambrose na ocean. Darbee i Robin kucali na dziobie i kontaktowali się przez radio z przewoźnikami wodnymi ze Staten Island, którzy już płynęli do Rumowej Linii. Kuzyni i kumple pomagali Darbee'emu zlokalizować kuter CG-9 w odległości kilku mil morskich.

Bell otworzył przepustnicę i wysterował na północny wschód. Godzinę później, dziesięć mil morskich od Long Beach, zauważył charakterystyczną sylwetkę wysokodziobowego, niskorufowego dawnego ścigacza okrętów podwodnych. Kuter Straży Przybrzeżnej trzymał swój kurs, jego obserwatorzy nie dostrzegli niskiej szarej łodzi do ostryg.

– Okej, panie Darbee. Niech pan im pokaże, że jesteśmy tutaj.

Darbee wlał olej silnikowy do specjalnie skonstruowanego lejka. Olej kapał na gorący kolektor wydechowy i łódź ciągnęła wielką chmurę dymu.

– Pierwszy raz używam moją zasłonę dymną jako przynętę.

Kuter skręcił i skierował się ku nim, rzeźbiąc jasną falę dziobową. Bell cofał przepustnicę, dopóki mógł utrzymać łódź na kursie w morze. Kuter się zbliżał. Z niskiej łodzi do ostryg wyglądał na ogromny, jego działo pokładowe na potężne, dwa kaemy lewis na zabójcze.

Bell, Darbee i Robin podnieśli ręce. Kuter zrównał się z nimi i uderzył mocno w ich kadłub. Marynarze wskoczyli na pokład z wyciągniętą bronią. Przycumowali szybko łódź i zaczęli ją przeszukiwać.

Bell zobaczył, że siwowłosa podoficer patrzy na niego z góry. Za chwilę mógł rozpoznać w nim pilota, który dostarczył Josepha Van Dorna flying yachtem. Bell musiał się dostać na kuter, zanim to się stanie. Inaczej gra byłaby skończona.

– Wujku Donny - mruknął. - Mógłby pan ich jakoś rozdrażnić?

Darbee gardził każdą władzą. Straż Przybrzeżną oceniał jeszcze niżej niż nowojorską policję portową. Pokazał żółte zęby w drwiącym uśmiechu.

– Z czego się śmiejesz?! - krzyknął pilnujący ich marynarz.

– Nie miałem takiego ubawu od pewnej mglistej nocy, kiedy „pomogłem” policyjnej łodzi wpaść na Statuę Wolności.

– Zamknij się, staruchu. Uważaj, co mówisz.

– To ty uważaj, co mówisz, marynarzu! - wtrącił się Bell podniesionym z oburzenia głosem. - Tak się nie mówi do pana cztery razy starszego od siebie.

– Zamknij się, bo cię aresztuję.

– Nie możesz mnie aresztować! - krzyknął głośniejsz Bell.

– Czyżby? Jesteś aresztowany. Idziemy!

Bell dał się wciągnąć marynarzom na pokład rufowy kutra. Podoficer zbiegł na dół i nagle przystanął.

– Ja cię skądś znam.

Bell spojrzał mu w oczy.

– To chyba pan uratował życie Josephowi Van Dornowi opaską uciskową. Jeśli tak, to jestem pana dłużnikiem.

– Tak właśnie jest.

– Ciekaw jestem, czy wyświadczyłby mi pan jeszcze jedną przysługę i powiedział swojemu kapitanowi, że muszę z nim porozmawiać.

W tym momencie grupa abordażowa zawołała, że nie ma gorzały na łodzi do ostryg.

Wyglądający na zmęczonego kapitan, który obserwował wszystko z odkrytego mostka, zszedł na pokład rufowy.

– Po co była ta zasłona dymna? Nie ma alkoholu na waszej łodzi.

– Wiedzieliśmy, że nas nie zobaczycie, półgłówki, jeśli wam nie pomożemy!
- krzyknął Darbee.

Kapitan go zignorował i zwrócił się do Bella:

– Wywabiliście mnie z posterunku, żeby pomóc przepłynąć taksówkom waszych kompanów. Przeszkadzanie patrolowi to przestępstwo.

Bell wyciągnął rękę.

– Isaac Bell, kapitanie. Jestem głównym śledczym Agencji Van Dorn. Pozwoli mi pan chyba na dochodzenie, kto postrzelił mojego szefa, kiedy był na pańskim okręcie?

– Oczywiście, ale...

– Będzie pan mógł wrócić na patrol, jak tylko pan mi powie, co się dokładnie wydarzyło, kiedy pana Van Dorna postrzelono na pańskim okręcie.

Kapitan wskazał kciukiem Darbee'ego i jego łódź.

– Po co ta komedia?

– Straż Przybrzeżna robi uniki przede mną. Pańscy przełożeni nie pozwalają mi przesłuchać pana ani pańskiej załogi.

Kapitan przytaknął.

– Zastanawiałem się nad tym. To dlatego trzymają nas tutaj. Kucharzowi brakuje pieczonej fasoli i wody i kończy nam się paliwo.

– Jak tylko odpowie mi pan na pytania, przestanę im zawracać głowę - obiecał Bell - i pozwolę panu wrócić do portu.

– Nie mam nic do ukrycia.

– Co pana najbardziej uderzyło w czarnej łodzi?

– Szybkość. Nigdy nie widziałem takiej szybkiej łodzi.

Dokładnie to samo powiedział Van Dorn.

– Co jeszcze?

– Taktyka - odrzekł kapitan. - Wykorzystywali swoją szybkość doskonale. Mieli przewagę z powodu wad mojego kutra. Manewrowali za nami tak, że nie mogliśmy użyć działa.

– Pan Van Dorn mówił mi, że czuł się tak, jakby wrócił do Panamy z marines.

– Ja też się czułem jak z powrotem na wojnie - przyznał kapitan.

– Przez ten grad ołowiu - wtrącił się podoficer.

– To też, ale chodzi mi o to, że prowadzili atak jak bitwę morską. Nie tak, bosmanie?

– Tak jest. Przemysłowcy walczyli jak weterani.

– To nie byli pospolici przestępcy.

Znów to samo, co powiedział Van Dorn, pomyślał Bell.

W tym momencie, na rozkołysanym pokładzie kutra, uzmysłowił sobie, co go nurtowało od pościgu za zabójcą Kozłowa. Jeśli nie byli pospolitymi przestępcami, zwykłymi przewoźnikami whisky, to co robili w przemysłowej branży?

– To wszystko, co wiem - oświadczył kapitan. - Bosmanie, wsadź go z powrotem na jego łódź.

– Jeszcze jedno - powiedział Bell. - Kto wyciągnął pana Van Dorna z wody?

Kapitan i bosman wymienili skrzępowane spojrzenia.

– Marynarz trzeciej klasy Asa Somers - odparł kapitan.

– Chciałbym mu uścisnąć dłoń.

Bosman popatrzył na wodę.

– Somers został zwolniony - oznajmił kapitan.

– Za co? To bohater.

– Rozkaz zwolnienia go przyszedł prosto z kwatery głównej. Ktoś się poskarżył, że wysyłają nas w bezskuteczne pościgi, że ktoś daje tamtym cynk. Szarża uznała, że Somers jest tym, co się poskarżył, albo tym, co daje cynk. Ostatni dołączył do załogi. Zabrali go szalupą.

– On się poskarżył?

– Nie wiem, ale to porządny chłopak.

– Bystrzak - dodał bosman.

– Gdzie go mogę znaleźć?

– Niech żyją sowieckie Niemcy!

Komuniści wyszeptali ochryple swój okrzyk bojowy, kiedy kompania Hundertschaft wkradła się do Hamburga w środku nocy. Valtin kazał swoim ludziom włamać się do sklepów i ukraść słoje nafty. Komitet Centralny obiecał granaty trzonkowe. Zanim dotrą, oddziały szturmowe czerwonych miały wzniecić pożary naftą do lamp. Nie dawało to Pauline wielkiej nadziei, że Komitet Centralny przyśle Zolnera, jak obiecał. Ale tkwiła w tym teraz po uszy, była tego mimowolną uczestniczką. A to zaczynało wyglądać na skazany na niepowodzenie atak tysiąca ludzi na milionowe miasto.

Ale gdy zagłębiali się w miasto, dołączały do nich inne kompanie Hundertschaft i zwykli obywatele z czynszówek. Ich liczba zaczęła rosnać. Pierwszy posterunek policji, jaki zaatakowali, padł szybko. Wyprowadzili oszołomionych policjantów w ich własnych kajdankach. Mogli się przydać jako zakładnicy. Potem splądrowali arsenał posterunku. Zabrali karabiny, pistolety, amunicję i chłodzony wodą maschinengewehr MG 08/15 na trójnogu. Valtin kazał czterem weteranom wojennym wnieść karabin maszynowy na dach czynszówki wysoko nad ulicą.

Szli dalej ku stoczniom. Noc była ciemna, ulice puste. Zaskoczenie wydawało się zupełne. Żadnych brygad do tłumienia rozruchów, żadnych pomocniczych oddziałów Bürgerwehry, żadnych kolumn Freikorpsu. Podkradali się do następnego posterunku policji, gdy światła w środku zgasły.

– Do ataku! - ryknął Valtin i przypuścili szturm na budynek.

Gliniarze otworzyli ogień z karabinów i pistoletów. Czerwone i żółte błyski przecinały ciemność. Mężczyźni padali na ulicę.

Valtin rzucił granat trzonkowy. Ręczny pocisk rozbił szybę w małym oknie i trafił w stalową siatkę. Ale był niewybuchem i nie eksplodował. Hundertschaft znów zaczęła strzelać z pistoletów. Policja odpowiedziała seriami z kaemu. Huk ogłuszał, błyski z lufy oślepiały. Anny zatoczyła się na Pauline. Pauline spróbowała ją potrzymać, żeby nie upadła. Złapała ją w ramiona. Dziewczyna była bezwładna.

Pauline zmusiła się, żeby spojrzeć na jej twarz. Ku swemu przerażeniu zobaczyła ciemną dziurę między oczami. Anny zginęła na miejscu. Byłyśmy centymetry od siebie, pomyślała Pauline, wciąż trzymając dziewczynę.

Trzech nastolatków podbiegło brawurowo do budynku i rzuciło słoje z naftą. Odważniejsi, niżby byli, gdyby stali obok Anny, pomyślała Pauline. Pociski ich skosiły. Szkło się rozprysło, nafta rozlała. Czwarty chłopiec podbiegł tam z płonąca szmatą. Kula odrzuciła go do tyłu i upadł na palący się materiał. Stary człowiek, który dołączył do nich chwilę przed atakiem, ruszył naprzód. Pociski go omijały. Pauline czekała, kiedy zostanie trafiony. Pstryknął papierosem. Niedopałek poszybował przez ciemność jak kometa. Front posterunku policji stanął w ogniu. Płomienie wdarły się przez okna.

Drzwi się otworzyły i policjanci wybiegli. Klepali płonące mundury gołymi rękami i tarzali się po bruku, żeby je ugasić. Pauline myślała w zamęcie, że czerwoni ich ratują. Ale oczy powiedziały jej straszną prawdę. Przeskakiwali nad ciałami chłopców, żeby powalić gliniarzy i skopać ich na śmierć.

Pauline pomyślała w tym momencie, że nie ma nadziei dla Niemiec. Jak przewidział ekskomendant Fritz Richter, nie będzie łaskawych zwycięzców, rycerzy w lśniących zbrojach.

Położyła ciało Anny na bruku ze strasznym przeczuciem, że najgorsi będą prosperować, a marzyciele umierać. Czerwone Setki Valtina zostawiły płonący posterunek policji i popędziły w kierunku stoczni. W obawie, że zostanie z tyłu, Pauline pobiegła za nimi.

Plakaty rządowe na rogach ulic groziły karą śmierci za posiadanie broni. Bojowcy je zrywali. Przecięli szeroką arterię, którą Pauline rozpoznała. Prowadziła do głównej stacji kolejowej, skąd mogłaby zadzwonić do Richtera w Berlinie. Nie widziała ani śladu tajemniczego Zolnera. Mógł zginąć w ogniu

walki. Zwolniła, żeby maruderzy ją wyprzedzili. Kiedy zaczęła skręcać, wręczyła swój plecak sanitariuszki ostatniemu mężczyźnie w szeregu.

Obejrzała się przez ramię i wytrzeszczyła oczy z przerażenia.

Kolumna przysadzistych szarych samochodów pancernych jechała z rykiem w głąb arterii.

– Uciekajcie!

Ocalali z Czerwonych Setek puścili się pędem w stronę dzielnicy z wąskimi, krętymi ulicami, gdzie mieszkali stoczniowcy. Dokerzy strajkowali od wielu dni i zablokowali ulice masywnymi, dobrze skonstruowanymi barykadami z przewróconych wozów konnych, ciężarówek i mebli. Wzmocnili je brukowcami i dla ich ochrony ulokowali snajperów na dachach.

Samochody pancerne zaatakowały. Strzelały z kaemów przez wąskie szczeliny w ich stalowych przodach. Tak jak Pauline widziała w Berlinie, miały namalowane trupie czaszki i piszczele. Granaty trzonkowe poleciały z dachów w dół. Potężne eksplozje odrywały pancerze od atakujących samochodów, wystawiając ich kierowców i strzelców na ogień karabinowy z góry. Kilka samochodów zostało unieruchomionych. Jeden się zapalił. Inny wybuchł. Reszta się wycofała.

Robotnicy i Czerwone Setki wiwatowali i ściskali się.

Chwilę później silna eksplozja na środku głównej barykady rozerwała ją, wyrzucając ludzi i szczątki w powietrze.

– *Minenwerfer!* Miotacz min.

Następny czteroipółkilogramowy pocisk moździerzowy spadł z gwizdem z nieba. I kolejny.

– Do stoczni!

Ocalali uciekli ze zburzonej barykady w stronę stoczni.

Strajkujący otworzyli bramy, żeby ich wpuścić. Pauline wyłoniła się z wąskiej ulicy, w uszach jej dzwoniło od wybuchów pocisków moździerzowych. Zobaczyła wręgi parowca w budowie, sięgające ku niebu. Blask szperacza przesunął się po hangarach stoczniowych i wysokich suwnicach bramowych. Omiótł szkielet na wpół zbudowanego statku i zatrzymał się nagle, oświetlając rżęsiście wielką czerwoną flagę, którą wydymał wiatr.

Wiwaty robotników zagłuszył ogień z broni na rzece.

Hamburska policja w uzbrojonych motorówkach pędziła ku pochylniom. Strzelała z karabinów i kaemów. Strajkujący i Hundertschaften dali nura w ukrycie. Gliniarze wypadli na brzeg. Pauline zobaczyła, jak oświetlona szperaczem czerwona flaga opuszcza się szybko w dół masztu i znika z widoku. Po chwili policja znów ją wciągnęła, nasączoną benzyną i płonącą gwałtownie.

17.

Odwrót był chaotyczny, na własną rękę. Czerwoni porzucili obciążającą ich broń i pobiegli do najstarszej dzielnicy biedoty z krętymi uliczkami, gdzie mogli się ukryć pod ochroną mieszkających tam przestępców. Paulina szła w cieniu budynków. Głowę miała spuszczoną, puste ręce na widoku, wzrok czujny. Wypatrywała policji. Mężczyzna z bronią przebiegł obok. Gliniarze już zajęli dachy i snajper położył go trupem.

Zobaczyła Valtina w jakimś wejściu. Został postrzelony. Jego kurtka marynarska nasiąkła krwią. Dopiero po chwili rozpoznał Pauline.

– Gdzie Anny? - zapytał.

– Nie żyje. Oprzyj się na mnie. Pomogę ci dojść do szpitala.

– Oszalałeś? Poznają po ranach, kim jesteście.

– Gdzie jest Zolner?

Valtin oddychał z trudem.

– Jeśli Komitet Centralny go przysłał, to ja go nie widziałem.

– Jak on ma na imię?

– Dlaczego ciągle... A, prawda. Twój biedny zdradzony brat.

– Jak on ma na imię?

– Marat.

– Marat Zolner.

– To tylko jego *nom de guerre*.

– Jak się naprawdę nazywa?

Valtin zamknął oczy.

– Czasami Dima Smirnov z „v” na końcu. Czasami Dmitrij Smirnoff z dwoma „f” na końcu. Czasami... Kto wie? Kogo to obchodzi?

Osunął się na drzwi. Głowa opadła mu na piersi. Nogi wyśliznęły się spod niego. Pauline uklękła przy nim. Kiedy otworzył oczy, zobaczyła w nich, że nic go nie uratuje. Wyszeptał coś, czego nie dosłyszała. Bąbel krwi pojawił się na jego wargach. Przysunęła się bliżej.

– Co?

Bąbel się rozprysnął obok jej ucha.

– Uciekaj!

Czapka mu spadła. Pauline położyła ją na jego twarzy i pobiegła.

Szabrownicy włamywali się do sklepów. Uciekali z nich z chlebem, mlekiem, piwem, płaszczami i kapeluszami. Teraz policja wznosiła barykady i rozciągała drut kolczasty w poprzek większych ulic. Pauline wcisnęła się w jakieś wejście, żeby poczekać, aż samochód pancerny przejedzie wolno przecznicą. Mężczyźni w środku otworzyli włazy i stali w nich, już się nie bali. Samochód zniknął z widoku.

Pusta butelka roztrzaskała się u jej stóp. Dwóch szabrowników rzuciło się ku niej. Zanim zdążyła się ruszyć, osaczyli ją w wejściu. Byli pijani, cuchnęli sznapsem.

Jeden złapał ją z tyłu, drugi sięgnął do jej nóg. Kopnęła. Wiedziała, że jej jedyną szansą jest wyciągnięcie pistoletu, zanim go znajdą. Chwycił ją za kostki. Ten z tyłu ścisnął mocniej. Zdrętwiała.

Roześmiał się.

– Dobra. Można się zabawić.

Puścił jej ramiona, żeby ją odwrócić ku sobie. Kiedy się schylił i przywarł cuchnącymi ustami do jej warg, sięgnęła oburącz pod spódnicę, wyszarpnęła manna i odciągnęła suwadło. Najpierw zastrzeliła tego, który trzymał ją za kostki. Upadł do tyłu z zaskoczoną miną. Drugi, nieświadomy, bo strzały rozbrzmiewały na ulicach, nadał próbował ją pocałować. Wepchnęła broń między siebie a niego i nacisnęła spust. Napastnik upadł na bruk, raniony pociskiem małego kalibru, ale nie śmiertelnie.

Zanim zdążyła przejść trzy metry, policjanci w stalowych hełmach zatrzymali ją. Zobaczyli broń, którą usiłowała ukryć pod spódnicą. Krzyknęli, że jest aresztowana.

– Chcieli mnie zgwałcić - zaprotestowała. - Musiałam się bronić.

– Za broń jest kara śmierci.

– Mam pozwolenie.

Pokazała im oryginalną *Ausweiskarte* i wizytówkę służbową śledczej Van Dorna. Uspokajała się przez ten czas, kiedy czytali jej dokumenty.

– Co pani, na Boga, robi w Hamburgu w samym środku tych rozruchów, *Fraulein Privatdetektive*?

Pauline przybrała pozę pewnej siebie pruskiej arystokratki.

– Agencja Detektywistyczna Van Dorn zamierza otworzyć biuro terenowe w drugim największym mieście Niemiec.

– Radzę zaczekać, aż się rozprawimy z tym motłochem.

Wskazała głową postrzelonych szabrowników.

– Byłabym wdzięczna, gdybyście uznali tych dwóch za mój wkład w ten wysiłek i odprowadzili mnie na Dworzec Główny.

Zdumiony jej zuchwałością policjant przyjrzał się kobiecie. Była niska, szczupła i niezwykle piękna. Ale miała lodowate spojrzenie marszałka polnego. Zwrócił jej pistolet, podał ramię i odprowadził ją na dworzec.

Telefony działały. Zadzwoiła do Richtera. Niemcy miały najbardziej rozwiniętą telefonię w Europie i słyszała go tak wyraźnie, jakby siedział naprzeciwko niej przy stoliku w Prater Garten.

– W Hamburgu? Jesteś cała? Mamy meldunki o ciężkich walkach.

– Już po wszystkim - odrzekła.

– Było bardzo źle?

– Gorzej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. A co w Berlinie?

– Cicho jak w grobowcu. Komintern się pomylił. Odwołali ataki w Berlinie i Bremie. Durnie w Hamburgu zostali na lodzie.

– Kto to jest Marat Zolner?

Słuchała dźwięku na linii. Leciutki syk brzmiał jak wodospad. W końcu Richter zapytał:

– Jak się dowiedziałaś o Zolnerze?

– Johann Kozłow był jego prawą ręką.

– Nie wiedziałem.

– Nie mówiłam ci, że dostarczę ci informacji?

– To bardzo cenna informacja - przyznał Richter.

– Teraz twoja kolej. Gdzie jest Marat Zolner?

– Ktoś do pana, panie Van Dorn - powiedział Bell.

Wymizerowaną twarz Van Dorna rozjaśnił słaby uśmiech. Chłopak w cywilnym ubraniu stał w drzwiach i bawił się czapką.

– Marynarz Somers! Wejdź, synu. Nie bój się tej żolzy pielęgniarce. Podejdź do łóżka, żebym cię widział. Dorothy! Ten chłopak uratował mi życie.

– Dochodzi pan do zdrowia, sir?

– Jestem tip-top - skłamał Van Dorn. - Zrobili cię już kapitanem?

Somers zwiesił głowę.

– Zwolnili mnie.

– Co?!

Wybuch oburzenia wywołał taki kaszel, że Van Dorn zbladł z bólu w klatce piersiowej. Kiedy w końcu złapał oddech, odprawił gestem pielęgniarce i zapytał ostro Bella:

– Isaac, co się dzieje?

Bell wyjaśnił, jak Somers naraził się szarzy Straży Przybrzeżnej.

– To niesłychane. Powinni dać ci medal... Więc potrzebujesz pracy?

– Tak, sir. Ale kto mnie zatrudni po zwolnieniu?

– Ja. Zaczynając tu i teraz, jesteś detektywem praktykantem w Agencji Van Dorn. Isaac, zajmij się tym!

– Tak jest, panie Van Dorn - odrzekł Bell.

Nie zaskoczył go zupełnie taki obrót sprawy, bo sam to ukartował. Nie wątpił, że młody Somers wykazuje wymaganą odwagę, śmiałość i inicjatywę, żeby zostać vandornowcem.

A co do Bossa, to nagle się ożywił.

– Witamy na pokładzie, Somers. Oczywiście będziemy musieli załatwić to z twoimi rodzicami.

– Jestem sierotą, sir. Nie znałem mojego ojca. Moja matka umarła na gruźlicę, pracowała w tkalni.

– Pocałunek śmierci? - zapytał Van Dorn.

– Tak, sir.

Właściciele tkalni z oszczędności wciąż wykorzystywali stare czółenka tkackie, których oczka trzeba było nawlekać wciąganiem oddechu.

– Komu go przydzielisz na początek, Isaac?

– Grady’emu Forrerowi.

– Badania?

– Jak się rozmawia z Asą, jest jasne, że czyta wszystkie wydawane magazyny. Będzie miał dobry start u Grady’ego, a potem go przeniesiemy.

Bell się odwrócił, słysząc stukanie w drzwi. Posłaniec Van Dorna pukał cicho.

– Panie Bell? Telegram z Niemiec.

„Kozłow komunistyczny bojowiec w powstaniu berlińskim. Prawa ręka agenta Kominternu Marata Zolnera, alias Dmitrij Smirnoff, alias Dima Smirnov. Zolner skazany przez rząd na śmierć. Uciekł. Kozłow nie żyje, więc tropię Zolnera”.

Wreszcie jakieś nazwisko.

Bell pognął z powrotem do St. Regis i wpadł do biura Van Dorna, wołając Grady’ego Forrera. Człowiek od badań przyczłapał do biurka Bella na środku zbiorowego pokoju biurowego. Pod pachą miał tekturową teczkę wypchaną do granic możliwości.

– Znowu Rosja - powiedział Bell. - Pauline znalazła następne powiązanie z bolszewikami. Dowiedz się wszystkiego, co zdołasz, o agencji Kominternu nazwiskiem Marat Zolner. I chcę mieć pełny raport o Kominternie.

– Komintern to zagraniczna siatka szpiegowska rosyjskiej rewolucji - odrzekł Forrer i opuścił teczkę z aktami na biurko Bella. Wylądowała jak kowadło.

– Co to jest?

– Raport o Kominternie.

– Co?

– Domyśliłem się, że będziesz to chciał po tym, jak cię zainteresował *Genickschuss* Czeki - strzał w kark.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz Bella. Tak powinno być, że stworzona przez Van Dorna z takim trudem organizacja do walki z przestępcami wrzuca gładko najwyższy bieg, żeby postawić przed sądem tych, co go zaatakowali.

Grady poklepał czule teczkę.

– Sedno jest takie, że Komintern eksportuje rewolucję komunistyczną na cały świat, żeby, cytując: „obalić rządy międzynarodowej burżuazji wszelkimi możliwymi środkami - wykorzystując szpiegostwo, sabotaż i siłę zbrojną”.

– Jak im idzie?

– Przegrali na Węgrzech i - przynajmniej na razie - przegrywają w Niemczech. Przewiduję, że pójdzie im lepiej w Indiach i dużo, dużo lepiej w Chinach.

– A tutaj? Jak sobie radzą w Ameryce?

Grady poprawił okulary w drucianej oprawce. Bell znał jego zamyśloną minę. Widywał ją często. Grady uważał - i wpajał to praktykantom - że generalizowanie zabija fakty.

– Ciekawe pytanie, Isaac. I trudne. Ameryka jest inna. Nie zniszczyła nas wielka wojna. Mimo obecnej recesji gospodarczej nie głodujemy. I nie widzę dowodu, że Komintern zjednoczył wojujące frakcje amerykańskich komunistów w taki sposób, że są silniejsi.

– A co z anarchistami?

Grady pokręcił głową.

– Biuro Śledcze przekonuje nas, że bolszewicy połączyli siły z radykałami i anarchistami. To zwyczajnie nieprawda.

– Dlaczego?

– Kominternowcy są zimni, bezwzględni i nadzwyczaj praktyczni. Pogardzają anarchistami jako beznadziejnie niepraktycznymi.

– Masz jakiś dowód, że Komintern konspirował z IWW?

Forrer znów pokręcił głową.

– Woblisi mogą być radykałami, ale zasadniczo są romantykami. Komintern ma jeszcze mniej czasu dla romantyków niż dla anarchistów. Nie zapominaj, że wymyślili *Genickschuss*, żeby wykonywać egzekucje na niepraktycznych radykałach i romantykach.

– Mówisz mi, że kominternowcy zaatakują Amerykę na własną rękę - odrzekł Bell - niezależni od naszych domorosłych konspiratorów.

– Zimni, bezwzględni i praktyczni mogą - poprawił oględnie Grady.

– Czy oni już nie atakują?

Grady się uśmiechnął.

– Isaac, płacą mi, żebyśmy trzeźwo myśleli w dziale badań. Wmanewrowałeś mnie w spekulacje, że zimnokrwisci przemytnicy, którzy ostrzelali kuter Straży Przybrzeżnej, o mało nie zabili pana Van Dorna i zlikwidowali swoich rannych, a teraz rozbijają uliczne gangi i obrabowują szmuglerów i przewoźników whisky, atakują Stany Zjednoczone Ameryki.

– Sam nie ująłbym tego lepiej.

– Ale zyski z przemytu - zastrzegł Forrer - są kolosalne. Szybkie wzbogacenie się jest równie silnym motywatorem jak ideologia.

Główny śledczy Isaac Bell usłyszał dość.

Podniósł głos, żeby wszyscy detektywi w pokoju go usłyszeli.

– Pauline Grandzau powiązała przemytników, którzy postrzelili pana Van Dorna, z rosyjskim bolszewickim Kominternem. W tej chwili zakładamy, że tym przemytnikom - dowodzonym przez Marata Zolnera, alias Dmitrij Smirnoff, alias Dima Smirnov - chodzi o coś więcej niż szybkie wzbogacenie się.

18.

Bul Lynch, młody krępy szkutnik, słynął z budowy najszybszych motorówek na Great South Bay. On i jego siwy wspólnik z cygarem, Harold Harding, przyglądali się z zaciekawieniem, jak granatowy osiemdziesięciokonny stutz bearcat skręca na zrobiony z muszli ostryg wjazd do Lynch & Harding Marine.

Blondyn w obcisłym prążkowanym garniturze wyskoczył z roadstera. Zsunął fedorę borsalino nisko na czoło i rozejrzał się z rzeczową miną. Popatrzył na uporządkowane skupisko doków i hangarów wzdłuż wzmocnionego brzegu zatoczki na Long Island.

Lynch zmierzył go wzrokiem przez grube okulary. Dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupły, złociste włosy i sumiaste wąsy, perfekcyjnie przycięte. Wybrzuszenie pod marynarką - gruby portfel albo kabura pod pachą.

Lynch chciał się założyć z Hardingiem o ćwierć dolara, że to artyleria.

– Nic z tego - warknął Harding. - Ale założę się z tobą, że tamten księgowy, co tu wczoraj węszył, pracuje dla niego.

– Nic z tego. Szuka pan czegoś?

– Łodzi.

– Coś mi mówi, że szybkiej - odrzekł Lynch.

– Zobaczmy, co pan ma.

W hangarze mechanicy zmagali się z ciężkim wciągnikiem łańcuchowym, żeby opuścić ośmiocylindrowy chłodzony wodą silnik curtiss OX-5 do kadłuba łodzi rybackiej, która miała już dwa takie. Kierowca stutza nie zapytał, po co rybakowi trzy silniki lotnicze. Ale był ciekaw, jaką szybkość zapewnią łodzi.

Lynch, myśląc z zadowoleniem, że ich gość to przemysłowiec, ocenił prędkość na czterdzieści węzłów, co mieściło się w granicach prawdopodobieństwa.

– Zbudował pan kiedyś dwudziestojednometrową z trzema liberty?

Lynch i Harding wymienili spojrzenia.

– Owszem.

– Gdzie ona jest?

– Odjechała wagonem kolejowym.

– Co?

Przemysłowiec zerknął na zarośniętą chwastami boczną kolejową. Prowadziła lukiem ze stoczni do torów Long Island Railroad niecały kilometr w głąb lądu.

– Jak zwykle.

– Dokąd?

– Nie widziałem jej od tamtej pory.

– Mógłby pan zbudować szybszą? - spytał przemysłowiec.

– Narysowałem plany dwudziestojednometrowej motorówki kabinowej z czterema liberty i czterema śrubami - odparł Lynch. - Czeka na klienta.

– Mógłbym ją mieć za miesiąc?

– Nie widzę przeszkód.

Harding przegryzł cygaro.

– Nie damy rady tak szybko.

– Damy - zapewnił Lynch. - Będzie na wodzie za trzydzieści dni.

– Miałby pan coś przeciwko temu, żebym zapłacił gotówką? - spytał wysoki klient z bronią pod marynarką.

– Nic - odpowiedział Lynch i Harding zapalił nowe cygaro.

Lynch rozwinął plany. Klient przestudiował je ze znajomością rzeczy. Zamówił dodatkowe włązy na dziobie i rufie. Lynch przypuszczał, że do stanowisk kaemów lewis, bo zażyczył sobie wzmocnione kantówki pod nimi. Chciał mieć też elektryczne podstawy do silnych szperaczy sperry.

– I podwójny pancierz na dziobie.

– Planuje pan taranowanie przeciwników?

– Chciałbym wiedzieć, że mogę.

Uzgodnili cenę i terminy płatności za wykonanie kadłuba, montaż silników i testy na morzu.

Klient zaczął odliczać zaliczkę, kładąc nowe banknoty studolarowe na stole warsztatowym. Przerwał w połowie.

– A dwudziestojednometrówka, którą pan zbudował? Tamta z trzema silnikami. Była dla stałego klienta?

– Nie.

– Dla kogoś, kogo pan znał?

– Nie.

– Jak się nazywał?

– Zabawne, że pan pyta. Zapłacił gotówką jak pan. Studolarówkami. Jak dał trzecią ratę, powiedziałem do Harolda tutaj: „Wiesz, Harold, nie znamy nazwiska faceta”. A Harold na to: „Franklin. Ben Franklin”. Bo jego twarz jest na studolarówkach.

– Chce pan usłyszeć coś naprawdę zabawnego? - zapytał Harold. - Gość bez nazwiska nazwał łódź. Ochrzczył ją „Czarny Ptak”.

– „Czarny Ptak”?

– Bo była czarna. Zapytałem go, czy mamy namalować jej nazwę na pawęży. Odpowiedział, że nie, że ją zapamięta.

– A jak pan nazwie swoją? - spytał Lynch.

– „Marion”.

– Mamy namalować nazwę na pawęży?

– Złotą farbą.

Wciąż nie wracał do odliczania pieniędzy.

– Jak wyglądał tamten gość?

– Wysoki, jeszcze chudszy niż pan. Chodził lekko, jakby się unosił. Ciemne włosy i oczy. Wydatne kości policzkowe.

– Mówił z obcym akcentem?

– Lekkim - odrzekł Lynch.

– Miastowym - dodał Harding. - Oni wszyscy mają śmieszny akcent.

– Przypadkiem nie rosyjskim?

– Wszystkie brzmią tak samo - odparł Harding.

– Słyszymy tu Szwedów i Holendrów - powiedział Lynch. - Prawdziwych. Ale wątpię, żebym kiedyś słyszał Rosjanina.

– Mamy mniej Rosjan niż Chińczyków - dorzucił Harding.

– Więc z tego, co wiecie, mógł być Francuzem? - zapytał przemytnik.

– Nie - zaprzeczył Lynch. - Spotkałem mnóstwo Francuzików na wojnie.

Harold mrugnął znacząco.

– I Francuzeczek. Wie pan, Billy dostał medal.

Lynch przyjrzał się uważnie połowie odliczonych pieniędzy.

– A tak przy okazji, dołożymy gratis kompas i mapy morskie.

– I gaśnice - dodał Harding.

– W jakim kolorze chce pan łódź? - spytał Lynch.

Wysoki przemytnik wskazał wyjście z zatoczki do laguny. Niebo było zachmurzone, granica między szarą wodą a ołowianymi chmurami niewidoczna.

– W takim.

Bell zastał nowy telegram od Pauline po powrocie ze stoczni. Wysłała go z Bremerhaven, niemieckiego portu nad Morzem Północnym.

„Policja zgubiła Zolnera w Bremerhaven. Smirnoff popłynął do Nowego Jorku »Rheinem« północnoniemieckiego Lloyd'a przemianowanym na »Susquehannę«”.

Bell sprawdził przyplływające statki na stronach „Timesa” o żegludze i poczcie. Nie znalazł „Susquehanny”. Ale była wśród odpływających statków z pocztą. Wyruszała następnego dnia do Bremerhaven z pocztą dla Niemiec i Danii, co oznaczało, że jest teraz przy swoim pirsie.

Niezależnie od właściciela statki północnoniemieckiego Lloyd'a odpływały z Hoboken jak przed wojną. Bell popędził tam promem, wszedł na pokład i udał się prosto do biura głównego ochmistrza.

Mężczyzna był Amerykaninem, niezadowolonym pracownikiem Towarzystwa Żeglugowego Poczty Stanów Zjednoczonych. Firma dzierżawiła flotę liniowców północnoniemieckiego Lloyd'a zajętych w czasie wojny. Bell słuchał ze współczuciem narzekań na nowych nieodpowiedzialnych właścicieli, którzy nie płacą Komisji Żeglugi „złamanego centa z tego, co są winni - nie wspominając o moich zaległych poborach”.

Bell przytaknął.

– Czytałem o tym w gazecie. Pańska firma twierdzi, że zagraniczne linie zmówiły się, żeby sabotować amerykańską żeglugę.

– Demonstrowanie patriotyzmu nie pokryje rachunków. Firma istnieje tylko na papierze. Niech pan zapamięta moje słowa: Komisja Żeglugi zajmie ten statek i co ze mną będzie?

Bell wyjął portfel i położył sto dolarów na biurku ochmistrza.

– Może to na razie pana podratuje. Muszę coś wiedzieć.

– Co? - zapytał ochmistrz, patrząc z nadzieją na większą część swojej dwutygodniowej pensji.

– Wczesną wiosną tego roku w Bremerhaven Rosjanin nazwiskiem Dmitrij Smirnoff zabukował rejs do Nowego Jorku na pańskim statku. Pamięta go pan?

– Nie.

– Zupełnie? - spytał Bell i przykrył dłonią banknot. - Mógł się nazywać Dima Smirnov z „v” na końcu.

– Smirnoff w ogóle nie wszedł na pokład. W ostatniej chwili zamienił się miejscami z innym pasażerem.

– Wolno tak?

– Wolno, jeśli główny ochmistrz pozwoli. Nowy pasażer był wart mojego zachodu. Nieważne. Nikt nie został oszukany. Firma dostała swoje pieniądze. Ja tylko zmieniłem manifest.

– Kto był nowym pasażerem?

– Nowojorski twardziel. Charlie O'Neal.

– Co to znaczy „twardziel”? Gangster?

– Coś w tym rodzaju. Miał przezwisko. Ciężarówka. Gangsterzy je noszą, prawda? „Ciężarówka” O’Neal brzmi po gangstersku.

– Mógłby go pan opisać?

– Kawał byka, zgodnie z jego przydomkiem. Szybki w ruchach. Czarne włosy z wdowim szpicem. Nos złamany kilka razy.

– Wysoki?

– Metr osiemdziesiąt.

– Oczy?

– Małe, świńskie.

– Jakiego koloru?

– Świńskiego.

– Świnie mają różowe - powiedział Bell.

– Nie, jakby brązowe, jak reszta świni.

Ochmistrz się zastanowił i dodał:

– Swoją drogą, nie chcę nic mówić na niego. Nie sprawiał mi żadnych kłopotów ani nic. Chciał po prostu wrócić do domu.

Bell zdjął rękę z banknotu i wyciągnął drugą setkę z portfela.

– Przypomina pan sobie, gdzie był ten „dom”?

– Chyba mam to gdzieś w aktach - odrzekł ochmistrz, otworzył szufladę i pogrzebał w teczkach. - Pamiętam dlatego, że był jakiś problem na cle. Zanim go rozwiązali, O’Neal poszedł. Więc dostarczyliśmy mu jego kufer. Jest! Dwudziesta Zachodnia czterysta szesnaście, za rzeką w Nowym Jorku.

– Chelsea - powiedział Bell i wstał szybko. - Powodzenia z Komisją Żeglugi.

– Będzie mi potrzebne.

Ale wysoki detektyw pomaszerował już długimi krokami, najszybciej jak mógł, przez hol recepcyjny i w dół trapy.

Dwudziesta Zachodnia była kiedyś elegancką ulicą z rezydencjami miejskimi z widokiem na ogrody seminarium episkopalnego. Wiele domów podzielono na umeblowane pokoje do wynajęcia dla dokerów pracujących na pirsach Chelsea. Numer 416 był jednym z takich skleconych naprędce labiryntów zapadniętych schodów i pokoików, gdzie cuchnęło tytoniem i potem.

Bell znalazł drobnego siwego dozorcę, który popijał bimber w mieszkaniu z tyłu domu zrobionego z kuchni rezydencji. Kot spał na jego kolanach.

– Ciężarówka? - powtórzył jak echo ciec.

– Charlie „Ciężarówka” O’Neal. Na którym piętrze mieszka?

– Wyprowadził się w maju.

– Zostawił nowy adres?

Ciec pociągnął solidny łyk mętnego bimbrowego ze słoika po dżemie i podniósł zdziwiony wzrok.

– Nie wiem, jak to robią eleganci na Park Avenue, ale tutaj w dokach faceci, którzy mają przezwiska jak Ciężarówka, nie zostawiają nowych adresów.

– „Ciężarówka” O’Neal - powiedział Harry Warren z brygady antygangowej, żeby pokazać, dlaczego chłopcy z działu badań przysięgają z zazdrością, że chirurdzy zamienili mu mózg na katalog gangsterów. - Byczysko, metr osiemdziesiąt osiem, złamany nos, czarne włosy. Zaciągnął się w siedemnastym, żeby uciec glinom. Armia wykopała go karnie po wojnie za jakieś spekulacyjne machlojki. Wrócił do domu i dołączył do swojego dawnego towarzystwa.

– To Gofer? - zapytał Bell.

Harry zaprzeczył.

– Nienawidzi Goferów, a oni jego. Dlatego ma złamany nos. Wiesz, niedużo o nim ostatnio słyszałem. A ktoś z was coś wie?

Zgłosił się jeden z młodszych ludzi Harry’ego.

– Widziałem go na Broadwayu parę miesięcy temu. Z tancerką rewiową pod rękę. Wyglądało, że mu się powodzi. Podejrzewałem, że robi w przemyśle.

– Nie wiem, jak mu się powodzi - odrzekł ktoś inny z brygady - ale chyba widziałem go za kierownicą ciężarówki na Warren Street. Wjechał do jakiejś stajni, zanim zdążyłem się dobrze przyjrzeć.

– Ciężarówka pełna gorzały - powiedział Harry - zapewniłaby mu powodzenie.

– Znajdźcie go - polecił Bell. - Dajcie z siebie wszystko.

– To doskonały interes - powiedział Marat Zolner.

Spacerował niecierpliwie po swojej prowizorycznej rozlewni na Murray Street na Dolnym Manhattanie. „Ciężarówka” O’Neal chrapał cicho na wyrku z

tyłu. Kryte przejście łączyło dawny magazyn ze stajnią na Warren Street, którą Zolner wynajął dla konia i wozu Antipowa.

– Powąchaj!

Podetknął Jurijowi pod nos otwartą butelkę jednosłodowej whisky.

Antipow się skrzywił.

– Śmierdzi jak w chłopskiej chacie zimą.

– To zapach dymu torfowego. Koneserzy go łakną. Powąchaj tego.

Wyciągnął przed siebie butelkę z przezroczystym płynem.

– Nic nie czuję.

– Stuprocentowy przemysłowy alkohol zbożowy z destylarni z licencją rządową w Pensylwanii. Tak czysty, że pali się jak benzyna.

Chlapnął na betonową podłogę, wyrwał Antipowowi papierosa z ust i rzucił. Niebieski płomień wystrzelił na wysokość pasa.

– I to.

Potrzymał inną butelkę nad ogniem. Antipow się cofnął.

Zolner wylał zawartość na płomień i zgasił go.

– Woda.

– Posłuchaj, Marat. Mam dosyć czekania.

Ale to nie stłumiło entuzjazmu Zolnera.

– Tak! Jedna część słodowej whisky, co nas kosztowało tylko paliwo do „Czarnego Ptaka”. Dziesięć części czystego stuprocentowego alkoholu zbożowego, co wychodzi w łapówkach po pięćdziesiąt centów na butelkę. Plus dziesięć centów na butelkę jako zapłata „Ciężarówki” O’Neala dla zbirów za ochronę transportu z destylarni. Dziesięć części wody za darmo z kranu.

Uniósł butelkę z żółtą etykietą.

– Sfalszowane etykiety „Glen Urquhart Genuine Single Malt Whisky” nie do odróżnienia od oryginalnych, po cencie za sztukę. Pusta butelka z korkiem, dwa centy. Herbata dla koloru.

– *Voilà!* Sto zrabowanych skrzynek staje się tysiącem skrzynek. Gangsterzy, którzy nie mają pojęcia, że pracują dla nas, dostarczają to do nielegalnych barów i zajazdów za niewielką część siedemdziesięciu pięciu dolarów za skrzynkę. Oddajemy czysty zysk stu dwudziestu tysięcy dolarów do wyłącznego użytku Kominternu.

– Czas na bezpośrednią akcję przeciwko kapitalistom - powiedział Antipow.
- Jesteś ze mną czy przeciwko mnie?

– Oczywiście, że z tobą.

Przyłożył palec do ust na znak ciszy i poprowadził Antipowa obok śpiącego O'Neala i dalej krytym przejściem między tyłem rozlewni a tyłem stajni.

Silny koń, który przyciągnął wóz Antipowa z dynamitem z New Jersey, stał się niespokojny w zamkniętym boksie. Parskał ochoczo, kiedy Zolner i Antipow ładowali setki siedmioipółcentymetrowych żeliwnych ciężarków do otwieranych pionowo okien wokół materiału wybuchowego i przysypywali je szuflami węgla. Ale zrobił się niecierpliwy, kiedy Zolner wpełzł pod wóz, żeby połączyć detonator z latarką bateryjną i budzikiem Waterbury. Jeden przewód zostawił luźny, żeby go połączyć dopiero, kiedy wóz przestanie się trząść i przechylać na boku.

Koń zaczął kopać swój boks.

– Spokojnie! - zawołał łagodnie Zolner. - Jesteśmy prawie gotowi.

Zwierzę natychmiast się uspokoiło.

– Jak ty to robisz? - zapytał z podziwem Antipow, który nigdy nie walczył konno.

– On wie, że go lubię - odrzekł Zolner. - Nigdy by nie uwierzył, co zaplanowaliśmy dla niego. Prawda?

Podszedł do konia z jabłkiem.

– Nie moglibyśmy go wyprząc? - spytał Jurij, najmniej sentymentalny z ludzi.

– W dzielnicy finansowej roi się od policji. Jezdnie i chodniki są zatłoczone w porze lunchu. Trudno będzie uciec pieszo, tym bardziej z koniem. Dobra, jesteś gotowy?

– Od wielu dni!

– Mówię do konia.

Zolner otworzył boks.

– Chodź.

Zaprzągnął zwierzę do wozu.

Włożyli koszule, spodnie, buty i kaszkiety robotników. Wszystko było ubrudzone pyłem węglowym. Natarli nim ręce i twarze. Zolner wspiął się na kozioł i wziął lejce. Antipow odsunął drzwi stajni.

Mężczyzna o wyglądzie policjanta w cywilu zszedł z chodnika. Rozejrzał się szybko dokoła i obrzucił wzrokiem konia, Zolnera na wozie i Antipowa, który zamarł z zaskoczenia. Rozpiął marynarkę i pokazał lśniąca odznakę na wewnętrznej stronie klapy i ciężki pistolet samopowtarzalny.

– Czy któryś z was, panowie, widział Charliego „Ciężarówkę” O’Neala?

Zolner zwrócił się najpierw po rosyjsku do Jurija:

– Odwróć jego uwagę.

Potem po angielsku z silnym akcentem:

– My nie znać taka osoba.

– Wielki facet, metr osiemdziesiąt osiem, złamany nos, czarne włosy.

– My nie znać taka osoba.

– To zabawne. Bo słyszałem, że wynajmuje tę stajnię. A wy, panowie, macie konia i wóz, podstawowe rzeczy w tym interesie, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

– Pan z policji?

Mężczyzna patrzył na nich przez chwilę, jakby podejmował decyzję, i nagle zmienił ton na bardziej przyjazny.

– Bez obaw, panowie, nie jestem gliną, tylko prywatnym detektywem Van Dorna. Nazywam się Harry Warren. Nie chcę was powstrzymywać od zajęcia się waszą sprawą. Choć nie wiem, kto kupi od was węgiel w środku lata.

Znów rozpiął marynarkę, wyjął portfel i wyciągnął dziesięć dolarów.

– Na pewno go nie widzieliście?

Zolner sięgnął po banknot i wepchnął go do kieszeni.

– Człowiek, co wynajmuje stajnię... biurko tam.

Wskazał drzwi biura.

– Dzięki. Jedźcie, panowie. Zaczekam na niego tutaj.

Warren był w połowie drogi do drzwi biura, gdy Antipow ruszył za nim ze sztyletem.

Detektyw nagle się odwrócił.

– Mówiliście po rosyjsku? - zapytał i błyskawicznie wyciągnął pistolet.

Strzelił w podłogę stajni, centymetry od buta Antipowa. Agent Kominternu stanął.

Warren zerknął na odległe drzwi na ulicę. Nikt nie przechodził, nikt nie zaglądał do środka z powodu wystrzału. To dobrze. Potrzebował czasu z tymi dwoma bez glin.

– Przetłumacz swojemu kumplowi - powiedział do Zolnera - żeby rzucił nóż, zanim go zastrzelę. I trzymaj ręce tak, żebym je widział.

Zolner posłuchał. Antipow wypuścił sztylet z ręki.

Warren nie wiedział, na co się natknął, szukając „Ciężarówki” O’Neala, ale wyglądało to obiecująco. Zwłaszcza że Bell stale odkrywał rosyjskie powiązania.

Zwrócił się do Zolnera tonem towarzyskiej rozmowy, obserwując uważnie jego reakcję:

– Pytałem o rosyjski, bo stale wpadamy na rosyjskie powiązania ze sprawą, którą usiłujemy rozwiązać, to znaczy, kto postrzelił naszego szefa. Choć to mógł być przypadek, próba wbicia mi noża w plecy przez twojego kumpla wymaga wyjaśnienia.

Zolner i Antipow stali nieruchomo jak posągi. Nawet nie mrugnęli, kiedy O’Neal wyłonił się cicho z krytego przejścia. Trzymał za szyjkę butelkę podrobionej whisky.

Warren wyczuł ruch i obrócił się momentalnie. Butelka wycelowana w jego ciemność trafiła go w skroń. Roztrzaskała cienką kość i rozerwała tętnicę za nią.

Zolner zamknął drzwi stajni. Antipow i O’Neal władowali ciało detektywa do wozu obok dynamitu i przysypali węglem.

– Dlaczego vandornowcy cię szukają? - zapytał Zolner.

– Mnie?

– Pytał, czy cię widzieliśmy. Dlaczego?

– Zaraz. Nie zrobiłem nic, żeby ich ściągnąć na siebie.

– Nie wracaj tu. Skończyliśmy ze stajnią. I z rozlewnią.

– Ale obok jest szkocka warta osiemdziesiąt tysięcy dolców.

– Bardziej sto pięćdziesiąt tysięcy - poprawił cicho Zolner.

– Winisz mnie?

– Wysyłam cię do Detroit, żeby cię nie dopadli.

– Nie będę tam zaczynał od nowa.

Zolner podszedł bardzo blisko i spojrział O'Nealowi w oczy.

– Ciężarówka, nigdy nie kwestionowałem twojej lojalności. Zabierz wszystkie obciążające cię rzeczy. Każę ludziom wyjść po ciebie na dworzec. Idź! Już!

O'Neal się cofnął, odwrócił na pięcie i pobiegł krytym przejściem.

– Zabij go - powiedział Antipow.

– Najpierw kapitaliści. Otwieraj drzwi.

Antipow znów je odsunął.

Usiedli obok siebie na koźle. Koń stąpał wolno zatłoczonymi ulicami Dolnego Manhattanu. Dotarli Broadwayem do kościoła Świętej Trójcy i skręcili w Wall Street. Zolner ściągnął lejce i użył hamulca przed numerem 23 na rogu Broad. Gdyby był sam, zostawiłby dynamit za rogiem przed Nowojorską Giełdą Papierów Wartościowych, rdzeniem dzielnicy finansowej. Ale Jurij wybrał marmurową kwaterę główną P.J. Morgana.

Zsiadł i poprawił worek z obrokiem. Potem ukląkł obok wozu i udawał, że poprawia orczyk, kiedy łączył ostatni przewód detonatora.

– Gliny!

Antipow zauważył, że policjant idzie w ich kierunku. Zolner wspiął się z powrotem na kozioł, usiadł obok niego i wziął lejce. Gliniarz przepchnął się bliżej przez tłum.

Antipow dotknął sztyletu pod koszulą.

– Tym razem to nie pomoże - ostrzegł Zolner. - Zaczekaj na wozie, aż to załatwię. Zaraz wrócę.

Znów zeskoczył na dół.

Antipow obserwował, jak Zolner zatrzymuje gliniarza. Przekupi go? Zdzieli pałką? Nie przy tylu ludziach na ruchliwym skrzyżowaniu. Nagle Zolner i gliniarz uciekli i wmieszali się w tłum. Co Marat mu powiedział? Antipow usiłował zrozumieć, co się dzieje i co ma robić, gdy usłyszał dzwonek budzika.

19.

Bell usłyszał eksplozję z odległości sześciu kilometrów w biurze Van Dorna w St. Regis. Całkowicie rozbieżne informacje docierały telegraficznie i telefonicznie. Wypadek z dynamitem w doku w Jersey City. Główna linia gazowa na Dolnym Manhattanie. Podziemna rura Nowojorskiej Spółki Parowej. Wypadek z prochem na jednej z wielu budów w dzielnicy finansowej.

Bell odebrał pilny telefon z głównej kwatery policji.

– Inspektor Condon byłby wdzięczny, gdyby pan przyjechał na Wall Street dwadzieścia trzy.

Najszybciej do śródmieścia było metrem. Bell dojechał najbliżej jak mógł i pobiegł dalej od stacji Ratusz, gdzie zatrzymywano pociągi. Kilka przecznic od Wall Street zobaczył, że z budynków wypadły okna. Bliżej miejsca eksplozji była masakra. Ocenił, że jest mnóstwo zabitych i setki rannych. Ciężarówki i taksówki leżały do góry kołami, rozrzucone jak zabawki. Zabitych stłoczono na chodniku pod płaszcami. Jezdnię grubo zaścielało potłuczone szkło. Bell wydobył z niego ostrożnie kawałek żeliwa w kształcie ogórka z otworem przez całą długość.

Zauważył inspektora Condon, który dyrygował tajniakami i mundurowymi z frontowych schodów Budynku Morgana. Okna wypadły od piwnicy po strych, marmurowe ściany ze śladami odłamków poczerniały od pyłu węglowego. Okaleczony zewłok konia pociągowego leżał na krawężniku. Tylko głowa zwierzęcia z klapkami na oczach była nietknięta.

– Dzięki, że przyjechałeś, Isaac - powiedział ponuro Condon.

Młodo wyglądającego inspektora, syna i wnuka gliniarzy, uważano powszechnie za najszybciej wschodzącą gwiazdę policji.

– Strasznie mi przykro, ale muszę ci coś pokazać.

Wręczył Bellowi zniszczony kawałek złota.

– Odznaka vandornowca.

– Obawiam się, że tak, przyjacielu.

Starsi nosili złote. Bell uniósł ją do światła. Odczytał wygrawerowany numer 17 i doznał wstrząsu.

– Harry Warren.

– Na litość boską!

Condon wciągnął gwałtownie powietrze, zamrugnął i odwrócił wzrok.

– Zawsze nie ten człowiek... Orientujesz się, co Harry tu robił?

– Ostatnie, co mi mówił, to że węszy na Warren Street.

– Akurat tutaj - powiedział gliniarz. - Zrobił naloty na więcej gangsterskich melin niż ty i ja moglibyśmy zliczyć i skończył tu jako niewinna postronna osoba.

– Gdzie jest jego ciało?

– Nie wiem, czy w ogóle je znajdziemy. Musiał być tuż przy tym cholerstwie. Jego odznaka wylądowała w holu Morgana.

Bell schował ją do kieszeni.

– Saperzy orientują się, co spowodowało wybuch?

– Jeszcze nie. Znaleźli dyszel od wozu i tego konia z rozerwanymi wnętrznościami. Jakiś cholerny dureń mógł transportować proch. Ludzie widzieli wóz tam, gdzie są te wszystkie osmalenia. I w pobliżu są trzy czy cztery wykopy pod fundamenty, gdzie budowlańcy składowaliby dynamit. Straż pożarna kazała wydziałowi materiałów wybuchowych sprawdzić pozwolenia. Ale zważywszy, że J.P. Morgan był postrachem wszystkich bolszewików, nie byłbym zaskoczony, gdyby to była bomba.

– To była bomba - odparł Bell. - Nie wypadek.

Wręczył Condonowi kawałek żeliwa, który podniósł.

– Poznajesz to?

– Ciężarek do sznura pionowo otwieranego okna - odrzekł inspektor, patrząc na przeciwwagę. - Mógł wypaść z któregoś budynku.

– Takich ciężarków nie ma w nowoczesnych drapaczach chmur. Poza tym zobacz, jak jest osmalony. Mógł być w eksplozji.

Condon poczerwieniał.

– Jeśli tak, to jakiś zimnokrwisty radykał starał się zabić lub okaleczyć jak najwięcej osób.

– W takim razie - odparł Bell z furią - w czasie czerwonej paniki deportowano niewłaściwych radykałów.

Tragiczne, bo tacy cudzoziemcy jak Johann Kozłow - nie wspominając o znajomych Marion z filmu - zgarnięci i wydalenii podczas czerwonej paniki, byli dużo mniej niebezpieczni niż ktoś, kto zdetonował bombę.

– Niewinni - powiedział do inspektora - zapłacili najwyższą cenę.

Utkwił wściekle spojrzenie w martwym koniu.

– Dick, pozwolisz, że wezmę podkowę?

Bell zabrał odznakę Harry'ego Warrena do biura i podyktował dyrektywę.

– Agencja Van Dorn założy własny wydział zamachów bombowych i zobowiąże się dostarczać lepsze informacje rządowi niż Departament Sprawiedliwości otrzymuje od Biura Śledczego.

Kazał Grady'emu Forrerowi zatrudnić najlepszych specjalistów. Zanotował sobie, żeby zapytać Joego Van Dorna, kto jest jego najlepszym kontaktem w Departamencie Sprawiedliwości. Polecił Darrenowi McKinneyowi znaleźć najbystrzejszego waszyngtońskiego lobbystę.

Następnie zebrał brygadę antygangową. Przybici detektywi otoczyli jego biurko.

– Czy ktoś wie, co Harry robił na Wall Street?

– Powiedział, że idzie na Warren Street, panie Bell.

– Mnie też.

– Skąd się wziął na Wall Street?

Spojrzeli na Eda Tobina, kiedyś praktykanta Harry'ego.

– Mógł zauważyć „Ciężarówkę” O'Neala na Warren Street - powiedział Ed - i śledził go do Wall Street.

– A potem - zapytał Bell - miał najgorszego pecha na świecie i przechodził obok tamtego wozu akurat w chwili wybuchu?

– Możliwe.

– Nie lubię przypadków - odrzekł Bell. - I nie wierzę, że w tym pokoju jest jakiś detektyw, który je lubi.

– Bezspornie, panie Bell.

– Musimy się dowiedzieć, czy Harry śledził O'Neala do Wall Street. Szukajcie Ciężarówki. Sprawdźcie szpitale i kostnice. Jeśli jest wśród ofiar, to sprawa jasna. Ale jeśli odnajdziemy go całego i zdrowego, będziemy mieli dowód, że Harry nie był blisko niego w momencie eksplozji. Znajdźcie

„Ciężarówkę” O’Neala! Zaczynjcie od Warren Street. Zlokalizujcie stajnię, której Harry szukał. Nie mogło pozostać ich tam dużo.

– Właśnie stamtąd wróciłem, panie Bell - odezwał się któryś detektyw. - Jedyna stajnia, jaką znalazłem, była zamknięta.

– Wróć tam. Obserwuj ją. A na razie spójrzcie na to.

Bell położył zniszczony kawałek złota na biurku.

– Odznaka Harry’ego. Numer siedemnaście. Gliniarze znaleźli ją w holu Budynku Morgana.

Położył obok podkowę z wyszczerbionym hufnalem i kawałkiem gumy.

– Miał ją koń od wozu z dynamitem, który wybuchł i zabił Harry’ego... Znajdźcie kowala, który podkuł tamtego konia. Powie nam, kto był właścicielem wozu.

– Jurij zginął śmiercią bohatera rewolucji - powiedział Marat Zolner do Fern Hawley.

Miała czerwone oczy i płakała żałośnie.

– Nie udawaj, że się nie cieszysz, że już nie masz nadzorcy.

– Dopóki Moskwa nie przyśle następnego.

– Nigdy nie znajdą drugiego takiego jak on.

Mam nadzieję, pomyślał Zolner.

Jego nadzieja nie była płonna. Jak na ironię, dzięki śmierci Jurija w wybuchu na Wall Street zyskał na czasie. Prawie czterdziestu zabitych, czterystu rannych i zdjęcia pobojuiska we wszystkich gazetach świata. Komintern miał co świętować. Więc on też został bohaterem. Nieprędko aparatczycy znów się odważą rzucić mu wyzwanie.

„Ciężarówka” O’Neal stanowił bezpośrednie zagrożenie. Wiedział za dużo, a nie było wątpliwości, że vandornowcy go złapią. Nie chciał się ukrywać w Detroit, więc jedyne pytanie brzmiało „kiedy?” Co gorsza, już zdążył się zorientować, że jest zagrożeniem, a to oznaczało, że nie dopuści Zolnera do siebie tak blisko, żeby go zabił. Ale O’Neal był chciwy. A chciwi ludzie są przewidywalni.

Grady Forrer wziął aktualny numer „International Horseshoers’ Monthly Magazine” ze stosu w bibliotece działu badań Van Dorna. Otworzył go na biurku przed praktykantem Somersem i położył obok podkowę, którą Bell przyniósł z miejsca wybuchu na Wall Street.

– Do naszych poszukiwań pewnego konkretnego kowala mamy podkowę, hufnal i kawałek gumy, prawdopodobnie z podkładki podkowy. W tym miesięczniku Międzynarodowego Związku Czeladników Kowalskich Stanów Zjednoczonych i Kanady jest mnóstwo ciekawych artykułów. Ale nas interesują te reklamy podków, hufnali i podkładek podków. Nadążasz na razie?

– Tak, panie Forrer.

– Zacznijmy od samej podkowy. Opisz ją.

– Jest tak zużyta, że aż cienka.

– Widzisz na niej nazwisko wytwórcy lub znak firmowy?

Somers obrócił ją w rękach.

– Nie. Ani nazwiska, ani znaku.

– Więc jak ją porównamy z tymi reklamami? Pomysł. Zaraz wrócę.

Kiedy Forrer wrócił, Somers wskazał z podnieceniem reklamę podków Red Tip produkcji Neverslip Manufacturing Company z New Brunswick w New Jersey.

– Niech pan spojrzy na tę reklamę, panie Forrer. Mówi wszystko o wyrobie podkowy. Można ją samemu zrobić, jak się to przeczyta.

– Owszem - przyznał Forrer. - Ale kiedy się szuka informacji o czymś konkretnym, jak miejsce produkcji tej podkowy, trzeba uważać, żeby nie zboczyć z tematu. Ty i ja moglibyśmy przeczytać każde słowo w każdej reklamie w tym magazynie. Ale powinniśmy? Bo kiedy my się uczymy, jak robić podkowy, przestępcy, którzy postrzelili pana Van Dorna, ćwiczą celność, żeby trafić następnego detektywa. Chyba że wcześniej ich powstrzymamy. Bierz się do tego hufnala. Zaraz wrócę.

Kiedy Forrer wrócił, nie zastał młodego Somersa. Po godzinie chłopak wpadł podniecony do biblioteki prasowej, gdzie Forrer przygotowywał raport o wojnach gangów w Detroit.

– Praktykanci chodzą na lunch, kiedy im się zezwala, paniczku Somers.

– Nie poszedłem na lunch. Hufnal jest tak zużyty, jak podkowa, więc nie ma na nim żadnych znaków. Ale zauważyłem coś na podkowie, więc pobiegłem na

Trzecią Aleję i pokazałem to pewnemu woźnicy. Widzi pan ten mały klin? Woźnica powiedział mi, że kowal lutuje go mosiądzem do podkowy, żeby podnieść tył kopyta, jeśli koń źle stoi na nim.

Grady obrócił podkową w wielkich palcach.

– Końska podiatra?

– Teraz niech pan spojrzysz na ten znak.

Somers odgiął gumę od klina i dotknął paznokciem słabo widocznego znaku w metalu.

Forrer chwycił szkło powiększające.

– Co to jest?... „RDNJ”?

– „NJ” mogłoby oznaczać New Jersey. Więc „RD” to mogą być inicjały kowala.

– Wygląda na to, że powinieneś się wybrać do New Jersey i znaleźć tego RD.

– Jak?

– Pamiętasz tamte reklamy podków, hufnali i podkładek podków w „Horseshoers”? Gdzie polecają kowalowi kupować produkty?

– U hurtownika?

– Zrób listę hurtowników zaopatrujących kuźnie w New Jersey.

Detektyw z brygady antygangowej miał zapuchnięte oczy, bo nie spał całą dobę od zamachu bombowego. Toteż wyglądał wiarygodnie, kiedy udawał włóczęgę drzemiącego w wejściu naprzeciwko stajni na Warren Street, którą obserwował.

– Minęło trochę czasu, zanim się połapaliśmy - powiedział do Bella, który też nie spał i ukucnął przy nim, żeby na niby dać mu papierosa. Była późna noc i ulice świeciły pustkami.

– Ten facet, co wygląda dokładnie jak Ciężarówka - a Ed Tobin przysięga, że to on - wchodzi do stajni od tej strony, a potem wyjeżdża na Murray Street. Tyły budynków stykają się ze sobą pośrodku kwartału. Właśnie wszedł znowu. Ed czuwa na Murray.

– Zostań tu - odrzekł Bell. - Przygwoźdź go, jeśli wyjdzie. Będę z drugiej strony.

Pobiegł pędem do rogu, potem Greenwich i skręcił w Murray.

Ed Tobin czekał w furgonie rzeźnika z okiem przy judaszu. Mimo zmęczenia posłał Bellowi uśmiech drapieźnika.

– Podkradłem się blisko. Została mu jedna ciężarówka. Ładuje teraz gorzałę.

– Ilu pomocników?

– Żadnego. Czyści to miejsce sam.

– Musiał wiedzieć, że Harry jest blisko - odparł Bell.

– Jeśli Harry był blisko, to co robił na Wall Street?

– Może podszedł za blisko - powiedział Bell.

– I Ciężarówka go zabił? A potem włożył do wozu?

– To jest stajnia na Warren Street. Gdzie byś trzymał wóz, gdybyś gromadził dynamit?

– To ci sami faceci.

Główny śledczy i były praktykant szefa brygady antygangowej wymienili ponure spojrzenia.

– Zadaję sobie podobne pytanie - wyznał Tobin. - Harry trzymał się podejrzanych jak przyklejony. Ciężarówka nie jest naznaczony. Więc Harry nie mógł być blisko niego, kiedy go rozerwało. Ale nie miał powodu być przed Budynkiem Morgana. Powinien być jedenaście przecznic stamtąd, tutaj przy stajni.

– Spekulujesz, że Harry był w wozie? - spytał Bell.

– Nie chciałem tego mówić. To brzmi zbyt zwariowanie.

– Wcale nie - zaprzeczył Bell. - To jest spekulatywne. Byłoby czystym wariactwem nie tropić ewentualnych agentów Kominternu zdecydowanych się strach.

– A może Harry, szukając Ciężarówki, nakrył ich w tej stajni? Może sytuacja się odwróciła i go zabili?

Bell skinął głową.

– Może Ciężarówka ucieka, bo wie, że Harry był vandornowcem. Vandornowcy nie są sami. Zabiera tyle gorzały, ile może, zanim go dopadniemy.

– Chcesz tam wtargnąć?

Bell przytaknął.

– Bardzo. Ale wolę zobaczyć, dokąd on pojedzie. Jeśli ktokolwiek wie, kim jest Marat Zolner, to ten gangster, który wrócił do domu z jego biletem na parowiec.

– Drzwi się otwierają!

– Nadażysz tym czymś?

– Chodzi dobrze.

Potężny mężczyzna pociągnął drzwi do środka. Światło latarni ulicznej padło na jego twarz. Lśniła od potu. Zdjął czapkę i odsłonił wyraźny wdowi szpic.

– To Ciężarówka - oznajmił Tobin. - Nie ma wątpliwości. Rozumiesz, co mówiłem? Nie jest naznaczony.

O’Neal wrócił do magazynu i po chwili wyjechał dostawczym dodge’em, który osiadł nisko pod ciężarem ładunku.

– Tym razem nie zamknął drzwi - powiedział Bell. - Skończył. Nie wróci.

Tobin wskoczył za kierownicę i nacisnął nogą rozrusznik elektryczny.

– Trzymaj się blisko - poleciał Bell. - Wolę, żeby nas zauważył, niż żebyśmy go zgubili.

Pojechali za dodge’em do śródmieścia przez osiem przecznic i dzielnicę syryjską, potem w poprzek Rector Street do West Street i wzdłuż kwartału budynków. O’Neal skręcił za róg pół kwartału przed Bellem i Tobinem. Wjechali za nim w ciemną ulicę, którą nagle rozświetliły błyski z luf.

Huk odbijał się od budynków jak grzmoty podczas burzy z błyskawicami. Seria pocisków przeszła rząd zaparkowanych samochodów. Tobin nacisnął hamulec.

Bell otworzył gwałtownie drzwi pasażera, złapał Tobina za kołnierz wolną ręką i pociągnął go za sobą. Kiedy przetaczali się po bruku, furgon rzeźnika rezonował jak blaszany bębenek od kul w boki i przednią szybę.

– Pistolet maszynowy thompson .45.

Bell ukucnął za podziurawionym pociskami fordem T i wyszarpnął browninga spod marynarki.

– Po co strzelają do nas?! - krzyknął Tobin przez nieustający hałas.

– Nie do nas.

– Mógłbym się dać nabrać.

– Walą do facetów, którzy strzelają do nich.

Ogień pistoletowy potwierdzał, że vandornowcy wjechali w środek czyjejś walki. Tobin wyciągnął krótkolufowy rewolwer, jeszcze mniej użyteczny przeciwko thompsonowi niż browning Bella.

Następny grad kul zasypał ulicę. Tym razem nikt nie odpowiedział ogniem. Kiedy ostrzał ustał, Bell uniósł głowę w poszukiwaniu O’Neala. Zobaczył dodge’a z przebitymi oponami i otwartymi drzwiami kierowcy, ale ani śladu gangstera. Locomobile wypadł z jakiegoś magazynu, ominął dodge’a i skręcił za róg z piskiem opon.

I nagle zapadła cisza.

Bell wiedział, że ma tylko chwilę na sprawdzenie, czy O’Neal przeżył, zanim zjawią się gliny i wezmą sprawy w swoje ręce. Z Tobinem osłaniającym tyły tuż za sobą, wysoki detektyw zbliżył się do dodge’a. Był podziurawiony jak furgon vandornowców i większość samochodów wokół. Śmierdział rozlanym alkoholem z setek roztrzaskanych butelek. W środku nie było nikogo.

Bell usłyszał jęk. Weszli za dźwiękiem do magazynu, skąd dopiero co wystartował locomobile. Stosy skrzynek whisky stały przy ścianach.

– Glen Urquhart - powiedział Tobin. - Ten sam towar O’Neal miał na Murray Street. Wygląda, że został obrabowany.

– Ale gdzie on jest?

Głębiej w magazynie znaleźli eleganta w krzykliwym garniturze. Pocisk trafił go w ramię. Usiłował usiąść prosto i dosięgnąć pistoletu, który leżał obok niego.

Bell odkopnął broń i ukucnął przy nim.

– Kto cię postrzelił?

– A co, jesteś gliną?

– Vandornowcem.

– To samo.

– Kto cię postrzelił? - powtórzył zimno Bell.

– Nikt.

– Co tu się stało?

– Nie wiem.

– Gdzie jest „Ciężarówka” O’Neal?

Gangster zaskoczył Bella. Roześmiał się.

– Pojechał na przejażdżkę, jak to ciężarówka.

– Dokąd?

– Nie gadam z glinami.

– Pożałujesz, że nimi nie jesteśmy - warknął Tobin nad ramieniem Bella i zwrócił się do niego:

– Rozpoznaję tego faceta jako Johnny'ego Quinna. Sprzedaje gorzałę Lonerganowi. Zgadza się, Johnny?

Quinn przytaknął.

– Potrzebuję lekarza.

– Będziesz potrzebował grabarza, jak nie wydasz nam O'Neala - zagroził Tobin.

Potem powiedział do Bella, jakby gangster nie leżał na betonie między nimi:

– Widzę to tak. Ciężarówka sprzedaje towar temu gościowi. Rabusz z Thompsonem próbuje przejąć dostawę. Pan Quinn i jego przyjaciele się bronią. Quinn obrywa, przyjaciele uciekają. Rabusie zdobywają tylko część produktu O'Neala.

– Nie - zaprzeczył Bell. - Nie widzę żadnej ciężarówki do zabrania tego. I ostrzelali Dodge'a. Nie zrabowali gorzały. Jeśli coś wzięli, to O'Neala.

Zwrócił się do gangstera:

– Dokąd go zabrali?

– Donikąd.

Elektryczna syrena policyjna zawyła w pobliżu. Bell sięgnął błyskawicznie do buta. Wycelował nóż do rzucania w twarz gangstera, opasał jego szyję ramieniem i wsunął mu ostrze do ucha.

– Pytałem, dokąd go zabrali?

– Nie jesteś gliną?

– Już to ustaliliśmy. W którą stronę pojechali?

Gangster oblizwał wargi.

– Posłuchaj, to jest sprawa między Ciężarówką i nimi.

– Wiesz, kto go porwał, tak?

– Tak, i nie powiem ci, bo cokolwiek mi zrobisz, oni zrobią coś gorszego.

– Chcesz się założyć? - zapytał Bell.

Gangster wykręcił głowę i spojrzał błagalnie na Tobina.

– Posłuchaj, stary. Wiesz, o kim mówię? Ci faceci przejmują doki. Wypierają Lonergana i resztę.

– Czarna Ręka - odrzekł Tobin.

– Wrobili Ciężarówkę. Czekali na niego.

Bell i Tobin wymienili spojrzenia. To, że Włosi, którzy wypierali Irlandczyków z lukratywnego interesu kontrolowania dokerów, polowali na O'Neala, nie miało związku z Kominternem i Maratem Zolnerem.

Na pewno? - zastanowił się Bell. A jeśli Zolner połączył siły ze współnikami? I z nowymi nowojorskimi bossami? Jeśli stworzył sojusz, to bardzo możliwe, że ci nowi współnicy wyświadczą mu przysługę, eliminując świadka, który wie dość, by zagrozić ich wspólnym planom.

– Dokąd Czarna Ręka zabrał O'Neala? - spytał Bell.

Tobin przysunął się bliżej.

– Lepiej nam powiedz - szepnął. - Nie mam wpływu na to, co ten gość ci zrobi.

Dla podkreślenia słów Tobina Bell wsunął nóż głębiej do ucha gangstera.

Szpic dotknął bębienka. Quinn zdrętwiał.

– Już nam powiedziałaś, że zabrali Ciężarówkę na „przejażdżkę” - przypomniał Bell. - Dokąd?

– Nie wiem na pewno. Zwykle zabierają facetów do Brooklynu.

– To duża dzielnica.

– Na Fulton Street.

– To długa ulica.

– Daj spokój, człowieku, wpakujesz mnie w kłopoty.

– Jesteś w nich.

Tobin znów się wtrącił, bardziej fatalistycznie niż łagodnie.

– Uznaj tego faceta za swojego księdza. On przekaże twoją spowiedź tylko Bogu, a Boga pewnie to nie obejdzie. Gdzie na Fulton?

– Przy promie. Pod mostem.

Przez Dolny Manhattan było półtora kilometra do mostu Brooklyńskiego, nawet omijając zapory w rejonie Wall Street, gdzie policja wciąż prowadziła śledztwo w sprawie eksplozji. Na moście, gdy niebo różowiało i wiatr świstał przez dziury po kulach w przedniej szybie furgonu rzeźnika, Tobin zapytał:

– Komintern i Czarna Ręka? Zabawne połączenie.

– Założę się, że Czarna Ręka nie wie, że Zolner jest kominternowcem. To po prostu pierwszorzędny przemytnik, na tyle sprytny, że zawiera przyjaźnie. Możemy zapytać Ciężarówkę, ale musisz dodać gazu, zanim go zabiją. Jedź! Migiem!

Pomknęli z piskiem opon krętymi zjazdami w dół do zaniedbanej dzielnicy z przystanią promową. Fulton Street dochodziła tam pod mostem do slumsów z noclegowniami, „ślepych świniami” i garkuchniami. Włóczędzy spali w wejściach. Bell nie widział nigdzie gliniarzy.

Słońce jeszcze nie oświetlało gotyckich wież mostu, ale czerwieniło najwyższe dźwigary drapaczy chmur w budowie na Wall Street za rzeką. Prom na Manhattan, którym niewielu pływało, odkąd most wyłączył go skutecznie z interesu dawno temu, nie kursował już w nocy. Baseny portowe, hangary i pirsy wydawały się opuszczone. Farba się łuszczyła, pomosty rozpadały.

– Jest ich locomobile.

Zatrzymali się za autem, które widzieli wypadające z magazynu na Murray Street. Stało obok ciężarówki w cieniu u podnóża pirsu, pod rozbitą latarnią uliczną.

– Na pirs - powiedział Bell i pobiegł.

Daleko, na końcu długiej drewnianej konstrukcji, która wrzynała się w rzekę, sześciu lub siedmiu ludzi na wpół niosło, na wpół wlokło mężczyznę ku wodzie. Bell wyciągnął broń, przystanął i wycelował. Uważając, żeby nie trafić Ciężarówki, strzelił dwa razy nisko nad ich głowami. Kapelusz sfrunął. Gangster się schylił i dał nura na pomost. Reszta dotarła do końca i wrzuciła O’Neala do rzeki.

Bell popędził co sił w nogach. Gangsterzy się rozproszyli w biegu do swojego auta. Obserwowali go uważnie i zostawiali mu miejsce, żeby ich minął. Rzeka była w zastoju, spokojną powierzchnię mącił tylko jeden krąg. Ciężarówka poszedł na dno jak kamień.

Bell zdarł z siebie marynarkę, zrzucił buty i zanurkował za nim.

Przebił środek kręgu, gdzie zniknął O'Neal, i popłynął prosto w dół, sięgając w ciemność. Po pięciu czy sześciu metrach dotarł do dna, dotknął mułu i uderzył w coś twardego - podstawę pala. Pomacał wokół gorączkowo. Coś miękkiego zamknęło się wokół jego wyciągniętej ręki i zacisnęło mocno.

Bell ledwo mógł w to uwierzyć. To był niemal cud. Nurkując prosto w dół, wylądował na dnie obok O'Neala, który teraz trzymał go za rękę z całej siły.

Bell wbił stopy w muł i odepchnął się, żeby wyciągnąć go na powierzchnię.

Nie mógł go unieść.

Szarpnął mężczyznę za rękę, jakby chciał krzyknąć: „Odepchnij się! Pomóż mi cię unieść!” Gdzie jego naturalna pływalność? Nawet ktoś, kto nie umie pływać, uniósłby się część drogi do powierzchni. Ale Bell nie mógł go ruszyć z mułu.

Zaczynało mu brakować powietrza.

Przyciągnął się w dół po rękę gangstera, zaparł znów o miękki muł i spróbował odepchnąć. Ale znów nie mógł unieść człowieka. Nie miał już czym oddychać. Słyszał, jak wali mu serce. W głowie mu huczało. Nie miał wyboru, musiał wrócić na powierzchnię, napełnić płuca i znów zanurkować, żeby mu pomóc. O'Neal ścisnął desperacko jego rękę z nadludzką siłą.

Bell odgiął kolejno jego palce.

Usłyszał nagły szum. Pęcherze powietrza otarły się o jego twarz. O'Neal tonął. Rozluźnił chwyt. Bell się oswobodził i popłynął ostatkiem sił ku światłu w górze. Wstrzymał oddech, dopóki mógł. Kiedy wreszcie otworzył usta i zrobił wdech, był zdumiony, że zdołał się wynurzyć.

– Daj jakąś linę! - krzyknął. - Ed, daj jakąś linę!

Zaradny Tobin już wracał sprintem z przystani promowej. Rzucił długą linę. Bell napełnił płuca i pociągnął ją pod powierzchnię. W spokojnej wodzie zanurkował prosto do tonącego gangstera. Przeciągnął mu linę pod pachami, zawiązał na piersi i wystrzelił ku powierzchni.

– Ciągnij!

Trzy i pół metra nad nim na pirsie do Tobina dołączyło paru włóczęgów. Przywołali na pomoc innych, chwycili linę jak ludzie pracujący na statkach i powoli wyciągnęli O'Neala z wody. Jego głowa przebiła powierzchnię. Bell się obawiał, że nie żyje, ale krzyknął, żeby dźwignęli go na pirs. Zrobili to i rzucili

mu linę. Bell wspinał się po niej i zobaczył, że O'Neal ma kostki obciążone żużlobetonowymi blokami. Przywiązali mu je gangsterzy, którzy wrzucili go do wody.

Ed próbował reanimować Ciężarówkę. Naciskał jego plecy, unosił ramiona i stosował sztuczne oddychanie, żeby usunąć wodę i napęlić mu płuca świeżym powietrzem. Ale na próżno. O'Neal nie żył.

Gliny przyjechały.

– To coś nowego. Betonowe kalosze.

– Kim on był?

– Najlepszym tropem Agencji Detektywistycznej Van Dorn - odrzekł Bell.

– Mogę dostać broń ze zbrojowni, panie Forrer?

– Praktykanci Van Dorna nie noszą broni.

– Nauczyłem się strzelać w Straży Przybrzeżnej.

– Nie. Wysłałem cię do Newark, żebyś przesłuchał hurtownika artykułów kowalskich. Mało prawdopodobne, że człowiek, który żyje ze sprzedaży podkowiaków i kowadeł, wciągnie cię w strzelaninę.

Somers wyglądał na tak rozczarowanego, że Forrer wyjaśnił:

– Pan Van Dorn uważa, że młody człowiek z bronią jest mniej spostrzegawczy, niż powinien być, bo wyobraża sobie, że strzelając, wybrnie z kłopotów. Natomiast młody człowiek, który polega na swoim rozumie, żeby przeżyć, uczy się, jak być bardziej spostrzegawczym... To niezbędna umiejętność detektywa, zgadzasz się z tym, młody człowieku?

Somers pojechał pociągiem do Newark w New Jersey.

W dzielnicy Ironbound blisko stacji towarowej znalazł magazyn hurtownika podków, którego on i pan Forrer wytypowali jako prawdopodobnego sprzedawcę podkowy zabranej przez pana Bella z Wall Street.

Hurtownik powiedział mu, że kawałek gumy na podkowie mógł być podkładką Air Cushion Pad firmy Revere Rubber Company albo Dryden Hoof Pad.

– A Neverslip Manufacturing z New Brunswick?

– Mógł być.

– Orientuje się pan, który kowal mógł to kupić od pana?

– Nie. To mógł być ktokolwiek.

– A jeśli ten sam kowal kupił też tę podkowę Neverslip?

Hurtownik obrócił zużytą podkowę w rękach.

– Mógł.

Somers pokazał mu znak na klinie.

– Skąd to się mogło wziąć?

– Kowal ma swoje inicjały na cechowniku. Wybija je młotem, żeby zrobić swój znak. Podpisuje się. To jak znak firmowy.

– Rozpoznaje pan inicjały „RD”?

– Synku, dlaczego zadajesz te wszystkie pytania?

Asa Somers wyprostował chude ramiona i stał się wyższy.

– Jestem prywatnym detektywem praktykantem z Agencji Van Dorn. Prowadzimy śledztwo w sprawie zamachu bombowego na Wall Street.

– Myślałem, że rząd to robi. I gliny.

– Czy on mógł być jednym z pańskich klientów?

– Mógł.

– Pamięta pan nazwisko tego kowala?

Hurtownik wzruszył ramionami, jakby uznał, że Somers jest poważnym chłopakiem i nie zagraża jego klientowi.

– Ross Danis.

– Gdzie go mogę znaleźć?

– Nie wiem, gdzie ostatnio nocuje. Pracował jako kowal w posiadłości pani Dodge, dopóki go nie zwolnili.

– Za co? - spytał Somers.

Własne zwolnienie ze Straży Przybrzeżnej wciąż go bolało mimo fantastycznej nowej pracy z vandornowcami.

Hurtownik zarechotał.

– Podobno pan Dodge aż zieleniał, jeśli masz tyle lat, że wiesz, o co mi chodzi.

– O to, że był zazdrosny, bo pan Danis okazywał względy pani Dodge?

– Od lat się tak nie uśmiechała.

– Gdzie bym znalazł pana Danisa, kiedy pracuje?

– Właśnie kupił sobie nowiutki skórzany fartuch Boss i komplet raszpli Disston, więc pewnie podkuwa konie na jarmarku hrabstwa Monmouth - chyba że pan Dodge jest obecny.

– Ale co z rewolucją? - zapytała Fern Hawley.

Patrzyła ponuro na nietknięty kieliszek prawdziwego szampana, który nalał jej były mistrz wagi ciężkiej Jack Johnson, właściciel klubu Deluxe w Harlemie.

Marat Zolner miał nadzieję, że wyjście późnym wieczorem oderwie jej myśli od Jurija.

– Przemyt - przypomniał jej znowu - jest naszą drogą do rewolucji.

– Jurij tak nie uważał.

Nielegalna knajpa słynnego czarnego zawodowego boksera na Lenox Avenue była ulubionym kabaretem Fern. Orkiestra hot jazzowa przyciągała śmietankę paczki z Park Avenue. Przyjeżdżali do Harlemu limuzynami i taksówkami, ubrani jak spod igły, po prywatnych przyjęciach, teatrze i operze. Zolner też dobrze się tu bawił, zwłaszcza w roli rosyjskiego arystokraty na emigracji ze swoją amerykańską dobrodziejką. To była duża frajda, być bogatym i spędzać czas wśród gwiazd filmowych, gangsterów i młodych nowoczesnych dziewczyn w krótkich fryzurach i jeszcze krótszych spódniczkach.

– Jurij nie rozumiał - odrzekł łagodnie. - Ale przekonywał się do widzenia Ameryki taką, jaka ona jest.

– Ale dokąd pojedziemy? - spytała Fern.

Czekała niecierpliwie na rezultaty przed śmiercią Jurija. Teraz miała obsesję.

– Do miasta, gdzie tylko wąska rzeka, którą można przepłynąć motorówką w minuty, oddziela państwo z legalnym alkoholem od państwa z nielegalnym.

– Do Detroit - powiedziała Fern.

Była na bieżąco ze wszystkimi aspektami prohibicji, odkąd Zolner po raz pierwszy przedstawił swój plan.

– Zgadza się. Trzy z każdych czterech drinków nalewanych w Stanach Zjednoczonych pochodzą z Detroit. Tamto miasto zaopatruje Saint Louis, Nowy Orlean, Kansas City, Denver, Zachód, Środkowy Zachód i Południe.

– Ale gangi Purpurowy i Rieczny walczą o kontrolę nad nim. Mają w kieszeni policję i polityków.

Zolner sięgnął pod stół i ścisnął mocno jej kolano.

– Dlatego pojedziemy do Detroit.

– Ale co z rewolucją? - powtórzyła wyzywająco Fern.

Odwróciła głowę, żeby uniknąć wzroku Zolnera. Jej spojrzenie padło na uśmiechniętego Jacka Johnsona, który witał atrakcyjną parę w drzwiach.

– Zobacz! To Isaac Bell.

20.

– Witaj z powrotem, Isaac. I pani Bell. Miło znów was widzieć.

Były mistrz wagi ciężkiej Jack Johnson - wyglądający na niezwykle sprawnego czterdziestotrzyletni czarny mężczyzna - prezentował się wspaniale w ciemnym garniturze w białe prążki. Pochylił się nisko nad ręką Marion.

– Czy byłoby to zbyt wiele mieć nadzieję, że kręci pani nowy film w Nowym Jorku?

– Od teraz kręcę wszystkie moje filmy w Nowym Jorku. Nic w Hollywood nie dorasta do pięt klubowi Deluxe.

Johnson skwitował komplement donośnym śmiechem.

– A przy okazji, Isaac, dziękuję za cygara.

– Już mi podziękowałeś, Jack. Przynajmniej to mogłem zrobić.

Johnson odsiedział wyrok w Leavenworth - wpakowany do więzienia na podstawie fałszywego oskarżenia o naruszenie ustawy Manna¹ - i Isaac Bell, jak wielu sympatyków wielkiego boksera, wysłał pudełka wykwentnych La Aroma de Cuba, żeby pomóc mu przetrwać rok.

– Rozumiem, że liczysz na walkę z Dempseyem. Czy tylko tak piszą w gazetach?

– A jak myślisz?

– Myślę, że jesteś utrzymującym się w świetnej formie czterdziestotrzylatkiem, a Jack Dempsey dwudziestosześcioletkiem.

¹ Ustawa z 1910 roku, mająca przeciwdziałać powstawaniu gangów handlujących usługami prostytutek i zabraniająca przewożenia kobiet przez granice niektórych stanów USA „w celach niemoralnych” (przyp. tłum.).

– Uważam, że mógłbym mu dołożyć. Jestem w doskonałej kondycji, lepszej niż kiedykolwiek.

– Tak wyglądasz - odrzekł Bell.

– Nie chcę walczyć z żadną miernotą, Dempsey też nie. To dopiero będzie pojedynek. Choć powiem ci tak. – Jack Johnson zniżył głos. - Lepiej, żebym wygrał. Ciemne typy napierają tu na mnie. Niezbyt długo będę miał tę spelunę.

– Kto? - spytał Bell.

– Jakiś gangster, przemytnik alkoholu, którego mają właśnie wypuścić z Sing Sing. Podobno planuje mnie tanio wykupić i urządzić tu „dżunglę”, palmy i tak dalej. Nie będę miał wiele do powiedzenia, chyba że zechcę walczyć na noże i spluwy, a na to jestem za stary.

– Jaki gangster?

Jack Johnson spojrział na swój zatłoczony lokal. Uśmiechnął się na widok okupowanych stolików, uwijających się kelnerów i tłumu na parkiecie.

– Jeszcze nie wiem, choć nie byłbym zaskoczony, gdyby miał tu jakichś szpiegów, którzy mnie teraz obserwują. Jak mówię, czas wrócić na ring.

Marat Zolner rozpoznał w mężczyźnie rozmawiającym z Jackiem Johnsonem detektywa od Van Dorna, który ścigał go tamtej nocy, kiedy zabił Johanna Kozłowa.

– Jesteś pewien, że nie widział twojej twarzy? - zapytała Fern.

– Całkowicie.

– Ale byłeś na tyle blisko, że widziałeś, jak strzela do Johanna.

– Powiedziałem, że słyszałem strzał. Nie widziałem tego.

– Więc ktoś inny mógł zabić Johanna?

– Nie widziałem nikogo oprócz Bella. - A potem, żeby oderwać Fern od tematu strzelaniny, zapytał: - Co to za ślicznotka u jego boku?

– Jego żona. Marion Morgan Bell. Reżyserka filmowa.

– Reżyserka? Taka piękność powinna być gwiazdą.

– Chciałbyś, żebym poprosiła pana Bella, żeby przedstawił ci ją? - spytała lodowato Fern.

– Nie miałem na myśli nic, za co można być urażonym, tylko to, że ona, przynajmniej z daleka, wygląda wyjątkowo pięknie.

– Taki przystojny mężczyzna - odparowała Fern - zasługuje przynajmniej na jedną piękność.

Obserwowała, jak Isaac Bell przeczesuje nielegalny lokal spojrzeniem, któremu nic nie umknie. Jego niebieskie oczy spoczęły na niej i pociemniały, gdy ją rozpoznał, choć się uśmiechnął na powitanie.

Fern pomachała.

– Co ty robisz? - zapytał Zolner.

– Masz szansę na zbliżenie.

Bell i Marion torowali sobie wolno drogę przez zatłoczony nielegalny lokal, zatrzymywani przez wielbicieli, którzy się podrywali, żeby powiedzieć Marion, jak lubią jej filmy. Ludzie rozpoznawali niewielu reżyserów, ale kiedy Marion pojawiała się w jakimś magazynie filmowym, jej twarz zapamiętywano.

– Chciałbym się zatrzymać przy stoliku Fern Hawley - powiedział do niej Bell.

– Kto z nią jest?

– Dowiedzmy się.

Towarzysz światowej kobiety wstał uprzejmie, kiedy się zatrzymali przy stoliku. Wytworny i pełen wdzięku, schludny i elegancki, był wzrostu Bella i nieco szczuplejszy. Zachowywał się swobodnie, ale miał bystre spojrzenie. Fern przedstawiła go.

– Mój stary przyjaciel księżę Andre, do niedawna zamieszkały w Petersburgu.

Bell i księżę Andre uścisnęli sobie mocno dłonie. Bell przedstawił Marion. Wymieniono uprzejmości. Zgodzili się przysiąc na chwilę.

Księżę Andre wciągnął Marion w rozmowę techniczną o filmie, przywołując model rosyjski. Marion wyjawiała mu, że kręci komedię o rosyjskim balecie zdanym na własne siły w Nowym Jorku.

– Jaki będzie tytuł?

– *Skok do Nowego Jorku.*

– Cóż mogłoby być lepsze? Wszyscy powinniśmy wykonać „skok do Nowego Jorku”, prawda, moja droga?

Fern Hawley zwróciła się do Bella:

- Mój przyjaciel przesadza z oczarowywaniem pana żony.
- Jestem przyzwyczajony do tego - odrzekł Bell.
- Jak często kończy się to bójką na pięści?
- Nie więcej niż połowę razy.

Szeroki uśmiech Fern sprawił, że jej oczy stały się jeszcze ciemniejsze. Zacisnęła wargi w kształcie łuku Kupidyna i zapytała:

- A jaki jest skutek, kiedy dochodzi do tego?
 - Więcej tego nie robią. Księżę Andre przyjechał niedawno?
 - Znałam go w Paryżu.
 - Był wtedy uchodźcą?
 - Bynajmniej. Jego rodzina miała posiadłości we Francji.
 - I w Ameryce?
 - Nic o tym nie wiem - odparła Fern. - Mogę zadać panu pytanie?
 - Oczywiście - odpowiedział Bell, zerkając na księcia Andre i uśmiechając się do Marion.
 - Spytam otwarcie - uprzedziła Fern.
 - Niech pani wali - zachęcił Bell. - O co chodzi?
 - Kiedy się spotkaliśmy pierwszy raz, gdy pan ścigał... kogokolwiek pan ścigał...
 - Tak?
 - Odniosłam wrażenie, że mógłby pan, w sprzyjających okolicznościach, bardzo mnie polubić.
 - Zawsze lubiłem indywidualności - odrzekł Bell.
 - Złe czy dobre?
 - Różne. Nonkonformistów, artystów.
 - Nie jestem pewna, czy to komplement.
- Bell uśmiechnął się szeroko.
- Dobrze pani wie, że tak. Uwielbia się pani wyróżniać.
 - Więc mógłby pan mnie polubić? - zapytała z uśmiechem Fern i przeniosła spojrzenie swoich migdałowych oczu na Marion. - W sprzyjających okolicznościach.

– One nie istnieją - odparł Bell i odwrócił się do księcia Andre. - Zajmujemy państwu czas o wiele za długo. Przepraszamy.

Marion wsunęła rękę pod jego ramię i poszli dalej.

– Jeszcze nie spotkałam rosyjskiego uchodźcy, który nie byłby księciem lub przynajmniej hrabią.

– On wygląda na twardego księcia - zauważył Bell.

– Też tak pomyślałam. Widziałeś jego ręce?

– Potężne. Uścisk dłoni miał bardziej amerykański niż europejski.

– Powiedział mi, że walczył w kawalerii.

– Mam nadzieję, że panna Hawley wie, co robi.

– Panna Hawley - odrzekła Marion - sprawia na mnie wrażenie kobiety, która wie, co robi, odkąd złamała wszystkie serca w przedszkolu. Uważasz ją za atrakcyjną?

– Z pewnością bym uważał - odpowiedział Bell - gdybym nie był z najpiękniejszą kobietą na świecie.

– Jak byś mnie widział w takiej fryzurze jak jej?

– Twoje włosy podobają mi się takie, jakie są. Ale dla mnie mogłabyś być łysa, gdyby miało cię to uszczęśliwić. Jak przypuszczasz, gdzie Fern Hawley znalazła księcia Andre?

– Jeśli splukani arystokraci znajdują bogate amerykańskie dziedziczki w Nowym Jorku tak samo, jak w Hollywood, to on musiał mieć mocne wejścia, żeby móc się pokazywać w takich miejscach, gdzie ona czuje się komfortowo - jakimś klubie wiejskim lub drogiej restauracji.

– Powiedziała mi, że poznali się w Paryżu.

– Jestem pewna, że panna Hawley czuła się komfortowo w Paryżu.

– Mogę prosić do fokstrota?

Zatańczyli przy jazzowej wersji *Melancholy Baby*. Bell okrążył z Marion inne pary, żeby mijać blisko stolik Fern i księcia Andre. Dziedziczka i rosyjski uchodźca byli pogrążeni w rozmowie.

Kiedy Bell i Marion wrócili do swojego stolika, Marion stwierdziła:

– Mimo beztróskiego uśmiešku panna Hawley nie jest szczęśliwa.

– Dlaczego?

– Myślę, że jest rozczarowana.

– Róża zwiędła?

– Nie, ta róża nadal kwitnie. To coś innego.

Bell zauważył, że barczysty mężczyzna w stroju wieczorowym obserwuje stolik Fern od baru, a jego wysoka szklanka jest nietknięta. Kiedy księżę Andre spojrzał w jego kierunku, tamten wyprostował się lekko jak pracownik, co potwierdziło przypuszczenie Bella, że to ochroniarz. Rosjanin skierował wzrok w jego stronę. Zanim zdążył zobaczyć, że Bell mu się przygląda, Bell odwrócił się do Marion.

– Skoro mowa o kwitnących różach, zapomniałem ci przekazać wiele serdecznych pozdrowień od Pauline.

W przeciwległej części sali księżę Andre wstał i wyciągnął rękę do Fern Hawley. Zaprowadził ją na parkiet i wziął w ramiona.

– Rozumiesz, o co mi chodzi z różą? - zapytała Marion. - Tym dwojgu jest dobrze ze sobą. Czyż on nie jest świetnym tancerzem?

Bell zgodził się z tym.

– Wygląda, jakby ćwiczył w balecie.

– Jest za wysoki do baletu.

– Może był niskim chłopcem. W każdym razie rozglądam się za właściwym facetem dla Pauline.

– Za kim?

– Dashwood ma bzika na jej punkcie.

Marion zrobiła sceptyczną minę.

– Zawsze myślałam, że Dashwood jest niezwykle blisko ze swoją matką.

– Występowała w Cyrku Dzikiego Zachodu Buffalo Billa i nauczyła Dashwooda strzelać.

– Pan Freud miałby ubaw z tego. Z drugiej strony, gdyby ktokolwiek mógł odstawić Dashwooda od piersi, to *Fraulein* Grandzau.

Bell znów popatrzył na tłum.

– Myślisz, że mogłabyś sprawić, żeby Fern Hawley otworzyła się przed tobą?

– Spróbuję. Jak możemy usunąć księcia z drogi?

– Poproszę kelnera, żeby mu powiedział, że jest telefon do niego.

– Co chcesz wiedzieć?

– Jak to się stało, że panna Hawley siedziała w swojej limuzynie na zaniedbanej ulicy przed tylnymi drzwiami szpitala Roosevelta tamtej nocy, kiedy uciekł mi zabójca, który zastrzelił Johanna Kozłowa. Zastanawiałem się wtedy i zastanawiam się teraz. To musiał być zbieg okoliczności. Ale...

– Ale ty nie cierpisz zbiegów okoliczności. Spróbuję podejść do... Za późno, wychodzą!

Bell obserwował uważnie, jak Fern i księżę Andre wychodzą prosto z parkietu. Kelner pobiegł za nimi z boa z piór, które zostawiła na swoim krześle.

– Masz rację - powiedział Bell. - Ona jest nim rozczarowana. Jest coś w tym, pod jakim kątem trzyma głowę.

– Powinieneś być detektywem... Dokąd idziesz?

– Nie idź za mną - odparł krótko Bell.

Mężczyzna, którego zaobserwował przy barze, ruszył szybko, żeby odprowadzić Fern i księcia Andre przed nielegalny lokal. Bell poszedł za nim. Oprych w palcie, którego Bell zauważył wcześniej sterczącego pod elektryczną markizą, zablokował fotoreportera próbującego zrobić zdjęcie Fern i księciu. Zastopował Bella, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Oszczędź pan sobie kłopotów. Wróć pan do środka, póki masz pan jeszcze zęby.

Wysoki detektyw powalił go na chodnik.

Ale przez ten czas ochroniarz - Bell już nie miał wątpliwości, kim on jest - zamknął drzwi samochodu Fern i księcia. Szofer nacisnął gaz i wjechał w ruchliwą Lenox Avenue. Ochroniarz odwrócił się twarzą do Bella, zerknął szybko na swojego kompana na chodniku i rozpiął marynarkę, żeby pokazać pistolet.

– Chcesz pan czegoś?

Bell też rozpiął marynarkę, zacisnął dużą dłoń na swoim browningu i ruszył ku niemu. Ale na chodniku roilo się od nocnych balowiczów i pełne taksówki podjeżdżały do krawężnika.

Packard wiozący Fern Hawley i księcia Andre zajechał drogę tramwajowi i zniknął. Ochroniarz pomógł swojemu kompanowi wstać i odjechali taksówką. Isaac Bell zastanawiał się, czy ochraniał bogatą młodą kobietę, czy jej rozpieszczonego żigolo, który wygląda na takiego, co doskonale ochroni się sam.

W limuzynie Marat otoczył ramieniem Fern.

Odwróciła się od niego.

– Bank jest zamknięty.

– Bank? Jaki bank?

– To takie wyrażenie. Oznacza, że dziewczyna nie jest w nastroju.

– Od kiedy?

– Odkąd... mam stracha z powodu Jurija.

– Bank nie wydawał się zamknięty dla Isaaca Bella.

– Na litość boską, Marat. On jest detektywem. Tylko tego potrzebujemy.

– Narzucałaś mu się.

– Jest żonaty.

– Mam uwierzyć, że to cię powstrzyma?

– Powstrzyma jego - czy ty nic nie wiesz?

Jechali w milczeniu, dopóki samochód nie zatrzymał się przed jej miejską rezydencją. Kierowca wyskoczył. Marat Zolner pokazał przez szybę, żeby nie otwierać drzwi.

– I co dalej? - zapytała Fern.

– Jak długo ten bank będzie zamknięty?

– Nie wiecznie. Po prostu potrzebuję trochę czasu. - Poklepała jego rękę. - Bez obaw, będzie dobrze.

– Mamy dużo do zrobienia. Ciągłe pytasz o rewolucję. Ona wymaga pełnej koncentracji. Nic nie powinno odwracać uwagi od niej. Toteż zrobimy tak: zostaniesz tu, kiedy mnie nie będzie. Wykorzystaj ten czas na myślenie. Poślę po ciebie, jak tylko się urządzę. Jeśli zechcesz przyjechać, to przyjedziesz.

– Dokąd się wybierasz?

– Mówiłem ci. Rozszerzam naszą operację. Jestem gotowy do przejęcia Detroit.

– Ty, czyli kto? Kogo masz na myśli? Siebie przemytnika? Siebie członka Kominternu?

– Jesteśmy jednym - odrzekł Marat Zolner. - Ja, przemytnik, i ja, członek Kominternu. Taki jest plan. Zawsze taki był.

- A co z rewolucją?
 - My jesteśmy rewolucją.
 - Jurij był rewolucją. Johann był rewolucją. I zobacz, co się z nimi stało.
 - Jurij się zagubił. Nie był skupiony. Dynamit nie wybacza błędów. Johann miał pecha, że wpadł na niewłaściwego detektywa.
 - Nie uciekniesz ludziom Van Dorna w Detroit.
 - Dlaczego tak myślisz?
 - Mają agentów terenowych wszędzie, również w Detroit.
- Zolner wyciągnął rękę i ścisnął mocno jej nogę.
- Stop!
- Zolner ścisnął mocniej i powiedział:
- Biuro terenowe Van Dorna w Detroit przestaje działać.

21.

Pięćdziesiąt kilometrów na wschód tej samej nocy, wujek Donny Darbee płynął łodzią do połowu ostryg pełną szkockiej od Rumowej Linii ku przesmykowi Far Rockaway. Pomyślał, że postęp to cudowna rzecz. Współczesny świat działał lepiej niż tamten, w którym się urodził. Gęsta mgła zalegała na wodzie, ale sygnał radiowy utrzymywał go na kursie jak magia. Duży peerless V-8, który jego siostrzeńcy wyciągnęli z czyjegoś nowego samochodu, czynił jego łódź szybszą niż staromodny ford o mocy dwudziestu koni mechanicznych i bił na głowę żagle oraz silniki parowe. A prohibicja, Boże błogosław polityków, którzy ją wprowadzili, czyniła przemysł rumu dużo bardziej opłacalnym od pirackiej kradzieży węgla i łatwiejszym dla starego człowieka.

Wyglądało na to, że mgła wystraszyła policję morską i Straż Przybrzeżną.

Prowadzony przez łoskot fal przyboju, skierował się niemal w ciszy między kamienne falochrony przesmyku. Wpłynął z przymkniętą przepustnicą dobrze stłumionego silnika do Reynolds Channel, osłoniętej cieśniny równoległej do oceanu między Long Beach Island a Long Island. Nasłuchiwał innych łodzi, żeby uniknąć kolizji w ciemności, uważał na zmieniające się prądy, co wskazywało jego pozycję na wąskim farwaterze, i trzymał kurs według radia

Robin. Zostały im jeszcze trzy kilometry dobrze mu znanej drogi wodnej do przystani pewnego hotelu w Long Beach, który miał kupić jego gorzałę.

– Dziadku!

– Co?

– Radio fiksuje.

W następnym momencie Darbee usłyszał ryk sprzężonych silników liberty. Obejrzał się przez ramię i zobaczył krwistoczerwony blask ich ognistych wydechów. Uświadomił sobie za późno, że sygnał radiowy był pułapką i czarna łódź, o której wszyscy mówią, próbuje go porwać. Snop światła dużego szperacza przebił mgłę, przesunął się nad jego niskim szarym kadłubem i znurkował do tyłu jak głodny rybołów.

– Przycupnij obok silnika, zanim zaczną strzelać.

Robin natychmiast posłuchała.

– Co zamierzasz zrobić, dziadku?

– Mieć nadzieję, że nas nie zobaczą.

Pchnął przepustnicę naprzód i nabrał szybkości. Rozumował, że go nie usłyszą przez ryk własnych silników. Ale nagle ich silniki ucichły. Albo zwolnili, żeby nasłuchiwać, albo stłumili wydechy, jak on to zrobił, kiedy wpływał do przesmyku.

Szperacz znów się skierował w jego stronę. Nie ukrywali swojej obecności i Darbee podejrzewał, że to nie mgła spowodowała brak gliniarzy, tylko łapówki. To oznaczało, że on i mała dziewczynka są zdani wyłącznie na siebie. Wyciskał z peerlessa tyle mocy, ile stłumiony silnik mógł rozwinąć. Szperacz się zbliżył. Światło padło na twarz Robin. Wyglądała na przerażoną, ale zachowywała spokój - między innymi dlatego zabierał ją ze sobą na te wyprawy.

Zobaczyli go.

Otworzył wydech, żeby przyspieszyć. Peerless zaryczał.

Liberty za nimi stały się bardzo głośne i duża łódź podjęła pościg.

– Co zrobimy, dziadku? - zapytała znów Robin.

– Wyprowadzimy go na wyspę Hog.

– Co to jest?

– Kurort letni. Pawilon taneczny, restauracje, przebieralnie, parada na deptaku.

Spojrzała na wprost w pustą ciemność, obejrzała się na doganiające ich cyklopie oko szperacza i popatrzyła z obawą na swojego dziadka. Jego długie włosy powiewały na wietrze, sękata ręka spoczywała luźno na rumplu. Miał dziwnie spokojną minę, zważywszy, że ścigał ich ktoś groźniejszy od gliniarzy. Zastanowiła się z ukłuciem w sercu, czy czarna łódź nie przeraziła śmiertelnie staruszka.

– Nie widzę żadnej wyspy, dziadku.

– On też nie.

– Ale gdzie ona jest?

– Huragan ją zmiotł.

– Jaki huragan, dziadku?

– Nie pamiętam - jakieś trzydzieści, czterdzieści lat temu. Jeszcze przed narodzinami twojej matki, o ile sobie przypominam.

– I gdzie jest teraz wyspa Hog?

– Około metra pod nami.

– Aha! - Odetchnęła z ulgą. Wszystko z nim w porządku. - Piaszczysta łąka! Ale, dziadku, mamy zanurzenie prawie metr.

– A on półtora.

W tym momencie usłyszeli za sobą, jak duże silniki milkną.

– Znaleźli ją! - powiedział Darbee. Zwolnił i użył tłumika. Niemal w ciszy nasłuchiwali przerażonych i wściekłych męskich okrzyków.

– Co to za język, dziadku?

– Czort wie, ale mogę ci powiedzieć, co krzyczą. Siedzimy na mieliźnie, jest odpływ, i jeśli natychmiast się stąd nie wydostaniemy, będziemy tu tkwić, kiedy wszędzie słońce.

Darbee oparł się na rumplu. Zawrócili i nasłuchiwali z daleka. Silniki czarnej łodzi ryczały i cichły, ryczały i cichły, gdy tamci ryzykowali zniszczenie śrub, usiłując się cofnąć. Jeden silnik zawył nagle na pełnych obrotach.

– I po śrubie - powiedział wesoło Darbee. - Albo po wale. Łups, i następna. Została mu jeszcze jedna. Miejmy nadzieję, że tej już nie rozwali.

– Dlaczego? Niech rozwali wszystkie trzy i wyniesiemy się stąd.

Pojedynczy silnik rozkręcił się ostrożnie, popracował trochę i zwolnił.

– Słyszysz to? - Darbee się ucieszył. - Wydostał się. To dobrze.

- Dlaczego dobrze, dziadku?
- Zobaczysz.

Czarna łódź popłynęła na wschód z szybkością dziesięciu węzłów.

Darbee za nią. Tamci minęli przesmyk Jones Inlet, ale zostali na szlaku śródlądowym. Darbee podejrzewał, że tak robią. Nie mieli odwagi wracać na ocean tylko z jedną śrubą na skrzywionym wale.

- Dziadku, co my robimy?
- Chcemy się dowiedzieć, gdzie on mieszka.
- Dlaczego?
- Dlaczego? Jak to dlaczego? Chcę tamtą łódź.
- Jak ją ukradniemy tamtym wszystkim gangsterom?
- Jeszcze nie wymyśliłem tego.

Mijały godziny. Tamci wybierali starannie drogę na krętym farwaterze i w końcu dotarli do zatoki South Oyster Bay i przez nią do zatoki Great South Bay. Mglisty szary świt zaczął rozświetlać wschód. Wkrótce stary człowiek i jego wnuczka zobaczyli niewyraźny zarys czarnej łodzi na tle brzasku.

- Gdzie jesteśmy, dziadku? - szepnęła Robin.
- Chyba pod Great River.
- Wymyśliłeś, jak ukradniemy tamtą łódź?
- Jeszcze nie.
- Może pan Bell mógłby nam pomóc.
- Ten wzór wszelkich cnót nie kradnie łodzi.
- Ale skoro zrobiliśmy mu przysługę...

Ustami dziecięcia prawda przemawia, pomyślał Darbee. Co za sprytna mała dziewczynka. Nieodrodne dziecko swoich rodziców.

- ...to może pan Bell by się odwdzieczył.

- Metal leci - zagrzemiał Ross Danis.

Wielki kowal miał bujną czuprynę, przyjazny uśmiech i jasne oczy. Pot lśnił na jego szerokim torsie i spływał po muskularnych ramionach. Asa Somers nie

mógł uwierzyć, że człowiek może mieć tyle mięśni. Zupełnie jak Jack Dempsey na reklamie suplementu żelaza w tabletkach Nuxated Iron.

Był Dzień Maluchów na Jarmarku Hrabstwa Monmouth.

Po występie dzieci miał być pokaz koni, a potem wyścig konny, co oznaczało, że Danis będzie zajęty w swojej przenośnej kuźni. Asa Somers zaoferował obsługę jego miechów, żeby utrzymywać żar. Należało mieć stale obie ręce wolne, aby się przyłożyć do tego, a kowal, według jego własnych słów, przykładał się do „młota i szczypiec”, do formowania podków, wyciągania i wbijania hufniali w kopyta i wykańczania ich raszplą. Dodatkową korzyścią było to, że gadał.

Kiedy Danis wreszcie przerwał, żeby pociągnąć łyk wody i ukradkiem drugi z piersiówki, Somers pokazał mu zużytą podkowę Neverslip.

– Mógł pan tym podkuć konia?

– Mam nadzieję, że nie. Wygląda, jakby zwierzę ją zrzuciło, co nie świadczyłoby dobrze o mnie.

– Nie zrzuciło.

– Skąd pan ją ma?

– Z Wall Street.

– Nigdy nie pracowałem na Wall Street.

– Nie chodziło mi o to, że pan ją zrobił na Wall Street.

– Nie tylko nigdy nie pracowałem na Wall Street; trudno mi jest wyobrazić sobie jakiegoś podkutego przeze mnie konia na Wall Street. To za rzeką, w Nowym Jorku. To koń od powozu jakiegoś eleganta?

– To pański znak na tej krawędzi?

Danis się przysunął, żeby spojrzeć, i pot pokapał na ramię Somersa.

– A niech mnie. Gdzie pan to znalazł?

– Ten koń ciągnął wóz do węgla.

– Wóz do węgla? Nie rozumiem. Żaden woźnica nie przyjechałby swoją furą do węgla aż do New Jersey, żeby podkuć konia.

– A co, jeśli koń został sprzedany nowojorskiemu woźnicy fury do węgla po tym, jak pan go podkuł?

– No, jasne - odrzekł Danis z wyrazem olśnienia na czerwonej twarzy.

– To znaczy?

– Nazywał się Czerwonoskóry.

– Kto?

– Duży, silny koń, pociągowy. Wysoki na siedemnaście dłoni. Silny jak muł. Łagodny. Spokojny.

– Czyj?

– Facet zjawił się w pośpiechu. Właśnie go kupił i nie zdawał sobie sprawy, że koń ma obluzowaną podkowę. Nie znał się na koniach. Zastanawiałem się, jak on kiedykolwiek zaprzągnął wóz. Pomyślałem, że pomogę, ale Czerwonoskóry był najłagodniejszym zwierzęciem, jakie eksploatowali.

– Jak się nazywał?

– Czerwonoskóry.

– Tamten człowiek.

– Nie wiem. Był cudzoziemcem. Miał wyraźny obcy akcent i cholernie się spieszył. Dał mi dwa dolce i się wyniósł.

– To było tutaj ?

– Nie, nie, nie. Nie na jarmarku. W Jersey City... Wall Street? Owszem, to ma sens.

– To znaczy?

– Ostatnie, co widziałem, to że kierowali się do promu.

Asa Somers złożył meldunek Grady'emu Forrerowi i chwilę później podsłuchał pana Bella przez telefon.

– Podkowa zaprowadziła nas do pewnego kowala w New Jersey. Przykro mi, Dick, ale to wygląda na ślepy zaułek.

Isaac Bell pożegnał się z inspektorem Condonem, odwiesił słuchawkę telefonu i zastanawiał się, co dalej. Zdawał sobie doskonale sprawę, że potrzebuje uśmiechu losu albo dwóch. Ale na razie szczęście mu nie sprzyjało.

Zauważył czającego się Somersa.

– Coś taki markotny, Asa?

– Podkowa nie pomogła?

– Co? Nie, ale nie przejmuj się tym. Musimy próbować wszystkiego, żeby się przekonać, co wypali.

– Szkoda, że mnie się nie udało.

– Mógłbym powiedzieć to samo o Trucksie O’Nealu i silnikach „Czarnego Ptaka”. Taka jest istota tej gry. Po prostu przykładaj się dalej.

– Mogę dostać broń?

– Jeszcze nie.

– Słyszałem od niektórych chłopaków plotkę, że jak pan był praktykantem, to kupił pan własnego derringera.

– Jak większość plotek, tamta nie jest całkiem prawdziwa.

Somers popatrzył na Bella pytająco.

– Wal, synu. Jeśli chcesz być detektywem, musisz zadawać pytania. Pytaj.

– Co nie jest prawdą?

– Nie kupiłem mojego derringera. Odebrałem go komuś. I zatrzymałem.

Darren McKinney wbiegł do środka.

– Pan Bell!

– McKinney.

– Mój waszyngtoński koleś się pojawił.

Dostawy dla regionu Nowego Jorku od dyrektora sprzedaży Departamentu Wojny obejmowały tuzin dodatkowych silników liberty i skrzynie części zamiennych dostarczone na dworzec towarowy kolei Long Island Railroad w Bay Shore, sto kilometrów od miasta. Isaac Bell zakreślił na mapie krąg wyznaczający prawdopodobną odległość, jaką przejedzie ciężarówka z dworca kolejowego, i wysłał detektywów do wszystkich miast na South Shore w tym promieniu.

– Blue Point, Sayville, Patchogue, Great River, Bay Shore, Islip, West Islip.

– Igła w stogu siana - powiedział McKinney.

Ale Isaac Bell był optymistą.

– Szukaliśmy w stusześcdziesięcikilometrowym stogu siana. Teraz w szesnastokilometrowym.

Zadzwoił telefonista Van Dorna. - Rozmowa międzymiastowa, Walt „Teksas” Hatfield.

– Detroit?

– Tak, ale nie na prywatnej linii.

Połączenie było całkiem porządne. Bell słyszał nutki teksaskiego akcentu Walta.

– Rozwaliłem parę łbów, czyszcząc biuro. Zeszliśmy do dwóch dobrych ludzi.

– Jesteś ich pewien?

– Całkowicie. Tyle że mieliśmy drobny problem. Obaj są w szpitalu, co zawdzięczają pewnemu oprychowi, który wrzucił do nas granat ręczny.

Bell zapytał, jak ciężko są ranni.

– Wylizą się, ale nie są tip-top w tej chwili.

– Kto wrzucił granat?

– Powiedziałbym, że Purpurowy Gang.

– To ulicznicy.

– Małe łobuziaki dorastają bardzo szybko. Po części z powodu ich brutalnych zwyczajów. A częściowo dlatego, że makaroniarze zabijają się nawzajem i zostawiają Purpurowym dobrą zabawę. Większość dużych chłopaków w Detroit śpi w rzece. Następuje całkowita zmiana szefów gangów.

– Zamknij biuro.

– Granat już jakby mnie wyręczył. Facet od handlu nieruchomościami szuka nowego lokalu.

– Zamknij je. Na stałe.

– Zaraz, zaraz, Isaac - powiedział przeciągle Walt „Teksas”. - Te chore na wściekłą skunksy będą miały mylne wyobrażenie, jeśli wyniesiemy się z miasta z podkulonymi ogonami.

– Wrócimy - pod przykrywką.

– Już ci mówiłem, że nic dobrego nie wyniknie z tego, że ludzie będą mnie zatrzymywać z prośbą o mój autograf, kiedy będę udawał przestępcę.

– A ja ci mówiłem - odrzekł Isaac Bell - że cię ukryję na widoku...

Podniósł wzrok na nagłe zamieszanie. Ed Tobin wpadł do biura z szerokim uśmiechem buldoga, który zatopił zęby w steku.

– Nie rozłączaj się, Walt. - Bell położył słuchawkę. - Co?

– Wujek Donny znalazł czarną łódź.

– Gdzie?

– W Great River.

Bell wstał.

– W Great River?

– Daleko na Long Island.

– Wiem, gdzie to jest - odparł Bell. - Trzyście kilometrów od kolejowego dworca towarowego w Bay Shore, gdzie Departament Wojny dostarczył tuzin dodatkowych silników liberty. Gdzie je trzymają?

– W hangarze łodziowym na prywatnej posesji.

Bell chwycił słuchawkę telefonu.

– Walt, zadzwonię do ciebie, kiedy będę mógł. Na razie poproś swojego agenta nieruchomości o wynajęcie dużego budynku za miastem na zajazd.

– Na zajazd?

– Słyszałeś. Wynajmij zajazd!

Bell odłożył z hałasem słuchawkę.

– Jak on ją znalazł?

– Próbowwała go porwać. Wujek Donny popłynął za nią w nadziei, że ją ukradnie.

– Dlaczego zmienił zdanie?

– Za dużo ich było. I miał ze sobą małą Robin. Więc teraz liczy na to, że jak złapiemy tamtą łódź, to mu ją damy.

– W porządku. Ale to za wielka łódź dla jednego starego człowieka. Czy jego siostrzeńcy nie siedzą w więzieniu?

– Jimmy i Marvyn wyszli za dobre sprawowanie w wyniku pomyłki w papierach na ich korzyść. Wes, Charlie, Dave, Eddie i Blaze zostaną ewentualnie zwolnieni warunkowo.

– Moment. Jak tamta barka do połowu ostryg zdołała nadążyć za rozwijającym pięćdziesiąt węzłów jachtem?

– Wpadł na mieliznę. Rozwalił śruby i wały napędowe.

Isaac Bell ruszył do drzwi.

– Musimy tam dotrzeć, zanim to naprawią. Gdzie Dashwood? James, zbierz chłopaków! I skontaktuj się z kilkoma agentami prohibicyjnymi, którym możesz ufać.

– Ufać? Jak bardzo?

– Bardziej niż reszcie. Ale nie mów im, dokąd się wybieramy.

Przed hotelem St. Regis detektywi o ponurych twarzach pakowali pobrzękujące worki golfowe ze zbrojowni Van Dorna do samochodów osobowych. Autem na czele był elegancki pierce-arrow załadowany składanymi drabinami i hakami abordażowymi do pokonywania murów, oraz toporami i młotami do ich rozwalania.

Bell dał rozkaz do odjazdu. Potem zabrał Eda Tobina, wujka Donny'ego i dwóch dobrze pływających detektywów do Terminalu Usług Lotniczych przy Trzydziestej Pierwszej ulicy. Mechanicy w położonej obok fabryce Loeninga trzymali jego latającą łódź rozgrzaną i gotową do startu. W kabinie pasażerskiej leżał kilkusetmetrowy zwój lekkiej liny z konopi manilskich i liny stalowej.

22.

Great River wychodziło na zatokę między polem golfowym w budowie po jednej stronie a bagnem po drugiej. Szlak wodny prowadził w głąb lądu na północ między płaskimi brzegami, gdzie tu i ówdzie błyszczały światła rezydencji. Po niecałych dwóch kilometrach rzeka zwężała się do szerokości stu pięćdziesięciu metrów. Wysokie drzewa rosły blisko brzegu. Mały dopływ dochodził od zachodu. Jego pogłębiony farwater łączył główną rzekę z ogromnym hangarem łodziowym, gdzie nie zapaliło się żadne światło, gdy zapadła noc.

Isaac Bell widział tę trasę wodną z powietrza w ostatnim blasku dnia. Kiedy wujek Donny zlokalizował hangar łodziowy, Bell miał dobry widok na wielką rezydencję za nim, drogę dojazdową z dużą wartownią i, półtora kilometra w głąb lądu, bocznice do Long Island Railroad.

Gdy tylko zrobiło się ciemno, zaprzął detektywów do pracy w zupełnej ciszy. Pływacy przecięli dopływ z liną konopną. Po wyjściu na drugi brzeg użyli jej do przeciągnięcia cięższej liny stalowej za sobą i przymocowali ją do grubych drzew. Na wypadek gdyby czarna łódź została już naprawiona i spróbowała uciec, farwater był zablokowany.

Bell kazał zaparkować dwa najcięższe samochody przodami do siebie w poprzek drogi niedaleko wartowni. Zaprosił funkcjonariuszy prohibicyjnych do udziału w nalocie częściowo po to, żeby dokonać aresztowań, ale głównie w

imię przyjaznych stosunków z agencjami rządowymi, które mogły zawrzeć kontrakty z Van Dornem. Siedzieli w blokujących drogę autach pod czujnym okiem Jamesa Dashwooda. Niecierpliwili się, bawili bronią i opowiadali sobie szeptem kiepskie dowcipy. Bell jeszcze im nie wyjawiał, na kogo robią nalot, i nie zamierzał tego zdradzać, dopóki nie skuje kajdankami wszystkich przemytników alkoholu w posiadłości.

– Jesteśmy gotowi, panie Bell - zameldował Ed Tobin.

– Ruszamy - odrzekł Bell. Zanim jakiś nocny marek z sąsiedztwa zawiadomi telefonicznie policję o blokadzie drogowej.

Kamienna wartownia była ciemna, bez oznak obecności strażników. Ale nic oprócz dynamitu nie rozwaliby jej masywnych, wzmocnionych żelazem drzwi, więc zostawili taran w pierce-arrowsie i wspięli się na mur przy użyciu lin z węzłami i haków abordażowych. Pierwsi mężczyźni na górze - z Bellem na czele i Tobinem za nim - nieśli złożone płachty grubego brezentu przerzucone przez ramię. Na szczycie muru ciągnęły się druty kolczaste, przypominające weteranom wojennym okopy z zasiekami, tyle że bez artylerii i karabinów maszynowych. Pod drutami kolczastymi sterczały z muru kawałki szkła. Przecięli druty, przykryli szkło brezentem i zostawili go wraz z linami dla następnych mężczyzn.

Ośmiu detektywów pokonało mur. Bell wysłał dwóch do otwarcia drzwi wartowni od wewnątrz dla Dashwooda i agentów prohibicyjnych. Reszta podążyła za nim do hangaru łodziowego drogą, którą nakreślił z powietrza. Ominęli korty tenisowe i usunęli kamienny filar spod poidelka dla ptaków w ogrodzie. Potykając się w ciemności na boczniczy kolejowej, dotarli torami do hangaru łodziowego.

Bell zasygnalizował szeptami i klepięciami w ramię, że mają się zatrzymać przy drzwiach, które widział niewyraźnie w słabym blasku gwiazd. W kilku oknach mającej w oddali rezydencji paliło się światło, ale w hangarze łodziowym było ciemno. Zakrawało to na cud, ale na razie nikt ich nie usłyszał.

To za chwilę miało się zmienić.

– Wyważcie je.

Filar spod poidelka dla ptaków stanowił świetny taran i drzwi wpadły do środka po trzecim potężnym uderzeniu. Wparowali za próg, Bell na czele. Wewnątrz było ciemniej niż na dworze i upiornie cicho, słyszeli tylko plusk wody.

– Gdzie są wszyscy?

– Znajdźcie światło.

Latarki rozbłysły i badały ciemność, dopóki nie natrafili na dużą skrzynkę elektryczną. Przeszawili łączniki nożowe i blask padł z krokwi w dół na dwa baseny portowe. W jednym stała spora dwusilnikowa motorówka do transportu alkoholu. Drugi był pusty.

Czarna łódź zniknęła.

– Dajcie tu wujka Donny'ego.

Detektywi wysłani przez Bella do wartowni otworzyli bramę i samochody wjechały na teren, oświetlając reflektorami rezydencję i pustą bocznice kolejową. Agenci prohibicyjni wkroczyli do hangaru łodziowego i rozejrzeli się dookoła wytrzeszczonymi oczami.

– Duża operacja.

– Spójrzcie na tę całą gorzałę.

– Sto procent.

Beczki stuprocentowego czystego alkoholu zbożowego dzieliły przestrzeń pod ścianą od strony lądu z kilkoma silnikami lotniczymi liberty w skrzyniach i otwartą kasą pancerną.

– Panie Bell! - zawołał jeden z detektywów. - W domu nie ma nikogo.

– Wartownia jest pusta - dodał inny.

– Jest pan, wujku Donny. - Bell wziął go na bok. - Nie ma żadnej czarnej łodzi.

– Cholera.

– Jest pan pewien, że pan widział, jak on tu wpływał?

– Tak pewien, jak tego, że znam swoje nazwisko.

– Do tego hangaru łodziowego?

– Widziałem go z daleka. Tak jak mała Robin. Jak pan mi nie wierzy, niech pan spyta ją.

– Wierzę panu. Ale czy ta łódź tutaj nie mogła pana ścigać?

Stary człowiek wykonał pogardliwy gest.

– Ta ma tylko dwa silniki. I nie jest czarna. Łódź, która mnie ścigała, była czarna, dłuższa i miała trzy silniki.

– Słyszał pan wszystkie trzy?

– Słyszałem, jak tamci rozwalają dwie śruby. Popłynęli do domu na trzeciej, a ja za nimi.

– Ale tamtej łodzi nie ma tutaj. Gdzie się podziała?

– Nie minęła tamtej stalowej liny.

Bell zapytał, czy czarna łódź mogła zatonać na torze wodnym, zanim dotarła do hangaru łodziowego.

Darbee pokręcił przecząco kudłatą głową.

– Po pierwsze, ten tor wodny nie jest głęboki. Gdyby ona zatonała, zobaczylibyśmy, że wystaje z wody. Po drugie, widziałem, jak ona tu wpływa. I widziałem, jak oni zamykają te wrota.

Bell przywołał gestem Eda Tobina.

– Przynieś swoją latarkę. - Tobin i Darbee wyszli za nim na dwór. - Poświeć na tory.

Ed skierował światło na szyny. Uklękli i przyjrzeni się im dokładnie.

– Skurczybyk - powiedział Tobin. - Prawie nie ma rdzy na wierzchu.

Bell przesunął palcami wzdłuż boku szyny. Jej stopkę i szyjkę pokrywała gruba warstwa tlenku żelaza, ale powierzchnia toczna główki była niemal gładka, oczyszczona świeżo z rdzy przez koła pociągu.

– Budowniczkowie mówili mi - odrzekł Bell - że ktokolwiek kupił łódź, zabrał ją wagonem kolejowym. Wygląda, że zrobili to znowu.

– Dokąd?

– Mieli większość dnia na przewiezienie jej gdziekolwiek. W środku jest telefon. Zadzwoń do kolei i zacznij szukać platformy. Gdzie Dashwood?

– Jestem tutaj, Isaac. Sprawdzalem rezydencję.

– Zobaczmy, co zostawili po sobie.

Weszli z powrotem do oświetlonego hangaru łodziowego.

Bell zobaczył, że krew odpływa z twarzy Dashwooda. James zbladł jak trup i jakby wstrzymał oddech.

– Wszystko w porządku, James?

Dashwood zmrużył oczy i wydawał się patrzeć wszędzie jednocześnie.

– James.

– Przepraszam, Isaac. - Kolory wróciły mu tak szybko, jak zniknęły. Ale wciąż robił wrażenie spiętego. - Na chwilę cofnąłem się do wojny. Kiedy

wyskoczyliśmy z okopów i zdobyliśmy jedno miasteczko, chciałem się wspiąć na dzwonnice kościelną albo na wieżę ratuszową, żeby zająć pozycję strzelecką. Jak Niemcy się wycofywali, zastawili pułapkę. Mój obserwator wszedł na schody i poleciał do królestwa niebieskiego.

– Co tu zobaczyłeś? - zapytał ostro Bell. - Co zdetonowałeś?

– To chyba ta pustka. Nikogo. Tak jak zastaliśmy we Francji.

Bell zauważył, że agenci prohibicyjni otaczają otwartą kasę pancerną.

– Co tam macie, panowie?

– Wszystko w porządku, panie Bell. Skonfiskujemy to. Stanie się własnością rządową.

– Jest tam coś?

Agenci zbliżyli się do sejfu i zasłonili go swoimi ciałami.

– Co tam jest? - zażądał odpowiedzi Bell.

– Tylko parę dolców. Wygląda, jakby tamci zabrali forszę i uciekli, zapominając paru dolców.

– Nie ruszajcie tych pieniędzy.

– Bez obaw, przeliczymy je i zajmiemy się nimi. Niech pan robi swoje.

– Nie ruszajcie ich! - ryknął Bell. - To pułapka.

Agenci prohibicyjni zignorowali go i chwycili gotówkę.

Isaac Bell dostrzegł na oko tysiące dolarów, nie „parę dolców”, gdy wyciągał Dashwooda i Eda Tobina z powrotem za drzwi. Z błyskiem i głuchym hukiem eksplozja nastąpiła pod beczkami z alkoholem zbożowym. Płonący płyn wystrzelił do krokwi i cały budynek stanął w ogniu w ciągu sekund.

Część 3

W ŚWIECIE GANGÓW

23.

„Czarny Ptak”, za którego sterem stał Marat Zolner, sunął po wodach jeziora Erie w absolutnych ciemnościach.

Po wymianie śrub i wałów napędowych oraz niedawnej regulacji silników łódź pokonywała dystans trzystu osiemdziesięciu pięciu kilometrów, dzielących latarnię Buffalo Main i ujście rzeki Detroit, z bezpieczną dla zaworów i minimalizującą zużycie paliwa prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Płynąc wzdłuż niewidzialnej granicy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Kanadą, Zolner trzymał się z dala od brzegów, dlatego światła Erie i Cleveland jawiły się jedynie jako ledwie widoczne, jaśniejsze aureole na południu. Zmniejszyli prędkość tylko dwa razy, z powodu większej fali, kiedy nagły szkwał smagnął ich od zachodu wiatrem i deszczem, oraz wcześniej, by zatopić ogniem z lewisa drewniany kuter celny, który co prawda nie zdołałaby doścignąć „Czarnego Ptaka”, ale mógł zameldować przez radio o jego obecności.

Zbliżywszy się do ujścia rzeki Detroit, Zolner zatrzymał łódź przy latarni Pelee Passage i zamrugał lampą sygnałową Aldisa. Od strony cypla Pelee pojawiła się szybka motorówka, prowadzona przez agenta sekcji morskiej Kominternu, dysponującego igrzyskiem szmuglerską znajomością długiego labiryntu zatoczek, wysepek i przesmyków w cieśninie. Czarna łódź wpłynęła jej śladem w cieśninę Pelee Passage, minęła latarnię Bar Point Shoal i weszła do Kanału Amherstburskiego. Kanał, przeznaczony wyłącznie do ruchu przychodzącego, wiódł ku północy, między wyspą Bois Blanc a stałym lądem Kanady. W ciemnościach wyprzedzali ogromne cienie, wystające wysoko z wody prawie dwustumetrowe rudowęgłowce, idące pod balastem.

– Cóż to za cudowne miejsce - zauważył Marat Zolner.

W światłach ulicznych lamp i buchających ogniem kominów zaznaczały się biurowce, fabryki motoryzacyjne i huty Detroit po amerykańskiej stronie rzeki.

Na kanadyjskim brzegu, oddalonym zaledwie o dziewięćdziesiąt sekund przy pełnej prędkości „Czarnego Ptaka”, znajdowały się miasta graniczne, takie jak Windsor, Riverside, Ford City, Walkerville, Sandwich, Ojibway i La Salle. Miały łącznie dziesięciokrotnie mniej mieszkańców od Detroit, ale też były jasno oświetlone, a na przylegających do rzeki terenach tłoczyły się gorzelnie, browary oraz kontrolowane przez państwo porty, w których celnicy odprawiali transporty eksportowego alkoholu. Oclone napoje wysokowe były najzupełniej legalne aż do chwili przekroczenia granicy, wytyczonej przez środek rzeki.

Pilotująca ich motorówka skręciła w kierunku Windsoru i weszła w niewidoczny przesmyk, prowadzący do murowanego hangaru, zbudowanego jeszcze przed wojną dla jachtu zamożnego przemysłowca.

„Czarny Ptak” wpłynął do środka. Obsługa hangaru zamknęła wrota. Przemysłowa łódź znalazła się w bezpiecznej przystani.

Z rozkazu Isaaca Bella dwunastu detektywów Agencji Van Dorn ruszyło tropem wagonu platformy, na którym wywieziono „Czarnego Ptaka” z posiadłości Marata Zolnera w Great River. Bell nie miał żadnych dowodów na to, że Zolner faktycznie wynajął tę posesję. Należność opłacono gotówką przez pośredników, a ci zniknęli bez śladu. Podobnie zapadli się pod ziemię agenci spedycji, którzy ustalali trasę wagonu z przewoźnikiem. Jednak jeżeli nie Zolner, to kto? Poza tym, pomijając kwestię udziału Zolnera, czarna łódź była wykorzystywana przez Komintern.

Vandornowcy zaczęli od bocznic Zolnera, będącej pozostałością pasażerskiego odgałęzienia, które kiedyś obsługiwało wyłącznie klub sportowy South Side. Dochodziło ono do Montauk Branch, odnogi głównych torów kolei Long Island Railroad. Detektywi ruszyli więc na zachód do Nowego Jorku i na wschód do Montauk Point. W obu tych kierunkach było wiele miejscowości, mających bocznicę towarową w pobliżu zatok, kanałów i portów.

Sam Bell pojechał trzy przystanki w kierunku zachodnim, na dużą stację towarową w Babylon. Na tablicy u dyspozytora zapisany był pozarozkładowy pociąg specjalny, złożony z lokomotywy, tendra, brankardu i platformy o numerze seryjnym 55461.

Bell spytał, czy mógłby porozmawiać z maszynistą tego pociągu, ale mężczyzna wyjechał na trasę. Palacz podobno miał kręcić się gdzieś w pobliżu,

ale nie było go ani w magazynie towarowym, gdzie przechowywano większe gabaryty, ani w składzie przesyłek, wypełnionym paczkami.

– Proszę spróbować w parowozowni.

Bell kluczył wokół pryzm piasku i stert tłucznia i unikając kontaktu z chwytkiem koparki, napełniającej wagony samowyladowcze, aż wreszcie trafił na poszukiwanego palacza, zajętego oliwieniem parowozu 4-6-0, i spytał go, czy nie rzuciła mu się w oczy łódź.

– Jaka łódź?

– Na platformie.

– Czyżby to miało być to? Całość owinięto szczelnie płachtami. Faktycznie, to mogła być łódź.

– Nie zdziwiło to pana?

– Woląłem o nic nie pytać. Ci ludzie wyglądali na bandę zabijaków.

– Ilu ich było?

– Zdaje się, że sześciu, może siedmiu. Zaszli się w brankardzie, zmusili hamulcowego, żeby jechał w kabinie parowozu, razem ze mną i mechanikiem.

– Dokąd ich zawieźliście?

– Aż do Jamaica.

Z głównego węzła kolejowego Long Island Railroad w należącej do nowojorskiego hrabstwa Queens dzielnicy Jamaica wagon numer 55461 został skierowany na stację towarową East New York, skąd trafił na wybrzeże do terminalu Bay Bridge, gdzie przetoczono go na prom kolejowy. Holownik należący do kolei Pennsylvania Railroad przeprowadził prom przez Upper Bay do terminalu Greenville w Jersey City i tu urywał się ślad wagonu platformy o numerze 55461.

Po złożeniu przez Bella datku na „dobrowolny fundusz” straży kolejowej jego detektywi przeczesali teren stacji, ale niczego nie znaleźli. W rejestrach Pennsylvania Railroad nie zachował się też żaden zapis wskazujący na to, że poszukiwany wagon wyruszył na południe bądź na zachód po torach należących do tego towarzystwa kolejowego.

Dając upust złości Bell wrzeszczał, że platforma wioząca dwudziestojednometrową wyścigową motorówkę nie mogła tak po prostu rozpląnąć się we mgle. Przerażony dyspozytor w końcu przyznał, że wkrótce po dotarciu wagonu do Greenville ktoś zwędził z biura szefa spedycji część

dokumentów przewozowych. Bell zapamiętał z raportu Grady'ego Forrera, że Komintern, przenikając do kolejnych krajów, zawsze zaczynał od rozmieszczenia szeregowych agentów w środowiskach kolejarzy i robotników portowych.

– A co by się stało - spytał dyspozytora z Greenville - gdyby wagon 55461 znalazł się na szlaku mimo braku dokumentów potwierdzających jego istnienie?

– Spowodowałyby to ogromne zamieszanie i bałagan.

Bell rozdzielił swoich ludzi z zadaniem sprawdzenia, czy wagon nie pojawił się na torach należących do którejś z konkurencyjnych kompanii kolejowych. Detektywi podjęli trop w pobliskim Jersey City na stacji węzłowej Weehawken. Numer 55461 został dołączony do pociągu towarowego kolei New York Central. Skład zmierzał na północ szlakiem New York Central West Shore Division, który ciągnął się na długości prawie siedmiuset kilometrów od Weehawken w New Jersey aż po Buffalo w stanie Nowy Jork.

Isaac Bell wysłał swoich detektywów śladem pociągu towarowego, ale sam, domyślając się docelowego miejsca przeznaczenia „Czarnego Ptaka”, popędził na stację końcową kolei Delaware, Lackawanna and Western Railroad w Hoboken. Tu złapał pospieszny pociąg Phoebe Snow, który powiózł go bezpośrednio do Buffalo.

Zawiadowca stacji New York Central West Shore Division w Buffalo poinformował Bella, że interesujący go pociąg towarowy został już podzielony. Część wagonów zostało rozładowanych w Buffalo, a resztę skierowano na inne trasy.

– Chodzi panu o łódź?

– Owiniętą płachtami.

– No cóż, skoro to miała być łódź, najlepiej będzie, jeśli zwróci się pan do Buffalo Creek Railroad. Oni zajmują się przetaczaniem wagonów na nadbrzeżne bocznicę.

Bell wprosił się do kabiny należącej do Buffalo Creek lokomotywy manewrowej, małego parowozu o układzie kół 0-6-0, pchającego skład pustych wagonów samowyładowniczych z powrotem na nabrzeże, gdzie obok elewatora zbożowego cumowały wielkie masowce ze Środkowego Zachodu. Po odczepieniu ostatniego pustego wagonu mała lokomotywka potoczyła się,

posapując, kilkaset metrów dalej, na koniec szlaku, i zatrzymała się obok dźwigu, stojącego nad samym brzegiem jeziora Erie.

– Tu ich zostawiliśmy.

Maszynista zapalił papierosa. Bell zszedł nad mętną wodę i zapatrzył się na zachód.

– Stąd mogli popłynąć wszędzie - powiedział maszynista.

– Na przykład do Detroit.

– Dokądkolwiek. Wielkie Jeziora są ze sobą połączone. To mogło być Detroit, ale równie dobrze Chicago, Milwaukee, a nawet Duluth - choć nie wiem, kto chciałby płynąć do Duluth - Cleveland, Toledo czy Toronto nad jeziorem Ontario.

– Na pewno Detroit - stwierdził Bell.

Na każde cztery drinki wypijane w Ameryce trzy przyrządzano z alkoholi przeschumowanych przez rzekę Detroit. Dokąd mógł udać się Marat Zolner ze swym „Czarnym Ptakiem”, jeśli nie do Detroit? Bell był przekonany, że chodziło o Detroit. Nie był jednak pewien dlaczego.

Agencja Detektywistyczna Van Dorn ugodziła Zolnera dotkliwie, zajmując jego nowojorską posiadłość na Long Island i rozlewnię na Dolnym Manhattanie. Czyżby Zolner uciekł do Detroit? A może, mimo poniesionych strat, osiągnął już to, co zamierzał w Nowym Jorku, a teraz przeniósł się do Detroit, aby poszerzyć zasięg swojego imperium?

– Szczęśliwej podróży - mruknął kanadyjski doker w ślad za długą czarną łodzią, która z hurgotem odbiła od nabrzeża z ładunkiem whisky i po chwili roztopiła się w ciemnościach. - Szczęście będzie wam potrzebne, bo Purpurowy Gang usłyszy was z daleka.

Robotnicy portowi zaczęli robić zakłady. Nowa łódź, która zabrała właśnie okrągły tysiąc skrzynek Canadian Club, była piekielnie hałaśliwa. Kto dopadnie ich pierwszy? Patrolowce Służby Celnej? A może bandyci, specjalizujący się w napadach na przemytników alkoholu? Większość stawiała na tych drugich. Niektórzy zakładali się dodatkowo, że będzie to Rzeczny Gang. Część skłaniała się ku konkurencyjnemu Purpurowemu Gangowi, nazwanemu „odrażającym” przez pewnego dziennikarza, którego głowę wkrótce potem znaleziono w wodach jeziora Erie.

Wszyscy przemytnicy whisky z choćby odrobiną oleju w głowie używali tłumików. Hałas wytwarzany przez czarną łódź zmniejszał jej szanse praktycznie do zera, w dodatku wcale nie była tak szybka, na jaką wyglądała. Ci nowicjusze zwyczajnie ją przeciążyli. Przewoźnicy whisky w drodze na przeciwny brzeg rzeki mogli liczyć jedynie na prędkość oraz to, że nie zostaną wykryci. Tymczasem czarna łódź siedziała nisko na wodzie, a pracujące z mozołem silniki nadawały jej chyżość parowca, wiozącego na wycieczkę dzieci ze szkółki niedzielnej.

Herszt Rzecznego Gangu, Pete „St. Louis” Berelli, syn sycylijskich imigrantów, dorastał w żydowskiej dzielnicy nędzy. Jako młody chłopak wstąpił do miejscowej ulicznej bandy i nigdy nie miał nic przeciwko Żydom. Aż do dziś. Podczas szmuglowania transportu whisky do Detroit jego łódź została napadnięta przez Purpurowy Gang. W starciu z przemytnikami z tak zwanej Żydowskiej Floty gangsterzy z St. Louis wypadli jak chórzyści. Nie było więc żadnego powodu, aby zatłuc pałkami wszystkich ludzi z jego łodzi i wyrzucić ich ciała do rzeki. Tym bardziej nie było powodu, aby jego samego ciągnąć za rufą na linie owiniętej wokół kostek po to, by go powoli utopić.

Był już półżywy, kiedy zmałało napięcie ciągnącej go liny. Łódź zatrzymała się. Zatrzepotał jak szalony rękami o wodę, usiłując utrzymać głowę na powierzchni, i wtedy usłyszał głośny łoskot silników płynącej w ciemnościach łodzi motorowej. Krew w jego żyłach zrobiła się zimniejsza od wody. Pete „St. Louis”, weteran pośród szmuglerów alkoholu, a zarazem okrutny tępicieł wszelkiej konkurencji, dobrze wiedział, co teraz zrobią Purpurowi. Za niecałe dwie sekundy znów miał zacząć się topić, ale już nie tak powoli jak poprzednio.

W kokpicie motorówki Purpurowego Gangu „Admirał Abe” Weintraub z Żydowskiej Floty nagle stracił zainteresowanie Berellim.

– Cicho tam! Nadstawcie uszu!

Zdawało mu się, że to, co usłyszał, brzmiało jak odgłos bardzo dużej łodzi przekradającej się pod osłoną nocy do Detroit. Znów rozległ się warkot silników pracujących pod dużym obciążeniem.

– Łapać ich! - ryknął do sternika. Rzucili się w pościg.

Płynęli potężną motorówką Gar Wood z ogromnymi doładowanymi silnikami Allison i półwypornościowym kadłubem. Mimo prowadzenia na holu

zagarniętej łodzi Rzecznego Gangu z ciągniętym za nią Sycylińczykiem jej prędkość spadła bardzo nieznacznie. O dziwo, gdy podpłynęli do przemytników na tyle blisko, by widzieć czerwonawy blask gorących wydechów, odległość między nimi przestała się zmniejszać.

– Prędeż! - wrzasnął Admirał Abe.

Sternik na co dzień trudnił się ściąganiem długów zaciągniętych u lichwiarzy i jak każdy trzeźwo myślący gangster panicznie bał się Admirała, spróbował więc wycisnąć ile się dało z silników motorówki.

Nagle czerwonawy blask, którym się kierowali, zniknął w mroku. Spowiła ich ciemna chmura gęstego, duszącego dymu. Kiedy skończyli kasłać, okazało się, że silniki ściganej łodzi zamilkły.

– Gdzie oni się podziali?

– Zastopuj motory!

Sternik szybkim ruchem cofnął przepustnicę. Dziób opadł na wodę. Motorówka wytraciła prędkość tak gwałtownie, że holowana łódź uderzyła ich w rufę z takim impetem, iż z mahoniowego poszycia posypały się drzazgi, a wszyscy ludzie, z wyjątkiem Weintrauba, zostali zwaleni z nóg.

– Zabić ich! - krzyknął Admirał Abe, wyciągając swego colta navy. Strzelał na wyczucie w miejsce, gdzie powinien znajdować się długi, czarny kadłub. Oślepił go snop światła silnego szperacza, ale zdążył jeszcze zauważyć karabin maszynowy lewisa, zamontowany na solidnej podstawie, który plunął krótkimi seriami, ścinając jego ludzi, zanim zdążyli sięgnąć po broń. Zapanował ogłuszający hałas, który zaraz raptownie umilkł.

Czarna łódź z hukiem dobiła do burty. Na motorówkę wtargnęła zgraja uzbrojonych ludzi, którzy sprawnie zgarnęli z pokładu powalonych gangsterów i wyrzucili ich do wody. Weintraub poczuł, jak wytrącony lufą karabinu pistolet wylatuje mu z dłoni. Dopadli go. Próbował walczyć, ale upadł na pokład pod gradem ciosów i został spętany w kabłąk, z przegubami wykręconych do tyłu rąk przywiązanych do kostek.

– Kim jesteście?

Wysoki, smukły osobnik z zamaskowaną twarzą machnął pałką, uderzając Weintrauba prosto w usta.

Zgasł reflektor. Admirał Abe spluwał krwią i zębami.

– Pytam, kim jesteście, bydlaki.

– Nowymi współnikami.

Weintraub wypluł kolejny ząb.

– Nie potrzebuję współników.

– Nie twoimi, tylko twojego szefa - padło pogardliwe wyjaśnienie. - Kto nim jest?

– Należymy do Purpurowego Gangu - odparł hardo Weintraub. - Zostawcie naszą wodę i zwiewajcie, póki możecie.

Przywiązali linę do powrozu krępującego jego kostki i nadgarstki, po czym wrzucili go do wody. Weintraub wstrzymał oddech, czekając, kiedy go wyciągną. Trwało to dość długo, w końcu musiał odetchnąć. Zamiast powietrza nabrał wody do płuc.

Podciągnęli linę tak, by jego głowa znalazła się nad powierzchnią. Zacerpnął gwałtownie powietrza, zaczął się krztusić, kasłać, wreszcie zwymiotował. Wtedy znów zanurzyli go pod wodę. Gdy wyciągnęli go po raz drugi, ten, który wybił mu zęby, wychylił się przez burtę motorówki i zwrócił się do niego swobodnym tonem:

– Za rufą łodzi, którą holowaliście, kołysz się na linie topielec. Wiesz może, co to za jeden?

Weintraub wołał odpowiedzieć. Makaroniarz i tak się już nie liczył, a w ten sposób mógł zyskać na czasie.

– Pete „St. Louis”.

– Do której grupy przestępczej przynależał pan Pete?

– Że co?

– Z jakiej był bandy?

– Z Rzecznego Gangu.

– Biedny pan Pete. Co za okropna śmierć. Do wody z nim!

Tym razem wyciągnęli go szybciej niż poprzednio, mimo to nie mógł złapać oddechu. Całe wieki trwało, zanim powietrze dotarło do jego płuc. Kiedy wreszcie Abe Weintraub odzyskał mowę, odezwał się w te słowa:

– Jesteśmy Purpurowym Gangiem. Do nas należy ta rzeka. Do nas należy to miasto. Czy ty w ogóle wiesz, co robisz?

– Co robię? Terroryzuję cię. A coś ty sobie myślał?

– Po co?

– Żeby cię złamać. Chcesz zdychać powoli? Może jednak będzie dla ciebie lepiej, jak przestaniesz się stawiać.

– Nikomu nie udało się złamać Abego Weintrauba. .

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz, panie Weintraub. Pomyśl o sobie. Przejdź na nadawanie i powiedz mi, kto jest twoim szefem.

– A co za różnica? I tak mnie zabijecie.

– Jest inne wyjście. Zaczynj dla mnie pracować. Wszystkie grzechy będą ci odpuszczone, kiedy zostaniesz moim człowiekiem. Co ty na to?

– Idź do diabła.

– Do wody z nim!

24.

Nad okolonym werandą, świeżo odmalowanym hotelem, stojącym przy utwardzonej szosie piętnaście kilometrów od Detroit, mienił się oślepiający elektryczny szyld z różnokolorowych żarówek, ułożonych w napis:

„Zajazd »Socjeta« Walta Teksasa”

Cały parking zastawiony był pierce-arrowsami, packardami, cadillacami, rolls-royce'ami, marmonami i minervami, więc bez większego ryzyka można było się założyć, że wewnątrz nie brakowało gwiazd filmowych. Jeśli faktycznie tam były, to nowy typ reklamy świetlnej, importowany wprost z Paryża - wypełniona jarzącym się neonem przezroczysta szklana rurka, uformowana w kształt kieliszka do martini - nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że bożyszczka tłumów popijały koktajle. Otwarte okna rozbrzmiewały muzyką. Najpopularniejsza w Detroit, dwunastoosobowa orkiestra Leroya Smitha grała właśnie wpadający w ucho broadwayowski szlagier, a śmietanka towarzyska stolicy amerykańskiej motoryzacji wyległa na werandy, tańcząc i śpiewając wraz z okrzykniętą „Słowikiem z Kansas” Amber Edwards:

Alice wciąż w niej chodziła,

Aż się całkiem znosila

Jej prześliczna błękitna sukienka.

Oliwkowozielony odkryty Cadillac sport V-8 zatrzymał się pod zadaszonym wejściem.

Walt „Teksas” Hatfield zszedł po schodkach, aby osobiście przywitać przybyłych. Wysoki gwiazdor westernów przywdział dziś turkusową koszulę z jedwabiu, aksamitną krawatkę, brokatową kamizelkę i buty ze strusiej skóry, a głowę przyozdobił charakterystycznym dla siebie stetsonem. Nisko na biodrach, w kaburach przy kowbojskim pasie, spoczywały dwa colty. Dwaj potężni portierzy stanęli po jego bokach.

– Dobra robota, Walt - pochwalił go Isaac Bell, wysiadając z samochodu w swym kostiumie przemytnika. - Interes się kręci.

– Zgodnie z twoim poleceniem. Muzyka, hazard, panienki i najlepsze napoje wysokokowe na południe od Kanady. Powiesz mi wreszcie, dlaczego kazałeś mi kierować nielegalnym lokalem z wyszynkiem?

– Nielegalnym? Przecież gliniarze kierują tu ruchem.

– A radni miejscy wnoszą w barze toasty za zdrowie burmistrza. Tam do licha, Isaac, w jakim celu Agencja Detektywistyczna Van Dorn prowadzi zajazd?

– Potrzebujemy informacji - wyjaśnił Bell. - Dobrze prosperujące lokale przyciągają gangsterów, oferujących „ochronę” za procent od zysków. Każdemu łobuzowi, który spróbuje wymusić od nas dolę, zadamy jedno pytanie.

– Jakie pytanie?

– To samo, jakie zadaje Marat Zolner: kto rządzi tym miastem. On szuka współnika do przemytu alkoholu, tak jak robił to w Nowym Jorku z Czarną Ręką.

– Detroit to co innego. Bossowie co rusz giną zastrzeleni, wylatują w powietrze albo kończą z poderżniętym gardłem. Za każdym razem, kiedy policji udaje się ustalić, kto trzęsie przestępczym podziemiem, kolejny drań wpada w zasadzkę. Mamy tu regularną wojnę alkoholową.

– Założę się, że Komintern ma odpowiednie siły i środki, by wpłynąć na przebieg tej wojny. Wygra ten, kto sprzymierzy się z Zolnerem. Kiedy dowiemy się, z kim nawiąże współpracę, sami zorganizujemy zasadzkę.

– Nie mogę się tego doczekać - powiedział Walt „Teksas”. - Tymczasem forsa płynie szerokim strumieniem. Zarabiamy dużo więcej, niż wydajemy na łapówki... Dobry wieczór, panie burmistrzu. Witam, panie sędzio. - Ukłonił się

dwóm grubasom w nowiułkach garniturach. - Dwie urocze damy prosiły mnie o przekazanie, że czekają na panów w barze.

- A może Komintern robi to samo, co my? - pomyślał głośno Bell. - To wcale nie byłoby zabawne.

- Perfidję bolszewików znamy nie od dziś - powiedział przeciągle Walt. - Ale co masz właściwie na myśli?

- Finansowanie rewolucji pieniędzmi zarobionymi na przemyśle alkoholu.

Walt Hatfield wybuchnął śmiechem.

- Osobiście mam gdzieś rewolucję. Dzięki prohibicji nabijam sobie własną kabzę.

- Oczywiście, ale ty nie jesteś bolszewikiem.

- Raczej nie. Czekaj, mamy chyba jakąś awanturę. Zaraz wracam, Isaac, muszę tylko rozwalić kilka łbów.

- Pomóc ci?

- Poradzę sobie, jest ich tylko trzech.

Wysoki Teksaszczyk wbiegł po schodkach do środka, gdzie jakiś odpicowany szmugler w szpanerskim garniturze tłukł kelnera, przytrzymywanego przez dwóch barczystych ochroniarzy. Ciężkie jak kowadła pięści Walta poszły w ruch. Po chwili Hatfield odprowadzał na parking szmuglera z rozkwaszonym nosem i jego kulejącego ochroniarza. Za nimi szedł Ed Tobin, odziany w smoking, jak przystało na kierownika sali, z nieprzytomnym drugim osiłkiem przewieszonym przez ramię.

Bell wszedł do lokalu, zadając sobie pytanie, czy pomysł z finansowaniem rewolucji zyskami z przemytu jest taki niedorzeczny. Podczas wojny armie najeźdźców swobodnie korzystały ze zdobycznych zasobów na trasie przemarszu. Grady Forrer opisywał napady komunistycznych band na carskie banki: „Łapy do góry, w imieniu rewolucji!” Z rabowania banków pochodziły też pieniądze płacone przemytnikom przez Sinn Fein za dostawy pistoletów maszynowych thompsona. Ojciec Bella, służący podczas wojny secesyjnej w wywiadzie wojsk Unii, ścigał bandy konfederackich złodziei, napadające na pociągi. Dlaczego więc rosyjski szpieg Kominternu, planujący podbicie Stanów Zjednoczonych, nie miałby zakamuflować swoich skrytobójców i sabotażystów pod postacią przestępczego syndykatu zajmującego się szmuglowaniem alkoholu?

Kontuar barowy miał dwadzieścia jeden metrów długości i prawie metr szerokości. Bell poprosił o serwetkę i szklanę lodu.

Podszedł do niego Scudder Smith z legitymacją prasową gazety „Brooklyn Eagle” wetkniętą za otok kapelusza i mocną herbatą w szklance do whisky. Ludzie zapelniający bar byli w większości zbyt pijani, aby zauważyć, że się znali, ale na wszelki wypadek lepiej było zachować pozory przypadkowego nawiązania znajomości.

– „Brooklyn Eagle”? - udał zdziwienie Bell. - Wylądował pan z dala od macierzystego terytorium.

– Redakcja zleciła mi napisanie przekrojowego artykułu o prohibicji w Detroit.

– I jak panu idzie?

– Nie znalazłem żadnych dowodów na istnienie prohibicji w tym mieście, za to usłyszałem pogłoski o istnieniu tunelu do szmuglowania gorzały pod dnem rzeki. Wie pan coś o tym?

– Pierwsze słyszę.

– Z pozoru to pic na wodę, ale podobno wykopał go gang złożony z Polaków i tu cała historia nabiera sensu. Wielu z nich emigruje ze Śląska, gdzie wydobywa się węgiel, więc na pewno są niezli w kopaniu.

Bell ściszył głos.

– Scudder, znajdź mi tę przeklętą czarną łódź. Udawaj, że piszesz artykuł o szybkich motorówkach. Detroit słynie ze ślizgaczy. Jest pewien gość, nazywa się Gar Wood, który buduje najszybsze.

Dołączył do nich Walt.

– Ale heca! Nie miałem takiej zabawy od czasu, gdy uganiałem się za Pancho Villą. To już czwarta szarpanina tego wieczoru, a jeszcze nie jest całkiem ciemno. Wczoraj było tak samo.

Barman podał mu zmoczoną chusteczkę, aby wytarł zakrwawione kłykcie.

– Kiedy uganiałeś się za Pancho Villą? - spytał Scudder.

– Wtedy, gdy Isaac skakał w krótkich spodenkach po ringu w Yale. Dokąd się wybierasz, Isaac?

– Pogadać z twoimi sparingpartnerami.

Znalazł całą trójkę na parkingu. Siedzieli na ziemi oparci o karoserię marmona pod czujnym okiem jednego z detektywów Van Dorna. Znokautowany ochroniarz nadal był nieprzytomny. Bell postawił szmuglera na równe nogi, odciągnął go w ustronne miejsce, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać, po czym wręczył mu szklankę z lodem i serwetkę. Przemysłnik otarł krew z twarzy i przyłożył lód do nosa.

- Dzięki, koleś.
- Odpowiesz mi na kilka pytań?
- Jesteś gliną, czy co?

Rozjarzony szyld zajazdu sprawiał, że na parkingu było widno jak w dzień. Isaac Bell wskazał gestem dłoni na swój drogi garnitur, buty robione na obstalunek i kapelusz borsalino z króliczego filcu. Potem podciągnął rękaw, prezentując złote spinki i także zegarek.

- A wyglądam na glinę?
- Kolegujesz się z tym cholernym kowbojem, który przestawił mi nos?
- Dopiero co przyjechałem do miasta. Próbuję rozeznaczyć się w sytuacji, ale wszędzie dochodzą mnie tylko jakieś dziwne plotki.

- Na przykład jakie?
- Choćby o kasynie na wielkim statku, na samym środku jeziora Erie.
- Ach tak?
- Wiesz coś o tym?

Szmugler wzruszył ramionami.

- Podobno mają bar zakonspirowany na sterowcu.
- Takim jak te, z których Niemcy bombardowali Londyn? - upewnił się Bell.

Też o tym słyszał. Była to jedna z najbardziej zwariowanych pogłosek, krążących po Detroit. Nikt nie zastanowił się, jak to możliwe, że ogromny statek powietrzny pozostawał zupełnie niewidoczny za dnia, ani w jaki sposób wprowadzano klientów do bujającego w obłokach kasyna.

- Jak można się dostać na górę?
- Pewnie potrafią wylądować na nim samolotem.
- Wolę pozostać przy bardziej przyziemnych lokalach, takich jak zajazdy. A tak przy okazji, jak ci na imię? Ja jestem Joe.

Szmugler popatrzył na niego przeciągle, ale w końcu postanowił nie ryzykować.

– Ja też jestem Joe. Cieszę się, że cię poznałem, Joe.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Słyszałem też o bandytach napadających na przewoźników alkoholu, pływających czarną łodzią.

– Na rzece jest mnóstwo czarnych łodzi.

– Ale ta uzbrojona jest w lewisa.

Joe pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Trudno pomylić lewisa z czymkolwiek innym.

– Podobno pod dnem rzeki jest jakiś tunel.

– Owszem. Jest tunel kolejowy.

– Można nim przewozić whisky?

– Jasne. Trzeba tylko dać w łapę hamulcowemu i można załadować kilka skrzynek na wagon towarowy.

– Nic ci nie wiadomo o tunelu służącym wyłącznie do przemytu wody?

Joe popatrzył Isaacowi w oczy.

– Taki tunel byłby idealny do przerzucania gorzały. Wiedziałbym o nim tylko wówczas, gdyby to był mój tunel, więc możesz być cholernie pewny, że nikomu nie pisałybym o nim ani słowa.

Isaac Bell wrócił do baru. Waśnie doszło tam do kolejnej bijatyki. Bell odniósł wrażenie, że awantura została wywołana celowo, aby wystraszyć co lepszych klientów i skłonić właścicieli lokalu do płacenia za ochronę.

– Tam do licha! - burknął Walt „Teksas”. - Znowu to samo.

Hatfield wkroczył do akcji. Dołączył do niego Ed Tobin, zamieniwszy srebrną tacę do drinków na metalową pałkę. Kiedy dwaj uczestnicy markowanej bójki padli na podłogę, opryszek kierujący przedstawieniem wyciągnął spluwę.

Bell i Scudder ruszyli na pomoc, ale nie było takiej potrzeby. W dłoni Hatfielda błysnął jego nóż do skalpowania i pistolet wyfrunął z ręki gangstera, przeciętej aż do kości. Ochroniarze Van Dorna pracujący jako kelnerzy owinęli ranę serwetkami i wyprowadzili bandytę przez drzwi do kuchni. Jakaś kobieta

podeszła do Walta po autograf, a gwiazdor filmowy łaskawie spełnił jej życzenie.

– Dopisało nam szczęście! - Wyszczерzył zęby w uśmiechu, wracając do kontuaru. - Tym razem zwabiliśmy szachraja wyższego sortu. Chciał mi sprzedać ochronę ubezpieczeniową. To o szczebelek wyżej od zwykłej, standardowej ochrony.

– Zaraz sprawdzę, czy po tym, jak go potraktowałeś, zrobił się rozmowny.

Pilnowany przez wielkiego draba ze Służby Ochrony bandyta siedział sztywno na beczulce piwa przy kuchennym wejściu i ścisnął zranioną rękę, owiniętą dla dezynfekcji serwetkami, nasączonymi obficie whisky przez vandornowców. Twarz miał bladą jak papier, ale zachowywał władcą minę przywódcy zbirów ściągających haracze.

Bell przysunął sobie drugą beczulkę.

– Bardzo boli?

– A jak myślisz?

– Myślę, że popełniłeś błąd, grożąc spluwą temu facetowi.

– Co ty powiesz? A skąd miałem wiedzieć, że gwiazdorzycy filmowi są tak sprawnymi nożownikami? Zawsze uważałem ich za maminsynków. Nie zauważyłem nawet, jak mnie podszedł.

– W Hollywood uczą aktorów różnych sposobów walki - wyjaśnił Bell z kamienną twarzą - w zależności od rodzaju filmów, w jakich grają.

Podał rannemu swoją piersiówkę. Bandyta pociągnął większy łyk.

– Dla kogo pracujesz?

– A co ty, glina?

Bell zabrał mu flaszkę.

– A wyglądam na glinę?

– To kim jesteś, skoro nie gliną?

– Jestem Gus. - Bell podał imię używane zwykle przez knajpianych wykidajłów. - A ty?

– Ja też jestem Gus - odparł gangster. - Tylko że przypadkowo to moje prawdziwe imię. Kim ty jesteś, ale bez ścierny?

– Jestem człowiekiem, który nie będzie płacił haraczu, ale chętnie zapłaci za informacje.

– Skąd pochodzisz?

– Z Chicago - powiedział Bell, bo dobrze znał to miasto z czasów praktyki u Van Dorna.

– A konkretnie?

– Dorastałem na West Side.

– Znasz braci Spillane?

– Sprawilem, że wypadli z branży.

To akurat była prawda. Przez niego trafili do zakładu karnego w Joliet, ale gangster zinterpretował to inaczej, obrzucając spojrzeniem pełnym szacunku jego kosztowne ciuchy.

– Co robisz w Detroit?

Bell nie wdał się w rozmowę o plotkach na temat czarnej łodzi, od razu przeszedł do sedna sprawy.

– Szukam dojścia.

– Do kogo?

– Do potencjalnych wspólników.

Gangster wyraźnie się ożywił.

– Myślałem, że Walt „Teksas” sam prowadzi ten lokal.

– Potrzebujemy ludzi, którzy potrafią robić interesy. Prawdę mówiąc, nie wyglądasz na kogoś takiego, ale może miałeś gorszy dzień.

– Mówisz o współpracy? Przecież właśnie to zaproponowałem temu cholernemu gwiazdorowi.

– Zaoferowałem mu ochronę ubezpieczeniową.

– Każdy głupi wie, że to oznacza współpracę. W Detroit nie da się prowadzić interesu bez ochrony.

– On raczej nie potrzebuje ochrony.

– Więc o jakiej współpracy mówisz?

– Szukamy wspólników, którzy zapewnią nam regularne dostawy napojów wysokokowych. Czy twoi szefowie nie trudnią się przypadkiem przewozem alkoholu?

– Dlaczego uważasz, że mam nad sobą jakiegoś szefa?

– Szefowie nie awanturują się w barach, wymachując bronią.

– W Detroit to normalne.

Bell popatrzył na niego z namysłem.

– Poważnie?

Bandyta zerwał się na równe nogi.

– Poważnie to powiem ci jedno: idź do diabła!

Isaac Bell wyciągnął browninga i wycelował w zdrową rękę gangstera.

– Mam ci przestrzelić drugie łapsko? Siadaj!

Skołowany przestępca przytrzymał przesiąknięte krwią serwetki, usiadł i ułożył zranioną rękę na kolanach.

– Co tu jest grane? - jęknął bezradnie. - Skąd się biorą ci wszyscy ludzie, tacy jak ty?

– Chwileczkę, o czym ty mówisz? Jacy ludzie?

– W Detroit zawsze toczyliśmy lokalne wojny. Ale teraz skądś się najechało pełno obcych, którzy psują nam interesy. Napadają na przewoźników.

– Czy używają łodzi?

– Na rzece łatwo teraz stracić życie.

– Widziałeś może czarną łódź z opancerzonymi burtami i karabinem maszynowym?

– Nie.

– A miałeś kiedykolwiek styczność z Żydowską Flotą?

– Tylko raz.

– I jak było?

– Nie chciałbym, aby mi się ponownie to przytrafiło.

– Zdaje się, że ktoś was wypiera z branży - stwierdził Bell.

– Czekam na zimę. Będzie można jeździć po lodzie.

– Na razie mamy lato. Z czego teraz żyjecie?

– Z porwań dla okupu.

– Kogo porywacie?

– Tych, którzy nie mogą poskarżyć się glinom.

Isaac Bell wykazał się znajomością kidnaperskiego procederu, czyniąc trafną uwagę:

– Takich ludzi nie ma zbyt wielu.

– Jasne. Trzeba ostrożnie wybierać ofiarę. Lepiej nie zasadzać się na koleś z Żydowskiej Floty. Najlepsi są bukmacherzy, przemytnicy whisky i panienki. Dalej idą bandyci kradnący pieniądze przeznaczone na wypłaty, lichwiarze i złodzieje samochodów, o ile nie należą do Purpurowego Gangu. Purpurowi będą cię ścigać aż do granicy z Meksykiem.

Jeśli Marat Zolner zamierzał wejść w konflikt ze światem przestępczym w Detroit, to boss rosnącego w siłę Purpurowego Gangu musiał zajmować wysoką pozycję na jego liście. Problem polegał na tym, że nie wiadomo było, kto nim jest. Zgodnie z tym, co powiedział Walt, szefowie miejscowych gangów ginęli jeden po drugim, zabijani przez walczące ze sobą bandy i nawet policjanci nie zawsze wiedzieli, kim jest ten najważniejszy.

- Kto jest szefem Purpurowego Gangu?
- Zadajesz za dużo pytań.
- Jestem ciekawski - odparł Bell. - Nazwisko!
- Nic z tego.
- Czyżbyś miał ochotę na przejażdżkę?
- Dokąd?

Gus podążył wzrokiem za spojrzeniem Bella, który wpatrywał się w zaparkowanego na parkingu czarnego stutza, i nagle doszło do niego, o co chodzi. Przy samochodzie stali najwięksi twardziele z sekcji do spraw przestępczości zorganizowanej Harry'ego Warrena. Smutek malujący się na twarzach detektywów z powodu śmierci ich szefa upodabniał ich do posępnych gangsterów, gotowych zabić bez wahania. Ranny bandyta pokręcił głową.

- Ale ja nie...
- Nazwisko!
- Jeśli powiem, mogę stracić życie.
- Jeśli nie powiesz, stracisz je na pewno. Nazwisko!

Gus rozejrzał się bezradnie, schował głowę w ramionach i wyszeptał:

- Stern.
- Imię?
- Max.
- Gdzie go znajdę?
- Jestem za krótki, aby wiedzieć takie rzeczy.

- A jak ci się wydaje, gdzie go można spotkać?
- Tacy jak on nie pętają się po mieście. To zbyt niebezpieczne.

Bell wierzył mu. Przynajmniej dowiedział się, jak nazywa się człowiek, do którego może zgłosić się Zolner. Zmienił taktykę.

- Wszyscy opowiadają jakieś niestworzone rzeczy o czarnej łodzi.
- Łodzi to przeżytek.
- Co masz na myśli?
- Wkrótce także szmuglowanie wody samochodami po łodzi wyjdzie z mody.
- O czym ty mówisz? - spytał Bell.
- Tak będzie, kiedy uruchomią tunel.
- Jaki tunel?

Gangster zawahał się. Być może zastanawiał się nad prawdopodobieństwem tej informacji albo nad tym, czy w ogóle powinien o tym wspominać. W końcu powiedział:

- To może być tylko głupie gadanie, tak jak o tym sterowcu. Albo o pływającym kasynie.
- Co z tym tunelem?
- Podobno już kończą go kopać. Tak słyszałem.
- Gdzie on jest?

Gus powtórzył niemal słowo w słowo to, co „Joe” powiedział Bellowi na parkingu.

- Wiedziałbym to tylko wówczas, gdyby to był mój tunel, a nie jest. Gdyby był mój, to nie musiałbym robić tej szopki z wymuszaniem haraczu w waszym zajeździe. A gdyby nie był mój, a ja wiedziałbym, gdzie jest, to już bym nie żył.
- Dlaczego?
- Nie da się przenieść tunelu z miejsca na miejsce. Są tylko dwie metody, aby utrzymać go w tajemnicy: płacić za milczenie albo pozabijać wszystkich, którzy o nim wiedzą.
- Gdyby było tak, jak mówisz, to w rzece pływałyby pełno trupów robotników pracujących przy budowie tunelu - powiedział Bell.

– No i pływa w niej pełno trupów. Wszyscy uważają, że to przemytnicy alkoholu, zabici przez konkurencję. A może to są goście od kopania tunelu - odrzekł gangster i zamilkł, zgarbiwszy się nad obolałą ręką.

Czując, że nic więcej z niego nie wyciągnie, Bell wyszedł z kuchni na zewnątrz i wąskim chodnikiem poszedł do frontowego wejścia. Był zawiedziony. Ta cała historia z tunelem była interesująca, ale nie przybliżyła go ani o krok do Marata Zolnera i Kominternu.

Zrobiło się późno. Samochody odjeżdżały spod lokalu. Na drodze widać było długi sznur czerwonych tylnych świateł aut, wracających do Detroit. Policjanci kierujący ruchem skończyli już robotę. Podchodząc do schodków przy wejściu, Bell kiwnął głową Dashwoodowi, który z końca werandy pilnie obserwował to, co dzieje się przed budynkiem. Ostatni goście z ociąganiem opuszczali lokal, panowie popijali z piersiówek, żegnając się wylewnie z dziewczynami.

Nagle Bell zauważył na drodze reflektory auta, jadącego pod prąd strumienia odjeżdżających samochodów. Siedmiomiejscowy packard minął parking, po czym, zamiast zajechać pod wejście, skręcił gwałtownie i stanął zwrócony przodem do drogi. Z auta wyskoczył człowiek z podobnym do tłuczka granatem w rękę, wyrwał linkę uruchamiającą zapalnik i wziął zamach jak miotacz, szykujący się do posłania szybkiej piłki.

Isaac Bell rzucił się pędem do wejścia.

Cięnięty płaskim torem granat śmignął pod zadaszeniem i poleciał prosto na werandę, gdzie panowie żegnali się czule z paniami, życząc sobie wzajemnie dobrej nocy. Jakaś mocno zawiana panienska potknęła się na stopniu. James Dashwood skoczył jej na ratunek, dzięki czemu zamiast zlecieć ze schodów, wpadła mu prosto w ramiona.

25.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Po jej twarzy, opromienionej blaskiem świetlistego szyldu zajazdu, niczym nietoperz przemknął cień granatu. Dashwood zauważył go, ale nic już nie mógł zrobić. W szalonym slalomie pomiędzy rozbawionymi gośćmi nadciągał Isaac Bell. W pełnym biegu wyrzucił przed siebie długie ramię z rozwartą szeroko dłonią. Był tak blisko, że zdołał

jeszcze w locie zidentyfikować granat jako nowszy model 24 niemieckiego *Stielhandgranate*, wypełniony blisko kilogramem trotylu, którego eksplozja mogła zabić wszystkich w promieniu pięciu metrów.

Granat wylądował mu w dłoni z plaśnięciem, jak piłka do bejsbola.

Model 24 charakteryzował się pięciosekundową zwłoką. Bellowi pozostały już tylko dwie sekundy na odrzucenie go najdalej jak to możliwe, ale palec zaczepił mu się o hak do mocowania granatu na pasie. Chwycił więc drewnianą rękojeść drugą ręką, oswobodził palec i z całej siły posłał granat w kierunku, z którego nadleciał.

Packard ruszył gwałtownie, aż się zakurzyło. Bandyta gapił się zahipnotyzowany na rzucony przez siebie granat, który teraz wracał do niego jak bumerang.

Bell i Dashwood rozwarli szeroko ramiona, zgarniając jak najwięcej osób ze schodków i z podłogi werandy. Granat eksplodował. Nagły błysk rzucił cienie na przednią ścianę zajazdu, a podmuch cisnął Bella i Dashwooda na ludzi. Ogluszający wybuch strzaskał wszystkie szyby we frontowych oknach i połowę żarówek, tworzących świetlny napis nad budynkiem.

W blasku pozostałych widać było chmurę pyłu wiszącą nad drogą. Nie było śladu po gangsterze, który rzucił granat. Mimo intensywnego dzwonienia w uszach Bell słyszał wokół okrzyki przerażenia, przez które nagle przebił się ryk potężnego silnika.

Packard zawrócił i teraz pędził w kierunku zajazdu z oknami najeżonymi lufami karabinów i pistoletów. Dashwood i Bell zerwali się na nogi i chwiejąc się nieco, wyszli na drogę.

Na widok dwóch ludzi wyłaniających się z chmury pyłu uniesionego wybuchem granatu kierowca packarda wcisnął gaz do dechy. Siedzący obok niego szef oddziału gangsterów imieniem Tony zaczął strzelać. To samo uczynili jego podwładni z tylnego siedzenia, naciskając na spusty najszybciej, jak potrafili.

Dwaj mężczyźni stanęli ramię w ramię na środku drogi, unieśli pistolety i odpowiedzieli ogniem. Jedna z kul roztrzaskała przednią szybę i zerwała kapelusz z głowy kierowcy. Inna rozbiła reflektor.

– Walcie w tego większego! - krzyknął Tony. Przenieśli ogień na nowy cel i już po chwili celny strzał, oddany z rozhuśtanego samochodu, zdmuchnął wyższego mężczyznę ze środka drogi. Niższy, chudy jak strach na wróble, stanął w świetle reflektora i wycelował pistolet niczym zawodnik na strzelnicy.

– Przejedź go!

Pistolet chudzielca błysnął ogniem. Lewa przednia opona pękła z hukiem, a kierownica szarpnęła się dziko w dłoniach szofera. Strach na wróble wypalił ponownie. Kula rozerwała prawą przednią oponę. Ciężkie auto zakołysało się i sunęło na dymiących obręczach prosto na Strzelca.

James Dashwood uskoczył w bok jak matador, schodząc z drogi pędzącego packarda. Odwrócił się i dwoma strzałami rozwalil obie tylne opony. Samochód wpadł w poślizg i z głośnym hukiem uderzył w drzewo. Trzej pasażerowie wypadli na chodnik. Szofer pozostał w aucie, nabity na kolumnę kierownicy. Gangsterów otoczyli vandornowcy wybiegający z zajazdu. Dashwood rzucił się do miejsca, w którym upadł Isaac Bell.

– Isaac!

– Nic mi nie jest.

– Ale wyglądasz kiepsko - powiedział Dashwood, ocierając chusteczką czoło Bella. - Jesteś cały we krwi.

– To tylko draśnięcie.

– Cały i zdrowy - stwierdził z ulgą Walt Hatfield, który właśnie przydrałował ze strzelbą w dłoniach. - Tylko trochę krwawi. Nic ci się nie stało, prawda, staruszk? - spytał, podając Bellowi bandanę.

Niepewność w głosie Tekszańczyka wystraszyła Dashwooda bardziej niż krew.

– Gdzie oni są? - spytał Bell. W uszach dzwoniło mu jeszcze bardziej, a w głowie miał kołowrót. Dostrzegł wreszcie rozbitego packarda pod drzewem i rozciągniętych obok zakrwawionych gangsterów. - Czy ktoś jeszcze został ranny?

– Ludzie na ganku głównie najedli się strachu.

Gdzieś w oddali zawyła policyjna syrena.

Bell poderwał się i stanął, chwiejąc się na nogach. Złapał Dashwooda za kościste ramię i wskazał na bandytów.

– Oddajcie tych wszarzy glinom, z wyjątkiem szefa. Jego sprowadźcie do piwnicy. Piorunem! Będą tu lada moment.

– Usiłowanie zabójstwa - powiedział Isaac Bell. - Z takim zarzutem nawet tu, w Detroit, wylądujesz za kratkami.

– Nie na długo - odparł gangster przykuty do piwnicznego słupa. Mężczyzna też miał rozciętą głowę i całe ubranie uwalane krwią. Bell miał nadzieję, że bandytę dręczy ból jeszcze dotkliwszy od tego, który rozsadzał jego czaszkę. Lekarzowi wezwanemu przez Walta „Teksasa” do zszycia mu skóry na głowie kazał czekać na górze do czasu, aż wyciągnie z gangstera wszystko, co się da. Whisky, którą polał sobie ranę, aby powstrzymać krwawienie, sprawiła, że cierpiał teraz dużo bardziej niż w chwili, gdy kula przeorała mu włosy. Z bólu mącił mu się wzrok, a żądza zemsty, pobrzmiwająca w jego głosie, nie była wcale udawana.

– Na długo. Na bardzo długo - syknął z zaciśniętymi zębami. - Wydam cię szeryfowi federalnemu. Zostaniesz oskarżony o zbrodnię przeciwko państwu.

– Nie popełniłem przestępstwa federalnego.

– A słyszałeś może o ustawie o szpiegostwie? Pasuje, jak ulał. Rzucaniem bomb zajmują się radykałowie, obcokrajowcy, komuniści i bolszewicy. Kiedy dobierze się do ciebie prokurator generalny, dostaniesz dożywocie.

– Nie wrobią mnie w to.

– Trzydziestu świadków widziało, jak twoja banda rzuciła granat i użyła broni palnej wobec tłumu bezbronnych obywateli.

– Nikt nie odważy się zeznawać. Za parę dni wyjdę na wolność.

– Ja się odważę - powiedział Walt „Teksas”.

– Ja też - dołączył do niego Ed Tobin.

– I ja - zgłosił się Dashwood.

– Także ja zdobędę się na odwagę - stwierdził Bell. - To masz już czterech świadków.

– Słuchaj, koleś - powiedział Walt „Teksas”, zbliżywszy swe palające wściekłością oblicze na centymetry od twarzy gangstera. - Stoisz jedną nogą w więzieniu federalnym, a drugą na kruchym lodzie. Najwyższy czas, żebyś zaczął mówić.

Bandyta przyłożył wolną rękę do zakrwawionej głowy.

– Co chcecie wiedzieć?

Bell przyjrzał mu się uważnie. Opryszek zapewne spodziewał się pytania, kto kazał mu zaatakować zajazd granatem. Kierując się strachem przed zemstą i przestępczym honorem, nie wydałby nikogo.

– Jak się nazywasz?

– Tony.

– Jaki Tony?

– Tony „Big” Sana.

– Skąd miałeś granat?

– Z demobilu wojskowego. Mają tego pełno.

– To był niemiecki granat trzonkowy. Jak trafił w twoje łapska granat używany przez wrogą armię?

Bell sądził, że najbardziej prawdopodobnym źródłem był Komintern. Przypuszczalnie taki sam granat o dużej sile rażenia spowodował znaczne zniszczenia w terenowym biurze agencji. Miejscowe gangi nie doszły jeszcze do tego, że zajazd Walta „Teksasa” to maskarada urządzona przez detektywów Van Dorna, ale mógł o tym wiedzieć Komintern.

Gangster wzruszył ramionami.

– Ja nic nie wiem. Jeden z chłopaków przyniósł skądś całą skrzynkę.

Bell zamyślił się. Tony Sana robił wrażenie autentycznie zdziwionego, że mogąc pytać go o cokolwiek, ochroniarze z zajazdu interesują się pochodzeniem granatu. Czyżby Marat Zolner zatrudnił jego bandę do zaatakowania lokalu? Czy to z nim właśnie sprzymierzył się, tak jak z Czarną Ręką w Nowym Jorku? Nie. Tony to płotka. Zolner co najwyżej wysługiwał się nim i jego chłopcami, tak jak wcześniej Goferami.

– Od kogo dostałeś granat?

– Chyba jakiś żołnierz przywiózł je sobie z wojny na pamiątkę.

– Który z twoich ludzi dostał od niego granat?

– Zdaje się, że Little Angelo.

– Z Angelo pogadamy innym razem. A teraz z innej beczki. Co to za tunel do transportu gorzały pod dnem rzeki?

– Nic nie wiem o żadnym tunelu.

– Słyszałem, że łodzie to przeżytek - powiedział Bell. - Podobnie jak wożenie wody zimą samochodami po lodzie skuwającym rzekę.

– Ludzie mają różne pomysły na prowadzenie interesu.

– Na przykład liny w poprzek rzeki?

Tony wyraźnie ucieszył się, że rozmowa schodzi na tematy niezwiązane z jego działalnością.

– To te durne Polaczki. Używają długiej liny i kołowrotu. Zatapiają metalowe beczki z wodą w rzece i przeciągają je po dnie.

– Skąd?

– Z jakiejś wyspy.

– A dokąd?

– Do Poletown.

– Kto się tym zajmuje?

– Już mówiłem, Polaczki z Poletown.

– Polacy z Poletown?

– Tak. Chociaż kolesie z gangu Jaworskiego mówią, że to nie oni. Załgane kundle. Przecież ci goście gadali po polacku.

– Po polsku? Kto mówił po polsku? Ci od obsługi liny?

– No tak. Tak słyszałem.

– Na pewno po polsku? A może po rosyjsku?

– Przecież to jest to samo, co nie?

Bell wymienił spojrzenia z Tobinem i Dashwoodem. Nagle stwierdził, że widzi dwóch Dashwoodów i dwóch Tobinów. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to z powodu kuli, która uszkodziła mu czaszkę. Zamrugał gwałtownie, ale wciąż widział detektywów podwójnie. Wobec tego zwrócił się do obydwu Tonych.

– Słuchaj, Tony, mówisz, że nie masz szefa. Ale gdybyś miał, to kto mógłby nim być?

Tony „Big” Sana był wyraźnie zaintrygowany tak postawionym pytaniem.

– Szefowie przychodzą i odchodzą.

– Załóżmy, że masz szefa. Czy mógłby to być Max Stern?

Tony zareagował zaskoczeniem.

- Kto ci to powiedział?
- Tak słyszałem. A więc mógłby to być Max Stern?
- Mógłby.
- Gdzie go znajdę?
- Skąd mam wiedzieć? Przecież mówię, że Max Stern nie jest moim szefem.

– Admirale Abe - powiedział Marat Zolner. - Czy nie jest pan zadowolony, że posłuchał pan głosu rozsądku?

Siedzieli przy stole, racząc się animelką, czyli grasicą cielęcą, najdroższym daniem w menu restauracji w holu nowego wytwornego hotelu Wolverine w Detroit. Przy okazji był to posiłek, z którym Weintraub mógł sobie poradzić bez problemów, mimo znacznych braków w uzębieniu.

Abe Weintraub rzucił przez stół mordercze spojrzenie. Jego twarz przypominała księżyc z małym nosem, takimi samymi uszami i ustami. Wyglądałby całkiem niewinnie, pomyślał Zolner, nawet sympatycznie, gdyby nie te zimne, czarne oczy.

– Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego. Nie dam się wodzić na pasku.

– O tym zdołałem się już przekonać - przyznał Zolner, który naoglądał się dość tortur stosowanych przez Czeka, aby nabrać pewnej dozy szacunku dla Weintrauba. Jego nawracanie trwało tak długo, że chyba tylko cudem go nie utopili. Ale Weintraub wart był zachodu. Z zadziwiającym sprytem, niewyobrażalną brutalnością i niezmożoną determinacją dowodził Żydowską Flotą Purpurowego Gangu. Znał wszystkich przestępców w Detroit, wiedział, który ile jest wart, potrafił dostrzec mocne i słabe punkty każdego z nich. Byłby idealnym dowódcą oddziału szturmowego podczas każdej rewolucji.

– Co dalej? - spytał Weintraub, wycierając talerz do czysta kawałkiem chleba.

– Teraz powiesz mi, kogo trzeba będzie zabić.

– O czym ty mówisz?

– Powiesz mi, których gangsterów trzeba usunąć z drogi, poczynając od samej góry.

– Mam ci powiedzieć, czy ich sprzątnąć?

Przypominało to ustalanie warunków współpracy między wilkiem a rekinem, albo rosomakiem, od którego wzięła się nazwa hotelu. Weintraub znał się na stosowaniu przemocy, właściwie na niczym więcej, ale na tym znał się doskonale. Zolner wykorzystywał podobnych do niego gangsterów w Nowym Jorku do kontrolowania dostaw i wymuszania haraczy, jednak żaden z nich nie odznaczał się tak niepohamowaną agresją.

– Pomożesz mi ich zlokalizować - powiedział Zolner. - Powęszymy trochę, aby znaleźć luki w ich ochronie, a potem ich zabijemy.

– Dlaczego miałbym ci w tym pomóc?

– Bo pozwolę ci przejąć ich interesy.

Weintraub popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Słyszałem już wiele bzdur, ale ta przebija wszystko.

– Daję ci na tacy całe Detroit - powiedział z naciskiem Marat Zolner.

– Kiedy zrobię tu porządek, miasto i tak będzie moje. Nie jesteś mi do niczego potrzebny.

– Zamierzasz czekać pięć lat, licząc na to, że twoi wrogowie powykańczą się nawzajem? Wiedząc, że ten, który przeżyje, zawsze wychodzi z tego silniejszy? Czy może wolisz dostać wszystko od razu?

– Wolę od razu.

– A więc, poczynając od samej góry, kto powinien zostać usunięty w pierwszej kolejności?

– Max Stern.

– Doprawdy? - spytał chłodno bolszewik.

– Max Stern - powtórzył Weintraub.

Agenci, których Zolner wysłał przodem, aby zorientować się w sytuacji panującej w Detroit i Windsor, przewidzieli, że głównym bossem zostanie Żyd. Włosi zdziesiątkowali się nawzajem w morderczej wojnie mafijnej między organizacją Giovanniego Vitalego i braci Giannola. Najbardziej prawdopodobnym kandydatem na to miejsce był Max Stern, pracujący jako zabójca na usługach Purpurowego Gangu.

– Obiło mi się o uszy - stwierdził Zolner.

– Teraz słyszysz to ode mnie.

– Kłopot w tym, że Max Stern podobno przepadł jak kamień w wodę.

Gangster zniknął tego samego dnia, kiedy „Czarny Ptak” wpłynął do hangaru w Windsor.

– No cóż, szefowie wolą siedzieć w ukryciu. Dbają o swoje zdrowie.

Rysy twarzy Zolnera stwardniały.

– Max Stern spłonął w palenisku browaru w Windsor.

– Co ty powiesz?

– Dam ci jeszcze jedną szansę, kłamliwy sukinsynu.

Abe Weintraub nie zareagował na obelgę.

– Dobra, tylko sprawdzałem, z kim rozmawiam. Nie wiem, skąd to wszystko wiesz, ale jesteś wiarygodny.

– Ostatnia szansa, Abe. Kto powinien zginąć jako pierwszy?

– Sam Rosenthal.

Zolner wyprostował się na krześle. Nareszcie.

– Tak myślałem, że to powinien być on.

– Możesz sobie myśleć, aż ci łeb spuchnie - zakpił Weintraub. - Rosenthal jest nie do ruszenia.

– Czy to aby nie on drąży tunel pod dnem rzeki?

Weintraub zignorował to pytanie - co jedynie upewniło Zolnera, że małomówny gangster znał odpowiedź - i oznajmił:

– Nie sposób zbliżyć się do niego na odległość strzału. Od roku nikt go nie widział poza domem.

Zolner słyszał nie raz, że więcej kanadyjskiej gorzały poróżuje pod powierzchnią rzeki niż ponad nią. Część szmuglowano w wagonach towarowych. Podobno jakiś polski gang przerzucał szczelne pojemniki z alkoholem po dnie rzeki za pomocą liny i wyciągarki, co musiało być zajęciem żmudnym i kłopotliwym. Jednak najnowsza plotka o tunelu, który mógł przynieść Kominternowi fortunę, brzmiała wyjątkowo obiecująco. Dzięki tunelowi Detroit stanęłoby otworem, pełniąc rolę największego punktu przerzutowego dla operacji zapoczątkowanej w Nowym Jorku.

– Czy to Sam Rosenthal kopie tunel pod dnem rzeki?

– Od kiedy o tym wiesz?

Zolner położył obie dłonie na obrusie i pochylił się do przodu.

– Abe, już za późno na to, abyś się wycofał.

– Idź do diabła.

– Naprawdę chcesz ponownie zażyć kąpieli w zimnej wodzie?

Weintraub zaczął wstawać od stołu.

– Abe, rozejrzyj się po holu.

Gangster spiorunował go wzrokiem.

– Też mam tu swoich ludzi.

– Przypatrz się jeszcze raz, Abe. Widzisz tego komiwożacza z wielką walizką na próbki towaru? Albo tego długowłosego skrzyпка? Moi chłopcy są bystrzejsi i bardziej zdecydowani, a dzięki thompsonom mają nad twoimi zdecydowaną przewagę. A tak na marginesie, naprawdę chcesz doprowadzić do strzelaniny? Lepiej zgódź się wziąć ode mnie to całe Detroit. Wiesz, gdzie Rosenthal kopie ten tunel?

– Nie.

– A ja słyszałem, że na jednej z kanadyjskich wysp - powiedział Zolner. - To nawet całkiem sprytnie, zamiast półtora kilometra, tunel może mieć niecały kilometr, a i miejsce prowadzenia robót jakby bardziej przyjazne.

– Czyżby?

– Dowiedz się, która to wyspa.

– Coś ci powiem. Kiedy tunel będzie gotowy, twoja czarna łódź wypadnie z biznesu.

„Czarny Ptak” wkrótce i tak miał odlecieć na zimę na południe, co prawda nie o własnych siłach, tylko pociągami do Miami, ale tę informację Zolner wolał zachować dla siebie.

– Tunel Rosenthala sprawi, że z biznesu wypadnie cała twoja Żydowska Flota.

Weintraub zamilkł.

Wie o tunelu, pomyślał Zolner. Sprawdziły się informacje agentów. Tunel jest już na ukończeniu, ale nieznośne było to, że nikt nie wiedział, gdzie się zaczyna.

– Chyba dotarło do ciebie, że przyszłość szmuglu kanadyjskiej wody będzie polegała na przesyłaniu ogromnych ilości tunelem Rosenthala, a nie na przewożeniu jej łodziami czy samochodami po lodzie.

– A więc to z powodu tunelu chcesz zabić Rosenthala?

– I oddać ci we władanie Detroit, abyś pomógł mi w jego przejęciu i późniejszym utrzymaniu.

– Ale Rosenthal może się przysłużyć dla biznesu, jeśli zdoła zakończyć wojny gangów, dokona podziału stref wpływów i ustanowi jakieś zasady.

– Wierzysz w to, że Rosenthal zakończy wojny, nie zatapiając twojej Żydowskiej Floty? Chyba lepiej będzie, jeśli to my ustanowimy zasady.

Po raz pierwszy od napaści na łódź Weintrauba Marat Zolner ujrzał uśmiech na twarzy żydowskiego gangstera.

26.

– Dlaczego Żyd ma katolicki pogrzeb? - zapytał Scudder Smith kapitana policji, dowodzącego oddziałem funkcjonariuszy w granatowych płaszczach, którzy starali się utrzymać tysiące gapiów na chodnikach.

Detektyw Van Dorna miał w rękach notes i ołówek, a na kapeluszu legitymację prasową gazety „Brooklyn Eagle”. Był gorący, słoneczny poranek. Po drugiej stronie Alei Dextera stał kościół pod wezwaniem Świętego Grzegorza Wielkiego, zwalista budowla z czerwonej cegły, z fasadą wyłożoną piaskowcem. Żałobnicy właśnie wyszli przez otwarte wrota i schodzili po schodach, uginając się pod ciężarem wartej piętnaście tysięcy dolarów srebrnej trumny.

– Jego matka pochodziła z Irlandii - wyjaśnił policjant. - Poza tym przez całe cztery lata posyłała go do szkoły parafialnej u Świętego Grzegorza.

Kawalkada złożona z dziesiątek lśniących czystością samochodów, poprzedzana przez wozy pełne kwiatów, miała odprowadzić karawan na cmentarz. Brązowe gwiazdy umocowane na zderzakach wyróżniały auta należące do urzędu miasta. Scudder Smith rzucił półgębkiem do przechodzącego obok Bella:

– Przydają ceremonii pogrzebowej oficjalnego charakteru. Popatrz na te maszyny, warte pięć tysięcy dolarów każda. Można by pomyśleć, że chowają angielskiego króla.

Bell, przebrany w roboczy kombinezon hydraulika, przedzierał się niestrudzenie przez tłum. Pod płaską czapką ukrył bandaż na obolałej głowie.

Nękające go nieregularne napady podwójnego widzenia co chwilę zmieniały chodnik w beczkę śmiechu.

Gdzieś w pobliżu byli też Tobin i Dashwood, próbujący rozpoznać bandziorów i przemytników alkoholu uczestniczących w okazałym pogrzebie. Gazety pisały o najbardziej podniosłym „pożegnaniu” w szeregach Purpurowego Gangu.

Na wozach z kwiatami ustawionymi tuż za karawanem leżały wieńce z szarfami, na których złotymi literami wypisano imię zmarłego.

„Maksowi - przyjaciele”

„Maksowi - bracia”

„Kochamy cię Maksiu - wujek Hank i ciocia Helene”

„Maksowi Sternowi od chłopaków”

Bell był głęboko rozczarowany nieprzewidzianą komplikacją. W trumnie leżała kupka kości i prochów, znalezionych przez robotników windsorskiego browaru podczas czyszczenia paleniska. Kości zidentyfikowano dzięki pałce należącej do ofiary. W płomieniach przetrwał niklowany, stalowy uchwyt z wygrawerowanymi inicjałami MS.

Wraz ze śmiercią gangstera, który miał go doprowadzić do Marata Zolnera, Bellowi pozostało jedynie zaufać swej fotograficznej pamięci i zestawień wizerunki z listów gończych i policyjnych fotografii z twarzami przyjaciół i członków rodziny zabitego, zajmujących miejsca w luksusowych samochodach. W jednym z tych pięknych aut mógł siedzieć nowy szef Purpurowego Gangu, z którym być może nawiąże współpracę Marat Zolner.

Policjanci na koniach i motocyklach wytyczyli środkiem Alei Dextera przejazd, którym na udrapowanej czarnej krepą platformie jechał największy ze wszystkich wieniec w postaci zbudowanej z tysięcy róż pełnowymiarowej repliki limuzyny rolls-royce silver ghost. Przez całą jej długość biegła złota wstęga.

„Jedź nim do nieba, Maksiu - Sam”

– Co to za Sam? - zapytał Bell Scuddera, który stawiał zakrapiane śniadania, obiady i kolacje dziennikarzom z Detroit, aby być na bieżąco w kwestii miejscowych gangów.

– Chłopaki w redakcjach zakładali się o to, czy Sam Rosenthal wyjdzie z ukrycia, licząc na to, że po śmierci Maksa jest już bezpieczny.

– Czyżby nowy boss?

– Podobno jest bystrzejszy od Einsteina. W dodatku drugi kandydat jakby zapadł się pod ziemię.

– Admirał Abe?

– Abe Weintraub. Skoro Abe zszedł z afisza, nowym wspólnikiem Marata może zostać Sam.

Bell zwrócił uwagę na jadącego za przyczepą prawdziwego rolls-royce'a, lśniącego niklem i szkłem. W otwartym oknie zobaczył człowieka o szczupłej, złaknionej słońca twarzy, obserwującego tłum z chłodnym uśmiechem. Rosenthal wyglądał młodo, krzepko i triumfująco.

– Sądząc po kwiecistym darze pana Rosenthala, możesz mieć rację - powiedział Bell. - Ty, Ed i Dash zostajecie tutaj, a ja pójdę za tym rollsem.

Kondukt pogrzebowy powoli ruszył spod kościoła. Bell szedł obok po chodniku, borykając się z tłumem, aby dotrzymać kroku rolls-royce'owi Rosenthala. Nagle jego zmysły uległy gwałtownemu wyostrzeniu.

Z przecznicy wysunął się pierce-arrow limousine landau. Policja wstrzymała na chwilę ruch aut znajdujących się z tyłu, pozwalając mu dołączyć do konduktu trzy samochody przed rolls-royce'em Rosenthala. Przez mgnienie oka Bell widział pasażerkę, pogrążoną w żałobie kobietę, w czarnym kloszowym kapeluszu z woalką. Czyżby żona Maksa? Nie, przecież nie jechałaby sama, lecz w otoczeniu rodziny. Raczej kochanka, co było bardziej prawdopodobne. Nie mógł dostrzec jej twarzy, skrytej pod woalką, ale w sposobie, w jaki przekrzywiła głowę, było coś znajomego.

Fern Hawley? Jak to możliwe, aby dama z wyższych sfer brała udział w paradzie gangsterów? Mógłby jednak przysiąc, że to była ona. Przyjrzał się dziedzicze uważnie, kiedy wraz z Marion przypadkiem wpadli na nią i księcia Andre w Club Deluxe. Jeśli to była Fern, to tym razem sama, bez księcia. Chyba że prowadził, choć to raczej wątpliwe. Bell usiłował dostrzec kierowcę przez przednią szybę, ale pośród refleksów świetlnych widział tylko jego sylwetkę w szoferskiej czapce.

Nagle przyszła mu do głowy zaskakująca myśl. Księżę Andre, przyjaciel Fern, był całkiem podobny do opisu kupca „Czarnego Ptaka”, przedstawionego przez budowniczego wyścigowych motorówek, Billa Lyncha. Jak zwykle w takich przypadkach Bell nie mógł się nadziwić, dlaczego nie wpadł na to wcześniej. Kluczową rolę musiał odgrywać kontekst. Pewnie się mylił, ale

można to było łatwo sprawdzić. Zanotował sobie w myślach polecenie dla analityków, aby pokazali Lynchowi zdjęcie księcia Andre z kroniki towarzyskiej. Ponownie skupił się na torowaniu sobie drogi przez zatłoczony chodnik, chcąc nadażyć za rolls-royce'em.

Poprzez warkot motocykli i samochodów oraz głośnie ochy i achy gapiów na widok limuzyn i kwiatów, przebiły się dźwięki melodii granej na instrumentach smyczkowych. W oddali, na rogu ulicy, Bell dostrzegł kilku muzyków w czarnych płaszczach i kapeluszach z szerokim rondem. Przygrywali konduktowi, wykonując powolną i nieco kulawą interpretację *O sole mio*.

Neapolitańska piosenka o miłości raczej nie była odpowiednim tłem muzycznym dla pogrzebu amerykańskiego gangstera żydowskiego pochodzenia, z domieszką krwi irlandzkiej. Być może, pomyślał Bell, to jedyna melodia, jaką znali. Ostre, piskliwe dźwięki odczuwał jako dyskomfort nawet z tak znacznej odległości. Złożył to na karb doskwierającego mu bólu głowy, choć w istocie dwaj muzycy operowali smyczkami jak piłami do cięcia drewna, wpatrując się pełnymi desperacji oczami w wysokiego, chudego jak upiór skrzypka, najwyraźniej pełniącego rolę kapelmistrza.

Bell instynktownie skupił na nim całą swą uwagę. Twarz muzyka była zasłonięta szerokim, nisko opuszczonym rondem kapelusza, instrumentem i ręką ze smyczkiem. Jednak Bell widział już wcześniej tę sylwetkę, poruszającą się z wężową gracją na dachu szpitala Roosevelta, a potem jeszcze raz, na parkiecie w Club Deluxe. Kiedy to sobie uświadomił, zadrżał jak rażony prądem.

Pierce-arrow opuścił kondukt równie niespodziewanie, jak do niego dołączył, i zniknął za rogiem, przy którym grała orkiestra. Bell stracił szansę przekonania się, czy rzeczywiście jechała nim Fern Hawley. Teraz jednak bardziej zależało mu na tym, by przyjrzeć się z bliska wysokiemu skrzypkowi.

Wyteżał wzrok ponad falującym morzem damskich i męskich kapeluszy. Dzielili ich setki osób. Tłum blokujący całą szerokość chodnika, od ścian budynków do szpaleru stojących przy krawężniku policjantów, nagle zgęstniał na skutek ataku diplopii. Bell zmrużył oczy, chcąc odzyskać zdolność normalnego widzenia.

Karawan i limuzyny zwiększyły prędkość. Rolls-royce Rosenthala minął go i przecznicę dalej zbliżył się do muzyków. W oknie pojawiła się jego blada jak papier dłoń. Złote monety frunęły w powietrze i zamigotały w słońcu. Przez

tłum przeszedł szmer aprobaty - nowy król okazał się hojny. Raptem muzyka ucichła.

Bell widział, jak muzycy schylają się, by pozbierać monety, i nagle prostują się jak na komendę. Cała piątka tuliła do piersi thompsony, trzymane pewnie za podwójne uchwyty, z kolbami przyciśniętymi do boków.

Wysoki chudy skrzypek pierwszy nacisnął spust.

Pozostali poszli za jego przykładem, napełniając aleję ogłuszającym hukiem wystrzałów.

Odłamki szkła przyskały na wszystkie strony pod gradem kul dziurawiących rolls-royce'a Rosenthala. Na widok ziejących ogniem luf gapie stojący najbliżej samochodu wpadli w popłoch. Rzucili się do ucieczki, tratując się nawzajem. Ci, którzy stali dalej, słysząc donośną kanonadę, padli na ziemię.

Isaac Bell przeskakiwał nad leżącymi i omijał tych, którzy sparaliżowani strachem, nie próbowali nawet przykucnąć. Biegł prosto w kierunku bandytów, wciąż ostrzeliwujących rolls-royce'a, choć krew z martwych ciał Sama Rosenthala, jego ochroniarzy i kierowcy spływała na ulicę. Zanim pokonał połowę dystansu, z samochodu buchnęły płomienie. Bandyci przerwali ogień, wepchnęli pistolety maszynowe do futerałów na instrumenty i uciekli w przecznicę.

Kiedy Bell dobiegł do porozrzucanych skrzypiec i altówek, zdołał tylko zobaczyć tył limuzyny pierce-arrow, która, jak przypuszczał, należała do Fern Hawley, odjeżdżającej z dużą prędkością z miejsca masakry. Jakiś policjant pobiegł za nią, wymachując pistoletem, ale seria z thompsona ścięła go z nóg.

27.

Mężczyźni o obojętnych spojrzeniach, podróżujący bez bagażu, ściągali z Cleveland, Toledo, Chicago, Milwaukee, Minneapolis i Pittsburgha. Wyskakiwali jeszcze w biegu z pociągów na perony stacji Michigan Central, po czym w pośpiechu przemierzali miasto, zdążając do wynajętego przez Isaaca Bella biura, należącego wcześniej do Wells Fargo Express przy Woodbridge Street.

Budynek stał w okolicy, w której krzyżowało się wiele szlaków przewozowych, pomiędzy stacjami Michigan Central a New York Central,

przecznice od nurtów rzeki Detroit. Grube mury, małe okna i stalowe drzwi nadawały mu charakteru umocnionej twierdzy. Przyjezdnych detektywów, których Bell ściągnął z biur terenowych w środkowozachodnich stanach, bo byli zdolni i znali się na swej robocie, witał mobilizujący widok robotników, mocujących metalową siatkę na zakratowanych oknach w celu zabezpieczenia ich przed ręcznymi granatami. Jednak nawet ci obdarzeni sokolim wzrokiem nie mogli zauważyć snajperów, rozmieszczonych przez Jamesa Dashwooda na wieży ciśnień, z której rozciągał się doskonały widok na otoczenie.

Do urządzonego w dawnej siedzibie firmy kurierskiej nowego biura terenowego agencji w Detroit, nazwanego przez detektywów Fort Van Dorn, doprowadzono kilka rodzajów linii telefonicznych i telegraficznych. Po paru godzinach Bell dysponował już lokalnymi i międzymiastowymi połączeniami telefonicznymi, dzierżawionymi liniami telefonicznymi i telegraficznymi do pozostałych biur terenowych, dalekopisem mechanicznym marki Morkrum oraz dostępem do międzynarodowej sieci telegraficznej.

– Nie doceniłem Marata Zolnera - zameldował przez międzymiastową leżącemu w szpitalu Bellevue Josephowi Van Dornowi. - Zarazem przecenilem efekty rzekomo nokautującego ciosu, jaki zadaliśmy im w Nowym Jorku. Komintern nie uciekł do Detroit. Zolner po prostu rozszerzył obszar działania o to miasto.

– Interesujące domniemanie - zauważył Van Dorn.

– To coś więcej niż domniemanie.

– Równie dobrze można by dojść do wniosku, że Zolner zastrzelił szefa Purpurowego Gangu z czystej desperacji. - Głos Van Dorna był coraz silniejszy. Dorothy, która odebrała telefon, powiedziała Bellowi, że Joe może już siadać na krześle. - Przepędziłeś go z Nowego Jorku, więc usiłuje za wszelką cenę rozkręcić biznes w Detroit.

– Nie - zaprzeczył Bell. - Zolner walczy powodowany siłą, nie słabością. Utarliśmy mu nosa w Nowym Jorku, ale wciąż ma tam silne powiązania. Zyskami z działalności przemytniczej swoich nowojorskich wspólników finansuje dalszą ekspansję.

– Skoro tak bardzo wzbogacił się na szmuglu, to dlaczego nie kupił sobie władzy nad Detroit?

– Nikt nie jest w stanie kupić Detroit. To miasto jest jak beczka prochu. Zolner musi zwalczyć gangi, aby przejąć kontrolę nad przemysłem.

– To ma o wiele więcej wspólnego z rzeczywistością niż twoja teoria o ekspansji, niepoparta zresztą żadnymi dowodami.

To prawda, pomyślał Bell. Van Dorn wypowiedział na głos jego wątpliwości. Kiedy szukał argumentów, zaklekotał dalekopis. James Dashwood oderwał pasek z wiadomością i podał mu wijącą się wstęgę papieru.

– Nie rozłączaj się, Joe.

Nowojorskie biuro przekazywało treść długiego telegramu otrzymanego z Niemiec. Bell w pamięci odkodowywał wiadomość, przekazaną znajomym szyfrem Agencji Van Dorn.

Pauline Grandzau odkryła, że agenci Kominternu wyczarterowali tankowiec „Sandra T. Congdon” o pojemności dwunastu tysięcy ton rejestrowych i wypełnili jego zbiorniki spirytusem o zawartości ponad dziewięćdziesięciu procent czystego etanolu. Statek wyszedł z Bremerhaven i zmierzał do Nassau na Bahamach.

Bell aż zagwizdał z podziwu.

– Co się dzieje? - zaburczał Van Dorn w słuchawce.

– Oto dowód - powiedział Bell. - Cały statek czystego spirytusu.

– Co ty wygadujesz?

– Mam dowód na to, że Marat Zolner nie tylko nadal prowadzi interesy w Nowym Jorku, lecz rozszerza swoją działalność. Komintern zamierza zaopatrywać Rumową Linie dostawami na niespotykaną dotąd skalę.

Przeczytał Van Dornowi telegram od Pauline.

Zaczęli omawiać możliwe konsekwencje. Spirytus można było rozcieńczać. Statek tej wielkości mógł przewieźć dobrze ponad sto tysięcy baryłek (każda zawierająca około stu dziewiętnastu litrów płynu), czyli pięćset cystern kolejowych, z czego można było w łatwy sposób uzyskać około pięćdziesięciu milionów butelek trunku.

– Dość siwuchy, aby dokumentnie ubzdryngolić całą dorosłą populację Wschodniego Wybrzeża w okresie od świąt Bożego Narodzenia do Nowego Roku.

– I zasilić budżet Kominternu stoma milionami dolarów.

– To pięćdziesiąt razy więcej, niż wynoszą federalne nakłady na ściganie przestępstw naruszających ustawę o prohibicji - dodał Van Dorn. - Pauline świetnie się spisała. Czy spełnisz jej prośbę i wyślesz ją do Nassau?

– Jak najbardziej.

– Choć gadamy przez międzymiastową, już widzę błysk w twoich oczach. Nie zapominaj, Isaac, że Zolner okazał się mózgiem, a za nim stoi cały Komintern.

– Nie jestem tego taki pewien - zaproponował Bell. - Mam wrażenie, że on sam o wszystkim decyduje.

– Bez problemu realizują kolejne zbrodnicze posunięcia - zauważył cierpko Van Dorn.

– Ale wszystko, co do tej pory zbudował Zolner, zawali się, kiedy jego zabraknie. Jeśli zdołamy go powstrzymać, powstrzymamy też Komintern.

– Jak dotąd nic go nie powstrzymało.

– Można go powstrzymać jedynie wówczas, gdy wykorzystasz się przeciwko niemu to, co w nim podziwiam - powiedział Bell.

– Podziwiasz?! - Nagły wybuch oburzenia Van Dorna rozwinął się w atak kaszlu.

Bell słuchał spazmatycznych odgłosów, modląc się, by mu przeszło, ale Joe wciąż nie mógł złapać tchu. Czekał więc, ściskając słuchawkę w dłoni. Lekarze ostrzegali, że pacjent może mieć momenty gorszego samopoczucia, i oto właśnie sam spowodował jeden z nich.

Po drugiej stronie usłyszał kobiecy głos.

– Pan Van Dorn oddzwoni do pana, kiedy poczuje się lepiej.

– Czy to ty, Marion?

– Isaac!

– Co z nim?

– Nie wiem, dopiero co przyszłam. Jest przy nim pielęgniarka... a teraz także lekarz. Już się nim zajęli. - Zniżyła głos. - Biedaczysko. Aż żal patrzeć. Raz czuje się lepiej, a za chwilę znów gorzej. Zaraz mu pomogą. Nie martw się, Isaac. A ty jak się czujesz?

– Tip-top - skłamał Bell, gładząc się ostrożnie po szwach na głowie. Wyobraził sobie, jak Marion napełnia blaskiem szpitalny pokój Joego, ubrana w elegancki kostium i kapelusz. - A co u ciebie?

– Dali mi kolejny film. Cały dzień dobrze się bawię przy filmowaniu, ale podczas kolacji tęsknię za tobą.

– A po kolacji?

– Jeszcze bardziej. W nowojorskich gazetach pisali o jakiejś strzelaninie w Detroit.

– To ulubiona rozrywka miejscowych. Wolą to od bejsbolu.

– Z opisu wyglądało to raczej na wojnę.

– Wszystko ci opowiem, kiedy się zobaczymy.

– Nie mogę się doczekać. O, jest już Joe... Twierdzi, że czuje się tip-top. Jak sądzisz, od kogo nauczył się tego powiedzenia? Do widzenia, kochany. Cudownie było usłyszeć twój głos.

Głos Van Dorna wcale nie wskazywał na to, że mu się poprawiło. Zrobił kilka płytkich oddechów i wydyszał:

– Jak możesz podziwiać bolszewickiego bezbożnika, mordercę, złodzieja, oszusta i zamachowca, zabijającego bezbronnych ludzi?

– Zawsze stoi w pierwszym szeregu, w ogniu walki. Jest nieustraszony.

– Szatan też jest nieustraszony.

– To jego pięta achillesowa. Znajdę go tam, gdzie będą świstać kule. I tam też go załatwię.

Van Dorn nie odpowiadał.

Czyżby międzymiastowe połączenie zostało zerwane? A może stało się coś o wiele gorszego?

– Wszystko w porządku, Joe?

– Zastanawiałem się właśnie nad tym, czy gdyby on nie był złoczyńcą, to poszedłbyś z nim na piwo?

Isaac Bell nie miał ochoty bawić się w filozofowanie.

– Nie zdziwiłbym się ani trochę, gdyby to Zolner naciskał spust karabinu maszynowego, z którego zostałeś postrzelony. Nie mam też żadnych wątpliwości, że był co najmniej świadkiem śmierci Harry'ego Warrena i własnoręcznie wsadził go, martwego lub umierającego, na ten wóz.

– W porządku - szepnął Van Dorn. - Wiem, o co ci chodzi. Co teraz zrobisz?

– Wypędzę Zolnera z Detroit.

– Jak?

– Dowiem się, kogo Zolner wprowadził na miejsce Rosenthala. Przesłucham jego przyjaciółkę Fern Hawley. Wyślę Pauline do Nassau, aby spróbowała pokrzyżować jego plany dotyczące tankowca. I wreszcie znajdę ten przemytniczy tunel, bo jeśli jeszcze nie jest we władaniu Kominternu, to wkrótce będzie. A wtedy staną się tak bogaci, że nie zdołamy ich powstrzymać.

Depesza od Pauline kończyła się słowami:

„Prośba o oddelegowanie do Nassau.

Przykrywka eksport-import spirytualiów.

Przedstawicielstwo destylarni whisky z Glasgow.

Oczy i uszy otwarte”.

Bell przypomniał sobie, że podczas wojny Pauline pomogła wydostać się z Niemiec jakiemuś szkockiemu lotnikowi, którego dziadek miał destylarnię. Odpisał jej:

„Jak najszybciej udaj się do Nassau.”

Odpowiedź nadeszła nie z Niemiec, tylko z Paryża, gdzie biurem Agencji Detektywistycznej Van Dorn czasowo kierował Archie Abbott.

„Twoja depesza przekazana przez Paryż”.

Zastępuję Berlin.

Pauline wypłynęła wczoraj na SS Aquitania z przesiadką do Nassau”.

Isaac Bell roześmiał się. To tyle na temat „prośby”.

Fraulein Moxie wystartowała do wyścigu - ekspresowym liniowcem „Aquitania” Cunarda z Hawru do Nowego Jorku, dalej nocnym pociągiem Havana Special do Miami na Florydzie, a następnie niedawno uruchomionym połączeniem lotniczym, obsługiwanym przez hydroplany, do Nassau. Pokonanie Atlantyku i dalsza podróż na Bahamy zajmą jej siedem do ośmiu dni. Tymczasem wyeksploatowany podczas wojny tankowiec, rozwijający prędkość dziesięciu węzłów, wciąż jeszcze będzie na pełnym morzu. Zanim się dowlecze, Pauline zdąży założyć lipną firmę importowo-eksportową w Nassau przy Market Street pod szyldem:

„Pauline Grandzau
Koncesjonowany przedstawiciel
Hurtowe dostawy napojów alkoholowych”

Ekspres Wolverine, połączony w Buffalo z pociągiem 20th Century, przywiózł zdjęcia Fern Hawley, wycięte przez analityków Van Dorna ze stron kroniki towarzyskiej nowojorskich gazet. Na jednej z fotografii rozbawionej dziedziczce towarzyszył książę Andre, co wzmogło podejrzenia Bella, że to on jest Maratem Zolnerem. Postać Rosjanina była nieostra i lekko rozmazana. Bell przypuszczał, że książę, zaskoczony przez fotografa podczas wysiadania z limuzyny, starał się odwrócić tyłem do obiektywu.

Zatelegrafował do Grady’ego Forrera:

„Książę Andre nie lubi się fotografować.
Pokażcie zdjęcie w stoczni Lynch & Harding Marine”.

Bell rozdał swoim detektywom fotografie Fern i rozesłał ich do najlepszych hoteli w Detroit, aby wypyтали o nią dyrektorów i pracowników recepcji. W żadnym z luksusowych obiektów, w których, jak przypuszczał, mogła się zatrzymać, dziedziczka z Connecticut nie została rozpoznana. Podobnie książę Andre. Sprawdzili więc drugorzędne hotele i wypożyczalnie limuzyn. Bez rezultatu.

W rubrykach towarzyskich niejednokrotnie pojawiały się wzmianki, że podczas wojny Fern Hawley służyła ochotniczo we Francji jako pielęgniarka.

Bell zadeszował więc do Archiego Abbotta, aby poszukał informacji o niej i o księciu Andre.

Na stacji Michigan Central detektywi Bella nie znaleźli żadnego dowodu na to, aby w ostatnich dniach przyjechała którymkolwiek z szybkich pociągów limited, jak choćby Detroit czy Wolverine, którymi wypadałoby podróżować zamożnej kobiecie. Z drugiej strony, pomyślał Bell, przecież była obrzydliwie bogata. Postanowił osobiście sprawdzić prywatne bocznice. Detektywi kolei New York Central Railroad, zawsze chętni do pomocy pracownikom szczebla kierowniczego Agencji Van Dorn, w nadziei na ewentualne przyszłe zatrudnienie, nie pamiętali, aby Fern Hawley przyjechała wynajętą salonką z Nowego Jorku.

– A może z New Haven?

Jeden z nich przypomniał sobie, że salonka z Connecticut kilka dni stała na prywatnej bocznicy.

– Odjechała wczoraj w południe.

Zaledwie kilka godzin po zamachu na Rosenthala.

– Dokąd?

Zapytali dyspozytorów. Salonkę włączono do składu pociągu pasażerskiego jadącego do Cincinnati, połączonego z ekspresem Royal Palm kolei Southern Railway, który kończy bieg w Jacksonville na Florydzie.

Domyślając się, dokąd wybiera się Fern, Bell spytał:

– Z jaką linią łączy się Southern w Jacksonville?

– Florida East Coast Railway.

Isaac Bell wsunął mu w dłoń dwudziestaka i swoją wizytówkę.

– Daj mi znać, jakbyś czegoś od nas potrzebował.

Wrócił do hali dworca osobowego i poszukał budki telefonicznej, z której zadzwonił do Fortu Van Dorn i poprosił o połączenie z Jamesem Dashwoodem.

– Pojechała do Miami! Kupuję ci bilet przesiadkowy na Royal Palm. Pojedziesz na Florydę i dowiesz się, co kombinuje.

– Czy jest z nią Zolner?

– On nie może opuścić Detroit, dopóki nie wybierze kogoś na następcę Rosenthala, no i nie dopilnuje ukończenia tunelu.

– Czyżby Zolner odesłał ją, aby nie narażać jej na niebezpieczeństwo?

– Możliwe. Albo ona miała go już dość i wolała wcześniej wyjechać na południe, by tam spędzić zimę. Mam jednak bardzo silne przeczucie, że Fern Hawley wyjechała wcześniej po to, by przygotować grunt pod jego kolejne posunięcie.

Dashwood, zgodnie z tym, czego uczył go Bell, postanowił grać rolę adwokata diabła.

– Co cię skłania do takiego przypuszczenia?

– Meldunek Pauline o statku wypełnionym czystym spirytusem, wysłany przez Komintern na Bahamy. Nassau znajduje się zaledwie dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów od Miami, Bimini nawet bliżej, a Floryda jest jak lejek, przez który alkohol wylewa się na całe Południe. Zolner będzie kontrolował Nowy Jork na Wschodnim Wybrzeżu, Detroit na Środkowym Zachodzie i Florydę na Południu.

– Wtedy będzie mógł na milionach butelek przykleić nowe etykiety: Oryginalny Stary Komintern, Nr 1 w Ameryce.

Isaac Bell chodził niecierpliwie tam i z powrotem.

– Szmuglerzy wódki słyszeli o tym tunelu. Podobnie jak mięśniaki wymuszający haracze, gliniarze, oszuści, gangsterzy. Po prostu wszyscy. Nie sądzisz, że dziennikarze z Detroit nie tylko słyszeli o nim, ale mogą mieć pewne podejrzenia, gdzie on się znajduje?

– To poważna sprawa - przyznał Scudder Smith, skubiąc swój kapelusz z miną człowieka, który po raz kolejny zastanawia się nad zaprzestaniem picia.

– Stawiasz drinki wszystkim reporterom w tym mieście - przypomniał mu Bell. - Przynajmniej jeden z nich musi pisać wielki artykuł na ten temat.

– Żaden redaktor naczelny nie opublikowałby czegoś takiego. Reporter mógłby zostać za to zastrzelony, czym większość naczelnych akurat by się zbytnio nie przejęła. Kłopot w tym, że on sam też mógłby zostać zastrzelony, a to już inna para kaloszy.

Bellowi nie było do śmiechu.

– Zabawne - powiedział Scudder. - Wiesz, kto najbardziej zajadle szuka tego tunelu?

– Ludzie od Volsteada - odparł Bell. - Dzięki łapówkom będą bardzo bogaci.

– Albo martwi.

– Pokręć się po redakcjach i po knajpach, w których bywają reporterzy. Na pewno znajdzie się pośród nich jakiś młodzik, który zechce to opisać, by wyrobić sobie nazwisko.

Scudder Smith wrócił dużo wcześniej, niż Bell się spodziewał.

– Co znowu? - spytał uśmiechniętego od ucha do ucha praktykanta.

– Zrehabilitowałem się.

– Znalazłeś reportera, który wie, gdzie jest tunel?

– Nie. Za to znalazłem kilku reporterów, którzy wiedzą, kto być może zastrzelił Sama Rosenthala.

– Być może?

– Nie ustaliłem, kto ostatecznie pociągnął za spust, ale wiem na pewno, kto jest jego następcą. Abe Weintraub, tak jak przypuszczaliśmy. Admirał Abe.

– Podobno zapadł się pod ziemię. Sądziłem, że nie żyje.

– Wszyscy tak myśleli. Ja też. W końcu jednak usłyszałem plotkę, że widziano go, jak glamał, jedząc kolację w hotelu Wolverine.

– Glamał?

– Najwidoczniej ktoś, a musiał to być nie byle kto, wybił mu zęby. Postanowiłem to sprawdzić. Znalazłem kelnera z Wolverine, który powiedział, że Abe jadł animelki i pił szampana. Animelki są bardzo drogie. Takie danie zamawia się, aby coś uczcić. Na przykład awans na szefa Purpurowego Gangu.

– Poza tym nie trzeba ich gryźć - dodał Bell. - Wiesz może, kto wybił mu zęby?

– Wszyscy uważają, że ktokolwiek to był, zapewne wacha już kwiatki od spodu.

– Czy Abe był sam w restauracji?

– Teraz będzie najlepsze. Pokazałem temu kelnerowi zdjęcie księcia Andre. Powiedział, że to chyba on jadł kolację z Weintraubem.

Bell pomyślał, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Bill Lynch i Harold Harding, po obejrzeniu nieostrej fotografii, nie mieli całkowitej pewności, że to ten człowiek zamawiał u nich „Czarnego Ptaka”.

– Co sprawiło, że ten kelner był taki rozmowny?

– Potrzebował pieniędzy, żeby uciec z Detroit.

– Co go do tego skłoniło?

– Przekonałem go, że skoro Abe został nowym szefem Purpurowych, może zechcieć zlikwidować wszystkich, którzy cokolwiek o nim wiedzą, na przykład to, z kim wtedy jadł kolację. Chcąc nie chcąc, kelner zdecydował się wynieść jak najdalej stąd, korzystając z materialnej pomocy otrzymanej ode mnie, a ściślej mówiąc, od pana Van Dorna.

– Nie wzięłeś pod uwagę, że kelner mógł powiedzieć ci to, co chciałeś usłyszeć - zauważył Bell.

– Jeśli wolno mi coś zasugerować - odparł niewinnie Scudder - to nasze biuro jest pełne zdolnych ludzi, którzy mogą zająć się sprawdzeniem tego tropu.

Korzystając z prywatnej linii, James Dashwood przesłał telegram, w którym informował, że podążając śladem salonki Fern Hawley, dotarł do Palm Beach na Florydzie. Odgałęzienie linii kolejowej doprowadziło go do nadmorskiej posiadłości, znajdującej się sto dziesięć kilometrów na północ od Miami. Ani wagon, ani rezydencja nie były jej własnością.

„Salonka wynajęta.

Posiadłość wynajęta.

Fern odleciała”.

Wynajmowanie rezydencji i wagonów nie budziło żadnych podejrzeń. Faktycznie mogła wyjechać wcześniej, by spędzić zimę na Florydzie, dokąd coraz więcej bogaczy uciekało przed śniegiem i chłodem. Zwykle tacy jak ona stawiali sobie okazałe domy w Palm Beach. Może badała grunt, tylko pod co? Czy chodziło o budowę zimowej rezydencji, czy raczej imperium Zolnera?

Odpowiedź przyniosła pełna skruchy depesza od Dashwooda.

„Zgubiłem ślad platformy »Czarnego ptaka« wczoraj w Miami”.

– Przyszło dwóch łapsów od prohibicji. Pytają o ciebie, Isaac - powiedział Walt „Teksas”.

Bell podniósł wzrok znad kanapek, które zajadał w kuchni wraz z Leonem Randolphem, kucharzem z zajazdu Walta. Znali się jeszcze z czasów, gdy Leon gotował w pociągach Atchison, Topeka i Santa Fe Overland Limited.

– Jak mnie tu znaleźli?

– Też mnie to zdziwiło. Przekonałem ich, żeby zostawili swoje armaty w szatni.

O tej porze bar był pusty, nie licząc barmana, zajętego czyszczeniem strzelby z obciążoną lufą.

Na widok dwóch agentów Volsteada surowe oblicze Bella aż pociemniało od gniewu. Walt natychmiast opuścił dłonie na kolby swoich coltów, ale barman wyprzedził go, wcelowując obrzyna w przybyszów.

– Musimy porozmawiać, panie Bell.

Tom Clayton i Ed Ellis, byli pracownicy Służby Ochrony, których Bell wyrzucił ze stanowisk detektywów hotelowych w hotelu Gotham, wyglądali kwitnąco - policzki błyszczące od wody kolońskiej, włosy zaczesane gładko do tyłu, sygnety na palcach. Byliby nawet dość przystojni, gdyby nie źle zagojone, połamane nosy.

– Wasi przełożeni zainkasowali już odpowiednie łapówki - odpowiedział chłodno Bell.

– Wiemy o tym. - Ed Ellis pokiwał głową. - Dyrektor naszego biura powiedział, że Walt „Teksas” jest nietykalny,

– I słusznie, wzięwszy po uwagę, ile nas to kosztowało. Czy poinformowaliście szefa, że jesteśmy od Van Dorna?

– Ależ skąd! - wykrzyknął Clayton.

– Nigdy byśmy pana nie zakapowali - zapewnił Ellis.

– A to czemu?

– Nie chcemy wchodzić panu w paradę.

– Wielkie dzięki - powiedział Bell, coraz bardziej zaintrygowany.

– Czy możemy porozmawiać na osobności? - spytał Clayton.

– Jak to się stało, że wylądowaliście w Detroit?

Clayton schował głowę w ramionach. Ellis potarł nerwowo nos.

– Wiedzieliśmy, że nie będziemy już mile widziani w Nowym Jorku.

– Nie chowamy urazy, panie Bell - powiedział szybko Clayton. - Zasłużyliśmy sobie na to.

– Dzięki Bogu, że nie zabili tego chłopaka.

– Pytałem, w jaki sposób trafiliście do Detroit? - powtórzył Bell.

– Doszliśmy do wniosku, że tutejsze biuro do spraw przestrzegania prohibicji musi być prawdziwą żyłą złota, skoro właśnie tędy szmugluje się z Kanady tyle gorzały.

– Postanowiliśmy załatwić sobie tę robotę - powiedział Clayton, a Ellis wyjaśnił, czym się kierowali.

– Państwowa pensja nie jest za wysoka, ale na tym zarobki się nie kończą. Wie pan, co chcę przez to powiedzieć.

– Chodzi o łapówki, kopertówki, płacenie za przemykanie oczu i za ochronę - wyrecytował Bell.

– Nie zamierzamy mydlić panu oczu.

Tylko że ich historyjka nie trzymała się kupy. Kongres wyłączył Narodowe Biuro do spraw Przestrzegania Prohibicji z obowiązku stosowania się do zasad panujących w administracji państwowej. W rezultacie system zatrudniania agentów był całkowicie skorumpowany, a biuro zostało sparaliżowane przez protekcję, kumoterstwo i nepotyzm.

– Jak zdołaliście się zatrudnić u Volsteda? Nie sposób się tam dostać bez poparcia jakiejś grubej ryby.

– Znamy jednego takiego ważniaka - pochwalił się Ellis.

Clayton opowiedział, jak było.

– Pewien polityk z Michigan podczas pobytu w hotelu Gotham mógł mieć przechlapane u swojej starej z powodu jakiejś manikiurzystki. Pomogliśmy mu w zamian za jednorazową przysługę. Facet nie posiadał się z radości. „Gdybyście potrzebowali coś załatwić w Detroit, przyjdźcie z tym do mnie”, powiedział.

– No to przyszliśmy.

– I proszę bardzo! - To mówiąc, Ellis poklepał z dumą swoją odznakę.

– Poradzę sobie z nimi - powiedział Bell do Walta Hatfielda.

Barman odłożył obrzyną.

Bell zaprowadził ich do piwnicy, w której przesłuchiwał Tony'ego.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego. Nie jestem w nastroju do żartów.

Wyraził się bardzo oględnie. Harry Warren nie żył, a Marat Zolner z każdym dniem rósł w siłę.

Clayton i Ellis wymienili porozumiewawcze spojrzenia, szturchnęli się wzajemnie łokciami, a potem wyrecytowali jednym głosem:

– Słyszeliśmy, że szuka pan tunelu.

28.

– Możemy panu pomóc.

– Skąd wiecie, że go szukamy? - spytał Bell.

– Wszyscy wiedzą, że vandornowcy mają nowe biuro przy torach - powiedział Clayton.

– Bandziory i gliniarze zachodzą w głowę, co szykujecie - dodał Ellis.

– Wiedzą, że rozpytujecie o tunel.

– Tak bywa - stwierdził Ellis. - Wieści szybko się rozchodzą.

– Pytania są źródłem kolejnych pytań - uciął Bell. - Co jeszcze?

– Nasi szefowie też wywąchali sprawę tunelu. Szukają go dniem i nocą. Zdają sobie sprawę, że mogą zbić majątek na jego ochronie.

– I bardzo się boją, że wy odnajdziecie go pierwsi.

– Obaj z Edem dobrze wiemy, że się z nami nie podzielą. Największe łapówki zawsze zgarniają dla siebie. Dlatego postanowiliśmy sami trochę powęszyć. Podobno ci od tunelu utopili całą gromadę Italiańców, którzy dla nich pracowali. Nie żadnych gangsterów, tylko jakichś kamieniarzy i murarzy.

– Zamordowano ich, bo wiedzieli, gdzie to jest - stwierdził Ellis.

– To nie w porządku.

– Tak sobie pomyśleliśmy, że zbijanie majątku na prohibicji też nie jest całkiem w porządku - wyznał Ellis.

Bell przyglądał się im, chcąc wierzyć, że natrafili na jakiś trop, ale nie było dla niego całkiem jasne, jakimi motywami się kierowali. Oni też popatrzyli na niego szczerym, prostolinijnym spojrzeniem i wtedy Bell, z rosnącym ożywieniem, przypomniał sobie, że kiedyś pewien kapelan więzienny opowiadał

mu, jak dziwne bywają przyczyny, które sprowadzają grzesznika na właściwą drogę.

– Wiecie, gdzie jest ten tunel? - spytał.

– Ktoś to niegłupio obmyślił - odrzekł Clayton.

– W dole rzeki. Zaczyna się na Fighting Island - powiedział Ellis. - Kończy pod hangarem dla łodzi w Ecorse.

Całkiem rozsądnie, pomyślał Bell. Fighting Island była logicznym wyborem - duża, niezamieszкана, znajdowała się w całości po kanadyjskiej stronie granicy. Ecorse to leżące na amerykańskim brzegu miasto bezprawia u wrót Detroit, z dobrym dojazdem oraz obieralnymi władzami i policjantami, siedzącymi w kieszeni przemytników alkoholu.

– Gdzie jest ten hangar?

– Mamy pewne przeczucia.

– W Ecorse jest ze dwieście hangarów dla łodzi i kilkadziesiąt pochylni.

– Ma być gdzieś nad strumieniem - poinformował Clayton, zawężając znacznie pole poszukiwań.

– Z czego wynikają wasze przeczucia?

– Podśluchaliśmy rozmowę naszego szefa.

– Czy domyśla się, kto zbudował ten tunel?

– Szef przypuszczał, że na początku kopali Polaczki z Poletown. Zaczęli w Ecorse. Potem przegonili ich Italiańcy, a teraz podobno wszystko przejęli Rosjanie.

– Skąd tu Rosjanie? - spytał Bell, nie chcąc zdradzać swoich informacji.

– Może to tylko gadanie, ale ponoć w Detroit są tysiące cudzoziemców.

– Co o tym wszystkim myśli wasz szef?

Odpowiedź Clayтона ujawniła jeszcze jeden prawdopodobny motyw ich nawrócenia: uzasadnioną chęć schronienia się w Forcie Van Dorn.

– Już nic. Wpadł wczoraj pod samochód, przechodząc przez Michigan Avenue.

– Kierowca zbiegł z miejsca wypadku. To mógł być ford, a może dodge.

Isaac Bell wyciągnął rękę.

– Witajcie z powrotem, chłopcy. Przywracam was do pracy. Na razie na próbę, pod warunkiem że będziecie się trzymać z dala od kłopotów.

- Jasne, że tak, panie Bell.
- Dziękujemy panu.
- Mamy odejść z państwowej posady?
- Skądże znowu. Bardzo mi się przydadzą dwaj zaufani ludzie w biurze do spraw prohibicji.

Ani Abe Weintraub, który mierzył metr sześćdziesiąt osiem, ani tym bardziej Marat Zolner nie mogli stanąć prosto w końcowej części tunelu w Ecorse. Krótki, niedawno wydrążony łącznik był pełen wilgoci, słabo oświetlony i bardzo nisko sklepiony. Przez szczeliny między ceglami a workami z piaskiem sączyła się woda, zbierająca się w rowie między torami, po których toczyły się dwuipółmetrowe wagoniki - platformy, załadowane kartonami whisky.

Kiedy rów wypełniał się wodą, osuszały go pompy, zainstalowane sześćset metrów stąd, na Fighting Island. Pompy, prądnicę zasilającą oświetlenie i wagoniki pomieszczono w zabudowaniach nieukończonych jeszcze przystani promowej na wyspie. Co prawda nawet w najodleglejszych planach nie przewidywano utworzenia tu połączenia promowego, ale fikcyjne zezwolenia budowlane miasta La Salle uzasadniały obecność całej tej maszynierii.

Główny tunel, odkryty przez polskich gangsterów, którzy potem zaczęli dążyć łącznik do Ecorse, budowano na potrzeby kolei, ale go nie ukończono. Był on o wiele większy, lepiej oświetlony i całkiem suchy. Miał postać wysoko sklepionej, żeliwnej rury, która została szczelnie zamknięta i porzucona dziesiątki lat temu, kiedy Ecorse było jeszcze małą wioską, a Fighting Island, tak samo jak teraz, składała się z sześciu kilometrów kwadratowych bezludnych mokradeł. Zaokrąglony sufit znajdował się bardzo wysoko, przez co tunel sprawiał wrażenie obszernego pomieszczenia, a nie korytarza.

Zolner początkowo obawiał się, że niski, ciasny, trzydziestometrowy łącznik pomiędzy starym tunelem a szybem pod hangarem łodziowym w Ecorse będzie wąskim gardłem. Potem jednak dostrzegł ogromne możliwości, jakie zapewnia obszerniejsza sekcja tunelu, budowana na potrzeby kolei. Można było założyć w niej tajny i bezpieczny magazyn pod dnem rzeki i składować całe wagony towaru. Już teraz stały tam ogromne zapasy napojów alkoholowych, warte kilka milionów, a codziennie dowożono kolejne partie. Przepuszczając określoną ilość towaru przez wąskie gardło, mógł kontrolować amerykański rynek alkoholowy i

dzięki temu wywoływać obniżkę lub wzrost cen poprzez regulację poziomu dostaw.

Zaledwie wczoraj, dowiedziawszy się, że Rzeczny Gang przemycił do Detroit dziesięć tysięcy kartonów whisky Canadian Club, Zolner natychmiast wypuścił dodatkowe dziesięć tysięcy kartonów z tunelu. Zanim Rzeczny Gang zdołał sprzedać swój towar, dystrybutorzy Weintrauba zalali rynek tą samą whisky po cenie niższej o połowę. W warunkach legalnego biznesu spowodowałoby to bankructwo konkurencyjnej firmy. W przypadku handlu czarnorynkowego oznaczało to wymianę ognia. Purpurowi wychodzili zwycięsko ze strzelanin, dzięki thompsonom, dostarczonym przez Komintern.

W nadchodzącym tygodniu szczegółowo zaplanowane napady na przemytników, zgrane w czasie z nalotami organizowanymi przez przekupionych agentów Volsteada, miały ograniczyć dostawy. Zolner będzie mógł sprzedać więcej whisky z tunelu po dwukrotnie wyższej cenie. Czysty kapitalizm, zażartował, zwracając się do Weintrauba. Dużo gorszy niż ten, o którym pisał Karol Marks.

Po oddaniu tunelu do użytku i zabiciu ostatnich robotników Zolner nie pozwolił nikomu, poza własnymi zaufanymi agentami, choćby zbliżyć się do jego wylotu w Detroit. Jedyne wyjątek uczynił dla Admirala Abe, ale nie obejmował on jego ochroniarzy. Oczywiście, teraz Weintraub już mu ufał, nawet go uwielbiał, bo jego mało skomplikowany umysł okrutnika napełnił się wiarą, że Marat Zolner nie tylko zapewnia mu majątek i władzę, ale też potrzebuje go do zwalczania konkurencyjnych gangów i ochrony tunelu.

– Ecorse jest doskonałą kryjówką dla wódczanego tunelu.

Ponadto Bell zauważył, że w razie potrzeby łatwo byłoby tu uciekać przed policją. Bell prowadził swojego długiego, odkrytego cadillaca zatłoczonymi ulicami Kawałka Piekła, jak nazywano tę pełną kabaretów część miasta. Nikt nie zwracał uwagi na obcych i przyjezdnych pośród tłumów napływających tu co noc, aby pić i bawić się do rana. Tysiące mieszkańców samego Detroit i jego przedmieść upijało się w sznurowatych kabaretach, grało w ruletkę, oczko lub kości w salonach hazardu i balowało w tancbudach i burdelach, które wyrastały niczym grzyby po deszczu od wprowadzenia prohibicji.

Tani alkohol lał się całymi strumieniami. Wraz z rozkwitem przemysłu motoryzacyjnego powstały w okolicy nowe huty i fabryki chemiczne, rosły więc

reszcie klientów, chętnych, by przepuścić nieco gotówki. Ci, którzy przybywali tu trzeźwi, szybko doprowadzali się do stanu nieważkości i tłumnie snuli się całymi nocami po ulicach. To było miasto dobre dla gangsterów i całkiem niezłe dla prywatnych detektywów, szukających tunelu.

Nawet gdyby ekstrawagancki Cadillac, pistolet odznaczający się pod marynarką i borsalino naciągnięty na oczy pozostawiały jakiegokolwiek wątpliwości co do szmuglerskiej profesji Isaaca Bella, to na pewno rozwiewał je widok jego ochroniarzy. Miejsce obok kierowcy zajmował Ed Tobin z twarzą pooraną starymi bliznami, a Clayton i Ellis ze złamanymi nosami rzucali gniewne spojrzenia z tylnego siedzenia. Gdyby nawet zostali rozpoznani jako agenci biura do spraw prohibicji, nikogo by to nie zdziwiło, bo niejednego jego funkcjonariusz znajdował sobie dodatkowe zatrudnienie u przemytnika, który potrzebował ochrony podczas prowadzenia interesów czy zwalczania konkurencji.

Bell skręcił w ulicę biegnącą wzdłuż rzeki. Powietrze wypełniała woń błota, piwa i whisky. W każdym z budynków stojących po prawej stronie był na parterze bar. Bary widoczne po lewej przylegały do hangarów łodziowych, które częściowo stały na brzegu, a częściowo nawisały nad głęboką wodą. Bell wraz z detektywami wstąpili do kilku z nich. W każdym można było dostać wszelkie znane gatunki whisky i dżinu, zjeść darmowy obiad, jak w dawnych saloonach sprzed wprowadzenia prohibicji, w każdym też można było spotkać wianuszek skąpo odzianych pań, ożywiających atmosferę.

Bell zauważył, że w jednym z barów po stronie rzeki jest ciemniej niż w pozostałych. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że przechodnie omijają go z daleka, aby uniknąć kontaktu z dwójką barczystych wykidajłów, blokujących drzwi.

– Sprawdźmy, co sprawia, że w tak niemiły sposób traktują klientów - powiedział Bell i ruszył do wejścia.

Bramkarze otaksowali wzrokiem czterech mężczyzn idących prosto na nich i sięgnęli za poły płaszczy. Bell i Tobin unieruchomili im ręce, zanim tamci zdążyli wyciągnąć broń, i przekazali ich Claytonowi i Ellisowi, którzy szybko obezwładnili obu osiłków. Bell przeszedł przez drzwi.

W środku panowała cisza, w barze nie było ani jednego gościa. Barman sięgnął pod ladę, ale zaraz wyprostował się z rękami uniesionymi w górę i patrzył z niepokojem prosto w lufę browninga, który nagle zmaterializował się

w dłoni Bella. Sprawiał wrażenie przestraszonego, a zarazem pogodzonego z losem, jakby spodziewał się, że coś takiego wkrótce się wydarzy.

– Czego chcesz?

– Chcemy obejrzeć piwnicę.

– Jaką piwnicę? Przecież to jest hangar dla łodzi.

– Mimo to chcemy ją obejrzeć.

– Człowieku, mówię ci, że tu nie ma żadnej piwnicy.

– Chcę się dowiedzieć, dlaczego jest to jedyny bar na całej ulicy, w którym nie ma klientów. Podnieś klapę.

Barman otworzył klapę w podłodze. Pod spodem faktycznie nie było piwnicy, tylko krótka drabina, sięgająca błotnistego gruntu. Ani śladu szybu prowadzącego do tunelu.

Przeszli przez bar w kierunku rzeki i stanęli na pomoście. Po obu stronach Bell zauważył skryte w cieniu podobne pomosty. Nagle na końcu sąsiedniego pojawił się człowiek z lampą, którą poruszał z boku na bok, jak hamulcowy przesyłający sygnały maszyniście. Potem w oknie na wysokości pierwszego piętra kilka razy zapaliło się i zgasło światło. To było potwierdzenie, że na brzegu nie ma policjantów ani funkcjonariuszy biura prohibicji, pomyślał Bell na widok motorówki holującej barkę, która wyłoniła się z mroku zalegającego nad środkiem rzeki i sprawnie przybiła do pomostu. Dwaj ludzie szybko wyładowywali towar. Dwaj inni, którzy wyszli ze swojego hangaru, wnieśli skrzynki do środka. Motorówka pospiesznie odholowała pustą barkę. Nieco poważniejsza operacja przebiegała po przeciwnej stronie, gdzie do otwartego hangaru wpłynęła zanurzona po nadburcia duża, szybka łódź, za którą zaraz zamknęły się wrota.

– Uczciwi przemytnicy, nie korzystają z żadnego tunelu - mruknął Tobin do Bella.

Bell wrócił do środka i wziął barmana na stronę.

– Spokojnie, zaraz sobie pójdziemy.

– Miło mi to słyszeć.

– Mam tylko jedno pytanie - powiedział Bell, wyciągając z kieszeni grubą zwitek banknotów studolarowych. - Jeśli pomożesz mi zaspokoić moją ciekawość, będę ci bardzo wdzięczny.

– Pomogę, jeśli potrafię - zastrzegł ostrożnie barman. - Zależy, co chcecie wiedzieć.

– Na całej ulicy widać, że interesy kręcą się doskonale. Dlaczego przed tym jedynym lokalem stoi dwóch bramkarzy, którzy nie wpuszczają klientów?

– Postrzelili naszego szefa. Nie bardzo wiemy, co się dzieje.

– Jak do tego doszło?

– Purpurowy Gang sprzedaje whisky Canadian Club o połowę taniej, przez co znaleźliśmy się mocno pod kreską. Szef z paroma chłopakami dopadł tamtych na Michigan Grand. Natychmiast doszło do wymiany ognia. Wiesz, co to jest pistolet maszynowy?

– Obiło mi się o uszy.

– Z czegoś takiego strzelali Purpurowi.

29.

Detektywi znów usadowili się w cadillacu i ruszyli na dalsze poszukiwania. Wpadli jeszcze do dwóch podejrzanie pustych barów. W jednym z nich nie było nikogo. W drugim spotkali tylko zaniepokojoną kobietę, czekającą na powrót męża z przemytniczej wyprawy. W żadnym nie znaleźli szybu, prowadzącego do tunelu.

Po drugiej stronie rzeki pojawiły się pierwsze czerwone refleksy, zapowiadające świt. Bell uznał, że na dziś wystarczy.

– Zaczynam myśleć, że go tu nie ma - odezwał się Tobin.

Clayton i Ellis wyglądali na przybitych.

– Mamy nadzieję, że nie wpuściliśmy pana w maliny, panie Bell.

– Prześpijcie się trochę, chłopcy. Następnej nocy spróbujemy jeszcze raz.

Clayton i Ellis poszli pieszo do hotelu, a Bell z Tobinem wrócili do Fortu Van Dorn. Tobin poszedł na piętro do sypialni, w której Bell kazał spać detektywom, aby nie martwić się, że ktoś mógłby spróbować dopaść ich w hotelach. Bell sprawdził dalekopis i znalazł depezę od Grady'ego Forrera.

„Poszperałem tu i tam.

Zadzwoń pilnie”.

Bell zdążył zagotować wodę i zmielić sobie trochę kawy, zanim centrala międzymiastowa zrealizowała połączenie. Pistolety maszynowe wskazywały na udział Kominternu. Dlaczego jednak bolszewikom miałyby zależeć na obniżaniu cen gorzały?

Oddzwoniła centrala.

– Jest połączenie - oznajmił operator.

Grady nie spał.

– Isaac, spodoba ci się to.

– O co chodzi?

– Chwileczkę, najpierw wprowadzenie, żebyś zyskał szerszą perspektywę. Potem przejdziemy do historii kolei żelaznych.

Isaac Bell stłumił ziewnięcie i gniewny pomruk. Nocny marek Forrer najwyraźniej miał ochotę się wygadać, co zdarzało mu się dość często. Trudno było jednak zaprzeczyć, że dział analityczny był jedną z najcenniejszych sekcji Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

– Wal, Grady, zamieniam się w słuch. I nie spiesz się.

– Trzydzieści lat temu amerykańskie towarzystwa kolejowe przewyciężyły większość problemów technicznych, które wcześniej wydawały się nie do pokonania i przeszkadzały w rozbudowie sieci. Postęp w pokonywaniu wzniesień, budowaniu mostów i tuneli oraz projektowaniu lokomotyw oznaczał, że tory można było poprowadzić praktycznie wszędzie. Główną przeszkodę w powstawaniu nowych linii kolejowych stanowiły inne kompanie, konkurujące na tym samym rynku. Czy to jasne?

– Jak kryształ.

– Pamiętasz swego starego przyjaciela Hennessy'ego?

– Magnat kolejowy, który przypadkiem jest teściem naszego wspólnego przyjaciela, Archiego Abbotta. Mów dalej.

– Trzydzieści lat temu, w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, Osgood Hennessy próbował utworzyć nową kolej transkontynentalną, łącząc swoje linie, biegnące na wschód od Chicago, z należącą do niego Great Northern Railway na zachód od Minneapolis. Został jednak zablokowany przez konkurentów, którzy skorumpowali jeszcze większą rzeszę ustawodawców, gubernatorów i sędziów w Illinois, Wisconsin i Minnesocie niż Hennessy. Nie

mógł zbudować nowego szlaku między Chicago a Minneapolis ani przejąć kontroli nad istniejącą linią. Ale, jak zapewne pamiętasz, starszek Osgood był nie do zatrzymania.

– Jak skrzyżowanie byka rasy Brahma z lokomotywą Consolidated.

– Wymyślił więc całkiem nową trasę, łączącą Chicago i Minneapolis przez Detroit.

– Kiedy ostatnio patrzyłem na mapę, Detroit leżało na wschód od Chicago - stwierdził Bell.

– Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. W latach dziewięćdziesiątych planowano linie kolejowe o jeszcze dziwniejszym przebiegu. Każdy chwyt był dozwolony, byle tylko sprzedać udziały. Ta jednak była całkiem realna, choć mocno okrężna. Hennessy poprowadził swoją linię z Minneapolis do Duluth, potem nad brzegiem jeziora Superior do Port Arthur, dalej szlakiem Canadian Pacific Railroad na północ od jezior Superior i Huron przez Ontario do Windsor, gdzie miała połączyć się z New York Central.

– Jakie korzyści miałyby z tego New York Central? Vanderbiltowie nienawidzili Hennessy'ego.

– Zyskiwaliby dostęp do tunelu w Detroit.

– Jakiego tunelu?

– Tego, który Hennessy wydrążył pod dnem Detroit River.

– Pod Detroit River jest tylko jeden tunel kolejowy, który powstał dopiero w 1910 roku.

– Hennessy zaczął budować swój dwadzieścia lat wcześniej.

– Doprawdy?

– Położył pod ziemią ponad sześćsetmetrową żeliwną rurę, stosując metodę tarczy i sprężonego powietrza, tak jak Beach podczas drążenia tunelu Saint Clair.

– Zaczął od tunelu? A co z resztą linii?

– Najpierw zamówił ekspertyzę geologiczną, a potem rozpoczął prace nad budową tunelu. Prawdopodobnie chciał mieć za sobą najtrudniejszy etap, zanim przystąpi do realizacji całości.

– Pamiętam, jak budował skrót Cascades Cutoff. Najpierw postawił most Cascade Canyon Bridge, na długo przed tym, jak doprowadził do niego tory.

„Szybkość, mawiał, szybkość jest najważniejsza”. Dlaczego nikt nie wie o tym tunelu?

– Hennessy musiał utrzymywać go w tajemnicy przed wrogami, aby nie zablokowali budowy poprzez władze stanu Michigan. Drażył więc potajemnie, można by rzec - pod stołem. Dlatego zaczął po stronie kanadyjskiej na... Fighting Island.

– Fighting Island? - Bell odstawił kubek z kawą.

– Kanadyjczykom pasowało siedzieć cicho. Plan Hennessy’ego był korzystny dla rozwoju ich kolei. Ponadto Hennessy kupił tarczę wraz z całym oprzyrządowaniem oraz żeliwo z tych samych kanadyjskich fabryk, które zaopatrywały budowę tunelu Saint Clair.

– Zaczął na Fighting Island, a gdzie miał zamiar skończyć?

– W Ecorse.

– Jesteś pewien?

– Wszystkie główne linie kolejowe przechodzą w bezpośrednim sąsiedztwie Ecorse. To idealne miejsce.

– Gdzie jest ten tunel?

– Nie został ukończony. Cały plan runął, więc Hennessy, chcąc ograniczyć straty, wstrzymał prace tuż przed samym Ecorse.

– Wciąż tam jest?

– Musi być. Kazał go szczelnie zamknąć i zapłacił wykonawcom, mając nadzieję na ukończenie go w przyszłości. Tak mi przyszło do głowy, że gdyby dowiedział się o nim jakiś sprytny szmugler, mógłby dokończyć ostatni odcinek, długości mniej więcej trzydziestu metrów, i miałby własny tunel do transportu gorzały z Fighting Island do Detroit.

– A więc byłby to dużo większy tunel od takiego, który wydrążono za pomocą kilofów i łopat.

– Większy? A niech mnie! Jest w nim dość miejsca, aby pomieścić lokomotywę, tender, brankard i dwadzieścia pięć wagonów.

– Grady, jesteś geniuszem!

Bell usłyszał w słuchawce głośny brzęk.

– Wychylę sobie szklaneczkę na to konto. Mam nadzieję, że ci pomogłem.

– Czekaj! Najpierw spróbuj znaleźć mapę. Przecież muszą być jakieś plany konstrukcyjne, wyniki badań i pomiarów.

– Czyżbym o tym nie wspominał? Wysłałem ci mapę nocnym pociągiem. Dostaniesz ją tego ranka.

Bell zatrudnił geodetę, który za pomocą teodolitu potwierdził to, co można już było dostrzec gołym okiem. Punkt początkowy, oznaczony na oryginalnych planach tunelu Osgooda Hennessy’ego, był zlokalizowany pod znajdującym się w budowie dużym, drewnianym budynkiem na Fighting Island, dokładnie na wprost Ecorse. Po sprawdzeniu w Kanadzie okazało się, że miała to być przystań promowa, co wydawało się pozbawione sensu, jako że wyspa zamieszkała była zaledwie przez garstkę odludków. Zagadka wyjaśniła się, kiedy vandornowcy odkryli, że firma, do której miała należeć przystań, wystąpiła też o pozwolenia na budowę diabelskiego młyna i pawilonu tanecznego dla położonego pośrodku rzeki letniego parku wypoczynkowego.

– Może i tak - skwitował Bell.

Określenie miejsca, w którym znajdowało się wyjście z tunelu w Ecorse, nie powinno nastroić trudności. Wystarczyło ustawić geodetę na niedokończonej przystani i wycelować teodolit w drugi brzeg rzeki zgodnie z azymutem podanym na mapie Hennessy’ego. Jednak obserwacja przez lornetkę ujawniła, że obiekt jest otoczony wysokim drewnianym płotem i strzeżony przez wartowników uzbrojonych w karabiny, co stanowiło najlepszy dowód na to, że początek tunelu znajdował się pod zabudowaniami przystani.

Bell okazał legitymację członka nowojorskiego jachtklubu, aby zostać przyjętym do miejscowego klubu żeglarskiego w Detroit. Następnie zaopatrzył się w mapę nawigacyjną rzeki i wynajął dwie szybkie motorówki typu Gar Wood. Jedną przekształcił w patrolowiec, którego załogę stanowili uzbrojeni po zęby Tobin, Clayton i Ellis, a do drugiej zabrał geodetę.

– Musi pan się szybko sprawić - poinformował go. - Lepiej, aby nie zauważyli nas celnicy albo bandyci napadający na przemytników alkoholu.

Zbliżywszy się do Ecorse, Bell zamknął przepustnice i unieruchomił śruby, pozwalając łodzi dryfować z prądem, podczas gdy geodeta łapał namiar na przystań. Był szybki.

– To tutaj, panie Bell. Stary tunel jest dokładnie pod nami.

Bell przestawił silniki na pracę wstecz, aby zatrzymać dryfowanie łodzi. Geodeta przekręcił teodolit o sto osiemdziesiąt stopni, aby określić punkt na przeciwnym brzegu, w którym powinno znajdować się wyjście z tunelu, przy założeniu, że ostatnią sekcję poprowadzono zgodnie z kierunkiem starej jego części.

– To ten czerwony hangar, panie Bell, o ile przedłużenie zachowuje pierwotny kierunek.

Bell ustalił na mapie, że głębokość wody wynosi pięć metrów. Zastanawiał się, jak głęboko pod dnem rzeki znajduje się sklepienie tunelu. Plan ataku na Marata Zolnera zaczynał klarować mu się w głowie. Zainspirowała go opowieść barmana o postrzeleniu jego szefa. Pistolety maszynowe były niemal pewnym dowodem, że Komintern maczał w tym palce. Teraz zaczynał rozumieć, dlaczego obniżyli ceny whisky o połowę.

Popłynął w dół rzeki, poczekał, aż zacznie zapadać zmrok, i wrócił na tę samą pozycję pomiędzy przystanią promową a czerwonym hangarem. Ustawił obroty silników tak, aby łódź stała w miejscu, i sprawdził położenie w stosunku do obu budowli. Następnie przy użyciu kompasu wziął namiary na latarnię umieszczoną na dachu czerwonego hangaru oraz na najjaśniejsze światła na brzegu, zarówno w dół, jak i w górę rzeki. Kiedy przyplynie tutaj nocą, do precyzyjnego ustawienia się w tym samym miejscu wystarczy zgranie świateł.

30.

James Dashwood wrócił do Detroit, przywożąc kolejne złe wieści. Zabrakło mu zaledwie sześćdziesięciu sekund, aby dopaść Fern Hawley. Spóźnił się o minutę, przez co nie zdołał wstrzymać odlotu z Miami wynajętej przez nią łodzi latającej.

– Na Florydzie bardzo łatwo się ukryć, jeśli jest się tak bogatym jak ona. Może teraz być w Palm Beach, na Florida Keys, w Hawanie na Kubie, na Bimini, w Nassau albo na którejkolwiek z wysp Bahamów. Niewykluczone, że

miała umówione spotkanie z jakimś jachtem na morzu. Dałem znać kilku naszym ludziom i zdecydowałem, że bardziej przydam się tu, w Detroit.

– Może jest w Nassau - powiedział Bell - dokąd zmierza tankowiec ze spirytusem. Jeśli tak, to zajmie się nią Pauline.

– Może powinienem tam pojechać i pomóc Pauline?

– Pauline doskonale radzi sobie sama. Pamiętasz szpiega, który sabotował budowę pancerników dla naszej floty wojennej?

Dashwood wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Pamiętam, jak wtedy próbowałem przekonać ogromnego ochroniarza, że nie jestem detektywem, lecz wędrownym propagatorem abstynencji.

– Admirał Falconer pokazywał mi eksperymenty, podczas których eksperci od uzbrojenia symulowali ataki torpedowe, aby zmierzyć siłę podwodnych eksplozji. Głowice bojowe torped udoskonalano wraz ze wzrostem wiedzy naukowców o skuteczności ich działania.

Energia wybuchów torped i min niesamowicie rosła, kiedy następowały one pod wodą. W połowie wojny wprowadzono bomby głębinowe do zatapiania okrętów podwodnych. To podsunęło Bellowi myśl, w jaki sposób rozwiązać sprawę tunelu i jego zawartości.

– Potrzebne nam będą ze cztery skrzynki dynamitu.

Bell wysłał telegram do Grady'ego Forrera z prośbą o dodatkowe informacje o badaniach geologicznych wykonanych na zlecenie Osgooda Hennessy'ego w związku z budową tunelu.

„Jak głęboko znajduje się tunel?

Z jakiego materiału składa się dno?”

Zgodnie z własnym zarządzeniem Bella, z uwagi na panujące w Detroit duże zagrożenie ze strony gangów, nawet w ufortyfikowanym biurze terenowym nie zatrudniono żadnego praktykanta, dlatego do wykonywania ich zadań musiał wyznaczać niezbyt lotnych pracowników Służby Ochrony.

– Leć do biblioteki. Znajdź rocznik tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt jeden tygodnika „Harper's Weekly” i poszukaj artykułu o tunelu pod Saint Clair River.

– Do biblioteki?

– W „Harper’s” zawsze ukazywały się opisy największych osiągnięć techniki. Pamiętaj, rocznik tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt jeden. Bibliotekarz pomoże ci szukać.

– Kiedy?

– Natychmiast! Piorunem!

Barczysty detektyw hotelowy wytoczył się z biura, drapiąc się po głowie.

Gary zadepeszował w odpowiedzi:

„Dno to piasek, glina, głazy i skała.

Sklepienie tunelu niecały metr pod dnem”.

– Doskonale!

Jednak kiedy pracownik Służby Ochrony wrócił z artykułem o tunelu St. Clair, Bell natrafił na problem, którego nie mógł przewidzieć. Żeliwne ściany tunelu St. Clair miały ponad pięć centymetrów grubości, co zapewniało im ogromną wytrzymałość. Tunel Hennessy’ego zbudowany był z podobnych, żeliwnych segmentów.

Znalazł się w kropce i musiał podejść do zagadnienia pod innym kątem. Bez owijania w bawełnę przedstawił sytuację Dashwoodowi.

– Nie ma pewności, że materiał wybuchowy spowoduje zawalenie się głównego tunelu, za to na pewno zdoła zniszczyć łącznik. Jednak jeśli osunięcie nastąpi zbyt daleko od głównego tunelu, to gruz i odłamki uszczelnia go, zanim zdąży wypełnić się wodą. Aby mieć gwarancję uszkodzenia głównego tunelu i zniszczenia zapasów Kominternu, musimy spowodować eksplozję dynamitu jak najbliżej miejsca połączenia obu tuneli.

– Dlaczego po prostu nie przypuścimy szturmowi na tunel? W ten sposób także wyłączymy go z użytku - powiedział Dashwood.

– Tylko że wkrótce znów zostanie otwarty - wyjaśnił Bell. - Po obu stronach rzeki aż roi się od sprzedajnych policjantów i sędziów. W gazetach pojawią się fotografie prokuratora rozbijającego siekierą skrzynkę whisky, ale dzięki łapówkom większość towaru pozostanie nienaruszona. Zolner i jego wspólnicy przyczają się do czasu, kiedy politycy zaczną domagać się kolejnej „ofensywy” przeciwko dostawom alkoholu i interes znów zacznie się kręcić. Dlatego trzeba

zalać cały tunel, aby zniszczyć zapasy zgromadzone przez Komintern. Powiedziałem już panu Van Dornowi, a teraz mówię tobie: tym razem nie zamierzam utrzymać mu nosa. Chcę go wygonić z Detroit.

– Jak sądzisz, dokąd tym razem się przeniesie?

– Chcesz wiedzieć dokąd, to posłuchaj.

Usiadł do klucza telegraficznego i przez prywatne łącze zaczął nadawać alfabetem Morse'a depeszę do Nowego Jorku.

„Przekazać ostatnią ratę stoczni Lynch & Harding.

Miejsce dostawy łodzi Marion Miami”.

– Musimy powstrzymać go przed rozkręceniem nowego biznesu na wzór tego, co zrobił tu w Detroit i przedtem w Nowym Jorku.

– A jeśli wyjedzie na Bahamy?

– Nie robi tego. Nie ma tam czego szukać. Nassau, podobnie jak Kanada, jest stosunkowo bezpiecznym zapleczem legalnego handlu alkoholem. To Floryda jest ośrodkiem nielegalnego importu i dystrybucji, tak jak Detroit i Nowy Jork. To o nią będzie walczył, by zniszczyć konkurencję i poszerzać swoje wpływy.

Bell uśmiechnął się niewesoło do Dashwooda i dodał:

– A jeśli z jakiegoś powodu Zolner wyląduje w Nassau, to jest ono oddalone od Miami zaledwie o trzy godziny rejsu szybką łodzią. „Marion” będzie jedną z najszybszych.

Znów zadeszował do Grady'ego.

„W jakiej odległości od brzegu kończy się tunel Hennessy'ego?”

Grady oddzwonił przez międzymiastową.

– To zbyt skomplikowane na telegram. Znalazłem odręczne notatki budowniczych z wynikami pomiarów. Wygląda na to, że kończyli prace w miejscu, gdzie dno zaczyna się podnosić przy brzegu.

Bell rozłożył mapę nawigacyjną rzeki Detroit.

– Pośrodku biegnie głęboki kanał, bliżej Fighting Island, a dalej jest drugi, węższy kanał Wyandotte, przy samym brzegu koło Ecorse.

– Widocznie został przekopany już po dokonaniu pomiarów. Nie widzę tu żadnej wzmianki o kanale.

– Ciągnie się przy samym brzegu - powtórzył Bell. - Gdyby pod spodem był tunel, pogłębiarka prawdopodobnie zawadziłaby o jego sklepienie, a więc musieli się zatrzymać tuż przed przekopany później kanałem Wyandotte.

Zmierzył odstęp rozłożonymi palcami i porównał ze skalą mapy.

– Wolałem zadzwonić, bo mam jeszcze jedną sprawę - powiedział Grady.

– Co? - spytał zdekoncentrowany Bell. Powodem jego rozkojarzenia nie były bóle głowy, które stopniowo zanikały, podobnie jak napady podwójnego widzenia. Po prostu głowił się nad sposobem zrzućcia prowizorycznej bomby głębinowej w odległości dokładnie trzydziestu metrów od brzegu.

– Co mówisz, Grady?

– Sekcja analityczna przygotowuje kompletny katalog dotyczący prohibicji, aktualizowaną na bieżąco encyklopedię szmuglerów specjalizujących się w transporcie kołowym i wodnym, gangsterów, dystrybutorów i tak dalej, łącznie z życiorysami, zdjęciami i odciskami palców.

– Dobra robota. Niech Departament Sprawiedliwości przekona się, co potrafimy.

– Tak sobie pomyślałem, że mógłbym wyskoczyć na Bahamy, sprawdzić, co nowego w branży importowo-eksportowej. Jak się na to zapatrujesz?

– Lepiej, żebyś nie wchodził Pauline w paradę.

– Ach, rzeczywiście, przecież jest tam Pauline - bąknął Grady, udając niewiniątka. - Jak ona tam sobie daje radę całkiem sama?

– Pauline doskonale radzi sobie sama... chociaż, może i masz rację. Przyda się jej zaufany łącznik. Wiesz co, pchnij do Nassau młodego Somersa. Zaraz wyślę do niej kablówkę.

„Praktykant Asa Somers jedzie do ciebie.

Bystry zawodnik ocalił skórę JVD”.

Następnie Bell zadzwonił do pracownika Służby Ochrony, któremu wcześniej kazał iść do biblioteki.

– Skocz do miasta kupić linkę.

– Jakiej długości?

– Trzydzieści jeden i pół metra.

– Trzydzieści jeden i pół?

– Te półtora metra potrzebne będzie na pętlę. Tylko uważaj, żeby dokładnie wymierzyli.

Jack Payne, detektyw ściągnięty z terenowego biura agencji w Cleveland, był podczas wojny frontowym saperem. Nad pustą zatoczką, którą Bell wypatrzył w pobliżu jachtklubu, Payne uzbroił dynamit wodoszczelnym lontem i detonatorami, dodając do każdej z dwudziestokilogramowych skrzynek po dziesięć kilo starych podków, aby szybko tonęły.

Po zmroku powiązali skrzynki w jeden ciężki pakiet i umieścili na rufie jednej z motorówek Gar Wood.

– Tak dla przypomnienia, panie Bell - powiedział detektyw Payne. - Proszę wbić sobie do głowy, że fala uderzeniowa rozchodzi się do góry tak samo, jak w dół. W momencie, kiedy zrzuci pan te skrzynie, proszę dać pełny gaz i zmiatać stamtąd lotem błyskawicy.

– Szef biura znalazł tunel - zameldowali mocno zmieszani Ellis i Clayton po przybyciu do Fortu Van Dorn.

– Przykro nam, panie Bell. Teraz targują się o wysokość łapówki za ochronę.

W odpowiedzi Bell tylko zagadkowo się uśmiechnął.

– Mówcie, co wiecie.

– Jakoś spiknęli się z burmistrzem La Salle i...

– To mnie nie obchodzi - uciął Bell. - Czy dowiedzieliście się czegoś o tunelu, czego nie opowiedzieliście mi wcześniej?

– Jest w nim więcej wody, niż z początku nam się wydawało. Dużo więcej.

– Wartownicy?

– Cała armia. Pełno ich na przystani i naprzeciwko w Ecorse. Zajęli wszystkie budynki dookoła hangaru, łącznie z tym, do którego wpadliśmy w drugiej kolejności.

– Ilu wartowników zostało w tunelu?

– W tunelu nie ma nikogo.

– To dobrze - powiedział Isaac Bell. - Trochę się obawiałem o przypadkowe, choć nie tak całkiem niewinne ofiary.

Podniósł głos, aby słyszeli go pozostali.

– W porządku, panowie, bierzmy się do roboty.

Isaac Bell posadził Eda Tobina za pulpitem sterowniczym łodzi z dynamitem. W ciemnościach syn pirata ze Staten Island, okradającego barki z węglem, powinien lepiej poradzić sobie ze sterem niż potomek bostońskich bankierów. Wydawało się, że stojące nad czarną wodą obiekty znajdują się bliżej niż w rzeczywistości. Latarnie oświetlające kanały, nabrzeża i łodzie wyglądały niemal jednakowo. Ustalenie pozycji wymagało iście szmuglerskiego oka. Bell stał przy prowizorycznej bombie głębinowej, dzierżąc w dłoniach zwój trzydziestojednopołmetrowej linki.

Pod osłoną drugiej łodzi, pełniącej funkcję patrolowca, mknęli z prądem w dół rzeki Detroit. Kiedy na trawersie pojawiło się Ecorse, Tobin skierował łódź na hangar, brzeg i światła przystani promowej. Gwałtownie przymknął przepustnicę i skręcił w stronę rzędu hangarów, wcinających się w wodę nad brzegu. Wartownicy usłyszeli, że ktoś płynie i wybiegli na pomosty.

Sześć metrów od pomostu odchodzącego od czerwonego hangaru Tobin przestawił śruby na pracę wstecz, zakręcił sterem i zwiększył obroty. Motorówka zatrzymała się niemal w miejscu, skręciła o dziewięćdziesiąt stopni i ruszyła tyłem prosto na podpory pomostu.

Isaac Bell wskoczył na rufę, opierając stopę o skrzynkę z dynamitem. Ed przestawił śruby na pracę naprzód, po czym zdławił przepustnicę. Łódź stanęła bez ruchu piętnaście centymetrów od podpory. Bell przerzucił koniec linki wokół słupa i w rekordowym czasie zawiązał na niej węzeł ratowniczy.

– Jazda!

Ed Tobin ruszył naprzód. Bell powoli wydawał linkę, pozwalając jej swobodnie prześlizgiwać się przez dłonie, i z uwagą czekał, aż wyczuje drugi

koniec. Słyszał, jak ludzie na pomoście krzyczeli, domagając się zapalenia świateł.

– Stop! - zawołał do Tobina.

Znajdowali się dokładnie trzydzieści metrów od pomostu, nad miejscem połączenia dwóch tuneli. Bell przeciął liny przytrzymujące dynamit. Wartownicy zaczęli strzelać.

Bell skrzesał płomień austriacką zapalniczką z łuski naboju karabinowego, podarowaną mu przez Pauline Grandzau. Lufy thompsonów ziały czerwonymi błyskami, których nie sposób było zapomnieć, choćby widziało się je tylko jeden raz. Tuż obok niego przemykały roje pocisków, owiewały mu twarz i odłupywały drzazgi z drewnianych skrzyń. Jedna z kul zdmuchnęła płomień zapalniczki.

Bell słyszał odgłos silników towarzyszącej im łodzi patrolowej i regularne wystrzały z karabinu, widomy znak, że Dashwood z pełnym spokojem odpowiadał na ogień prowadzony z pistoletów maszynowych. Bell raz po raz pstrykał zapalniczką, wreszcie zdołał ją uruchomić. Przytknął niebieskawy czubek płomienia do wodoszczelnego lontu, który rozpalił się, sypnąwszy snopem iskier. Stanął w rozkroku i napał ramieniem na skrzynie.

Osiemdziesiąt kilogramów dynamitu ześliznęło się z rufy łodzi i zatoneło jak kamień.

– Jazda! - krzyknął do Tobina.

Ed Tobin podkręcił maksymalnie obroty. Łódź wyrwała do przodu, ale zdołała pokonać ledwie piętnaście metrów, gdy rozległa się stłumiona eksplozja. Gejzer spienionej wody wystrzelił wysoko w górę. Towarzysząca mu fala uderzeniowa rozłupała kadłub łodzi, obaj detektywi wpadli do rzeki.

Wewnątrz tunelu osiemsetmetrowy odcinek torów przekształcono w niewyobrażalnie długą halę magazynową. Dwa niekończące się rzędy skrzynek mieszczących po dwanaście butelek whisky wznosiły się wysoko, od poziomu szyn aż po zaokrąglone sklepienie tunelu. Wąski korytarz wiódł pomiędzy ścianami ze skrzynek, ciągnącymi się od Fighting Island niemal do samego Ecorse. Miał aż sześć metrów wysokości, za to niecały metr szerokości, więc z ledwością mógł się nim przemieszczać pojedynczy człowiek.

Rzeka wtargnęła do korytarza niczym prostokątny tłok. Woda wypełniała przestrzeń pomiędzy stojącymi po obu stronach skrzynkami, wciskała się w górę pod sufit, a w dole zalewała drewniane podkłady kolejowe. Marat Zolner i Abe Weintraub walczyli o życie, uciekając przed nią w popłochu.

Na prowadzeniu znajdował się Weintraub, ale Zolner dochodził go szybko, robiąc dwa razy dłuższe kroki od dużo niższego współnika. Zamigotało oświetlenie w postaci gołych żarówek, zwisających z góry i zasilanych prądnicą z Fighting Island. Zwierzęcy strach, pchający Zolnera do ucieczki, ustąpił miejsca zwykłemu, ludzkiemu przerażeniu. Jakkolwiek potworny miał być jego los, stanie się po stokroć gorszy, jeśli ma się dopełnić w kompletnych ciemnościach.

Gonił ich hałas bardziej donośny od ryku napierającej wody, przenikliwy dźwięk pękającego szkła. Rzeka rozbijała skrzynki w drzazgi i miażdżyła dziesiątki tysięcy butelek. Nad wodą unosił się odór whisky.

Przed sobą w migotliwym świetle żarówek Zolner dostrzegł, że górne skrzynki zaczynają się poruszać. Rzeka wyprzedzała ich, przedzierając się bokami. Woda płynąca wzdłuż ścian tunelu sięgnęła najwyższej warstwy skrzynek, które zaczęły spadać z obu stron wąskiego korytarza jak głazy górskiego osuwiska i w końcu zablokowały przejście. Weintraub zwinnie jak małpa wspinał się na stertę strzaskanych desek i szkła, chcąc desperacko dostać się na sam szczyt, gdzie pod sklepieniem pozostawała jeszcze jaśniejsza światłem szczelina, szeroka na mniej niż metr, wysoka może na pół, będąca ostatnią drogą ucieczki.

Zolner skoczył za nim i w tym momencie dopadła go rzeka. Woda uderzyła go w plecy i poniosła pod sklepienie. Weintraub dotarł do szczeliny i zaczął się przez nią przeciskać. Zolner nagle znalazł się po szyję w wodzie. Pękaty korpus gangstera zablokował przejście. Zolner chwycił go za stopę i zaparłszy się nogami o stertę, pociągnął z całej siły, wyrywając gangstera z otworu, po czym sam rzucił się przezeń i przeleciał na drugą stronę.

Weintraub próbował pójść jego śladem, ale utknął ponownie i wydał z siebie przeraźliwy wrzask.

– Ratunku!

Jego ciało działało jak korek w butelce, powstrzymując napór wody. Zolner zorientował się, że gdyby nawet udało mu się go przeciągnąć, utonęliby obaj.

Ruszył pędem do prowadzącej do szybu drabiny, przymocowanej do ściany na końcu tunelu. Wspinając się po żelaznych szczeblach, obejrzał się za siebie.

Rzeka przedarła się przez tamę. Abe Weintraub śmignął na sam koniec tunelu, niesiony wraz z połamanymi skrzynkami na grzbiecie fał i, która z impetem rzuciła go na żeliwną ścianę. Woda sięgnęła Zolnerowi do piersi. Wyrwał się z jej objęć, wspiał się do góry i wydostał się przez szyb na powierzchnię. Przy przeciwnym brzegu rzeki ujrzał szybko poruszającą się smugę światła szperacza motorówki, przeszywającą mrok nad powierzchnią czarnej wody.

– Isaac!

– Panie Bell!

– Ed! Gdzie jesteście?

W kręgu światła szperacza detektywi z łodzi patrolowej ujrzeli leżący na burcie roztrzaskany kadłub tonącej motorówki. Wrak obracał się powoli, potem coraz szybciej i szybciej, aż został wciągnięty przez potężny wir. Na rzece powstał wirujący krater w miejscu, gdzie miliony ton wody wdzierały się do tunelu.

– Isaac!

– Tu jesteśmy! - krzyknął Bell. - Za wami!

Początkowo prąd rzeki pomógł mu i Tobinowi oddalić się od wraku, ale teraz wir ściągał ich z powrotem.

Ryknęły silniki i po chwili łódź zatrzymała się tuż obok nich. Silne ramiona kolegów wyciągnęły ich z wody w chwili, gdy ostatnie szczątki zniszczonej motorówki zniknęły pod powierzchnią.

Roześmiany od ucha do ucha Isaac Bell stwierdził z udawanym żalem:

– Nie będę już mile widziany w tym jachtklubie.

Część 4

HURAGAN

31.

Palmy szumiały na wietrze, zieleniło się morze, a nad wszystkim królował błękit bezchmurnego nieba. Kieliszki zmrożonego daiquiri pokrywała rosa, jak ostatni szlif, jak warstwa werniksu, którą malarz dopełnił obraz wyśnionego popołudnia w tropikalnym Nassau.

Niespodziewanie piękny sen zamienił się w koszmar.

Pauline Grandzau zadbała o każdy najdrobniejszy szczegół, wchodząc w rolę energicznej kobiety interesu, która subtelnie walczy z męskimi uprzedzeniami, że handel alkoholem to nie jest zajęcie „dla spódniczek”. Czekwała właśnie na dostawę partii żytniej whisky z firmy w Glasgow, której była przedstawicielem. Rynek był zavalony scotchem, a Amerykanie przepadali za swoim „żytkiem”. Teraz musiała znaleźć kupca.

– Tymczasem robię jak najwięcej szumu, aby przekonać kupców, że dostawa dotrze już wkrótce i będzie to prawdziwy rarytas, co powinno podbić cenę.

– Czy pośród twoich kupców są szmuglerzy?

– Wyłącznie! Towar od razu trafia na Rumową Linie.

Wyglądało na to, że Fern Hawley, siedząca po przeciwnej stronie małego, okrągłego stolika, połknęła zarzuconą na przynętę bajeczkę wraz z haczykiem, linką i ciężarkiem. Udająca sprzedawcę alkoholu kobieta detektyw z Agencji Van Dorn i udająca beztroską amerykańską turystkę przyjaciółka Marata Zolnera miały wkrótce zostać, jak to określiła Fern, „serdecznymi kumpelami”.

Wcześniej weszły na wieżę widokową na dachu hotelu, skąd przedstawiciele handlowi branży alkoholowej obserwowali ciemnogrnatowe morze, wyglądając swoich statków, oraz podziwiali parowy jacht Fern, największy spośród kotwiczących na turkusowych wodach zatoki. Teraz siedziały w patio pod królewskimi palmami, wokół bezustannie krzątali się szulerzy, drobni cwaniacy, bankierzy i gangsterzy, a one sączyły kolejne daiquiri.

I właśnie wtedy, gdy Pauline zdołała sprowadzić rozmowę z Fern na temat handlu alkoholem - legalnym w tej kolonii brytyjskiej, legalnym na pełnym morzu, legalnym na statkach Rumowej Linii, ale nielegalnym na terytorium Stanów Zjednoczonych - w hotelu Lucerne, który dzięki prohibicji stał się miejscem niekończącej się zabawy, musiał pojawić się jedyny na całych Bahamach osobnik, który wiedział, że jest ona detektywem Agencji Van Dorn.

Druh Josepha Van Dorna z najdawniejszych czasów, którego Isaac Bell przedstawił jej w szpitalu Bellevue, zauważył ją natychmiast i pozdrowił gestem dłoni.

- Kapitan Novicki! - wypaliła, zrywając się na równe nogi i usiłując wysłać mu wzrokiem alarmujące sygnały.

Dave Novicki, krzepki jak dąb i prostoduszny jak manat, doszlusował do ich stolika.

Pauline powitała go lawiną słów, nie chcąc dopuścić do tego, aby się wygadał.

- Co za niespodzianka, nie przypuszczałam, że pana tu spotkam. Sądziłam, że wyszedł pan już w morze. Pozwoli pan, że mu przedstawię moją przyjaciółkę, pannę Fern Hawley z Nowego Jorku. Właśnie przyплыnęła jachtem, musiał go pan widzieć w porcie z pokładu swojego statku. - Wzięła oddech i zwróciła się do Fern. - Pan kapitan Novicki jest dowódcą szkunera, który dostarcza mojej firmie rum, bodajże z Hispanioli, czyż nie tak, kapitanie? Zdaje się, że następna dostawa będzie z Jamajki.

Novicki lekko zbaraniał i wyraźnie chciał coś powiedzieć, co raczej nie byłoby dla niej najlepsze.

Pauline wyciągnęła rękę. Novicki ujął jej dłoń, a wtedy ona ścisnęła jego twardą prawicę z całej siły i, mając nadzieję, że nie zabrzmi to zbyt histerycznie, powiedziała ze śmiechem:

- A może popłynie pan aż do Anglii, aby przywieźć mi trochę dżinu?

Novicki popatrzył na jej rękę, a potem spojrzał jej prosto w oczy.

Kapitanowie statków muszą być czujni, pomyślała. I niezwykle spostrzegawczy. Zapewne...

Novicki w końcu się odezwał.

- Nie wiem, czy mój staruszek doczłapałby się aż do Anglii, ale zaryzykowałbym, moja droga, gdyby istotnie potrzebowała pani dżinu. W

rzeczy samej - dodał, rozkręcając się - chętnie pozełgowałbym dookoła Hornu, aby sprowadzić dla pani chilijskie wina, albo na drugą stronę Pacyfiku, po japońską sake.

Skończywszy, Novicki uściskał lekko rękę Pauline, puścił ją i chwycił dłoń Fern. Z zachwytem omiótł wzrokiem jej piękną twarz, a kiedy pełen zaskoczenia, nagły wdech Fern zdradził mu, że skupiła na nim swą uwagę, powiedział:

– Miło mi panią poznać, panno Hawley. Jak nazywa się jacht, którym pani przyплыnęła?

– „Maya”.

– Ach tak, widziałem, jak wchodzi do portu. Zgrabny parowiec. Bije na głowę te wszystkie nowomodne diesle. Pragnę jednak panią przestrzec, że rozmawiając o interesach z tą oto młodą damą - tu poklepał Pauline po ramieniu - trzeba się dobrze pilnować, aby nie pójść z torbami.

– My tylko popijamy sobie daiquiri - zaproponowała Pauline. - Nie chodzi o żadne interesy. Dopiero co poznałyśmy się w porcie.

– Jestem zwyczajną turystką - powiedziała Fern. - Zechce nam pan towarzyszyć?

Novicki sprawiał wrażenie kogoś, kto z wielką chęcią spędziłby popołudnie, popijając daiquiri z dwoma pięknymi kobietami. Pauline rzuciła mu spojrzenie mówiące: Nie, nie, tylko nie to!

– Dziękuję paniom za zaproszenie, panno Hawley... Pauline - skłonił się. - O niczym innym nie marzę. Jednak nie podoba mi się wygląd nieba. Wolałbym jak najszybciej znaleźć się na głębszej wodzie.

Pożegnał się i korzystając z chwili, kiedy Fern odwróciła się, by wezwać kelnera, obdarzył Pauline ponurym uśmiechem.

Fern odprowadziła go wzrokiem.

– Widziałaś, co on robił?

– O co ci chodzi?

– Flirtował ze mną!

– Mam go zawołać?

Fern wybuchnęła śmiechem.

– Ależ nie. Jest o wiele za stary.

– Czyżby?

– No dobrze, z łóżka bym go nie wyrzuciła. Ale i tak już za późno. Poszedł na swój statek.

Pauline wzruszyła ramionami.

– Wiem o nim tylko tyle, że jest najsympatyczniejszym szmuglerem, jakiego znam. Przeważają wśród nich aroganci.

Pociągnęła łyk z kieliszka. Fern popatrzyła w górę, poprzez pierzaste liście palm.

– Nie widzę niczego niepokojącego na niebie.

– Wygląda cudownie - stwierdziła Pauline. - Ale może to za sprawą daiquiri. O, znów mam pusty kieliszek.

– Dałam już znać kelnerowi. O, już są... To za co wypijemy? Za nowych przyjaciół? Wprost trudno uwierzyć, że tak niedawno wpadłyśmy na siebie i nagle mówimy sobie takie rzeczy, jakbyśmy były najlepszymi przyjaciółkami.

– Za nowych przyjaciół i za starych przyjaciół - powiedziała Pauline, trącąc się kieliszkiem z Fern. - I za sympatycznych szmuglerów.

– Pozwól, że tobie zostawię tych, którzy przemycają wódkę drogą morską. Mnie bardziej podobają się ci preferujący transport drogowy.

– Oni też bywają arogancy, nieprawdaż?

– Czasami... Czasami trafiają się wśród nich prawdziwe gnidy. A czasem są wrażliwi jak mimoza.

– Jak można ich od siebie odróżnić?

– Niestety nie da się. Aż do momentu, kiedy jest już za późno.

32.

Isaac Bell wciągnął do płuc przyprawiającą o zawrót głowy mieszankę świeżej farby, nieprzepracowanego oleju i benzyny, jaką pachniała jego nowiutka superszybka łódź motorowa. Była piękna, jej smukły szary kadłub wydawał się unosić ponad wodami zatoki Biscayne. Trącił lekko dźwignie przepustnic, potężne silniki zatętniły życiem. Kiedy włączył tłumiki, łódź sunęła niemal bezgłośnie.

Z motorówki biura prohibicji, która podpłynęła z boku, zasygnalizowano, aby się zatrzymał. Bell pomachał im na pożegnanie. Odłączył tłumiki, pchnął przepustnicę i zostawił w tyle agentów skarbowki, podskakujących na wysokiej fali potężnego śladu torowego.

Mknął jak strzała wokół zatoki Biscayne, co jakiś czas obracając kołem sterowym, aby wyciąć ósemkę obok toru wodnego wyznaczonego dla hydroplanów, pod obwieszonym pasiastymi markizami, wysokim hotelem McAllister, koło jachtklubu i nabrzeży, odchodzących od bulwaru Biscayne i wrzynających się w morze, przy których rozładowywano całą flotę szkunerów do przewozu tarcicy, zaopatrujących budowlaną koniunkturę drewnem z cyprysów i żółtych sosen. Pośrodku zatoki, naprzeciw ujścia rzeki Miami, wyznaczono bojami tor wyścigowy dla łodzi motorowych. Isaac Bell ustanowił nieoficjalny rekord trzymilowej pętli, pokonując ją ze średnią prędkością stu kilometrów na godzinę.

Lynch & Harding mogli być z siebie dumni. Łódź sprawowała się jak marzenie.

Bell okrążył długi, pasażerski frachtowiec z Baltimore, przekazujący podróżnych na łodzie portowe. Ze wschodu nadlatywał hydroplan. Bell zrównał się z maszyną i towarzyszył jej podczas wodowania. Potem przyspieszył i ruszył ku otwartemu morzu, przepłynął pod groblą, po której biegła droga łącząca centrum Miami z Miami Beach, i skierował dziób prosto na Government Cut na południowym końcu zatoki. Z rykiem silników pracujących na pełnych obrotach przebył kanał żeglugowy i pomknął wzdłuż wybrzeża Atlantyku.

Na oceanicznej fali łódź zachowywała się doskonale. Minawszy nadbrzeżne osady, płynął wzdłuż brzegu porośniętego gęstą dżunglą, poprzecinaną co rusz świeżymi szramami wycinki i prac budowlanych. Z mangrowych moczarów wyskoczyła ciemna łódź i ruszyła za nim w pościg. Bell zwolnił i pozwolił jej podejść bliżej. Trzej mężczyźni z rewolwerami przy biodrach przyglądali mu się taksująco. Jeśli miał jakiegokolwiek wątpliwości co do ich bandyckiej profesji, to zniknęły one w chwili, gdy sięgnęli po broń.

Bell pociągnął za dźwignię umieszczoną w dogodnym miejscu kokpitu. Na fordeku otworzył się właz, z którego wysunął się zamocowany obrotowo lewis z tylcem w zasięgu ręki. Łódź z bandytami odskoczyła w bok, zawróciła i pomknęła z powrotem na bagna.

Bell zatoczył szeroki luk, przeleciał jak burza przez kanał Government Cut, a potem wzdłuż białych plaż Miami Beach. Wykręcił jeszcze jedną ósemkę, specjalnie dla plażowiczów zażywających kąpieli. Potem wyskoczył na środek zatoki Biscayne, by wreszcie, po ściągnięciu na „Marion” uwagi połowy Florydy, wrócić do portu.

Na kei zgromadziły się rzesze turystów, wodniaków i gości hotelowych. Bell po kawaleryjsku dobił do pomostu, z ogłuszającym hukiem silników pracujących wstecz, spienioną wodą spod śrub i płomieniami buchającymi z rur wydechowych.

– Tak się zastanawiam, do czego będzie pan używał tej łodzi? - powiedział jeden z gapiów z silnym południowym akcentem, po czym zarechotał, dając wszystkim do zrozumienia, że chodzi o szmugiel.

– Zamierzam zbić fortunę dzięki nagrodom za wygrane wyścigi - odparł Isaac Bell.

– To bajeczka dobra dla „suchych”.

– Chce się pan założyć? Właśnie szukam współzawodników.

– A kto się zechce z panem ścigać? To bardziej przypomina samolot, a nie łódź.

– Słyszałem o dużej czarnej łodzi, której właściciel uważa się za niezwycięzonego. Ciekawe, czy tylko tak gada, czy też odważy się stanąć do walki.

– Gdzie on jest?

– Zaszył się gdzieś, kiedy usłyszał, że tu jestem. - Bell zaśmiał się. - W rzeczy samej, zapłacę tysiąc dolarów temu, kto powie mi, gdzie go można znaleźć.

– Tysiąc dolarów?

– Powiedzmy, że to znaleźne. Albo, jak kto woli, nagroda. Zamierzam go wyzwać.

– Niech pan pokaże pieniądze.

Isaac Bell wyciągnął zwitek banknotów z kieszeni białych drelichowych spodni i błysnął wszystkim w oczy tysiąc dolarowym nominałem, dość popularnym pośród największych szmuglerów na Florydzie.

– Powiedzcie swoim przyjaciołom. Niech też popróbują szczęścia.

Lekkim uniesieniem kapitańskiej czapki uklonił się uprzejmie damom, po czym ruszył niespiesznie chodnikiem, aby na widoku publicznym zjeść lunch na werandzie, podczas gdy wieść o możliwości zarobienia tysiąca dolarów rozchodziła się lotem błyskawicy. Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy na drodze stanęła mu piękna blondynka w wielkim kapeluszu i ciemnych okularach, ubrana w białą, obcisłą sukienkę, która dzięki morskiej bryzie jeszcze bardziej uwydatniała jej szczupłą figurę.

Marat Zolner skierował lornetkę na keję hotelu McAllister.

Cumowała przy niej długa, szara motorówka. Jej opływowy kadłub, w którym czuło się moc, przypominał schwytanego w niewolę rekina. Z apartamentu na najwyższym piętrze, dziesięć kondygnacji nad zatoką Biscayne, Zolner widział wcześniej, jak mknęła przez kanał Government Cut z prędkością stu kilometrów na godzinę, przecięła zatokę i dobiła do brzegu u stóp hotelu. Nie był zbyt zaskoczony, kiedy z jej kokpitu wyskoczył na keję Isaac Bell, główny śledczy Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

Od ostrego jak brzytwa dziobu po krzepką rufę, jej kształty zdradzały bliskie pokrewieństwo do „Czarnego Ptaka”, także zbudowanego w stoczni Lynch & Harding. Teraz już wiedział na pewno, że Isaac Bell jest niepowstrzymany.

Agent Kominternu miał zbyt mało czasu na próżne żale, ale na krótką chwilę oddał się rozważaniom, jak wyglądałaby teraz sytuacja, gdyby nie postrzelił Josepha Van Dorna. Gdyby nie to przypadkowe zdarzenie, zbieg okoliczności, który sprawił, że człowiek obsługujący karabin maszynowy na kutrze Straży Przybrzeżnej nie był zwykłym marynarzem, nikt nie odkryłby jego planu aż do chwili, gdy byłoby już za późno na jego powstrzymanie. To przez niefortunne zrządzenie losu Isaac Bell co chwilę ciska mu kłody pod nogi i nic nie wskazuje na to, aby miał przestać to robić.

Wysoki detektyw wynagrodził chłopców z przystani za zawiązanie cum na pachołkach - i to hojnie, wywnioskował Zolner, widząc, jak wyrażają wdzięczność i gną się w ukłonach - a potem wdał się w wesołą rozmowę z ludźmi zgromadzonymi na nabrzeżu. Nagle jakaś dziewczyna chwyciła go za rękę. Smukła i jasnowłosa, ale nie była to jego żona.

Zolner pamiętał, że Marion Bell była wyższa. Ta dziewczyna była nieduża. Nie mógł dostrzec jej twarzy, skrytej pod kapeluszem i za okularami

przeciwsłonecznymi, ale widział, że zachowuje się jak kobieta przyzwyczajona do bycia podziwianą.

– Co tak przykuło waszą uwagę, towarzyszu? - spytała kobieta, która wezwała go do tego apartamentu.

Była kurierką Kominternu, zdeklarowaną włoską komunistką, która sypiała z kimś z bezpośredniego otoczenia Lenina. Moskwa darzyła ją tak ogromnym zaufaniem, że mogła sobie pozwolić na najdroższe hotele i swobodne wyrażanie własnego zdania.

– Nic takiego, po prostu ładna dziewczyna.

– Nie sądzę - odrzekła kurierka. - Widzę prawdziwą furię na waszej twarzy. Jesteście tak wściekli, że moglibyście zabić.

Zolner odniósł wrażenie, że Bell i ta dziewczyna nie są sobie obcy. Kolegują się, pomyślał, sądząc po pewnej zażyłości, z jaką się do siebie odnosili. Może są kochankami, ale raczej nie. To jego koleżanka z pracy. Kolejny detektyw od Van Dorna.

– Błędnie interpretujecie wyraz mojej twarzy - wyjaśnił kurierce. - Jestem tak szczęśliwy, że mógłbym zabić.

– Przejdźmy do rzeczy, towarzyszu. Wasz raport.

Zwykli kurierzy nie żądali raportów. Moskwa zareagowała szybciej, niż przewidywał, przysyłając ją w miejsce Jurija Antipowa. Ta Włoszka z długimi jak u dziewicy, czarnymi włosami i lodowatym spojrzeniem kata miała z ramienia Kominternu kontrolować jego rewolucyjną działalność w Ameryce.

– Chwileczkę - powiedział, chwytając bez pozwolenia za telefon. Podał centrali numer baru w pewnym hotelu na East Flagler i zaczął wydawać niezrozumiałe rozkazy gangsterowi, z którym się połączył. Gdy skończył, odłożył słuchawkę i spytał wysłanniczkę Moskwy:

– Czy jesteście gotowa wysłuchać mojego raportu?

Isaac Bell był bardzo zaskoczony, widząc Pauline w Miami. Najwyraźniej przyleciała na pokładzie hydroplanu, którego wodowanie niedawno oglądał.

– Zrobiłeś niezgorsze przedstawienie - powiedziała z podziwem na powitanie.

– Nie spodziewam się, aby Marat Zolner przyjął wyzwanie i zechciał wystawić „Czarnego Ptaka” do wyścigu. Natomiast tysiąc dolarowa nagroda powinna poskutkować, o ile znajdzie się ktoś, kto wie, gdzie trzyma łódź.

– Mam nadzieję, że zaprosisz mnie na przejażdżkę.

– Nie powinniśmy pokazywać się razem, Pauline. Towarzysze Zolnera mogą mnie obserwować.

– Przepraszam. Powinnam wysłać ci meldunek telegramem. Źle zrhobiłam... - Jej niemal niedostrzegalny niemiecki akcent nagle stał się całkiem wyraźny. - Po prostu zapragnęłam tu przyjechać. W ostatniej chwili. Jakiś impuls...

Bell nigdy dotąd nie widział jej zdenerwowanej, nawet wówczas, kiedy była jeszcze młodziutką dziewczyną. Nigdy też nie zauważył, aby wyglądała tak pięknie jak dziś. Dopiero po chwili zorientował się, że ubrana jest z wyszukany smakiem i ogromną, nawet jak dla niej, dbałością o szczegóły, a szminek miała nałożoną jakby ręką artysty. W dodatku zmieniła uczesanie z fryzury „na chłopczyce”, w której ją widział w Nowym Jorku, na stylowe, falujące loki.

– Udało ci się rozgryźć Fern?

– Fern Hawley jest głęboko nieszczęśliwa - powiedziała Pauline. - Zdaje się, że Zolner bardzo ją czymś rozczarował.

– To samo powiedziała Marion. Że się na nim zawiodła.

– Punkt dla Marion.

– Domyślasz się, co było przyczyną?

– Nie. Zawsze, gdy próbowałam podejmować ten temat, zamykała się za żelaznymi drzwiami.

– Czy widzisz możliwość zwrócenia jej przeciwko Zolnerowi?

– Ja nie mam żadnej. Ty miałbyś większe szanse.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Lubi mężczyzn. Zwłaszcza przystojnych oraz takich, którzy wyróżniają się z tłumu. Tak naprawdę to jest przekonana, że tacy mężczyźni jej się należą.

– Rozumiem, że jej nie lubisz.

Pauline odzyskała już swobodę bycia.

– Tego nie powiedziałam i nie było moją intencją, aby tak to wyglądało. To kobieta, która przez całe swoje życie niczego nie robiła. Gdyby okoliczności zmusiły ją do tego, mogłaby zabłysnąć. Na pewno tego pragnie.

– Wracaj do Nassau - powiedział Bell. - Przyjadę tam, jak tylko będę mógł.

– Fern jest na swoim jachcie. Może odpłynąć w każdej chwili.

– Postaram się pojawić tam jak najszybciej.

Mimo zniweczenia, a przynajmniej spowolnienia działalności Zolnera w Detroit Bell miał świadomość, że czas nie stoi w miejscu. Nie mógł dopuścić, aby agent Kominternu przeprowadził na Florydzie to, co udało mu się w Nowym Jorku.

– Dobrze, w takim razie odmeldowuję się - powiedziała dziarsko Pauline.

– A jak układa ci się współpraca z młodym Somersem?

– To bardzo rozgarnięty chłopak. Mogłam bez obaw zostawić biuro pod jego opieką.

– Doskonale - ucieszył się Bell. - Tak myślałem, że ci się spodoba.

Marat Zolner wiedział, że Moskwa nie pogodzi się tak szybko ze śmiercią jego nowej nadzorczyń, jak w przypadku Jurija. Nie mógł jej zabić od razu. Nie miał wyboru, musiał udawać, że się jej podporządkowuje. Powiedział więc:

– Mogę zameldować, że sprawy mają się doskonale. Wszystko pod kontrolą.

– Nie odniosłam takiego wrażenia. Moskwa też nie.

– Powiem wam to samo, co Jurijowi Antipowowi, zanim zginął. Mój plan to najlepsza, praktycznie jedyna możliwa strategia przeniknięcia do Stanów Zjednoczonych i obalenia rządu.

– Moskwa przyjmuje to do wiadomości. Co więcej, Moskwa zgadza się, że Ameryka to wyjątkowy problem, który wymaga zastosowania specjalnej strategii.

– Naprawdę? - zdumiał się Zolner. - Czyżby w kierownictwie doszło do kilku zmian personalnych?

– To nieistotne. Ważniejsze jest to, że nie zdołaliście zrealizować założeń waszej strategii w Detroit.

– Drobną wpadką.

– Utratę zapasów alkoholu o wartości milionów dolarów nazywacie wpadką?

Towarzysze z Kanady musieli go sypanąć.

– To niefortunna strata - przyznał Zolner. - Ale do odrobienia.

– A utonięcie waszego najwierniejszego sojusznika?

Niczego nie udało się utrzymać w tajemnicy.

– Takich jak Weintraub mogę mieć na pęczki. Detroit to niewyczerpane źródło żądnych władzy gangsterów. Da się go łatwo kimś zastąpić.

Następne pytanie było jak jedwabiste pchnięcie sztyletu Jurija.

– Waszego nowojorskiego maklera też kimś zastąpicie?

Zolner nie dał po sobie poznać wstrząsu, jakiego doznał. Nie docenił długich macek Kominternu. Wyglądało na to, że kiedy on z Jurijem szykowali zamach na Wall Street, jakaś inna komórka Kominternu zdołała zinfiltrować giełdę. W pierwszej chwili pomyślał, że przekabacili jakiegoś zawistnego, źle wynagradzanego pracownika banku. Ale równie dobrze mógł to być ktoś wyżej postawiony, z banku lub biura maklerskiego, jakiś dobrze sytuowany romantyk, „służący dla sprawy” jak Fern Hawley. Na pewno nie chodziło o Newtowna Stormsa. On nie miał w sobie ani krztyny romantyzmu. W każdym razie był to ktoś z dostępem do zakulisowej wiedzy, zgodnie z najlepszą tradycją Wall Street.

– O czym wy mówicie? - spytał z udawanym zdumieniem.

– Doprowadziliście do ogromnych strat na amerykańskim rynku giełdowym.

– Z całym szacunkiem, towarzyszeko. Nie mam pojęcia, skąd o tym wiecie, ale wasze informacje, choć prawdziwe, są jednak niezbyt aktualne. Rynek podlega ciągłym zmianom. Po stratach przychodzą zyski. Zgodnie z naturą kapitalizmu...

Nie pozwoliła mu dokończyć zdania.

– Strata milionów na alkoholu. Śmierć najbardziej oddanego sprzymierzeńca w Detroit. Nietrafione inwestycje na giełdzie. Towarzyszu, z kogo chcecie zrobić idiotów? Wszystkie wasze dotychczasowe usiłowania spełzły na niczym. Wkrótce zapewne zapukacie do naszych drzwi, błagając o pieniądze.

Tym razem musiał ukryć ulgę, wielką ulgę. A więc nie wiedzieli, co kryło się za stratami poniesionymi na giełdzie.

– O nic nie będę prosił. Nie potrzebuję ani kopiejki.

– Nie chce mi się w to wierzyć. Jak wybrniecie z tej sytuacji?

– Posprzątam teren i zacznę od nowa.

– Co wy wygadujecie? Jaki teren?

– Tak się mówi, towarzyszeko. To znaczy, że przystąpię do dalszej budowy naszej siatki, jak tylko pozbędę się przeszkód, leżących na mojej drodze.

– Darujcie sobie eufemizmy, towarzyszu. Kogo zamierzacie zabić?

– Pewnego człowieka, który mi zawadza.

– Isaaca Bella?

Zolner wpadł w przesadny zachwyty.

– Podziwiam waszą inteligencję, towarzyszeko.

Idiotka. Przecież to jasne, że chodziło o Bella.

– Macie na to dwadzieścia cztery godziny.

Zolner pokręcił głową.

– O nie, nie zgadzam się. Nie zamierzam ryzykować powodzenia całej operacji, starając się dotrzymać jakiegoś sztucznie wyznaczonego terminu.

– Ten termin to nie dla was, towarzyszu. Moskwa wyznaczyła go mnie.

– Czego dotyczy?

– Mam was odstawić do domu.

– Do domu?

– Zostaliście odwołani.

33.

Kiedy Marat Zolner poderwał się i wyprostował jak struna, włoska kurierka pomyślała, że pogłoski o balecie musiały być prawdziwe. Jego elegancka postura zdradzała niezbiecie, że jako dziecko, gdzieś na odległej prowincji carskiej Rosji, Marat Zolner uczęszczał na lekcje baletu. Wyniośle, jakby pochodził z arystokracji, którą przecież oboje gardzili, popatrzył na nią z góry i powiedział:

– Wiem, że Komintern żąda całkowitego posłuszeństwa.

– Dobrze, że o tym pamiętacie.

– Absolutne i natychmiastowe posłuszeństwo sprawia, że jesteśmy silni. Bez względu na to, czy wynika ono z wiary w rewolucję, z lojalności wobec

mateczki Rosji - bo prowadzimy naszą walkę za granicą po to, by powstrzymać międzynarodową burżuazję od napaści na ojczyznę osłabioną przez wojnę domową - czy ze strachu.

– Nie obchodzą mnie motywy waszego działania - powiedziała.

Zauważyła, że leciutko opadły mu ramiona. Wydało jej się, że widzi, jak opuszcza go jego niezłomny duch. Odwrócił się do okna i patrzył w dal, na zatokę i granatowy bezmiar oceanu. Otworzył okno, przesuwając w górę dolną szybę z gracją, która ozdabiała każdy jego ruch. Nagle ogarnęło ją dziwne wrażenie, że woli rzucić się z dziesiątego piętra na plażę, niż wrócić do Moskwy.

– Chyba nie zamierzacie popełnić samobójstwa.

Marat Zolner odwrócił się twarzą do niej. Samobójstwa? - pomyślał. A niby dlaczego miałbym popełnić samobójstwo? Jestem bogaty, mam władzę i wielkie plany. Kłopoty przeminą. Przyszłość należy do mnie.

– Nie wracam z wami - powiedział.

Zawołała podniesionym głosem:

– Gregor!

Potęźnie zbudowany Rosjanin, niemal dorównujący Zolnerowi wzrostem, pojawił się w drzwiach prowadzących do sąsiedniego apartamentu. Sposób, w jaki trzymał rewolwer typu Nagant, świadczył o tym, że potrafi się nim posługiwać. Wskazał okolice ramienia Zolnera i powiedział po rosyjsku:

– Odłóżcie swoją broń na stół, towarzyszu.

Zolner powoli rozpiął marynarkę. Wyciągnął pistolet z kabury, trzymając go za kolbę, i położył na stole. Udawał przerażonego, ale utrata pistoletu wcale go nie zmartwiła. Nosił go głównie na pokaz, zawsze wolał walkę w bezpośrednim dystansie.

– Ma pałkę w tylnej lewej kieszeni spodni - powiedziała kurierka.

– Połóż ją na stole.

Nie miał wyboru. Wyciągnął pałkę i położył obok pistoletu.

– Podejdź bliżej - rozkazał Gregor.

Marat Zolner wiedział, co się stanie. Sam tak obezwładniał niejednego aresztowanego. Gregor unieruchomił go mocnym chwytem za rękę, a lufą naganta uderzył go w nos. Przysunął się nieco bliżej, wpatrując się jak zahipnotyzowany w rewolwer, prawa stopa w przód, lewa stopa w przód.

Gregor cofnął nieco rękę z nagantem, szykując się do zadania ciosu. Prawa stopa w przód, lewa stopa w górę, pod sufit - idealne zgranie masy, impetu i równowagi - kopie Gregora w szczękę.

Chwycił upadający rewolwer, przycisnął lufę do piersi chwiejącego się mężczyzny i szarpnął twardy spust. Nagant z osłoniętym bębenkiem wypalił znacznie ciszej od zwykłego rewolweru, a potężne cielsko Gregora dodatkowo stłumiło huk wystrzału.

Kurierka, tak samo jak on, była nieustraszona.

– I co teraz zrobisz? - spytała z pogardą.

– Jeśli wrócę, to tylko jako bohater - odparł.

– Bohater? Przez resztę swojego krótkiego życia będziesz uciekał przed nami i amerykańską policją.

– To ciebie oskarżą o zabicie go.

– Kto w to uwierzy?

– Zastrześliś potajemnego kochanka i wyskoczyłaś przez okno.

Próbowała uciec. Żołnier dopadł ją bez trudności i wyrzucił przez otwarte wcześniej okno.

Isaac Bell usłyszał krzyk kobiety.

Stała na nabrzeżu, w tłumie gapiów podziwiających jego łódź, i uniesioną w górę ręką pokazywała gdzieś wysoko na ścianę hotelu. Bell ujrzał ludzką postać w powietrzu obok budynku. Kobieta z długimi, ciemnymi włosami spadała w dół, mijając kolejne okna. Więcej ludzi zaczęło krzyczeć, jeszcze zanim uderzyła w balustradę balkonu na trzecim piętrze z głuchym odgłosem, który Bell usłyszał na końcu kei. Odbiła się i ostatnie dwa piętra pokonała, koziołkując w szalonej karuzeli rąk i nóg, aby wreszcie znieruchomieć na piasku.

Drewniane molo zadrżało pod stopami gapiów, którzy rzucili się biegiem, by zobaczyć trupa.

Bell przyglądał się temu z pokładu łodzi. Okno na najwyższym piętrze było otwarte, dziesięć kondygnacji od ziemi, siedem od balkonu, w który uderzyło ciało. Żaden człowiek nie przeżyłby takiego upadku.

– Wypadła tyłem - powiedział jakiś męski głos, dobiegający znad samej wody.

Bell spojrział w tym kierunku i zobaczył skiff z wielkim motorem, przycumowany tuż za jego rufą. Opalony mieszkaniec Florydy w średnim wieku zerkał na niego z dołu.

– Widział pan?

– No. Akurat patrzyłem w górę, kiedy wypadła. Tyłem.

– Powinien pan powiedzieć to policji.

– Tylko że ja nie rozmawiam z policją.

– Jeśli był pan świadkiem przestępstwa, powinien pan to zgłosić.

– Prawo nie zakazuje wypadania z okna tyłem. Zresztą nie mam czasu na pogaduszki z policją. Jestem tu, żeby porozmawiać z panem.

– O czym?

– O tym tysiącu dolarów, który podobno ma pan zapłacić za znalezienie dużej, czarnej łodzi.

34.

Trzy dni spędzone na Florydzie przekonały Bella, że Miami jest rosnącym siedliskiem pyszałków, efekciarzy i blagierów.

Przynajmniej ten gość, wyciągający rękę po nagrodę, nie należał do przeważającej większości mieszkańców, którzy dopiero co tu przybyli i opowiadali niestworzone historie o swojej przeszłości. Pobrużdżona twarz, brezentowy kapelusz, znoszona koszula i mała łódka z ogromnym silnikiem świadczyły niezbicie, że większość życia spędził na poławianiu ryb i krabów, a teraz znalazł sobie nowe zajęcie, polegające na rozwożeniu whisky z Bimini po rzekach i terenach zalewowych Florydy, które znał równie dobrze, jak przodkowie Darbee'ego i Tobina znali Zatokę Nowojorską.

– Widział pan ją? - spytał Bell.

– No.

– Jak wyglądała?

– Jest czarna.

– Może coś więcej?

– Jest duża.

– Jak na razie nie powiedział pan nic, czego nie wiedziałby ten tłum na nabrzeżu.

– Szybka jak błyskawica.

– To też nietrudno wymyślić, skoro chcę się z nią ścigać.

– Ma na dziobie wielki, stary szperacz, prawie tak duży jak pański.

– Szperacze to zwykła rzecz na takich łodziach. A czy ma drugi na rufie, tak jak moja?

– Nie - odpowiedział zapytany, wzbudzając zainteresowanie Bella.

– Co jeszcze?

– Ma kilka motorów.

– Ile?

– Trudno powiedzieć. Co najmniej trzy, ale możliwe, że jeszcze jeden. Zapasowy, albo co. W każdym razie widać coś z tyłu, co może być motorem.

– Jak się pan nazywa?

– A po co to panu?

– Chcę wiedzieć, jak nazywa się gość, któremu mam wręczyć tysiąc dolarów. Jeśli uznam, że mu się należy.

– Jak się nazywam? - Mężczyzna popatrzył nerwowo na hotel, pod którym w tłumie widać było policjantów, krzątających się wokół zwłok. - Może mnie pan nazywać Kapitanem.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej, Kapitanie.

– Nocą strzela płomieniami pod samo niebo.

– Tak samo jak moja. To normalne dla silników liberty z prostymi rurami wydechowymi. Gdzie pan ją widział?

– Odpowiedziałem już na wiele pańskich pytań, ale wciąż nie widzę pieniędzy.

Bell przechylił się przez rufę i popatrzył mu prosto w twarz.

– Zobacz pan pieniądze, kiedy ja zobaczę tę łódź.

– Wyłączyła zeszłej nocy - powiedział Kapitan. - I poprzedniej też. Chce pan zobaczyć ją dzisiaj?

Trzy noce z rzędu „Czarny Ptak” wypływał na Bimini po ładunek żytniej whisky. Ani razu jednak nie dotarł do miejsca przeznaczenia, za to mniej więcej w połowie drogi napadał na inne przemytnicze łodzie. Tej nocy miał nawet nie opuścić zatoki. Tej nocy płynął na wojnę.

Czarna łódź z Zolnerem u steru i wytłumionymi silnikami wysunęła się rufą naprzód ze swej kryjówki pomiędzy dwoma z kilkudziesięciu pięciomasztowych szkunerów do przewozu tarcicy, których bukszpryty sterczały w stronę bulwaru Biscayne. Oba statki, niczym niewyróżniające się spośród innych cumujących w tym miejscu, zostały zakupione przez Komintern i wykorzystywane były jako pływające magazyny alkoholu.

„Czarny Ptak” sunął cicho wzdłuż plaży przylegającej do bulwaru, a po przebyciu dwóch mil morskich skierował się na południe. Minał hotel McAllister, zwieńczony stojącą na dachu podświetloną tablicą, i wpłynął w wąskie ujście Miami River.

Isaac Bell pomyślał po raz kolejny, że Kapitan wyprowadził go w pole. Wraz z Dashwoodem i Tobinem czekali już godzinami przy nabrzeżu gorącej, dusznej, pełnej moskitów stacji towarowej kilkaset metrów od ujścia rzeki. Kapitan wskazał im drogę na swojej łodzi. Bell zacumował „Marion” rufą do kei, po czym, spodziewając się, że może dojść do strzelaniny, odesłał pretendenta do nagrody z pięćdziesięciodolarową zaliczką w garści na bezpieczną przystań przy hotelu.

Na rzece, mimo późnej pory, co jakiś czas pojawiały się łodzie rybackie, małe frachtowce, albo kabinowe jachty motorowe z rozśpiewanymi pijakami. Trafiały się parowe łodzie towarowe, a także żaglowe szkunery, idące wąskim kanałem na silnikach pomocniczych. Ich odgłos płałał figle uszom, nasłuchującym stłumionego warkotu motorów „Czarnego Ptaka”.

Nagle Bell go usłyszał. Żaden silnik pomocniczy nie emitował takiego dźwięku. Nie był zbyt głośny ani przenikliwy, ale niósł ze sobą zapowiedź ledwie powstrzymanej agresji, stłumionej siły, która może uwolnić się w dowolnym momencie.

– To on - dobiegł go szept Tobina, zajmującego stanowisko za przednim karabinem maszynowym na fordeku tuż przed Bellem. Drugiego lewisa, piętnaście metrów z tyłu na rufie, obsługiwał Dashwood. Bell znajdował się w kokpicie. Trzymał stopy lekko oparte na elektrycznych starterach, jedną rękę na

wyłączniku szperacza, a drugą na poprzeczce, łączącej wszystkie cztery dźwignie przepustnic.

– Mów, co widzisz - powiedział do Tobina, który z przedniego gniazda karabinu maszynowego miał lepszy widok na rzekę. Na szczęście w tej chwili nie było żadnego ruchu na rzece.

Czarna łódź poruszała się bardzo powoli.

Kapitan utrzymywał, że widział ją, jak mijał to miejsce. Przypuszczał, że mogła mieć kryjówkę w hangarze nad nowym kanałem Seybold, obsługującym osiedle domów, których właściciele cumowali na nim swoje parowe jachty. Nie widział jednak, aby wpływała do kanału, równie dobrze mogła zmierzać do jednej z fabryk, bocznic towarowych lub magazynów, dzielących miejsce nad brzegiem niewielkiej rzeki z rezydencjami, hotelami, warsztatami skutniczymi i barkami mieszkalnymi.

Przed usłyszeniem stłumionego warkotu motorów liberty Bell nie do końca wierzył Kapitanowi z tej prostej przyczyny, że rzeka miała tylko cztery i pół kilometra długości i kończyła się na bagnach, które nie były najlepszym miejscem na kryjówkę. Można było wydostać się stamtąd tylko koleją, a załadunek łodzi na platformę był procesem zbyt powolnym, aby ujść ewentualnej pogoni.

– Oto i ona - szepnął Tobin.

Piętnaście metrów od ich dziobu przesuwał się podłużny cień. Sylwetka czarnej łodzi ledwie odcinała się od otoczenia w słabym świetle lamp jakiejś fabryki na przeciwnym brzegu. Bell czekał, aż minie ich keję i odpłynie sto metrów w górę rzeki. Nie przypuszczał, aby była szybsza od ich łodzi, a jeśli nawet, to i tak nie mogłaby odpłynąć zbyt daleko.

Wdepnął startery. Przez cały czas oczekiwania co trzydzieści minut grzał silniki, więc teraz wszystkie cztery zaskoczyły od razu i łódź wystrzeliła spod nabrzeża. Bell zakręcił ostro sterem i skierował ją w górę rzeki, jednocześnie włączając szperacz.

Wszelkie wątpliwości, czy Marat Zolner i księżę Andre to ta sama osoba, zniknęły, kiedy sternik „Czarnego Ptaka” obejrzał się przez ramię prosto w smugę światła. Bell rozpoznał jego pociągłą, przystojną twarz i elegancką sylwetkę, którą zapamiętał z parkietu Club Deluxe, a także wężową grację ruchów, którą po raz pierwszy zauważył na dachu szpitala Roosevelta tej nocy, kiedy Marat Zolner zastrzelił Johanna Kozłowa.

Błyskawicznie pokonali dystans dzielący ich od czarnej łodzi.

Kiedy znaleźli się tuż obok, „Czarny Ptak” odłączył tłumiki i z rykiem motorów wyrwał do przodu, zostawiając za sobą gotującą się wodę.

– Nie mogę strzelać! - wrzasnął Ed Tobin, przekrzykując huk ich silników.

Bell pojął dlaczego. Przed nimi, przy obu brzegach wąskiej rzeki, widać było czerwone, zielone i białe światła małych łódek. Stali w nich rybacy, wybierający sieci. Za nimi na brzegu widać było hotelik ze spadzistym, białym dachem, a po przeciwnej stronie stał rząd barek mieszkalnych. Serie z lewisa rozniosłyby to wszystko w drzazgi i zabiły każdego, kto miałby pecha znaleźć się na drodze zbłąkanej kuli.

– Wstrzymać ogień!

Czarna łódź się oddalała. Bell dał cały gaz. „Czarny Ptak” minął łódki rybaków. Mieli przed sobą czyste pole ostrzału.

– Ognia!

Ed Tobin wystrzelił serię pocisków, ale prawie natychmiast zdjął palec ze spustu.

– Isaac, uważaj!

Bell już cofał dźwignie przepustnic.

– Trzymaj się, Dash! - krzyknął przez ramię. - To pułapka!

35.

Łódki rybaków pędziły do brzegów, ciągnąc coś na linach w poprzek toru wodnego. „Marion” wpadła na to coś, zanim Bell zdołał unieruchomić śruby.

Bell przygotował się na rozdzierający trzask łamanego drewna, mając nadzieję, że wzmocniony dziób jednak wytrzyma kolizję. O dziwo, nie poczuł uderzenia, a wielka, szybka łódź zwolniła łagodnie i jakby zawisła na czymś pośrodku rzeki. Zamiast odgłosu zderzenia od strony dziobu usłyszał głośny huk gdzieś w głębi kadłuba. Silniki zawyły na niespotykane wysokie obroty i wtedy zrozumiał, że ludzie Zolnera przegrodzili rzekę ciężką siecią do zabezpieczania ładunku. Wirujące śruby zaplątały się w grube liny, gubiąc łopatki i urywając pozbawione obciążenia wały napędowe.

Ich łódź została uwięziona na środku rzeki.

– Thompsony! - krzyknął przytomnie Dashwood. - Kryć się!

Noc eksplodowała czerwonymi pióropuszcami ognia i gradem ołowianych kul.

Zgasł szperacz, syjąc gorącym, roztrzaskanym szkłem.

Dzięki Ci, Boże, za opancerzenie, pomyślał Bell. I pobłogosławał stoczni Lynch & Harding. Na łodzi znajdowało się siedem i pół tysiąca litrów łatwopalnej, grożącej wybuchem benzyny, ale projektanci wcisnęli zbiorniki pod podłogę kokpitu, gdzie nie mogły osiągnąć ich kule.

Oba lewisy były bezużyteczne. Za plecami ludzi ostrzeliwujących ich z obu brzegów z pistoletów maszynowych stały domy o cienkich, drewnianych ścianach. Bell wyciągnął z futerału powtarzalnego springfielda, którego zabrał ze sobą na taką ewentualność.

Tobin miał drugiego w swoim gnieździe karabinu maszynowego, Dashwood trzeciego w swoim.

Rozbłyski z luf thompsonów znacznie ułatwiały celowanie, zwłaszcza że wyposażone w podwójne uchwyty pistolety maszynowe przystosowano do trzymania przy ciele. Bell oddał strzał. Jeden z bandytów stoczył się z brzegu do rzeki.

Tobin huknął ze swojego, ale spudłował.

Dashwood wyręczył go, strzelając dwukrotnie i kładąc dwóch.

Trzej detektywi odwrócili się jednocześnie, by uciszyć bandytów na przeciwnym brzegu. Zanim pociągnęli za spusty, serie z thompsonów ustały.

Isaac Bell natychmiast zauważył, z jakiego powodu.

Czarna łódź zawróciła i sunęła w dół rzeki. Lewis załomotał długą serią. Pociski podziurawiły owiewkę „Marion” i ze szczękiem odbijały się od pancerza. Bell wiedział już, czego może się spodziewać po Maracie Zolnerze. Wstał i złożył się do strzału. Na dziobie pędzącej łodzi ktoś szykował się do rzucenia granatu. James Dashwood zestrzelił mu go z ręki. Granat poleciał do tyłu i eksplodował za łodzią.

Kolejny szybował już w powietrzu. Isaac Bell i Ed Tobin wystrzelili jednocześnie i granat wpadł do rzeki. „Czarny Ptak” przemknął obok ich łodzi z prędkością co najmniej pięćdziesięciu węzłów i pognał przez zatokę Biscayne.

– O mały włos by nas załatwił - powiedział Tobin.

– Ale jednak nie załatwił - odparł Bell, patrząc na czerwoną poświatę wydechów „Czarnego Ptaka” znikającą za zakrętem rzeki. - Już po strachu, dobry człowieku! - zawołał do rybaka, który odważył się wypłynąć wiosłową łódką. - Przewieziesz nas na brzeg za pięćdziesiąt dolców?

– Za stówkę.

– Jest twoja.

Po wylądowaniu Tobin od razu wyruszył na poszukiwanie holownika, który by ściągnął ich do jakiejś stoczni jachtowej na naprawę, a Bell z Dashwoodem przeczesali brzeg.. Napastnicy zabrali ze sobą rannych. Bell znalazł porzuconego thompsona, a Dashwood pełną skrzynkę niemieckich granatów trzonkowych.

– Nie sądzę, aby nasz przyjaciel Kapitan czekał jeszcze przy kei na resztę nagrody.

Bell odrzekł:

– Zolner przechodzi do kontraktaku. Pytanie brzmi, gdzie uderzy następnym razem?

Asa Somers zakochał się już wielokrotnie. Najpierw stracił głowę dla Mae Marsh z *Nietolerancji* i chodził na ten film wiele razy. Potem przyszła kolej na Mary Pickford w *Małym lordzie Fauntleroyu*, a następna była Mabel Normand. Oczywiście zakochał się też regularnie w dziewczynach spotkanych w tramwajach, a każde zauroczenie trwało aż do chwili, gdy wysiadały na swoich przystankach. Nigdy jednak nie zapałał autentycznym uczuciem do dziewczyny z krwi i kości. Aż do teraz.

A *Fraulein Grandzau* była jak najbardziej dziewczyną z krwi i kości. Niewypowiedzianie piękną i używającą cudownie pachnących perfum. W dodatku rozmawiając z nim, miała zwyczaj patrzeć mu w twarz. Jej błękitne oczy z delikatnym odcieniem szarości lśniły jak ocean w słoneczne popołudnie. No i była bardzo miła. Pokazała mu, jak posługiwać się nożem i widelcem w stylu europejskim, i dotykała leciutko palcem swoich pięknych warg, przypominając mu o zamykaniu ust podczas jedzenia, aby zachowywał się, jak przystało na poważnego człowieka, trudniącego się handlem alkoholem. Nawet chodziła z nim po zakupy, które rzecz jasna, fundował pan Van Dorn, bo choć był tylko początkującym detektywem przebrany za handlowca, to musiał

wyglądać, jakby mieszkał na stałe w Nassau, stąd kapelusz panama i biały garnitur, prawie taki sam jak ten Isaaca Bella.

Stołowali się w najlepszych hotelach, bo tam właśnie stołowali się szmuglerzy alkoholu.

Dystrybutorzy napojów alkoholowych musieli bywać tam, gdzie mogli spotkać ewentualnych ludzi zainteresowanych ich towarem, podobnie jak detektywi bywali w miejscach, gdzie była szansa uzyskania najnowszych wieści o wielkim tankowcu pełnym czystego spirytusu, który z jakiegoś powodu wciąż jeszcze nie dotarł do portu przeznaczenia. A detektywi śledzący przyjaciółkę agenta Kominternu musieli ubierać się tak, jak ludzie z jej otoczenia.

Pierwszą część tego wieczoru spędzili na kolacji na jachcie panny Fern Hawley, który był o wiele większy od kutra Straży Przybrzeżnej CG-9 i podawano na nim o wiele lepsze jedzenie. Mnóstwo dowcipkujących i roześmianych ludzi kręciło się wokół panny Hawley, która zresztą była prawdziwą ślicznotką.

Somers przysłuchiwał się z uwagą, jak zręcznie *Fraulein* Grandzau posługuje się towarzyską rozmową w celu zdobycia informacji.

– Wiesz, Fern, kiedy byłam w Nowym Jorku, wciąż słyszałam określenie „powder room”. Dlaczego tak dziwnie mówi się na damską ubikację?

Fern wybuchnęła śmiechem.

– Przed nastaniem prohibicji kobiety nie chodziły do saloonów. Teraz bywamy w nielegalnych barach, więc trzeba było w każdym wygospodarować odpowiedni przybytek dla pań. A dlaczego nazwali go „powder room”? No cóż, można tam także przypudrować sobie nos. A skoro już o tym mowa, to wybaczenie, ale muszę się oddalić na momencik. Zaraz wracam.

Nie było jej dłuższą chwilę, a kiedy wróciła, niespodziewanie zakończyła przyjęcie, wymawiając się bólem głowy. Jachtową szalupą odstawiono ich na brzeg. Zamiast udać się na spoczynek, *Fraulein* Grandzau postanowiła wpaść na drinka do dość podłego baru przy Bay Street, gdzie jakoby miała spotkać się z kupcem.

Jak dotąd żaden kupiec się nie pojawił. Somersowi to nie przeszkadzało. Nie miał nic przeciw temu, aby tak siedzieć przy stoliku naprzeciw niej do końca życia. Dużo piła, choć, jak zauważył, więcej udawała, niż piła naprawdę, i namówiła go na prowadzoną ściszym głosem grę w zgadywanie, czym trudnią się pozostali barowi goście. Co robi ten? A co tamten? Albo ten, co zasnął w

kącie? Nie, nie ten. Ten drugi, który ma dwie sztuki broni - rewolwer wystający z paska i coś jeszcze, co wypycha mu marynarkę.

– Czyżby ochroniarz?

– A kogo niby ochrania?

– Może dostał wolne na tę noc - odważył się zasugerować Somers.

– Być może.

– Mocno śpi.

– Jesteś pewien?

– Odkąd przyszliśmy, nie poruszył się ani razu. A na jego stoliku stoi całkiem pusta butelka.

– Masz rację, śpi - powiedziała. - Jak przypuszczasz, co ma w kaburze pod pachą? Rewolwer czy pistolet?

Somers popatrzył na wybrzuszenie na piersi śpiącego.

– Rewolwer.

– Pistolet - powiedziała i rozejrzała się za kolejnym obiektem do gry.

Do środka weszli dwaj potężni mężczyźni. Kupili przy barze butelkę i usiedli przy stoliku naprzeciw nich. Niemiecki akcent *Fraulein* Grandzau, którego zwykle prawie nie dostrzegał, stał się nagle bardziej wyraźny. Usłyszał gardłowe „r” w słowie „robic”.

– Asa - powiedziała bardzo cicho. - Chcę, żebyś zrhobił dokładnie to, co ci powiem. Rrozumiesz?

– Tak jest, proszę pani.

– Widzisz miejsce na podłodze, na które teraz patrzę?

– Tak, proszę pani. Tuż obok pani krzesła.

– Staniesz dokładnie w tym miejscu i nachylish się nade mną tak, jakbyś chciał mnie pocałować.

– Tak jest, proszę pani.

– Teraz!

Wstał i pochylił się ku jej twarzy. Poczłł odurzający zapach jej perfum. Pauline położyła mu dłoń na głowie, wsunęła palce we włosy i przyciągnęła do swych ust.

– Asa - wyszeptła.

– Tak, proszę pani?

Zaschłło mu w ustach, a serce tłukło się w piersi jak oszalałe.

– Czy w Straży Przybrzeżnej nauczyli cię repetować pistolet?

36.

Oszołomiony perfumami Pauline Grandzau i zbiry z tropu tym, co powiedziała, Asa Somers spytał:

– Ale dlaczego, proszę pani?

– Czy potrafisz zarepetować pistolet? - dobiegł go jej zniecierpliwiony szept.

– Tak.

– Podejdiesz teraz do tego pijanego. Wyjmiesz mu pistolet z kabury, zarepetujesz i mi podasz.

– Dlaczego...

– Mam za słabe ręce, aby szybko przesunąć suwadło, a moim małym pistolecikiem nie zatrzymam tych dwóch... Nie patrz na nich!

Somers zerknął na śpiącego pijaka.

– Kiedy?

– Kiedy się zacznie.

– Ale...

– Teraz!

Przewróciła stolik na bok, aby odgrodzić się grubym drewnianym blatem od dwóch osiłków. Wyrzuciła wysoko nogę, zadzierając sukienkę. Somers, który skoczył szczupakiem ku śpiącemu pijakowi, kątem oka zauważył śnieżnobiałe udo, opasane czarną koronką. Dostrzegł też mały pistolet w niepełnym futerale, który wyciągnęła i zarepetowała w mgnieniu oka. Zanim dopadł pijanego, rozległy się dwa szybkie strzały, przypominające trzaski łamanych patyków, a w odpowiedzi huknęła basowo jakaś cięższa broń.

Strzelanina rzuciła wszystkich na podłogę i obudziła pijaka, który półprzytomnie klepnął Somersa po ręce. Miała rację, to nie był rewolwer, lecz ciężki colt navy M1911. Somers szarpnął suwadło, wprowadzając nabój do komory, zabrał rękę z pistoletem z zasięgu pijaka i jednym susem wrócił do *Fraulein* Grandzau, która przez ten czas zdążyła wystrzelić jeszcze dwukrotnie. Jeden z mężczyzn leżał bez ruchu, a pistolet wysunął mu się częściowo z bezwładnych palców. Drugi szarżował na nich z pistoletem w jednej ręce, nożem w drugiej, krwią na koszuli i żądzą mordy w oczach.

Fraulein Grandzau uniosła colta obiema drobnymi dłońmi. Strzeliła tylko raz.

Ołowiana kula kaliber .45 zatrzymała napastnika w miejscu i powaliła na podłogę.

Pauline popatrzyła na Asę dziwnie nieobecnym wzrokiem, jakby myślami była już w zupełnie innym miejscu.

– Dobrha rrobota, Asa. Terhaz powiemy *auf Wiedersehen* i znikniemy, zanim pojawi się policja.

Pozostali goście baru wciąż tulili się do podłogi. Pauline pociągnęła go na werandę i w dół po rozchwianych schodkach na Bay Street. Minęli rząd szop i stajni zamienionych w magazyny alkoholu, w których mimo późnej pory wciąż trwało przyjęcie towaru, i wyszli na Frederick Street.

– Co to było? - spytał Asa.

– Dwaj Rosjanie, którzy chcieli nas zabić.

– Skąd wiedziałas, że to Rosjanie?

– Znam dobrze Rosjan.

Dotarli wreszcie do swojego hotelu Lucerne.

– Czy mogę sobie to zatrzymać? - spytał Asa, rozchylając poły marynarki. Za paskiem miał rewolwer, który także zabrał pijakowi.

– Tak - powiedziała. - Zasłużyłeś. Idź się przespać, a ja wyślę depezę do Isaaca.

– Nie zrobisz tego.

Asa wskazał ręką patio. W drzwiach, niczym białe widmo z ponurą miną, stał Isaac Bell. Detektyw Dashwood, z ręką wsuniętą za połe marynarki, zajmował pozycję po przeciwnej stronie lobby, a detektyw Ed Tobin, twardej z sekcji do zwalczania przestępczości zorganizowanej, stał na półpiętrze i także trzymał jedną rękę pod marynarką.

Fraulein Grandzau powiedziała:

– Idź spać, Asa. Do jutra.

– Wynajęliśmy łódź latającą - wyjaśnił Bell - spodziewając się, że ludzie Zolnera mogą zaatakować tu, w Miami.

– Właśnie przed chwilą spróbowali.

Bell spojrział na nią przenikliwie.

– Nic ci się nie stało?

Pauline wzruszyła ramionami.

– Żyję. Dzięki młodemu Somersowi.

Bell spytał, co się stało. Kiedy Pauline skończyła opowiadać, drżała na całym ciele i ledwie powstrzymywała łzy, cisnące się jej do oczu. Bell otoczył ją ramieniem i zaprowadził do baru.

– Postawię ci legalnego drinka.

Kapitan Novicki nie kłamał, mówiąc, że nie podoba mu się niebo nad Nassau. Doświadczenie go nie zawiodło, choć natura zbierała się do ataku nieco dłużej, niż przewidywał. Jego drewniany szkuner zdążył już przepłynąć Cieśninę Wiatrów i wyjść na Morze Karaibskie, a pogoda wciąż się nie zmieniała. Jednak kiedy znalazł się dokładnie pomiędzy Port-au-Prince a zatoką Guantanamo, barometr zaczął spadać szybciej niż człowiek, który wyleciał za burtę. Jedwabiste cirrusy wyraźnie zgęstniały. Novicki musiał podjąć decyzję, czy zmienić kurs na Kubę i poszukać schronienia w zatoce Guantanamo, czy zaryzykować kontynuowanie rejsu na Jamajkę.

Wiatr się wzmagał.

Rozkazał zwinąć marsie i zrefować foka i grota. Wkrótce zrefował je jeszcze bardziej. Po kilku godzinach szedł już na gołych masztach, ze zwiniętym fokiem i grotem, pozostawiając tylko sztormowy kliwer i malutki sztaksel dla zachowania sterowności. Coś groźnego wisiało w powietrzu i sunęło prosto w Cieśninę Wiatrów. Było już za późno, by płynąć do Guantanamo. Teraz mogli iść tylko do Kingston albo na dno.

Wciąż opadający barometr, wzmagający się wiatr skręcający ku północy i coraz bardziej wzburzone morze zapowiadały ciężkie chwile dla południowej Florydy i Bahamów. Ale dotkliwy ból w lewej stopie, który Novicki zawdzięczał chirurgowi, popijającemu Bushmills Irish Whiskey podczas składania kości, wskazywał na dużo groźniejszą możliwość.

– Jeśli to się nie rozwinie w huragan, to nie nazywam się Novicki - powiedział do pierwszego oficera.

Pierwszy, siwowłosy Jamajczyk, starszy nawet od Novickiego, uważał, że nawałnica przesunie się na północny zachód wzdłuż wybrzeża Kuby w kierunku Zatoki Meksykańskiej.

– Może i tak - rzekł z powątpiewaniem Novicki. - Ale jeśli pójdzie na północny wschód, to Nowy Jork, Long Island i Rumowa Linia powinny mieć się na baczności.

Isaac Bell płynął wpływ przez zatokę Nassau. Ponieważ płynął kraulem, co jakiś czas unosił głowę, aby trzymać kierunek na kremowy komin, sterczący nad mahoniową nadbudówką parowego jachtu „Maya”. Pokonał ostatnie metry dystansu wzdłuż wielkiego, białego kadłuba, po czym wciągnął się do przycumowanej do niego łodzi i ruszył w górę po zamocowanym na burcie trapie. Stanął przy tekowym relingu i zawołał głośno:

– Proszę o pozwolenie wejścia na pokład!

Fern Hawley osobiście wyszła mu naprzeciw. Obrzuciła świdrującym spojrzeniem jego kąpielówki, po czym uśmiechnęła się z aprobatą na widok jego szerokich barów.

– Witamy, panie Bell. Ma pan więcej blizn niż wszyscy mężczyźni, jakich znam.

– Wciąż wpadam na drzwi i przewracam się na mydle w łazience. Czy mogę wejść na pokład?

Pstryknęła palcami na stewarda, który podał jej gruby ręcznik frotte. Rzuciła ręcznik Bellowi i zaprosiła go pod płócienny daszek w bajecznie kolorowe paski, pod którym stały składane fotele plażowe.

– Czemu zawdzięczamy pańską wizytę? Może przepływał pan w pobliżu i zatrzymał się tylko dla złapania oddechu?

Bell od razu przeszedł do rzeczy.

– Ciekawi mnie pani przyjaciel, księżę Andre.

– Interesuje się pan nim jako detektyw, czy jako bankier? - spytała.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

– Sprawdziłam pana. Wywodzi się pan z bostońskiej linii Bellów. Louisburg Square. American States Bank.

– To mój ojciec jest bankierem. Ja zostałem detektywem. Kiedy ostatnio widziała pani księcia Andre?

– W Nowym Jorku. Zdaje się, że było to tej samej nocy, kiedy spotkaliśmy się w Club Deluxe.

Bell postanowił sprawdzić, na ile prawdziwe są przypuszczenia Pauline i Marion, że Fern Hawley zawiodła się na Zolnerze. Jeśli się myliły, może po prostu wskoczyć z powrotem do wody.

– Mogę przysiąc, że widziałem was w Detroit.

Zawahała się. Z ust Fern zniknął przyklejony uśmiezek, przez co jej twarz nabrała łagodniejszego wyrazu.

– Mam nadzieję, że nie będę musiała wzywać swoich prawników.

Bell bardzo ostrożnie sformułował kolejną wypowiedź.

– Być może wyraziłem się nieściśle. Nie chodziło mi o to, że widziałem panią z nim, ale w pobliżu niego.

Detektyw mijał się z prawdą, ale tylko o włos. Co prawda był przez chwilę pewien, że widział ją jadącą pierce-arrowem w miejscu, gdzie zabito Sama Rosenthala, ale nie widział jej w limuzynie, kiedy ta w pośpiechu odjeżdżała, strzelając do policjantów. Nie widział też, aby zamachowcy Zolnera do niej wsiadali. Jednak wspominając o wezwaniu prawników, praktycznie przyznała się, że tam była.

Fern najwyraźniej pogodziła się z tym, mówiąc:

– Teraz to pan podejmuje ryzyko.

– Jak to?

– Kryje pan przestępczynię.

– Nie byłem świadkiem popełnienia przez panią przestępstwa. Przed zbrodnią widziałem jedynie młodą kobietę, która przez swój nieco awanturniczy charakter zadała się z nieodpowiednimi ludźmi...

– Bardzo pan łaskawy, panie Bell. Nie jestem już taka młoda.

– Czy poznała pani księcia Andre w Paryżu?

– Na paradzie zwycięstwa - potwierdziła. - Akurat przez Pola Elizejskie maszerował Pułk Lancashire. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Żołnierze wyglądali jak karły. Żaden nie miał więcej niż metr pięćdziesiąt. Księżę Andre powiedział mi dlaczego. Służyli w nim sami górniczy. Pracowali za głodowe stawki. Ich przodkowie od stu lat nie zjedli przyzwoitego posiłku. Wtedy właśnie po raz pierwszy zrozumiałam różnicę między biednymi a bogatymi. Między kapitalistami a proletariatem. Między właścicielami a robotnikami.

Przedtem nie nazywałam ich nawet robotnikami. Dla mnie to byli zwykli robociarze. Mój ojciec nazywał ich „siłą roboczą”. Jakby nie byli ludźmi.

– Książę Andre miał widać bardzo liberalne poglądy, jak na rosyjskiego arystokratę. Gdyby większość z nich była podobna do niego, nie doszłoby do rewolucji.

– Potrafi być wrażliwy.

– Wie pani może, czym się obecnie zajmuje?

– O ile wiem, prowadzi jakieś interesy.

– Czy kiedykolwiek zwracał się do pani z propozycją, aby zainwestowała pani w te interesy?

– Nie. Czemu pan o to pyta?

– To dość stereotypowa sytuacja w naszych czasach. Zubożały europejski arystokrata czyni awanse bogatej amerykańskiej dziedziczce.

– Nic takiego się nie stało. Poprosił mnie jedynie, abym poznała go ze Stormsem.

– Kto to taki?

– Storms & Storms. Jeden z maklerów mojego ojca. - Roześmiała się. - To było takie zabawne. Wzburzony Storms trząsł się ze strachu, że Andre będzie chciał pożyczyć od niego pieniądze. Też znał ten stereotyp. Tymczasem było dokładnie odwrotnie.

– W jakim sensie?

– To Andre przekazał mu masę pieniędzy do zainwestowania.

Bell popatrzył w niebo. Od południa nadciągała zasłona z chmur. O świcie czerwieniła się daleko na horyzoncie. Teraz pogrubiała i była coraz bliżej... Nie dajcie po sobie poznać, że uzyskaliście cenną informację, uczył Joe Van Dorn swoich praktykantów. Postawcie zasłonę dymną, zadając jeszcze przynajmniej dwa pytania, zanim sobie pójdziecie.

– Czy zechciałaby pani zjeść ze mną lunch w moim hotelu?

– Proszę zostać na jachcie - odrzekła Fern. - Kucharz przyrządził homary. Nie nasze prawdziwe z Nowej Anglii, tylko miejscowe, pozbawione szczypec. Ale w pańskim miłym towarzystwie nie zauważymy ich braku.

– Bardzo bym chciał, ale muszę wysłać depeszę.

– Dotyczącą księcia Andre?

– Nie. Ale jest jeszcze coś, o co chciałbym panią zapytać. Zastanawiam się, jak to jest, kiedy uchodźca doznaje nagłej straty wszystkich tych... wygod, że się tak wyrażę, które ludzie uprzywilejowani traktują jako coś normalnego i nie przywiązują do nich wagi. - Zrobił gest, jakby wskazywał na jacht, lśniąca białą nadbudówkę, wypolerowane mosiężne okucia, gotowych na każde skinienie stewardów. - To wszystko ksiązę Andre też kiedyś traktował jako coś normalnego. Jak pani sądzi, w czym tkwi jego siła?

– Jest optymistą.

Trzej detektywi Agencji Van Dorn - Adler, Kliegman i Marcum - w garniturach z kamizelkami, melonikach, okularach w drucianych oprawkach i z osłonami na oczy - zielonymi daszkami w wypchanych teczkach - wyglądali jak rewidenci księgowi. Zatrzymali się przed wejściem do domu maklerskiego Storms & Storms, aby popatrzeć na Budynek Morgana, w którym policja znalazła złotą odznakę detektywa Warrena. Z wyjątkiem otworów po odłamkach w marmurowej ścianie nie było żadnych śladów po zamachu bombowym, którego inicjatorów jak dotąd nie wykryto.

Zwrócili się do starego przyjaciela całkiem tak, jakby żył:

– Poczekaj jeszcze chwilę, Harry, dorwiemy ich.

Strażnik w granatowym mundurze wpuścił ich do środka z pełnym szacunku ukłonem.

Na sekretarce głównego udziałowca, Newtowna Stormsa, nie zrobili już tak wielkiego wrażenia.

– Kogo panowie reprezentujecie?

– Adler, Kliegman & Marcum - odparł Adler.

– Przykro mi, ale nie znam waszej firmy.

– Jesteśmy biegłymi rewidentami. Naszym klientem jest między innymi Wydział Egzekucji Skarbowej Urzędu Podatkowego Stanów Zjednoczonych.

– W jakiej sprawie przychodzicie panowie do pana Stormsa?

– Chodzi o uchylanie się od płacenia podatków.

– Pan Storms płaci podatki.

– Ale nie robi tego jeden z jego klientów.

To sprawiło, że znaleźli się w gabinecie Stormsa. Stali przed palisandrowym biurkiem nobliwego maklera, który przeglądał ich wizytówki, wydrukowane tak niedawno, że Adler czuł zapach tuszu.

– Powiem wam wprost, panowie. Nie jestem urzędnikiem państwowym i ściąganie podatków nie należy do moich obowiązków.

– Czy pańska praca polega na doradzaniu klientom, w jaki sposób uniknąć płacenia podatków? - spytał Adler.

– Ależ skąd. Ja tylko pomagam swoim klientom zminimalizować obciążenia podatkowe.

– Minimalizowanie to prosta droga, prowadząca do całkowitego uchylania się od odprowadzania podatku - oznajmił Kliegman.

– Zwłaszcza gdy chodzi o duże transakcje gotówkowe - dodał Adler.

– Transakcje gotówkowe są legalne - odparł Storms. - Gotówka przeciwdziała nadmiernym wydatkom. Każdy zastanowi się dwa razy, kiedy musi wyłożyć gotówkę na stół, zamiast niefrasobliwie wypisać czek, licząc na to, że bank pokryje jego debet. Gotówka ma oparcie w złocie. To moja zasada.

Trzej detektywi stali nieruchomo jak nieme posągi z brązu.

– Chodzi wam o kogoś konkretnego spośród moich klientów, czy strzelacie na ślepo? - spytał Storms.

– Tym klientem jest książę Andre.

To sprawiło, że zostali poproszeni o zajęcie miejsc. Storms stał się znacznie mniej pewny siebie. Kiedy świsnęła rura głosowa, szybko odchylił pokrywkę i warknął:

– Nie przeszkadzać.

– Jak bogaty jest książę? - spytał otwarcie Adler.

– Książę Andre jest bardzo zamożnym człowiekiem. Był bogaty, zanim rynek poszybował w górę jak rzymskie ognie, a teraz jest jeszcze bogatszy. Mogę panów zapewnić, że kiedy przyjdzie piętnastego kwietnia, odprowadzi wszystkie podatki z zysku na giełdzie.

– Bez wątplenia - zgodzi się Adler.

– Więc co was do mnie sprowadza?

– Gotówka, panie Storms. Nasza stara dobra gotówka. Oparta na złocie.

Dobroduszny dotychczas Adler nagle przeszył Stormsa stalowym spojrzeniem i powiedział porażająco twardym głosem:

– Gotówka może pochodzić z nieopodatkowanych zysków, niewykluczone, że nielegalnych. Czy księżę posługuje się osobistymi kontami, czy też reprezentuje jakąś organizację?

Storms wyglądał na lekko zaskoczonego pytaniem i Adler przestraszył się, że palnął jakieś głupstwo. Okazało się jednak, że nie.

– Właściwie to jedno i drugie - odpowiedział Storms. - Zarządza kilkoma spółkami, posiadającymi swoje konta. Powierzył nam także obsługę swoich rachunków osobistych.

– Oczywiście są to konta gotówkowe?

Storms zerwał się na równe nogi.

– Już i tak za wiele powiedziałem o prywatnych sprawach mojego klienta, nie sądzi pan?

– Sądzę, że prokuratura może zacząć dociekać, czy otrzymał pan te pieniądze po to, aby poprzez inwestowanie ich ukryć nielegalne źródła ich pochodzenia.

– Nie podoba mi się pański wniosek.

Adler wyrecytował:

– Ukrywanie pochodzenia pieniędzy uzyskanych z nielegalnych źródeł przez przepuszczanie ich przez szereg transferów bankowych oraz transakcji handlowych jest przestępstwem.

Kliegman dorzucił kolejny cytat:

– Transferowanie funduszy niewiadomego lub nielegalnego pochodzenia za granicę, a następnie odzyskiwanie ich jako pochodzących z uczciwego źródła jest przestępstwem.

Detektyw Marcum dotąd milczał. Teraz jego głęboki głos zadudnił niczym ciężarówka Buli Dog z łańcuchowym przeniesieniem napędu:

– Uzyskiwanie korzyści majątkowej poprzez uchylanie się od odprowadzania podatku to przestępstwo, bez względu na legalne bądź nielegalne pochodzenie przychodu stanowiącego podstawę opodatkowania.

– Nikogo jeszcze za to nie skazano - zaprotestował Storms.

– Na razie - rzucił złowieszczo Marcum.

– Chce pan być tym pierwszym?

Newtown Storms oświadczył stanowczym głosem:

– Amerykański obywatel naruszyłby swoje wynikające z piątej poprawki prawo do nieskładania zeznań obciążających samego siebie, gdyby przyznał się do uzyskiwania korzyści z nieodprowadzania podatku.

– Zamierza pan spędzić całe lata na wnoszeniu apelacji, licząc na to, że Sąd Najwyższy zgodzi się z tą pokretną interpretacją naszej Konstytucji?

– Panie Storms, nie chcemy pańskich pieniędzy. Prosimy pana, aby wydał nam pan oszusta.

– Słowo „oszust” nie ma zastosowania wobec kategorii dżentelmenów obsługiwanych przez moją firmę.

– A gdybyśmy panu powiedzieli, że on jest bolszewikiem?

Storms roześmiał się.

– Równie dobrze moglibyście powiedzieć, że prezydent Harding jest zwolennikiem przyłączenia się Ameryki do Ligi Narodów. Albo że Marcus Garvey zapisał się do Ku-Klux-Klanu.

– A jeśli to prawda, że księżę Andre to bolszewik?

– Jak on mógłby być bolszewikiem? Przecież z powodu rewolucji musiał uciekać z kraju i stracił cały majątek.

– A jeśli księżę Andre naprawdę jest bolszewikiem?

– Jeśli to prawda, to byłby zdrajcą klasy społecznej, z której się wywodzi, a ja powiedziałbym wam wszystko, co chcecie o nim wiedzieć.

Kiedy Bell ponownie znalazł się na pokładzie parowego jachtu „Maya”, wiatr wyraźnie przybrał na sile; łopotał banderami i szarpał fałami żaglowców zakotwiczonych w porcie Nassau. Fern Hawley przyjęła go w głównym salonie, urządzonego w stylu art nouveau przez firmę Tiffany. Bell pomyślał, że zapierający dech w piersiach wygląd tego wnętrza zmusiłby niejednego krytyka korzyści płynących z bogactwa do zmiany poglądów.

– Panie Bell, gdzie się podziały pańskie kąpielówki?

– Tym razem wynająłem motorówkę. Na powierzchni zatoki jest paskudna fala. Poza tym ściemnia się, a podobno rekiny lubią żerować nocą.

– Wysłałabym szalupę, aby pana asekurowała - powiedziała Fern. - Ma pan ochotę na drinka?

Bell powiedział, że to wspaniały pomysł.

– Daiquiri czy scotch?

– Poproszę o szkocką.

– Dobry wybór. Mam dziś prawdziwy rarytas, oryginalny Haig & Haig.

Wzięli szklanki do rąk.

– Miło mi pana widzieć ponownie. Lunch skończył się zbyt szybko.

– Nie byłem z panią do końca szczery - odparł Bell w odpowiedzi.

Fern się uśmiechnęła.

– Czyżby pan kłamał, mówiąc, że jest pan zawsze wierny swojej żonie?

– Skłamałem, że depesza, którą miałem wysłać, nie dotyczyła księcia Andre.

– Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. No i co ma pan mi... może jednak będę mówiła panu po imieniu. No i co mi powiesz w związku z tym, Isaac?

– Księżę Andre jest zdrajcą.

Fern Hawley zdumiała się.

– Zdrajcą czego? Rosji? Przecież Rosji już nie ma. Przynajmniej jego Rosji.

– Jest zdrajcą waszej sprawy.

– Nie rozumiem.

– Dość już tej zabawy w ciuciubabkę, Fern. Księżę Andre naprawdę nazywa się Marat Zolner.

– Ja go znam jako księcia Andre.

– Marat Zolner jest przemytnikiem alkoholu.

– Tak jak połowa dobrze prosperujących biznesmenów w Ameryce.

– Szmugiel to tylko przykrywką. W rzeczywistości jest agentem Kominternu spiskującym przeciwko Ameryce.

– Ale on nie może być zdrajcą Ameryki. Przecież nie jest Amerykaninem. A może sugerujesz, że to ja jestem zdrajcą? Czy może raczej zdrajczynią?

Isaac Bell nie odwzajemnił jej uśmiechu.

– Czy Marat Zolner podłożył bombę na Wall Street?

– Nie.

– A więc jednak wiesz, że księżę Andre to Marat Zolner.

– Oszczędźmy sobie tych słownych potyczek, Isaac - odparła cierpko Fern. -
To oczywiste, że wiesz bardzo dużo.

Odpowiedź Bella była spokojna.

– Skąd wiesz, że to nie on podłożył bombę?

– Bo zrobił to Jurij.

– Co za Jurij?

– Jurij Antipow. Agent Kominternu przysłany z Moskwy jako nadzorca Marata. Marat nie chciał podkładać bomby na Wall Street, więc zrobił to Jurij.

– Wiedziałaś, że zamierza zdetonować bombę na zatłoczonej ulicy?

– Nie! Nie mówili mi o takich sprawach. Dowiedziałam się później.

– Gdzie jest ten Jurij?

– Zginął w wybuchu.

– Wraz z czterdziestoma niewinnymi ludźmi.

Spuściła głowę.

– Oni rozumują inaczej niż my. Przeżyli straszliwe chwile, o których my nie mamy pojęcia.

– Ta czterdziestka już ma.

– Moskwa ogłosiła Jurija „bohaterem rewolucji”. Nie Marata. On tego nie zrobił.

– Dlaczego twierdzisz, że tego nie zrobił? Bo nie zginął w wyniku eksplozji?

– Marat nie popełniłby błędu. Jest bardzo drobiazgowy. To Jurij był porywczy. Na nic nie zważał. Nie potrafił inaczej.

Bell popatrzył na nią, ale ona odwróciła wzrok.

– Czy Zolner mógłby celowo popełnić błąd? - spytał.

– Po co?

– Aby pozbyć się swojego opiekuna.

– Nie. - Pokręciła głową. - Na pewno nie.

– Mówisz nie, ale dopuszczasz taką możliwość, że zabił Jurija, prawda?

Milczała przez chwilę, a potem powiedziała płaskim, pustym głosem:

– Jurij był moim przyjacielem.

– Był mordercą - odparł Isaac Bell. - Czterdziestokrotnym.

– Nie wiedziałam, co zamierza zrobić.

Bell nawet nie próbował ukrywać odrazy.

– O tym, czy jesteś zdrajczynią, czy tylko głupią kobietą, która, jak to wcześniej delikatnie ująłem, zadała się z nieodpowiednimi ludźmi, zadecyduje twój następny krok.

– Mam go wydać?

– Ułatwię ci to.

– Jak?

– Przed chwilą już to powiedziałem. On zdradził ciebie i waszą robotniczą sprawę.

– Jak?

– Poznałaś go z Newtownem Stormsem. Storms inwestuje ogromne sumy, które Marat Zolner zarabia na przemyśle alkoholu. Czy zaprzeczysz, że wykorzystuje pieniądze zarobione przez Stormsa na giełdzie do finansowania działalności Kominternu przeciwko naszej ojczyźnie?

Fern Hawley milczała, patrząc na Bella z takim samym lodowatym chłodem, z jakim on patrzył na nią.

– Pytam prywatnie - powiedział Bell. Przemyślał to sobie wcześniej. Miał do schwytania dużo grubszą rybę od rozkapryszonej dziewczuchy, która zeszła na złą drogę. - Wszystko, co powiesz, pozostanie między nami, Fern. Nie wyjdzie poza pokład twojego jachtu, zakotwiczonego pośrodku zatoki w zamorskiej brytyjskiej kolonii.

– Dlaczego mnie osłaniasz? - spytała cicho.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, wierzę w to, że przypadkowo wpadłaś w złe towarzystwo.

– Skąd wiesz? Przecież mnie nie znasz.

– Posiłkuję się opinią koleżanki, której ufam.

– Kto to taki?

– Pauline.

– Ona jest z tobą?

– Jest detektywem Agencji Van Dorn.

Fern ukryła twarz w dłoniach.

– Dałam się oszukać jak dziecko.

– Nie ty pierwsza. Pauline jest najbystrzejszym detektywem, jakiego znam. Dostrzeża w tobie coś wartościowego, i to mi wystarcza.

– A drugi powód?

– Jest o wiele poważniejszy. Możesz wydać mi Marata Zolnera. To dlatego spytałem cię o inwestycje Stormsa, którymi Zolner finansuje działalność Kominternu.

– W rzeczywistości większość pieniędzy, które na to przeznacza, pochodzi bezpośrednio z przemytu. Storms nie zarobił tyle, ile Marat by chciał.

– Ależ zarobił, zapewniam cię - powiedział Bell. - Storms jest zdolnym maklerem, a rynek mu sprzyjał.

– Marat twierdził inaczej.

– To dlatego, że wyprowadza zyski z giełdy na własne konta. Storms & Storms obsługuje kilka jego tajnych, prywatnych rachunków bankowych w Londynie, Paryżu, Berlinie i w Szwajcarii. Marat Zolner stał się bardzo bogatym bolszewikiem.

Rumieniec wystąpił na twarz Fern Hawley. Wzięła głęboki wdech.

– Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że jest optymistą? To nie wszystko. Jest wybitnie utalentowanym, urodzonym kłamcą. Co za cholerny sukin...

Bell przerwał jej.

– Miałem nadzieję, że to wreszcie powiesz.

37.

„Czarny Ptak” z wytłumionymi silnikami, pracującymi na minimalnych obrotach pozwalających utrzymać kurs na rosnącej fali, podpłynął w środku nocy do jachtu „Maya” tak, aby jego wysoki kadłub zasłonił go od strony miasta. Marat Zolner zaczepił owinięty płótnem bosak o tekowy reling, podciągnął się na pokład i poszedł do kabiny zajmowanej przez dziedziczkę.

Fern właśnie wcierała krem na noc w swą prześliczną twarz. Zauważyła go w lusterku.

– Cóż to za kocur przywłókł się o tak późnej porze.

– Niestety, kocur ma tylko chwilkę. Co powiedziałaś Bellowi?

– Tylko tyle, ile musiałam, aby sobie poszedł.

– O co pytał?

– O tankowiec. Wie, że jest własnością Kominternu. Potwierdziłam to, aby powstrzymać go od zadawania kolejnych pytań.

– Powiedziałaś, gdzie teraz jest?

– Nie. Właśnie po to odpowiedziałam na jego wcześniejsze pytanie.

– Jesteś w tym naprawdę dobra.

– Uczyłam się od prawdziwego mistrza... Co ty tu właściwie robisz, Marat?

Zolner uśmiechnął się do niej zagadkowo. Przez cały czas, odkąd go poznała, bardzo rzadko potrafiła odgadnąć, o czym naprawdę myśli. Wyglądał na przygnębionego, ale nie była wcale pewna, czy tak jest w istocie, nawet wówczas, kiedy zapytał:

– Czy bank jest jeszcze otwarty?

Fern Hawley była zbyt mądra, aby mieć nadzieję, że cokolwiek z tego, co opowiedział jej Bell było nieprawdą. Otworzyła szeroko ramiona, mówiąc:

– Przez całą noc.

Okazało się, że noc była bardzo krótka. Po wszystkim Zolner wyglądał na jeszcze bardziej przygnębionego.

– Co ci jest?

– Isaac Bell wygrywa na wszystkich frontach.

– Jak to możliwe?

– W Detroit wszystko się zawałiło. Zabijają się nawzajem jak szczury w kanałach. Nie jestem też w stanie kontrolować na odległość tego, co dzieje się w Nowym Jorku. A teraz jeszcze, z powodu Bella, nie mogę wyciągnąć pieniędzy od Stormsa. Ale powiem ci jedno: Isaac Bell będzie żałował, że żyje, kiedy ja wrócę do ojczyzny jako bohater.

– Do Rosji?

– Zabiorę cię ze sobą.

– Naprawdę tego chcesz, Marat?

– Oczywiście, że chcę. Ale teraz potrzebuję twojej pomocy. Bell ogłosił ogólne pogotowie, w każdej chwili mogę zostać aresztowany.

– To niemożliwe, on nie ma takiej władzy.

– Detektywi Van Dorna mają dobre układy w Departamencie Sprawiedliwości i u wszystkich naczelników policji na Wschodnim Wybrzeżu. Nie mogę wsiąść do pociągu, nie mogę wynająć łodzi latającej, nie mogę wejść na pokład statku pasażerskiego.

– Jak sobie poradzisz?

– Ruszam do Nowego Jorku.

– Mówiłeś przecież, że nie masz tam czego szukać.

– Towarzysze ukryją mnie na statku.

– Jak się tam dostaniesz?

– Popłynę „Czarnym Ptakiem”.

– Przecież to ponad tysiąc mil morskich.

– Tysiąc dwieście.

– Dlaczego nie wsiądziesz na statek w Hawanie, San Juan albo w Port-au-Prince?

– Mam jeszcze coś do załatwienia w Nowym Jorku.

– Co to takiego?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Spotkamy się tam?

– Nie.

– Dlaczego?

– To coś, czego nie zrozumiesz. Czekaaj na mnie w Rotterdamie. Wrócimy jako bohaterowie.

38.

Podczas śniadania w hotelu Lucerne goście z niepokojem rozmawiali o nadciągającej burzy. Nad kamiennym fortem górującym nad zatoką wywieszono flagi ostrzegające przed silnym wiatrem, a poranna gazeta zacytowała komunikat radiowy z Hawany: huraganowe wichry szaleją nad Kubą, wiele modnych kurortów znalazło się pod wodą.

– Trzymaj się, Isaac - szepnęła Pauline. - Przyszła.

Do sali jadalnej wpadła Fern Hawley z obłędem w oczach i włosami potarganymi wiatrem. Wyglądała tak, jakby przez całą noc nie zmrużyła oka.

Bell szybkim ruchem głowy dał znać Edowi Tobinowi i Asie Somersowi, żeby zwolnili miejsca przy stoliku. Fern usiadła naprzeciw niego i Pauline.

– W nocy był u mnie Marat.

– Gdzie on jest?

– W drodze do Rosji. Chce, żebym z nim pojechała.

– Ale gdzie jest teraz?

– Wyruszył w nocy do Nowego Jorku. Ma tam wsiąść na statek, który przemyci go do Europy.

– Nie uda mu się. Obstawiliśmy wszystkie dworce kolejowe i porty.

– Płynie „Czarnym Ptakiem”.

– Łodzią motorową? To przecież ponad tysiąc dwieście mil morskich.

– To samo mu powiedziałam. Bez sensu. Szybciej i łatwiej mógłby uciec przez Hawanę, Port-au-Prince albo San Juan. Nawet na Bermudy jest bliżej niż do Nowego Jorku. Ale on powiedział, że musi skończyć coś, co zaczął z Jurijem. Zresztą może chodzić o coś innego. Myślę, że ma tam ukryte ogromne pieniądze.

– A potem do Rosji? - spytała Pauline.

– Tak powiedział. Przez Rotterdam. Powiedział, że będziesz zły, kiedy on wróci do ojczyzny jako bohater.

– Bohater rewolucji? - spytał Bell.

– Powiedział, że będziesz żałował, że nie umarłeś.

– Dlaczego nam o tym opowiadasz? - spytała Pauline.

– Bo obawiam się, że on chce zrobić coś strasznego.

– Mówiłaś mi wcześniej - przypomniał Bell - że nie wiesz, gdzie jest tankowiec ze spirytusem. Skłamałaś?

– Tak. Stoi na kotwicy koło Eleuthery. Zatrzymaliśmy się tam w drodze do Nassau. Kapitan mojego jachtu musi mieć zapisaną dokładną pozycję w dzienniku okrętowym.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Poświęciłam dla ciebie wszystko, Isaac. Chciałam mieć coś tylko dla siebie.

Bell nie zdążył się odezwać, bo poczuł, jak Pauline ostrzegawczo napiera kolanem na jego kolano, jakby chciała powiedzieć: siedź cicho, pozwól się jej wygadać. I rzeczywiście, Fern mówiła dalej.

– Myślałam, że trzyma tam statek, żeby rozcieńczyć spirytus. Ale to samo mógłby zrobić w Nassau albo na Rumowej Linii. Nie wiem, dlaczego go tam zostawił. - Wzruszyła ramionami. - Może czeka, aż wzrosną ceny?

Bell wymienił spojrzenia z Pauline. Po co ciągnąć cały statek czystego alkoholu taki kawał drogi z Bremerhaven, aby porzucić go przy jakiejś odległej wyspie? Pauline spróbowała zgadnąć.

– Marat może popłynąć nim do Rosji albo wymienić ładunek na jakiś inny statek.

– Ciągłe mówił, że ma coś do załatwienia w Nowym Jorku.

– A może popłynie na Rumową Linie i tam przesiądzie się na statek, który zawiezie go do Europy.

– Twoje przypuszczenia są tyle samo warte, co moje - zauważyła Fern. - Nie daje mi spokoju ta sprawa, którą ma do załatwienia w Nowym Jorku.

Wszedł James Dashwood. Był blady i trzęsły mu się ręce. Bell słyszał w nocy, jak kaszle.

– Dash, znajdź jakiegoś łapiducha, niech cię doprowadzi do porządku.

– Dokąd się wybieracie?

– Denerwuje mnie ten tankowiec. Wszyscy popłyniemy na Eleutherę - powiedział, przywołując gestem Tobina. - Jak stoimy z paliwem, Ed?

– Mamy pełne zbiorniki.

– Damy sobie radę na morzu w taką pogodę?

– Dwadzieścia jeden metrów długości, cztery śruby i tysiąc osiemset koni mechanicznych. Myślę, że tak.

– Rozciągnij plandekę nad kokpitem i załóż osłony silników.

– Już to zrobiłem.

– Trzeba będzie zabrać prowiant i wodę, na wypadek gdybyśmy musieli się gdzieś zaszyć na kilka dni.

– Sklepy są obleżone w związku z ostrzeżeniami o sztormie - powiedziała Fern. - Wpadnijcie na mój jacht. Dam wam jedzenie i wodę.

– Ech, te kobiety - burknął Ed Tobin, pomagając Pauline wtaszczyć dużą płócienną torbę. - Dlaczego nie potraficie podróżować bez ogromnego bagażu?

– Bo musimy spakować to, o czym zapomnieli mężczyźni.

– Mam nadzieję, że się nie pochorujesz. Będzie mocno bujało.

– Na „Aquitanii” ani razu nie było mi niedobrze.

Popłynęli przez chłostaną wiatrem zatokę na jednym silniku.

Kapitan podniósł parę na jachcie. Z pokładów „Mayi” usunięto zbędne przedmioty i zwinięto markizy. Stewardzi i marynarze stanęli w szeregu i podawali sobie z rąk do rąk żywność i wodę, przekazując zapasy na łódź Bella.

On sam poszedł do mahoniowej sterówki, podczas gdy Tobin i Asa naciągali brezentowe osłony na oba niepracujące silniki, aby bryzgi wody nie dostawały się do prostych rur wydechowych. Kapitanem jachtu Fern był przyjacielski Jankes z Connecticut. Pokazał Bellowi na mapie, gdzie cztery dni temu widział „Sandrę T. Congdon”. Maleńka wysepka Harbour Island znajdowała się po nawietrznej stronie Eleuthery, długiej wyspy, ciągnącej się wzdłuż ławicy Grand Bahama Bank.

– Tankowiec jest załadowany do pełna, więc zanurzenie nie pozwala mu wejść w głąb laguny między Harbour Island a Eleutherą. Jest zakotwiczony od nawietrznej, między wyspą a przybrzeżną rafą.

– Może odpłynąć z powodu sztormu?

– Odejdzie na pełne morze, jeśli burza przesunie się na wschód. - Kapitan zerknął na czerwone trójkątne chorągiewki, powiewające nad Fortem Fincastle. - Na razie mamy tylko ostrzeżenie przed silnym wiatrem. Z meldunków radiowych dowiedziałem się, że burza idzie na zachód w poprzek Kuby, a wy płyniecie na wschód. - Kiwnął aprobowująco głową, patrząc na długi, zgrabny kadłub „Marion”. - Trochę was pohuśta, ale to tylko sześćdziesiąt mil morskich, a pańska łódź, sądząc po wyglądzie dziobu, ma niezłe tempo i spory nadmiar mocy. Jeśli burza zmieni kierunek, poszukajcie schronienia w Dunmore Town albo Governor’s Harbour. Choć oczywiście najrozsądniej byłoby przeczekać ją tu, w Nassau.

– A pan dokąd płynie, kapitanie?

– Na Bermudy.

Fern złapała Bella, kiedy już miał schodzić po trapie.

– Czy mogłabym z wami popłynąć?

– Przykro mi. Mamy w agencji zasadę: nie zabieramy przyjaciół na strzelaniny.

Fern uśmiechnęła się.

– Czyżbyś uważał mnie za przyjaciółkę?

– Jeśli tylko będziesz sprawować się, jak należy.

– Isaac, co mam teraz zrobić? Zniszczyłeś wszystko, w co wierzyłam. Właściwie nie ty, tylko on. Miałam pewne podejrzenia, ale ty dałeś mi dowód, i to jest najgorsze.

Bell chciał jak najszybciej wyjść w morze. Przy odrobinie szczęścia mógł dopaść Zolnera na tankowcu już za dwie lub trzy godziny.

– Jeśli chcesz robić coś pożytecznego, spróbuj tego: prohibicja niszczy nasz kraj, więc przyłącz się do grupy kobiet z towarzystwa, które domagają się jej zniesienia. Przewodzi im żona Joego Van Dorna.

– Moja ciotka też stworzyła podobny komitet. Tylko że nie jestem jeszcze gotowa, aby zadawać się z pozbawionymi gustu matronami.

Tobin uruchomił drugi silnik. Bell podniósł głos, aby go usłyszała.

– Gdybyś zadawała się z Dorothy Van Dorn, to byłabyś przyzwyczajona do tego, że mężczyźni patrzą ci przez ramię, aby zobaczyć ją, choćby przez chwilę. Ma tylko parę lat więcej od ciebie, ubiera się zgodnie z najnowszą paryską modą i jest olśniewająco piękna.

– Czyżbyś się w niej podkochiwał, Isaac?

– Dorothy jest moją dobrą przyjaciółką. Przedstawię was sobie.

– W ramach rewanżu podzielę się z tobą pewną informacją - powiedziała, nachylając się do jego ucha. - Twoja „koleżanka” jest w tobie zakochana. Kiedy sobie rozmawialiśmy, Pauline oczywiście ani razu nie wymieniła twojego imienia, ale teraz wszystko jest dla mnie jasne.

– Już pracuję nad rozwiązaniem tego problemu - odparł Bell.

– Ruszamy, panie Bell?! - zawołał Tobin.

– Sekundę... Fern, mówiłaś, że Zolner nie chciał podkładać bomby na Wall Street. Jednak z twoich słów wynikało, że dowiedziałaś się o planowanym zamachu zbyt późno, aby go powstrzymać.

– Tak, Marat powiedział mi dopiero po wszystkim, po śmierci Jurija.

– Dlaczego nie chciał podkładać bomby na Wall Street?

– Jego zamiary były znacznie szerzej zakrojone. Podkładanie bomb odciągało go od realizacji planu dotyczącego przemytu alkoholu.

– Powodzenia, Fern. Bezpiecznej podróży na Bermudy.

Podali sobie dłonie, Bell uchylił się przed pocałunkiem i zbiegł po trapie do swojej łodzi.

– Odbijamy!

Szybka, motorowa łódź „Marion” z detektywami Van Dorna na pokładzie zdążyła już pokonać dziesięć mil wód nad głębokim rowem oceanicznym, Northeast Providence Channel, dwadzieścia minut wcześniej zostawiwszy za rufą Nassau i wyspę New Providence, kiedy James Dashwood zauważył, że chorągiewki nad Fortem Fincastle oznaczające ostrzeżenie o silnym wietrze zostały opuszczone, a ich miejsce zajęła pojedyncza czerwona flaga z czarnym kwadratem w środku.

Dashwood udał się pospiesznie na stację telegrafu, aby ostrzec Isaaca Bella, że nad Bahamy nadciąga huragan. Niestety, potwierdziły się jego obawy, że na odległej wyspie Harbour Island nie ma żadnego telegrafu ani radiostacji. Jego przyjaciele równie dobrze mogliby znajdować się po przeciwnej stronie Księżyca.

39.

– Ważniak zasuwa na Rumową Linie.

Kilku wyspiarzy z Harbour Island, przetaczających beczki z benzyną z żagłówki na nabrzeże w Dunmore Town, przerwało pracę, aby złapać liny cumownicze rzucone z „Marion” tuż po tym, jak wielka łódź wpłynęła z warkotem do portu.

Małe miasteczko zajmowało wąski skrawek lądu pomiędzy laguną a oceanem. Długie, atlantyckie fale załamywały się na przybrzeżnej rafie. Ale na osłoniętych wodach po wewnętrznej stronie rafy, gdzie Bell miał nadzieję ujrzeć tankowiec górujący ponad krytymi gontem domkami, nie było żadnego statku.

Marat Zolner dobrze wybrał sobie miejsce. Mały port ze stoczną był nie tylko odległy, ale też odcięty od świata. Na pochylni stał niewykończony, czteromasztowy szkuner, a brytyjska flaga powiewała nad skromnym drewnianym domem, pełniącym funkcję ratusza, obok którego widać było fundamenty pod budowę nowego budynku. Nigdzie nie było jednak masztu radiowego, co czyniło Dunmore Town miejscem nie tylko odległym, ale też odcięтым od świata, tak jak w czasach panowania piratów.

Wyspiarze powiedzieli, że „Sandra T. Congdon” podniosła kotwicę dwa dni temu.

Bell popatrzył na Tobina i pokręcił głową.

– Idąc z prędkością dwunastu węzłów, jest teraz w połowie drogi do Nowego Jorku.

Niebo zakrywała gruba warstwa chmur. Zostawili deszcz za sobą, a huragan jak dotąd posuwał się zgodnie z przewidywaniami na zachód nad Kubą. Jednak Ed Tobin narzekał, że wiatr w porywach skręca na południowy wschód, a mieszkańcy Dunmore Town powyciągali mniejsze łodzie na brzeg.

– Widzieliście może czarną łódź motorową mniej więcej tej samej wielkości co moja?

– My nic nie widzieli.

– Mogła zostać wciągnięta na pokład tankowca - zauważył Tobin.

– Nie - zaproponował Bell. - Skoro statek odpłynął dwa dni temu, to Zolner musiał dogonić go już na pełnym morzu.

– Była taka, w zeszłym tygodniu - wychylił się jeden z wyspiarzy.

To by nawet pasowało, pomyślał Bell. Mimo wiatru i wzburzonego morza pokonanie niecałych sześćdziesięciu mil dzielących ich od Nassau zajęło „Marion” mniej niż trzy godziny. Miejsce to mogło być idealną kryjówką także dla „Czarnego Ptaka”. Zolner mógł się przemieszczać tam i z powrotem na łodzi.

Znów pokręcił głową.

– Ostatnio, po tym, jak niemal udało nam się dopaść „Czarnego Ptaka”, Zolner wysadził w powietrze swój hangar łodziowy.

– Może to dobrze, że tankowiec odpłynął. Gdyby tu został, Zolner mógłby go wysadzić jak ten hangar.

– Ma wrócić do swoich jako bohater rewolucji - przypomniała Pauline.

– Ale najpierw musi dokończyć robotę Jurija. Co to za robota?

Bell poczuł zapach dymu tytoniowego. Trzej dokerzy przykucnęli za beczkami z benzyną, żeby wypalić na spółkę papierosa.

– Zgasić to! Wyszadźcie moją łódź!

Jeden z palaczy zaciągnął się głęboko i oddał papierosa koledze, który zrobił to samo. Trzeci sztachnął się szybko i wyrzucił niedopałek do wody.

Człowiek, z którym rozmawiał Bell, zachichotał.

– Ważniak też tak gadał. Dzień w dzień to samo: nie palić przy statku. Bo dupnie.

Dwanaście tysięcy ton spirytusu mogło dupnąć całkiem konkretnie. Bell sięgnął do kieszeni i wyciągnął pieniądze.

– Biorę tę benzynę.

– Panie Bell, mamy jeszcze całkiem sporo w zbiornikach. To tylko nas spowolni, jak dodatkowy balast - powiedział Ed Tobin.

– Musimy mieć zapas. Do Nowego Jorku jest tysiąc dwieście mil.

Po załadowaniu ostatniej beczki, którą udało się upchnąć na łodzi, Bell sownie wynagrodził dokerów. Nagle zaczął bić dzwon kościelny. Jego donośny dźwięk stał się uśmiechy z ust wyspiarzy. Wszyscy popatrzyli na ratusz. Union Jack sunął w dół po drzewcu. Po chwili jego miejsce zajęła czerwona flaga z żółtymi paskami.

– Co to znaczy? - spytał Bell.

– Czerwona flaga z czarnym kwadratem oznacza huragan.

– To wiem, ale co znaczą te żółte paski?

– Że idzie prosto na nas.

„Marion” z hukiem silników przemknęła przez South Bar Passage. W wąskim przejściu strome, groźne fale załamywały się na piaszczystej płyciźnie. Bell wycelował dziób w miejsce, które wydawało mu się najgłębsze. Łódź minęła spienioną kipieli, po czym znalazła się na pełnym morzu.

Poza linią rafy fale były wysokie, ale regularne. Wziął kurs na północ i z zadowoleniem stwierdził, że „Marion” bez większego wysiłku utrzymuje

prędkość czterdziestu węzłów. Widząc niepokój pozostałych członków załogi, spróbował dodać im otuchy.

– Mając na pokładzie byłego strażnika przybrzeżnego, pirata ze Staten Island i jachtsmana, powinniśmy poradzić sobie z dopłynięciem do latarni morskiej na Przylądku Hatteras. Dalej będzie już łatwiej, wzdłuż brzegu.

– Jak daleko jest stąd do Przylądka Hatteras?

Bell wzruszył ramionami.

– Niecałe osiemset mil. - Pokazał Pauline na mapie. - Pójdziemy kursem północnym, lekko ku zachodowi.

Pauline zmarszczyła brwi i w skupieniu studiowała mapę w przytłumionym świetle, wpadającym przez boczne, celuloidowe okienka.

– Najpierw będziemy musieli ominąć Abaco.

– Za kilka godzin powinniśmy zobaczyć latarnię Hope Town.

– Jeśli przy tym stanie morza zdołamy wyciągnąć czterdzieści węzłów, dotarcie do Przylądka Hatteras zajmie nam cały dzień i noc.

– Przy czterdziestu węzłach zużyjemy masę paliwa - wtrącił Ed Tobin.

– Goni nas huragan - przypomniał Bell. - Lepiej, żeby został jak najdalej za rufą.

Krople wody zabębniły o brezentową osłonę kokpitu. Fale rosły, wzmagając się wiatr. Co kilka minut łódź natrafiała na falę znacznie większą od innych i gwałtownie zwalniała.

Bell ustalił, że będą się zmieniać przy sterze co dwie godziny. Uznał, że dłużej nie da się utrzymać uwagi i koncentracji. Asa zrobił kawę w ciasnej kuchence pod fordekiem, a potem pomagał Pauline sterować podczas jej pierwszej wachty. Tobin rozdał wszystkim kanapki z pasztetem z gęsich wątróbek, podarowane przez kucharza z jachtu Fern. W ciemnościach oświetlenie busoli rzucało czerwonawą poświatę na ich twarze, coraz bardziej zmęczone jednostajnym kołysaniem i nieprzerwanym rykiem silników liberty.

Bell pozwolił sobie na drzemkę w pobliżu steru, ale dopiero wtedy, gdy stanął za nim Tobin.

Obudziły go krople zimnej wody kapiące na twarz. Brezent nasiąkł i zaczynał przeciekać. Szybko zgarnął mapę, która już zawilgotniała. Łódź ciężko pracowała na fali. Bell niechętnie zmniejszył prędkość do trzydziestu pięciu węzłów, co i tak było wysmienitym tempem, bez względu na rodzaj jednostki

plywającej czy stan morza, a po kilku godzinach musiał zredukować ją do trzydziestu, bo fale wciąż rosły i straciły dotychczasową regularność.

Doszedł do wniosku, że przy tej prędkości można oszczędzić jeden z motorów i polecił zastopować przedni. Asa naciągnął na niego osłonę, gdy tylko wystygły wydechy. Wkrótce odstawili też tylny silnik, bo łódź utrzymywała prędkość na dwóch pozostałych, kosztem nieco zwiększonego zużycia paliwa.

Południowy wiatr zaczął stopniowo przechodzić na wschodni, a potem nagle uderzył od północy. Bell wyobraził sobie wir huraganu i układ wiatrów, wiejących przeciwnie do wskazówek zegara. Wyglądało na to, że oko cyklonu przeszło im za rufą i teraz sunie w kierunku Bermudów.

To była ta dobra wiadomość, bo zamiast ich gonić, zaczął się od nich odsuwać. Ta zła polegała na tym, że północny wiatr mógł spowodować powstanie przeciwnych i poprzecznych prądów. Co gorsza, burza najwyraźniej zwiększała swój zasięg, uderzając w nich coraz silniejszym wiatrem w odległości setek mil od swojego centrum.

– Wygląda to coraz gorzej - stwierdził ze spokojem Tobin, kiedy zmieniali się przy sterze.

– To doskonała łódź - odparł Bell.

Zniekształcona, pobrużdżona bliznami twarz Eda wykrzywiła się jeszcze bardziej w wymuszonym uśmiechu.

– Nie spotkałem jeszcze kapitana, który by nie kochał swojego statku.

Dwadzieścia trzy godziny po wyruszeniu z Bahamów nad horyzontem na zachodzie, do tej pory czarniejszym od węgla, zaczęła pojawiać się co chwilę delikatna poświata. Bell skrzył w jej kierunku i wkrótce okazało się, że to pulsujący strumień światła latarni morskiej.

– Przylądek Hatteras?

Pauline rozłożyła mapę, uważając, aby nie rozdrzeć wilgotnego papieru.

– Jak świeci? - spytała.

Bell zmierzył odstęp między błyskami.

– Co piętnaście sekund.

– Przylądek Hatteras błyska co siedem i pół sekundy.

– A co błyska co piętnaście?

– To może być Cape May w New Jersey.

– Nie dotarliśmy tak daleko na północ.

– Na południe od Przylądka Hatteras jest latarnia Cape Lookout. Błyska co piętnaście sekund.

– Ed, zmieniamy kurs. Jaki zasięg może mieć to światło?

– Przy tej pogodzie? Na pewno poniżej dwunastu mil.

– Jesteśmy za blisko brzegu.

Bell pospiesznie odszedł od wybrzeża i skierował się na wschód ku północy. Po trzech godzinach dostrzegli oddzielone siedmioipółsekundowymi przerwami błyski latarni Przylądka Hatteras.

– Czytałem, że Hatteras zwane jest cmentarzyskiem Atlantyku - powiedział Asa Somers. - Tysiące statków pakuje się tam na brzeg.

– Dziękuję za informację - odparła Pauline.

Jeden z motorów liberty zakrztusił się i zamilkł.

Po chwili znieruchomiał drugi.

40.

Pozbawiona napędu łódź natychmiast ustawiła się bokiem do fal, które zaczęły miotać nią jak zabawką.

Tobin i Somers zerwali osłony z unieruchomionych wcześniej silników, a Bell wyciągnął ssanie i nacisnął rozruszniki. Jeden zaprotestował, wydając anemiczne rżenie na skutek wyczerpanego akumulatora. Drugi kręcił wałem przez dłuższą chwilę, ale motor nie zaskoczył.

Rufa obróciła się i przecięła linię wiatru. Silny powiew wdarł się pod plandekę, uniósł ją jak latawiec i zerwał z tylnych zaczepów, aż załopotała nad fordekiem. Kokpit został zalany deszczem i bryzgami morskiej piany. Bell spróbował jeszcze raz, mając nadzieję, że zostało dość prądu w akumulatorze. Silnik załapał, zakrztusił się i zdechł, po czym znów zaczął chwytać, cylinder po cylindrze, aż wreszcie ruszyła miarowo cała dwunastka. Zawirowała śruba i łódź wróciła na uprzedni północny kurs. Pauline i Somers zaciągnęli z powrotem brezent nad kokpitem i solidnie umocowali zaczepy. Tobin spiął kablami martwy akumulator z działającym i Bell zdołał obudzić do życia drugi silnik.

Obawiając się, że woda może je zalać, załączył tłumienie, kierując wylot spalin pod powierzchnię i odcinając kolektor od pionowych rur wydechowych. Zabezpieczenie odebrało moc silnikom i spowodowało zmniejszenie prędkości. Idąc na wytłumionych motorach, wyraźniej słyszeli wzmagający się wciąż ryk wichury i huk fal.

Pauline stanęła za sterem pod czujnym okiem Somersa. Bell i Tobin zajęli się silnikami, które przestały działać. Okazało się, że powodem awarii była woda w paliwie. Mogła się dostać do zbiornika podczas przepompowywania benzyny z beczek zakupionych na Harbour Island albo zawartość jednej z beczek mogła być już wcześniej zanieczyszczona. Opróżnili zbiornik dzienny, z którego były zasilane te silniki, i napełnili go ponownie benzyną ze zbiorników głównych.

Oba silniki okazały się sprawne. Zastopowali je i osłonili ich wydechy, aby trzymać je w rezerwie. Bell obawiał się, że wkrótce trzeba będzie ich użyć. Te, które teraz napędzały łódź, pluły błękitnym dymem, a ich zawory klekotały jak wściekłe. Trwało to przez całą noc. Wreszcie, gdy jeden z pracujących motorów zaczął wydawać dźwięki wskazujące na to, że jego żywot się kończy, Bell zastopował oba, uruchomiwszy uprzednio te, które pozostawały w rezerwie.

Bell trzymał wachtę od świtu następnego dnia, prowadząc łódź chłostaną silnymi porywami wiatru. Wtulona w niego Pauline szybko zasnęła, spali też Tobin i Asa pod fordekiem. Nagle usłyszał głośny łoskot, jak uderzenie pioruna. Po lewej coś błysnęło, mogła to być błyskawica. Po piętnastu sekundach błysnęło znowu, a potem jeszcze raz. Wtedy zobaczył biały punkt emitujący światło.

Latarnia Cape May miała zasięg dwudziestu czterech mil morskich, ale nie w tych warunkach atmosferycznych. Skoro widział źródło światła z niskiej łodzi przez zasłonę gnanej wiatrem ulewy, to znaczyło, że prawie na nią wpadli. To, co wziął za grzmot pioruna, mogło być hukem przyboju. A potem ujrzął ogromne fale załamujące się na płyciźnie. Niemal czuł, jak zbierają się za nim, by unieść łódź i wyrzucić ją na plażę. Zakręcił kołem sterowym, pchnął dźwignie przepustnic i uciekł od brzegu.

Z trudem utrzymując dwadzieścia węzłów, płynął przez godzinę na wschód, a potem zrobił zwrot na północ. Dwie godziny później, kiedy ster przejął Tobin, Bell zobaczył białe światło, które paliło się na stałe.

– Latarnia Absecon - odczytała Pauline.

– Atlantic City - powiedział Tobin. - Coraz bliżej do celu, panie Bell. Następne będzie Barnegat.

Koło Barnegat znaleźli się tak blisko lądu, że Asa Somers dostrzegł białoczerwoną wieżę latarni Barnegat. Znow musieli odejść w morze. Dwie godziny później, kiedy wlekli się na jednym silniku, oszczędzając drugi, który musiał im wystarczyć jako zapasowy, ściana deszczu nagle się rozstała i znaleźli się w słońcu, na skrawku wściekle rozkołysanego, błękitnego morza, otoczonym ze wszystkich stron grubą warstwą chmur.

– Co się dzieje? - zdziwił się Tobin, obracając się w miejscu z zadartą głową.
- Tak jakby miniaturowe oko miniaturowego cyklonu.

– Czy któreś z was ma pojęcie, gdzie jesteśmy? - spytał Bell.

– Nie.

Ze schowka pod fordekiem Pauline przytaszczyła swoją wielką torbę i wręczyła ją Tobinowi.

– Co to takiego?

– Właśnie to, co zapomniałeś spakować. Sekstant i Rocznik Astronomiczny. Jest południe. Jak wiem, Isaac potrafi się tym posługiwać. Może zmierzyć wysokość słońca i określić naszą pozycję.

– Siadaj za sterem, Ed - polecił Bell. - Trzymaj łódź tak, aby się jak najmniej kołysała. Piorunem. To długo nie potrwa.

Rzeczywiście, chmury szybko zamykały się wokół dziwnego, czystego kawałka nieba. Bell uniósł sekstant do oka i sprowadził w dół odbity obraz słońca tak, aby pokrył się z horyzontem. Odczytał kąt na skali i podał Pauline, a ona zanotowała dokładny czas i odczytała wartość z odpowiedniej kolumny rocznika. Asa podał jej mapę.

– Znajdujemy się około dwudziestu mil od Nowego Jorku - oznajmiła. - Kurs trzysta dziesięć na latarniowiec „Ambrose”.

– Kto cię tego wszystkiego nauczył? - spytał Tobin.

– Kapitan „Aquitanii”.

Nagle chmury zamknęły się nad nimi i znaleźli się we mgle. Widzialność spadła do czterystu metrów, potem nieco się poprawiła, a potem znow uległa pogorszeniu wraz z pojawieniem się porywistego wiatru i deszczu. W odległości około dwudziestu kilometrów od celu podróży natknęli się na szkuner z połamanymi masztami. Sponiewierany przez sztorm statek szarpał się na

kotwicy, a jego załoga zajęta była odcinaniem zniszczonego takielunku. Na bukszprycie łopotało prześcieradło z anonsem wypisanym czerwoną farbą:

„CC
Skrzynka \$55”

– Jesteśmy na Rumowej Linii - stwierdził Isaac Bell.

Mijali szkunery i rdzewiejące parowce, sklarowane w oczekiwaniu na sztorm.

– Popatrzcie - powiedział Asa. - Jacyś wariaci wybrali się tą łupiną po towar.

– Cena gorzały rośnie przy złej pogodzie - wyjaśnił Tobin. - Opłaci im się to, jeśli się nie potopią.

Nadleciał kolejny szkwał, pędzony lodowatym wiatrem, i znów nie widzieli nikogo, jakby morze nagle opustoszało. Kiedy opuścili strefę opadów, widzialność wzrosła do czterech, pięciu kilometrów. Faktycznie byli sami, jeśli nie liczyć dużego statku, zmierzającego do Nowego Jorku tym samym kursem co oni. Szybko go doganiali.

– To ten statek - powiedziała Pauline.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie. Widziałam go w Bremerhaven.

41.

Tankowiec „Sandra T. Congdon” miał prostą dziobnicę, solidną białą sterówkę nieco przed śródkręciem oraz wysoki komin na rufie.

– Co on tam ma na dziobie?

– Działo kaliber 76 milimetrów - powiedziała Pauline. - Pozostałość z czasów wojny.

Bell przyjrzał mu się dokładniej przez lornetkę.

– Ładna mi pozostałość. Obok leżą skrzynki z amunicją. Żal mi chłopców ze Straży Portowej, jeśli się na nich natkną. Ed, schowaj nas lepiej za tą sterówką.

Kiedy dogonili tankowiec, Tobin skorygował kurs „Marion” w taki sposób, aby sterówka blokowała możliwość ostrzelania ich z działa pokładowego.

– Co oni kombinują tam na górze? - spytał Asa.

Bell skierował lornetkę na odkryty mostek, zbudowany z drewna i płótna na dachu sterówki.

– Szykują lewisa do użycia - powiedział. - Lepiej schowajcie głowy.

Seria pocisków przeszła górą i spieniła wodę za burtą. Tobin zmniejszył obroty zapasowego motoru. Wkrótce znaleźli się osiemset metrów za tankowcem, poza skutecznym zasięgiem karabinu maszynowego.

Isaac Bell uśmiechnął się chłodno.

– Patrzcie, kogo tu mamy... Przejmuję ster, Ed.

Zza rufy tankowca wyskoczył „Czarny Ptak” i gnał na nich z pełną prędkością, ciągnąc za sobą ogon spienionej wody.

Bell szybko wydawał rozkazy.

– Pauline, kryj się! Tobin - dziobowy karabin! Asa - rufowy!

Łodzie pędziły na siebie z łączną prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ed Tobin pociągnął długą serię z przedniego lewisa. „Czarny Pak” odpowiedział ogniem. Jednak czarna łódź była dużo lepszym celem niż szara.

Gejzery wody wyrzucane w powietrze pociskami wyrosły wokół „Marion”.

Kule zabębniły o pancierz „Czarnego Ptaka” i strzaskały szklaną owiewkę. Strzelec, odepchnięty niewidzialną siłą od karabinu, stracił kontakt z pokładem i wyleciał tyłem za burtę. Natychmiast kolejny zajął jego miejsce.

Dzieliło ich teraz mniej niż pięćdziesiąt metrów, więc nowy strzelec nie mógł chybić, nawet gdyby łódź Bella była niewidzialna. Bell poczuł, jak przez kadłub przeszedł dreszcz, gdy pociski odbijały się od pancierza. Huknęła kolejna seria. Kule przeleciały tuż nad głową Bella.

Asa Somers włączył się do walki, zasypując ołowiem kokpit „Czarnego Ptaka”. Znajdujący się w nim trzej mężczyźni padli na deski podłogi. Podniósł się tylko jeden - Marat Zolner.

Bell widział, jak jednym płynnym ruchem zakręcił kołem sterowym i szarpnął przepustnicę. Bezskutecznie. Czarna łódź nie zareagowała na ster ani nie przyspieszyła. Kołysała się na powierzchni morza, sunąc jedynie rozpędem.

– Masz oko, Asa!

Młody praktykant rozwalił przyrządy sterownicze łodzi Zolnera.

Zolner wyskoczył z kokpitu i dopadł lewisa. Zerwał pusty talerzowy magazynek i założył nowy. Przez chwilę prowadził lufę za łodzią Bella, która zataczała krąg jak drapieжник przed zadaniem mu ostatecznego ciosu, po czym otworzył ogień.

Isaac Bell zauważył strużki niebieskawego dymu ciągnące się za kulami i pomyślał, że to pociski smugowe. Kiedy jednak Zolner wstrzelał się trzecią serią i trafił w kadłub „Marion” tuż przed motorami, z przestrzelin zaczął unosić się dym. Była to amunicja zapalająca, stosowana podczas I wojny światowej do niszczenia balonów. Wypełnione fosforem pociski zostawiały ogniste ślady wszędzie tam, gdzie trafiły, i wkrótce kadłub „Marion” stanął w płomieniach.

Pauline Grandzau zerwała z zaczepu najbliższą gaśnicę, podpompowała ją, po czym skierowała strumień tetry na płomień. Kiedy mosiężny pojemnik był już pusty, przedostała się na drugą stronę kokpitu po kolejną gaśnicę.

– Asa, pomóż jej! - rozkazał Bell. - Ed, gaście ogień! Ja zajmę się Zolnerem.

Musiał wstać, aby widzieć cokolwiek ponad przestrzelonymi szybami owiewki, które pokryły się siateczką pęknięć.

Wszedł w ciasny zwrot, podczas którego łódź mocno pochyliła się na burtę. Kiedy znalazł się naprzeciw „Czarnego Ptaka”, otworzył przepustnice na maksymalny przepływ. Powietrze znów przecięły niebieskawe smugi. Zolner założył nowy magazynek z pociskami zapalającymi.

Bell zaczął zygzakować, robiąc ostre zwroty w lewo i w prawo. Odległość malała z dwustu do stu, a potem pięćdziesięciu metrów. Marat Zolner przestał strzelać. Na widok płonącej motorówki pędzącej prosto na niego na jego twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

– Taranuję! - krzyknął ostrzegawczo Bell. - Trzymać się!

Wycelował w najsłabsze miejsce, tuż przed silnikami. „Marion” uderzyła „Czarnego Ptaka” w środek burty i rozcięła go na pół. Bell widział, jak odrzucony od lewisa Zolner wpada do wody, i natychmiast zmniejszył obroty.

Marat Zolner płynął wplaw do tankowca.

– Ed! Asa! Wyciągnijcie go, podejdę prawą burtą.

„Marion” podpłynęła do Zolnera. Tobin wychylił się za burtę, aby go złapać.

– Uważaj, Ed!

Zolner odwrócił się na plecy i zadał bezlitosny cios krótkim sztyletem. Ostrze zagłębiło się w przedramieniu Tobina. Trysnęła krew. Wychylony przez burtę detektyw zamachnął się pięścią i byłby wypadł, gdyby nie Asa Somers, który go przytrzymał, wciągnął do kokpitu i zacisnął mu własny pasek na ramieniu.

Zagrzmiała seria z lewisa. Jęknęły rykoszety, sypnęły się drzazgi. Tankowiec ostrzelał ich z karabinu maszynowego ustawionego na mostku.

Bell zwiększył prędkość i odskoczył od statku, do którego wciąż płynął Zolner. Kiedy tylko ponownie zbliżyli się do niego, strzelec znów otworzył morderczy ogień. Celowanie ułatwiało mu dogodne stanowisko na dużej wysokości. Nadleciał kolejny szkwał, stawiając kurtynę deszczu pomiędzy nimi a statkiem. Bell spróbował wykorzystać tę osłonę, by podejść bliżej. Deszcz jednak ustał równie nagle, jak się pojawił, a wtedy natychmiast odezwał się karabin maszynowy. Do Zolnera zbliżała się już szalupa. Bell miał przez chwilę nadzieję, że złoczyńca przynajmniej został ranny, ale rozwiął ją widok agenta Kominternu, z małpią zręcznością wciągającego się do łodzi.

Zaczął padać ulewny deszcz. Po chwili tankowiec zniknął w gęstej mgle.

– Nie zobaczymy go w tym mleku - wysapał Tobin, przy którym wciąż tkwił Somers, usiłujący zatamować krwotok. - Dokąd on płynie?

– Tam, dokąd płynął od samego początku - powiedział Isaac Bell. - Na Wall Street.

Jurij Antipow dokonał zamachu bombowego na symbol kapitalizmu. Marat Zolner zamierzał spalić jego serce, uderzając w nie ogniową kulą płonącego alkoholu. Jeśli mu się uda, Komintern uzna go za bohatera, który spopielił nowojorską Dzielnicę Finansową na całej długości Wall Street, od East River aż po kościół Świętej Trójcy.

Bell wdepnął starter. Trzeci silnik zaskoczył i obudził się do życia.

Podziurawiona kulami „Marion” pomknęła w kierunku Zatoki Nowojorskiej z prędkością pięćdziesięciu węzłów.

Dziesięć minut później przepłynęli między Sandy Hook a Rockaway Beach i znaleźli się na wodach Lower Bay. Kolejnych siedem zabrało im przejście przez Narrows i Upper Bay. Trzeci motor padł na wysokości Battery. Drugi na East River, pod mostem Brooklyńskim.

Wyteżając wzrok pomiędzy kolejnymi falami nawracającego deszczu, Bell dostrzegł wysokie hangary fabryki Loeninga, a tuż za nią terminal Air Service przy Trzydziestej Pierwszej ulicy. Ostatni działający silnik krztusił się z braku paliwa. Pięćdziesiąt metrów od nabrzeża całkowicie odmówił posłuszeństwa. W ciszy, która nagle zapadła, Bell wysprzęglił śruby, aby zmniejszyć opór wody. Dopłynęli rozpędem na odległość, z której Asa zdołał zarzucić linę na pachołek.

Bell wyciągnął ze schowka pistolet maszynowy Thompson.

– Pauline, zawieź Eda do szpitala Belleuve. Asa, bierz tę skrzynkę.

– Skąd pan ma granaty ręczne?

– Znalazłem nad Miami River. Pospiesz się!

Pobiegli brzegiem rzeki do zakładów Loeninga. Mechanicy ściągnęli hydroplany do hangaru, by uchronić je przed wiatrem. Bell dostał się na swoją maszynę i odrzucił cumy.

– Piorunem, chłopcy. Otwierajcie te wrota i bierzcie się za uruchomienie silnika.

– Nie zdoła pan wystartować przy takiej pogodzie! - krzyknął brygadzysta.

– Matka umarła, kiedy byłem małym chłopcem. Od tej pory musiałem dawać sobie radę bez niej. Uruchomić silnik!

42.

Bell zmagął się z wysokimi falami podczas startu z East River, a potem, w powietrzu, dawały mu się we znaki gwałtowne podmuchy wiatru. Łódź latająca wznosiła się prosto na most Williamsburg. Bell zamierzał przelecieć między wysokimi pylonami mostu, celując w miejsce, w którym liny nośne schodzą najniżej. Udało mu się przejść zaledwie centymetry nad nimi. Po chwili horyzont zniknął za zasłoną deszczu.

W utrzymaniu maszyny w poziomie posiłkował się nowym przyrządem projektu Sperry'ego, łączącym zalety zakrętomierza i chyłomierza. Urządzenie to nie mogło mu jednak w żaden sposób pomóc uniknąć zderzenia z mostami Manhattan i Brooklyńskim, a tym bardziej drapaczami chmur przy Wall Street. Leciał na ślepo, opierając się jedynie na wskazaniach busoli, zegarka Tank i własnej pamięci.

Asa Somers uśmiechał się nieprzerwanie. Po raz pierwszy w życiu leciał samolotem.

Kiedy hydroplan wydostał się wreszcie z mroku nad portem, Bell zorientował się, że minęli już Narrows. Pod nimi rozciągały się wody Lower Bay upstrzone sylwetkami statków. Bell nie zwracał uwagi na te, które stały na kotwicy. Pozostałe, uciekające przed sztormem, szły wzdłuż brzegów Brooklynu, Staten Island i Jersey. A tankowiec Zolnera powinien płynąć przez Ambrose Channel niezmiennym kursem prowadzącym na Manhattan.

Bell przeleciał nad całą długością kanału, nie napotykając żadnego statku. Czyżby pomylił się w przewidywaniach? A może Zolner najzwyczajniej zrobił zwrot i teraz uciekał do Europy? Widząc miotany falami latarniowiec „Ambrose”, Bell zawrócił. Na zewnętrznych wodach zatoki zauważył tylko jedną jednostkę pływającą, zmagającą się ze sztormem. Do Narrows zbliżała się mała przemysłowa motorówka, załadowana skrzynkami whisky. Kołysała się dziko na wszystkie strony i chwilami niemal niknęła, zalewana falami.

Asa poklepał Bella po ramieniu. Obserwując przez lornetkę znajdujące się przed nimi wody Upper Bay, około dziesięciu kilometrów od Battery, na samym końcu Manhattanu zauważył tankowiec płynący prosto do miasta. Hydroplan rzucił się za nim w pościg. Widząc wysoki komin z tyłu, sterówkę przed śródkrećciem, prostą dziobnicę i zgrabnie zaokrągloną rufę, Bell natychmiast rozpoznał „Sandrę T. Congdon”. Całości obrazu dopełniało działo na dziobie. Z bliska zauważył szalupę, w której załoga opuściła statek. Ludzie wiosłowali gorączkowo, by jak najprędzej oddalić się od niego. Nic dziwnego, wszak był pływającą bombą zapalającą.

– Asa, powiąż te granaty w wiązki po cztery sztuki.

– Zbombardujemy ich?

– To ty będziesz bombardował. Ja pilotuję samolot. Musisz trafić w amunicję do działa na dziobie. Widzisz tę nakrętkę na końcu uchwytu? Pod spodem jest kulka połączona sznurkiem z detonatorem. Pociągniesz za tę kulkę, kiedy ci powiem, i natychmiast wyrzucisz całą wiązkę za burtę.

Położył samolot w ciasny wiraż, wyrównał za rufą statku i zaczął schodzić coraz niżej. Latająca łódź szybko doganiała statek. Asa stanął w kabinie, aby móc wysunąć rękę za burtę. Bell poderwał lekko maszynę, najpierw nad kominem, a potem nad sterówką, poruszając bez przerwy sterownicą systemu Bleriota, aby przeciwdziałać porywom wiatru.

– Już!

Z wysokości zaledwie dziesięciu metrów nad przednim pokładem Asa nie mógł spudłować. Wiązka granatów trafiła prosto w ułożone jeden na drugim naboje armatnie, ale odbiła się i spadła na stalowy pokład, gdzie eksplodowała, nie czyniąc żadnych szkód.

Bell zatoczył krąg, aby wykonać drugie zejście. Żołnierze już czekał przy lewisie. Kiedy maszyna ponownie dolatywała nad tankowiec, otoczyły ją smugi błękitnego dymu. Pociski zapalające przeszły płat. Każdy pozostawił po sobie ognisty ślad. Skrzydło stanęło w płomieniach.

– Zapnij pas, Asa. Musimy siadać.

– Jak zdołamy go powstrzymać, jeśli usiądziemy na wodzie?

– Zaraz zobaczysz.

Bell błyskawicznie ocenił sytuację. Wiatr wiał prosto w rufę statku, co dodatkowo utrudniało ryzykowny manewr. Jednak podejście z mniejszą prędkością pod wiatr nie wchodziło w grę. Ogień, podsycany pędem powietrza, ogarnął już całe skrzydło, a płomienie kłębiły się tuż za ich plecami nad miejscami dla pasażerów. Nie miał wyjścia, musiał siadać natychmiast i wiedział, że będzie to twarde lądowanie.

Wujek Darbee zatrzymał swoją łódź do połowu ostryg podczas powrotu ze zwariowanej wyprawy po whisky w samym środku szalejącego huraganu. Oboje z małą Robin zauważyli tankowiec idący w górę kanału, kiedy nikogo przy zdrowych zmysłach, poza szmuglerami gorzały, nie było na wodach zatoki. Widzieli, jak załoga spuszcza szalupę i odpływa, ale statek kontynuował rejs. Potem pojawił się samolot Isaaca Bella, który Darbee rozpoznał, bo był taki sam jak maszyny Newport Flying Service, ale nie miał nazwy firmy wypisanej na kadłubie i rzucił bombę na tankowiec.

Nie odniosło to żadnego skutku. Potem tankowiec ostrzelał samolot niebieskimi pociskami smugowymi. A teraz maszyna Bella spadała z płonącym skrzydłem.

– Kiedy uderzy o wodę, podpłyniemy i pozbieramy szczątki - powiedział do Robin.

– Nie uderzy o wodę - zaproponowała dziewczynka. - Spadnie na statek.

Obdarzona orlim wzrokiem Robin miała rację. Samolot Bella leciał za statkiem z prędkością czterdziestu węzłów i szybko doganiał tankowiec wyciągający najwyżej dwanaście. W ostatniej chwili ominął komin i opadł na płaski pokład między rufą a sterówką. Sunął po nim przez chwilę, krzesząc snopy iskier, wreszcie uderzył w wentylator i znieruchomiał.

– To nie mogło wyjść panu Bellowi na dobre - stwierdził Darbee. - Możemy wracać do domu.

– Zaczekajmy - sprzeciwiła się Robin.

– Po co?

– To jeszcze nie koniec.

– Wiejemy!

Bell chwycił thompsona w jedną rękę i Asę w drugą. Pomógł chłopakowi wydostać się, a raczej wypchnął go za burtę kabiny, zatknął sobie wiązkę granatów za pasek i wyskoczył za nim.

– Uciekajmy, zanim wybuchnie.

– Cały statek może wylecieć w powietrze.

– Na to właśnie liczę.

Przebiegli obok sterówki i schowali się za nią.

Latająca łódź Bella eksplodowała. Skrzydła, ogon, pływaki, kabina oraz płonący zbiornik paliwa poleciały w górę i wylądowały w wodzie. Resztki wraku tliły się na stalowym pokładzie, zalewane ulewnym deszczem. Płynący wciąż z prędkością dwunastu węzłów statek oraz jego ładunek pozostały nietknięte. Bell wciąż nie tracił nadziei.

Wsunął swego browninga w dłoń Asy.

– Weź to. Zostaniesz tu i zastrzelisz każdego, kto będzie próbował pójść za mną.

Zdetonowanie naboju armatnich kaliber 76 milimetrów ułożonych w stosy wokół działa powinno oderwać dziób statku i zatrzymać go na dobre. Nie udało mu się tego dokonać z samolotu, w którym był względnie bezpieczny. Teraz znajdował się na statku i musiał zrobić to tak, aby samemu nie wylecieć w powietrze. Bell ruszył biegiem w kierunku działa. Czy zdoła celnie rzucić granat z odległości, która pozwoli mu ująć z życiem? Sięgnął po jeden z granatów tkwiących za paskiem, kiedy za jego plecami padł strzał.

Bell odwrócił się i ujrzał, jak Asa pada na pokład.

Zza zasłony deszczu wyleciał jakiś cień, niczym gigantyczny ptak. Kątem oka dostrzegł lśniąca moką linę. A potem zobaczył oblicze Zolnera - zaciśnięte z wysiłku usta, nienaturalnie spokojne oczy - i gumową podeszwę buta, który leciał mu prosto w twarz. Odchylił się. But wyrznął go w pierś, wytrącając mu z ręki thompsona, i odrzucił go w tył w poprzek pokładu.

Bell złożył ręce, przekoziółkował i stanął w wy kroku, przyjmując postawę bokerską. Zdumiał się, widząc wysokiego, szczupłego Rosjanina tak blisko, że mógłby prawie go dotknąć.

Zolner trzymał w ręku linę, przywiązaną do przedniego relingu na dachu sterówki. Musiał zeskoczyć z tyłu i zatoczywszy łuk, znalazł się trzy piętra niżej na pokładzie.

– Czysta fizyka, Bell. Czego szukasz na moim statku?

– Zamierzam aresztować bohatera.

– A więc rozmawiałeś z Fern.

Zolner puścił linę.

Isaac Bell zaatakował, wyprowadzając dwa błyskawiczne proste i potężny lewy sierpowy. Wszystkie doszły do celu, ale nie zrobiły na Zolnerze żadnego wrażenia. Bell uderzył jeszcze dwa razy, bez skutku. Przeciwnik był zbyt szybki, poruszał się jak żywe srebro, jego minimalne uniki odbierały ciosom moc.

Bell miał nad nim co najmniej dziesięć kilo przewagi. Wykorzystał ją; skrócił dystans i uderzył z całych sił. Zolner, uchyliwszy się przed atakiem z niewyobrażalną szybkością, wyciągnął z tylnej kieszeni długą pałkę i wykonał nią krótki ruch. Cios został zadany z wielką precyzją i ogromną siłą. Czując potworny ból w łokciu, Bell zdał sobie sprawę, że Zolner trafił go dokładnie tam, gdzie zamierzał. Nie mógł ruszyć ręką, która zwisała bezwładnie, płonąca straszliwym bólem.

Zolner uśmiechnął się.

– A teraz wyrównamy nasze rachunki.

Zaczął przerzucać pałkę z ręki do ręki, lewa-prawa, prawa-lewa, z szybkością zawodowego zonglera, aż stała się niewyraźną plamą. Nagle, jednym płynnym ruchem, posłał ją prosto w twarz Bella.

43.

Pałka przecięła powietrze ze świstem. Nadlatywała z lewej, a Bell nie był w stanie unieść ręki dostatecznie wysoko, by osłonić się przed miażdżącym uderzeniem. Mimo to uniósł ją i odchylił się niedostrzegalnie.

Pałka zawadziła o jego nos.

Bell poruszył się tylko tyle, aby uniknąć trafienia. W chwili, kiedy uzbrojona w pałkę ręka Zolnera mijała jego klatkę piersiową, skoncentrował całą siłę i walnął niskim prawym sierpem w żebra Rosjanina. Z satysfakcją usłyszał cichy trzask pękającej kości i zduszony okrzyk bólu.

Agent Kominternu zachwiał się i zatoczył do tyłu. Bell ruszył za nim, aby go wykończyć.

Zolner był jednak zbyt szybki i zbyt silny. Po ciosie powinien zgiąć się wpół. Tymczasem zanim Bell wziął zamach do kolejnego uderzenia prawą, przeciwnik zaatakował z furją, kopiąc i wymachując pałką. Znow trafił Bella w łokieć, odbierając mu oddech. Zwarli się na krótką chwilę, ale Zolner wyrwał się z klinczu.

Bell otarł krew zalewającą mu oczy, nie zauważając nawet, że pałka rozcięła mu czoło. Pod stopami poczuł drgania pokładu statku.

Zolner krążył wokół niego lekko przygięty, najwyraźniej chroniąc obolały bok.

– Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby twój czcigodny pryncypał nie nadzieiał się na kulę.

– Trzy kule - sprecyzował Bell, idąc prosto na niego.

Zolner zszedł mu z drogi i wskazał kciukiem miejsce, w którym Asa upadł na pokład.

– Czy twoja zemsta jest tego warta? Chłopak nie żyje. Twój szef ledwo dycha. A ja wrócę do swoich jako bohater.

Bell stanął jak wryty.

Niemal za każdym razem wyprowadził mnie w pole. Teraz też próbuje mnie okpić, a ja nawet nie wiem jak. Bell nie mógł pozbierać myśli. Był zmęczony

dwudniową walką ze sztormem, straszliwie bolała go ręka. Działo się coś, czego nie potrafił zrozumieć.

Nagle pojął, dlaczego pokład drży mu pod stopami. Uśmiechnął się.

– Tankowiec wciąż się porusza. Masz człowieka w maszynowni i drugiego za sterem. A ja zabrałem się na ten rejs, bo powiedziałaś Fern, że będę żałował, z twojego powodu.

– Chłopak nie żyje - powtórzył Zolner.

Bell popatrzył na Asę, rozciągniętego w miejscu, gdzie go zostawił na tyłach sterówki. Potem zerknął przez ramię na armatę na dziobie. Na koniec przemknął dociekliwym wzrokiem po pokładzie.

– Jesteś znakomitym kłamcą. Słyszałem jeden strzał, w dodatku oddany z mojego pistoletu. To Asa strzelił do ciebie i chybił. A ty, przelatując tuż obok niego, tylko go ogłuszyłeś. A teraz grasz na zwłokę, podczas gdy twój płonący statek załadowany alkoholem płynie dalej do miejsca przeznaczenia.

Bell odwrócił się, jakby chciał biec do Asy. Zolner rzucił się, aby mu przeszkodzić. W tym momencie Bell ruszył w przeciwną stronę i dopadł thompsona, którego Zolner wytrącił mu z rąk kopnięciem. Wyłącznie siłą woli zacisnął lewą dłoń na przednim uchwycie, przycisnął kolbę do boku i pociągnął za spust. Odrzut wyrwał mu broń z osłabionej lewej ręki. Z wyjątkiem jednej kuli cała seria poszła Panu Bogu w okno. Ale pierwsza, ta jedyna, trafiła w cel.

Bell padł na pokład, szukając osłony.

Trafiony pocisk armatni eksplodował z ogłuszającym hukiem. Niemal w tym samym momencie wybuchł drugi, a po chwili zdetonowały wszystkie naraz z ogromną siłą, która wstrząsnęła całym statkiem od dziobu do rufy. Bell poczuł, że coś unosi go półtora metra w górę, a potem ciska nim o pokład jak workiem ziemniaków. Natychmiast zerwał się na równe nogi i pobiegł do Asy. Zolner znalazł się tam przed nim. Bell strzelił w pełnym biegu, nie celując. Kula świsnęła tuż koło głowy Zolnera, który uchylił się odruchowo. Bell wpadł na niego całym ciężarem, spychając go z drogi, zarzucił sobie nieprzytomnego Somersa na prawe ramię, podbiegł do relingu i wyskoczył za burtę.

Wydawało mu się, że lecą w dół całą wieczność, zanim wreszcie wpadli do wody.

Rozległ się plusk i morze zamknęło mu się nad głową. Pracując mocno nogami, wynurzył się wraz z Asą na powierzchnię. Chłopak zaczął się szamotać. Zimna woda go ocuciła.

– Płyń! - ryknął Bell. - No płyń!

Praktykant posłusznie zastosował się do rozkazu.

Obok nich przesuwiał się kadłub tankowca. Statkiem wstrząsały kolejne eksplozje.

W wodę wokół nich sypały się potrzaskane deski, kawałki metalu i płonące strzępy brezentu. Kłęby popiołu opadały wolno jak śnieg, rozlewały się plamy oleju. Bell poruszał energicznie nogami i wiosłował zdrową ręką. Statek wreszcie ich minął i zaczął się oddalać, zdążając wciąż w kierunku miasta. W końcu zniknął za zasłoną deszczu i mgły. Bell myślał, że wszystko stracone, ale kiedy wydawało się, że nic nie powstrzyma płonącego statku przed dotarciem do Wall Street, z wody wyrósł wielki słup ognia, którego żar odparował deszcz i mgłę. Czysty spirytus palił się w rozerwanych zbiornikach, ognista struga z rykiem wzbijała się ku niebu, oświetlając zimnym blaskiem tankowiec Kominternu, tonący na środku zatoki.

Isaac Bell ujrzał Marata Zolnera, który ścigając się z ogniem, wbiegał po schodni na dach sterówki. Udało mu się dotrzeć do mostka, gdzie stał przez dłuższą chwilę, a jego pełna wdzięku sylwetka odcinała się cieniem na tle płomieni.

Ognista kolumna wygięła się pod uderzeniami wiatru. Eksplozja rozerwała dziób, powyginane poszycie sterczało na boki. Woda lala się do wnętrza kadłuba szerokim strumieniem i wkrótce statek poszedł gwałtownie na dno kanału, zostawiając na powierzchni tylko końcówkę komina i obłok pary.

– O rany! - powiedział z podziwem Asa. Na czole, tuż nad okiem, miał ogromnego sińca.

– Dasz radę dopłynąć do brzegu?

Wydawało się, że najbliżej będzie do brzegów Brooklynu. Bell próbował płynąć kulawym grzbietowym, używając tylko jednej ręki. Zanim zdążyli pokonać pierwsze sto metrów, podeszła do nich mała łódka z wielkim silnikiem. Isaac Bell poparzył w górę, prosto w pomarszczoną twarz Donny'ego Darbee, wujka Eda Tobina.

– Waśnie przepływałem w pobliżu z ładunkiem ostryg - powiedział. - Chyba przyda się wam podwózka na brzeg.

– W zamian za co mam przekonać gliniarzy, żeby przepuścili was z tymi rzekomymi ostrygami.

– To Robin wpadła na ten pomysł. Sądzi, że dostaniemy za nie najlepszą cenę na Manhattanie.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem St. Regis.

Wysiadł z niej Isaac Bell, przemoknięty, z osmalonymi wąsami i skorupą z popiołu, soli, smaru i krwi na twarzy i włosach. Za nim wytoczył się Asa Somers w ociekającym wodą, postrzępionym ubraniu.

Portier odegnał ich ruchem ręki. Przysadzisty detektyw hotelowy zastąpił im drogę.

– Dzwon do mojej żony - powiedział Bell. - Powiedz, że jadę na górę.

– Tu mieszka twoja żona?

– Tak, nazywa się Marion Bell.

– To pan, panie Bell?!

Troskliwi detektywi hotelowi zaprowadzili ich do windy. Bell znieruchomiał, widząc nagłówek w gazecie.

„Gigantyczny huragan pustoszy wybrzeże
Nowy Jork ocalał, gdy burza skręciła na wschód
Parowy jacht idzie na dno koło Bermudów
Dziedziczka prawdopodobnie utonęła”

Pech, czy może raczej kara boska? Chyba zbyt wysoka za bratanie się z nieodpowiednimi ludźmi, pomyślał Bell.

– Biedna Fern - zmartwił się Asa. - Była taka miła.

– Nie jestem pewien, czy Fern życzyłaby sobie, aby wspomiano ją jako „miłą”.

– *Fraulein* Grandzau ją lubiła.

– Ja też - przyznał Bell. - Zawsze lubiłem ludzi z charakterem.

Bell powiódł Asę wyłożonym chodnikiem korytarzem pod drzwi pokoju Marion.

Nagle dotarło do niego, że bolą go wszystkie mięśnie i kości. Lewa ręka pulsowała żywym ogniem. Czuł, że świat dokoła niego kołysze się, jakby wciąż był na łodzi, a w uszach słyszał wciąż ryk motorów li berty.

– Jesteśmy w domu, Asa.

Wyprostował ramiona i zapukał.

Piękne, zielone jak morska toń oko pojawiło się w otworze wizjera i nagle zrobiło się większe.

Bell się uśmiechnął.

– Przysłał mnie Joe.

Marion otworzyła szeroko drzwi.

– Jesteś cały?!

– Tip-top.

Zarzuciła mu ramiona naszyję.

– Uważaj, pobrudzisz się.

– Nieważne... A to kto?... Ach, pan to zapewne ten dzielny Asa, który ocalił Joego. Wchodźcie do środka.

Za nią stała, odświeżona i pachnąca perfumami, Pauline w grubym szlafroku frotte.

– Asa, dobrze się czujesz?

Asa zachwiał się i przytrzymał klamki.

– Tak, proszę pani. Tip-top.

– Wykap się - powiedziała, wskazując mu łazienkę na końcu korytarza. - Masz tam szlafrok na wieszaku.

Joseph Van Dorn siedział w wiklinowym fotelu na kółkach. Obok niego stała Dorothy, jej oczy emanowały spokojem.

– Wyglądasz jak siedem nieszczęść - powitał Joe Bella gromkim głosem.

– Za to ty wyglądasz lepiej - powiedział Bell. - Znacznie lepiej.

– Wypisali mnie ze szpitala. To już coś. - Van Dorn stanął na własnych nogach i podał Bellowi dłoń, lewą wspierając się o fotel. - Dobrze się spisałeś, Isaac. Bardzo dobrze. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Poczekaj z tym, aż dostaniesz rachunek za mój samolot.

– Samolot?

– Potrzebny jest też nowy dziób i silniki do naszej służbowej łodzi. Nie przejmuj się, stać cię na to. Walt „Teksas” zgarnia coraz więcej kasy w Detroit.

– Wciąż prowadzi ten interes?

– I będzie go prowadził aż do czasu, gdy odzyskamy kontrakt ze Strażą Przybrzeżną.

Bell zwrócił się do Pauline:

– Czy z Edem wszystko w porządku?

– Nic mu nie będzie. Pozszywali go. Miał przebitą żyłę, nie tętnicę... Isaac, muszę z tobą porozmawiać.

– Co się stało?

– Marion podsunęła mi doskonały pomysł.

Bell popatrzył na Marion.

– Jest w tym naprawdę dobra.

– Chciałabym zabrać młodego Asę na staż.

– Do Niemiec?

– Naturalnie za zgodą jego rodziców.

– Zdaje się, że jest sierotą.

– To jeszcze lepiej. Ja też jestem sierotą. Zgódź się, Isaac.

Główny śledczy Agencji Detektywistycznej Van Dorn spojrział pytająco na jej założyciela.

– Ty decyduj - powiedział Van Dorn.

Bell spojrział Pauline głęboko w oczy i uśmiechnął się pod wąsem.

– Zważywszy na to, jak twój nowy praktykant radził sobie tego popołudnia z karabinem maszynowym, mogłabyś rozważyć, czy nie udzielić mu pozwolenia na noszenie małego pistoletu.

– Wszystko w swoim czasie - odparła Pauline. - Dziękuję, Isaac. I tobie też, Marion.

Van Dorn rozsiadł się znów w fotelu na kółkach i potoczył do drzwi.

– Zmywamy się. Dorothy chce, żebym położył się do łóżka.

Uzgodnili, że porozmawiają jutro rano.

– Po południu - poprawiła ich Marion. - Albo wczesnym wieczorem.

Przyszedł Asa Somers, świeżo wyszorowany, w szlafroku i z plastrem na czole. Paulina powiedziała mu coś po cichu i razem zniknęli za drzwiami.

– Nareszcie sami - powiedziała Marion. - Jak tam twoja ręka? Widzę, że ją oszczędzasz.

– Trochę pobolewa. Dokąd oni poszli w tych szlafrokach?

– Wynajęłam im pokój na górze.

– Jeden pokój?

– Hotel jest przepelniony z powodu sztormu. Zdaje się, że są w nim dwa łóżka - dodała natychmiast. - Zresztą, jakoś sobie poradzą.

– Dobry pomysł.

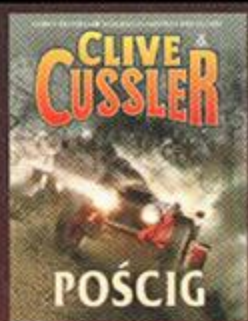
– A co z tobą? - spytała. - Na co masz ochotę?

– Może na drinka.

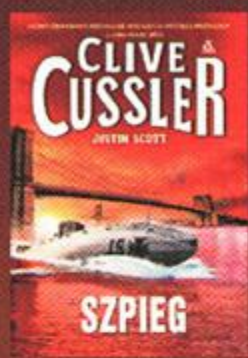
– Wchodzę w to - powiedziała Marion.

– I gorącą kąpiel.

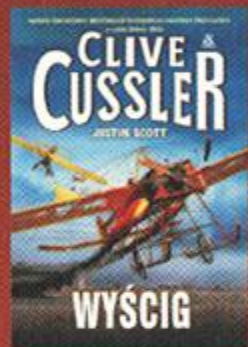
– W to też.



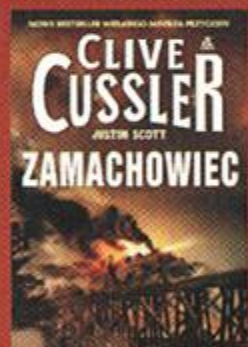
POŚCIG



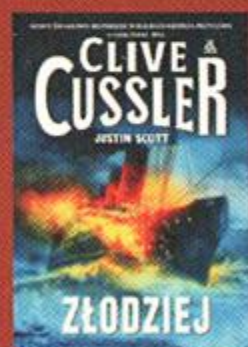
SZPIEG



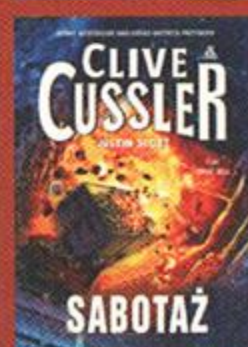
WYŚCIG



ZAMACHOWIEC



ZŁODZIEJ



SABOTAŻ

PRZEMYTNIK

Najbardziej niebezpieczna i najbardziej osobista przygoda Isaaca Bella

Jest rok 1921, króluje prohibicja, kwitnie przemyt. Joe Van Dorn, przyjaciel i szef Isaaca Bella w Agencji Detektywistycznej Van Dorn, zostaje ciężko ranny podczas pościgu za łodzią szmuglerów whisky. Bell poprzysięga, że wytropi sprawców, nie wie jednak, z kim się zmierzy. Kiedy świadek strzałów do Van Dorna zostaje brutalnie zamordowany, staje się jasne, że nie chodzi o zwykłych przestępców. To egzekucja w stylu radzieckiej tajnej policji.

Od zgliszcz Europy po I wojnie światowej, przez opanowane przez mafię ulice Detroit, po kurorty Florydy Isaac Bell tropi najbardziej niebezpieczny przestępczy syndykat. Tym razem to nie zwykła siatka przemytnicza, lecz potężna międzynarodowa organizacja, która ma jeden cel: zniszczyć niepodległość Ameryki...

CLIVE CUSSLER

Najpopularniejszy i najbardziej lubiany autor powieści przygodowo-sensacyjnych świata. Podróżnik, badacz historii katastrof morskich, poszukiwacz zatopionych wraków, sam jest uosobieniem przygody, tak jak jego najszynniejszy bohater, Dirk Pitt.

Clive Cussler to jedyny autor, który od 40 lat nie schodzi ze szczytu list bestsellerów. W każdym tygodniu jego książki są w Top 10 „New York Timesa”. Są tłumaczone na 60 języków i publikowane w 105 krajach. Na każdą jego powieść czekają niecierpliwie wierni czytelnicy w każdym wieku. I każda zdobywa nowych miłośników.



AMBER

www.wydawnictwoamber.pl